

**SWEN HASSEL**

**Monte Cassino**

## Rozdział 1

*Boże, jak padało! Lało i lało. Wszystko ociekało wodą. Nasze ubabrane peleryny przeciwdeszczowe od dawna przemokły na wylot.*

*Siedzieliśmy pod kilku drzewami w czymś w rodzaju namiotu, sporządzonego z pospinanych ze sobą peleryn. To były peleryny esesmańskie, lepsze od naszych, więc było nam względnie sucho. Mały rozłożył też swój parasol.*

*W końcu znaleźliśmy piecyk, który wyciągnęliśmy z płonącego domu i szykowaliśmy się do jedzenia. Mieliśmy czterdzieści szpaków, które piekliśmy na długich patykach, a Porta robił pulpety ze szpiku. Wydrapanie tego szpiku z kości dwóch padłych krów zabrało nam dwie godziny. Znaleźliśmy trochę świeżej pietruszki. Gregor Martin wiedział, jak z pomidorów robić keczup, który mieszał w amerykańskim, stalowym hełmie. Stalowe hełmy to praktyczne przedmioty, nadające się do wielu zastosowań. Jediną rzeczą, do której się nie nadawały, było to, do czego zostały wykonane.*

*Nagle wybuchnęliśmy śmiechem. To była wina Małego. Wypowiedział klasyczną uwagę, nie zdając sobie sprawy, że jest ona klasyczna.*

*Następnie Porta uniósł w górę swój żółty cylinder i oświadczył, że odziedziczymy go, gdy umrze. Na to też ryknęliśmy śmiechem.*

*Następnie Heide przez pomyłkę odlał się pod wiatr, a my tarzaliśmy się ze śmiechu i śmialiśmy się nadal, biegnąc z powrotem do naszych pozycji, bez jedzenia, wśród wybuchających pocisków.*

*Słyszałem kiedyś, jak pewien kapelan pytał oficera sztabowego:*

*- Jak oni mogą tak się śmiać?*

*Było to tego dnia, gdy śmialiśmy się z majteczek Luizy Thusty Tylek, którymi Mały miał obwiązaną szyję i gdy połknął kartofel nie tak, jak należy, a my musieliśmy walić go po plecach granatem ręcznym. Śmiech może być całkiem niebezpieczny.*

*- Gdyby nie śmiali się tak, jak to robią, nie byliby w stanie przeżyć - odpowiedział sztabowiec kapelanowi.*

*Porta był mistrzem sporządzania pulpetów szpikowych. Przygotowywał je tylko po dziesięć na raz, w przeciwnym razie robiły się rozmokłe, a własną porcję zjadał w międzyczasie. W dziewięciu zjedliśmy ich ponad 600, całkiem pokaźną liczbę, ale przecież mieliśmy na to całą noc.*

*Boże, jakże padało!*

### **Kraj piechoty morskiej**

Grzmot armat słyhać było w Rzymie, 170 mil dalej. Nie widzieliśmy wielkich okrętów wojennych, hen, na morzu, ale za każdym razem, gdy oddawały salwę ze wszystkich dział, wyglądało to, jak wulkany wybuchające na horyzoncie. Najpierw pojawiała się oślepiająca błyskawica ognia, a po niej gromowy ryk.

Naszych grenadierów wykończyli całkowicie. W ciągu paru godzin nasze słabe pułki pancerne zostały zniszczone. Od Palinuro do Torre del Greco wybrzeże było ziejącym ogniem paleniskiem, całe wsie zostały zmiecione z powierzchni ziemi w ciągu sekund. Pewien nasz bunkier, nieco na północ od Sorrento, jeden z tych największych, ważących kilkaset ton, został wyrzucony wysoko w powietrze wraz z całą załogą baterii artylerii brzegowej. A po tym, z południa i zachodu nadleciały roje myśliwców bombardujących, które nazywaliśmy Jabos, w skrócie od *Jagdbombers*, które zmiotły z dróg i ścieżek wszystko, co żyło. Ponad sto kilometrów szosy numer 19 znikło całkowicie, a miasto Agropoli zostało zrównane z ziemią w ciągu dwudziestu sekund.

Nasze czołgi, diabelnie dobrze zamaskowane, stały w gotowości wśród klifów. Grenadierzy z 16. Pułku byli z nami, leżąc pod osłoną naszych ciężkich bestii. Mieliliśmy być wielką niespodzianką dla ludzi zza morza, gdy nadejdą. Tysiące pękających pocisków mieszało glebę i zmieniało upalny, słoneczny dzień w ciemną noc. Pojawił się jakiś piechur biegnący w górę zbocza, bez karabinu, wymachujący rękami, oszalały ze strachu. Ale ten widok nie zrobił na nas wrażenia. Był jednym z wielu. Tego ranka mnie samego pochwyciły kleszcze paralizującego strachu, który zmienia człowieka w sztywnego manekina. Może dopaść człowieka, gdy maszeruje, zmieniając go w trupa, z tą różnicą, że nadal jest na nogach. Krew odpływa z twarzy, robiąc z niej śmiertelnie bladą maskę z wybaluszonymi oczami. Gdy tylko inni zauważą, co się stało, zaczynają okładać delikwenta pięściami. Jeśli to nie wystarczy, używają nóg i kolb karabinowych, a gdy bity padnie łkając, wciąż będą go tłuc. To brutalna kuracja, ale niemal zawsze skuteczna. Miałem twarz spuchniętą po kuracji, jaką Porta mi sprawił, ale byłem mu wdzięczny. Gdyby nie był tak dokładny, zapewne byłbym w drodze na tyły, w kaftanie bezpieczeństwa.

Spojrzałem na Starego, leżącego między gąsienicami jego czołgu. Uśmiechnął się i zachęcająco kiwnął głową.

Porta, Mały i Heide grali w kości, podłożywszy kawałek zielonego rypsu, który Porta „zorganizował” w burdelu Bladej Idy.

Kompania piechoty, idąca w dół zbocza, wlała prosto pod salwę dział okrętowych. Wyglądało to tak, jakby zmiotła ich gigantyczna dłoń. Nie zostało ani okruszyny ze 175 ludzi i ich górskich kuców. Jabos nadeszły, gdy słońce stało nisko na zachodzie i świeciło nam prosto w oczy. Roje łodzi desantowych rzygały piechurami na plażę: starymi, twardymi jak rzemień weteranami, zawodowymi żołnierzami i młodymi, zaniepokojonymi rekrutami, wcielonymi przed ledwie paru miesiącami. To dobrze, że ich matki nie mogły ich widzieć. Piekło Dantego było wesołym miasteczkiem w porównaniu z tym, przez co mieli przejść.

Nasze baterie brzegowe były zniszczone, ale za każdym kamieniem i w każdym leju po pocisku leżeli grenadierzy, żołnierze jednostek górskich, spadochroniarze, wszyscy z bronią maszynową, czekając. Lekkie i ciężkie karabiny maszynowe, moździerze, panzerfausty, miotacze ognia, armaty automatyczne, karabinki szturmowe, wyrzutnie raket, granaty ręczne, nasadkowe granaty karabinowe, miny, koktajle Mołotowa, bomby benzynowe, pociski fosforowe. Tak wiele rodzajów broni - jakież okropności chowały się w zanadru dla nacierających piechurów!

Łądujący żołnierze, osłaniani przez artylerię okrętową, rzucili liny w górę klifów i wspinali się jak małpy po chwiejnych drabinach, albo spadali na dół ze sterczących szczytów. Całe ich gromady biegały w kółko po białym piasku, płonąć od naszych pocisków fosforowych. Plaża wyglądała jak morze ognia, zmieniającego piasek w płynną lawę.

My byliśmy milczącymi widzami. Rozkaz dla naszego oddziału brzmiał: nie strzelać.

Pierwsza fala lądowania została niszczone. Nie posunęli się plażą nawet o 200 metrów. Ponury widok dla ludzi drugiej fali, którzy szli za nimi. Oni też zostali rozdarci na strzępy. Ale nowe hordy nadal wylewały się na wybrzeże. Trzecia fala. Z bronią niesioną wysoko nad głowami przebiegli przez ryczący przybój, rzucili się plackiem na plażę i otworzyli gwałtowny ogień z broni automatycznej. Ale pomimo tego nie posunęli się nawet o metr do przodu.

Wtedy przybyły Jabos, przynosząc fosfor i ropę naftową; żółtawo-białe płomienie skoczyły wysoko w niebo. Słońce zaszło, zabłyśły gwiazdy, a fale Morza Śródziemnego igrały ze zwęglonymi trupami, kołysząc je łagodnie u skraju wody. Wylądowała czwarta fala piechoty. Ci ludzie też padli martwi.

Tuż po wschodzie słońca armada pancernych barek desantowych z rykiem runęła w stronę lądu. To byli zawodowcy, piechota morska, ludzie, którzy mieli zająć pozycję, gdy tylko poprzednicy otworzą dla nich drogę. Teraz muszą zrobić jedno i drugie: otworzyć drogę

i zająć pozycję. Ich głównym zadaniem było pozbawić nieprzyjaciela możliwości korzystania z szosy numer 18. Ich samochody pancerne zostały na brzegu morza, wszystkie podobne do płonących pochodni. Ale twardzi i bezwzględni żołnierze posuwali się naprzód. Weterani z Oceanu Spokojnego zabijali wszystko, co napotykali na swej drodze, strzelali do każdego trupa. Na karabinkach szturmowych mieli krótkie, błyszczące bagnety, a wielu z nich posiadało japońskie miecze samurajskie, objijające się o ich nogi.

- Amerykańscy *marines* - warknął Heide. - Teraz dostanie się naszym grenadierom. Ci chłopcy od 150 lat nie przegrali żadnej bitwy. Każdy z nich wart jest całej kompanii. Major Mike będzie zadowolony, gdy ujrzy swych starych kumpli z Teksasu.

To było nasze pierwsze spotkanie z piechotą morską. Wyglądało, że stroili się tak, jak tylko im się zachciało. Jeden z nich szarżował w górę plaży z jaskrawoczerwonym, otwartym parasolem przytroczonym do plecaka, za nim potężnie zbudowany sierżant miał nasadzony na hełm słomiany chiński kapelusz. Na czele jednej z kompanii biegł mały oficer w słomkowym kapeluszu a la Maurice Chevalier, z różą zatkniętą za jasnoniebieską wstążkę i kiwającą się wesoło. Nacierali prosto przed siebie zupełnie nie dbając o śmiercionośny ogień broni automatycznej naszych grenadierów.

Jakiś niemiecki piechur próbował uciekać, ale samurajski miecz odciął mu głowę od tułowia. Amerykanin, który go użył, zawołał coś do swych kolegów, pomachał groźnym orężem nad głową i ucałował zakrwawioną klingę.

Rój bombowców Heinkel zanurkował na nich. Zdawało się, że cała plaża unosi się do jasnego, rozświetlonego nieba, a żołnierz z samurajskim mieczem wił się w kałuży krwi na poczerniałym od dymu piachu.

Leutnant Frick podpełzł do nas.

- Wycofywać się pojedynczo. Odchodzimy do Punktu Y.

Piechota morska przebiła się przez nasze pozycje. Nowe barki desantowe wylądowały na wybrzeżu. Amfibie ryczały na plaży, zaś bombowce i myśliwce wściekle walczyły na jasnym niebie.

Grupa grenadierów poddała się, ale daremnie, gdyż wszyscy zostali skoszeni w bezwzględny sposób. Jeden z Amerykanów zatrzymał się, by obrabować ciała z medali i odznak.

Porta wyszczerzył zęby i orzekł:

- Zbiera przynętę na dupcie.

- *Bon!* Teraz znamy zasady. Dobrze, żeśmy to zobaczyli - stwierdził Legionista.

Wycofaliśmy się na miejsce położone o parę kilometrów na południe od Avelino, wiedząc, że niemieckie dowództwo spodziewa się, iż będzie zdolne pobić siły inwazyjne, gdy tylko zajmą wybrzeże. Miało nadzieję na kolejną bitwę wedle schematu Karm, ale nie wzięło pod uwagę olbrzymiej przewagi w ilości uzbrojenia i wyposażenia Aliantów. Tam, gdzie feldmarszałek Alexander i generał Clark mieli nadzieję utworzyć tylko przyczółek, stworzyli prawdziwy front. Zdobywali pozycję po pozycji, ale nas nadal nie wysyłano do boju. Mieliśmy bardzo niewielkie straty, ale wycofano nas na północ od Kapui, zatrzymując w Benewencie dość długo, byśmy zdążyli schłać się w trupa w winiarni. Po tym, jak pomogliśmy pogrzebać kilka tysięcy zabitych w Casercie, nasz pułk okopał się na rozwidleniu dróg, gdzie Via Appia rozstaje się z Via Casilina. Nasze Pantery wkopaliśmy do połowy. Z Caserty mieliśmy beczkę wina, ułożoną za włazem silnikowym naszego czołgu, a pieczona na rożnie świnia wisiała na pręcie przymocowanym do wieżyczki. Rozłożyliśmy się na przednim włazie, grając w kości na kawałku zielonego rypsu Bladej Idy.

- Jak byście się poczuli, gdybyśmy zakatrupili starego papieża i rozwalili organizację watykańską? - Spytał Barcelona, wykonując dobry rzut.

- Robimy to, co każą nam robić - odparł lakonicznie Porta. - Ale po co mielibyśmy ukatrupić Jego Świątobliwość? Przecież nie poprzytkaliśmy się z nim.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził Barcelona, nadymając się jak ten, który wie lepiej. - Gdy byłem ordynansem Jednookiego, na biurku oficera politycznego w Dowództwie Korpusu widziałem i przeczytałem rozkaz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Chłopcom z Prinz Albrecht Strasse bardzo zależy, żeby udało się spowodować otwarte wystąpienie papieża po stronie haczykowatych nosów. Mają w Watykanie agentów-prowokatorów. Gdy tylko świętego szefa uda się nakłonić, by otwarcie zajął stanowisko, całą ferajnę się podkurzy. Wszystkie katabasy pójdą pod miecz. Mogę wam słowo w słowo powtórzyć zakończenie tego ślicznego dokumenciku: - „Z chwilą otrzymania kodowanego hasła «Psia Obroza», Pułk Pancerny Służby Specjalnej, minery oraz grenadierzy pancerni z *Jagdkommando* SS rozpoczną działanie”.

- Ale, do cholery, przecież nie można zastrzelić papieża! - Zawołał Heide, nie zauważając w zaskoczeniu, że właśnie udało mu się wygrać.

- Oni mogą, i to znacznie więcej - powiedział Rudolph Kleber, nasz grajek, który poprzednio był w SS. - Sześć miesięcy temu mój przyjaciel z Sekcji Badań Biblijnych powiedział mi, że palą się do tego, by zacząć coś robić z czarnymi krukami. Na Ojca Świętego zakładają pułapkę za pułapką. Na Prinz Albrecht Strasse uważają go za największego wroga Adolfa.

- Pierdolić to - powiedział Barcelona - ale czy rąbnęlibyście świętego człowieka, gdyby wam rozkazano?

Popatrzyliśmy pytająco po sobie. Barcelona zawsze był głupią świnią, zdolną pytać o najidiotyczniejsze rzeczy.

Mały, nasz dwumetrowy analfabeta z Hamburga i najbardziej cyniczny zabójca wszechczasów, podniósł rękę jak dziecko w szkole.

- Słuchajcie no, wy uczeni, który z nas jest katolikiem? Żaden. Kto tutaj wierzy w Boga? Nikt.

- *Attention, mon ami* - Legionista podniósł dłoń ostrzegawczo.

Ale nie było sposobu, by uciszyć Małego, gdy nabrał rozpędu.

- Mój Pustynny Włóczęgo, wiem, że jesteś mahometaninem, a ja mówię jak Jezus, syn Saula. - Dzieje biblijne w wykonaniu Małego były nieco pogmatwane. - Dajcie mi to, co moje i wsuńcie monetę lub dwie cesarzowi do ręki. Chciałbym wiedzieć, co następuje: czy ten facet, Pius w Rzymie, o którym tyle cholernie gadacie, czy jest tylko arcykapłanem w białym ubraniu, czymś w rodzaju kościelnego generała, czy też naczelnym dowódcą w Niebie, jak mi to powiedziała przedwczoraj pielęgniarka, dając mi jakąś maść na moje oko?

Porta wzruszył ramionami. Heide odwrócił wzrok. Podrzucał kilka kostek do gry. Barcelona z namysłem zapalił papierosa. Ja wymieniałem zapalnik granatu. Stary pogłaskał dłonią zamek długiej armaty.

- Przypuszczam, że jest - mruknął w zamyśleniu.

Mały postukał w zęby paznokciami lewej dłoni.

- Oczywiście żaden z was nie jest całkiem pewien. Znaleźliście się na niepewnym gruncie. Obergefreiter Wolfgang Ewald Creutzfeldt jest twardym chłopem i jeden martwy człowiek więcej czy mniej gówno dla niego znaczy. Zastrzelę każdego: szeregowca czy generała, kurwę czy królową, ale nie świętego człowieka.

- Bóg istnieje - oświadczył Legionista. - Targnij się na mahometanina, a obrazisz Boga. Papież jest wielki, większy niż ktokolwiek. Ale poczekajmy, aż zobaczymy rozkaz, zanim zaczniemy dyskutować co zrobimy. Zawsze jest jakieś wyjście. Możemy nawet odwrócić lufy w drugą stronę, a na wieżyczkach namalować skrzyżowane klucze.

- Zwariowałeś - zadrwił Porta. - Wyślą na nas parę dywizji SS i wkrótce spalą do szczytu.

- Pomysł Legionisty nie jest wcale taki wariacki - wtrącił z namysłem Stary. - W Watykanie mają własną radiostację. Przypuśćmy, że świat usłyszy, jak niemiecki pułk

pancerny broni Watykanu przed niemieckim atakiem. To będą wiadomości na pierwszą stronę gazet, które nie spodobają się w Berlinie.

- Jesteś strasznie naiwny - oświadczył sarka stycznie Heide. - Wiedz, że oni przeszmyglowali *provocateurs* do Watykanu, a ci nie będą kryli się w piwnicach, gdy zabawa się zacznie. Pobiegną prosto do nadajników i powiedzą światu, że Ojciec Święty poprosił o ochronę Niemców, a gdy tylko papież złoży małą wizytę na Prinz Albrecht Strasse, będzie tańczył pod melodię fujarki Henryczka od SS.

- Gadasz zgodnie z poziomem twego intelektu - powiedział Porta. - Ale w tej chwili siedzimy tutaj, czekając na watahę wyjących Jankesów. Potrząśnij dwa razy, bo masz prawo do sześciu rzutów.

Zapomnieliśmy o papieżu, pochłonięci grą w kości. Było ich sześć, złotych kostek ze szmaragdowymi oczkami, które Porta „pożyczył” w jakiejś szulerni we Francji. Tego wieczoru, gdy je pożyczał, miał ze sobą pistolet maszynowy i naciągniętą na twarz damską pończochę. Żandarmeria spędziła cały rok na bieganiu za własnym ogonem w poszukiwaniu sprawcy, który był znacznie bliżej, niż kiedykolwiek podejrzewali.

Horda piechurów przebiegła galopem koło naszej kryjówki.

- Diabelnie im się spieszy - zauważył Porta. - Pomyślałby kto, że natknęli się na wilkołaka!

Następna grupa przemknęła obok, jakby gonił ich sam diabeł. Stary wspiał się na czołg i popatrzył przez lornetę na południe.

- Wygląda, że cały front się rozpada. Od czasów Kijowa nie widziałem, by ktokolwiek biegł w takim tempie.

Zaafelowany Jednooki przybiegł wraz z następującym mu na pięty Leutnantem Frickiem.

- Beier! - Generał w podnieceniu zawołał Starego.

- Tak jest, Jednooki - odpowiedział Stary, gdyż generał Mercedes domagał się, by tak się do niego odzywać podczas akcji.

- Masz trzymać tę pozycję. Porta, daj mi sznapsa. - Porta wyciągnął swą skórzaną manierkę.

Otyły generał napił się i otarł usta wierzchem dłoni.

- Śliwowica - mruknął z uznaniem. Nie zdziwcie się, jeśli nagle ujrzycie przed sobą Japońców. Ich 100. Batalion składa się z naturalizowanych w Stanach Japończyków. Nie dajcie im podejść zbyt blisko. Zabijcie ich. Mają samurajskie miecze i są tak fanatycznymi wojownikami, jak ich rodacy na Pacyfiku. Będą także Marokańczycy. Możecie natknąć się na



Gurkhów. Będą wam obcinać uszy, by się nimi pysznić, gdy wrócą do domu. W tej chwili jesteście jedynym stałym punktem całej Armii Południowej. Wszyscy inni rzucili się do biegu.

- Panie Jednooki - zakrakał nerwowo Mały, jak zwykle podnosząc palec w górę. - Czy te diabły naprawdę poobcinają nasze uszy? - Generał-major Mercedes kiwnął głową. - No to w porządku oświadczył radośnie Mały. - Od tej chwili zalecam facetom po tamtej stronie, by starannie owijali sobie uszy, bo teraz ja też zaczynam kolekcjonować uszka.

- Ja wolę złote zęby - oświadczył Porta. - Płatwy głowowe nie mają wartości handlowej.

- Bardzo szybko możesz mieć ich całą masę kontynuował generał. - Niech Bóg się nad wami zlituje, jeśli zwiejecie.

- Znamy program, Jednooki - zarechotał Porta. - Do ostatniego człowieka i ostatniego naboju.

Jednooki potwierdził skinieniem głowy.

- Będzie to maleńka, niemiła niespodzianka, gdy wpadną na nasze Pantery. Jak dotychczas spotykali tylko nasze stare P III i P IV. Z tych się śmieją. W drodze jest dywizja SS. Przejmą waszą pozycję, jeśli ktokolwiek z was zostanie. Pilnujcie się Jabos. Te niszczą wszystko, co znajdzie się na drodze. Wylądowało już pół miliona żołnierzy alianckich. Porta, proszę o jeszcze jednego sznapsa.

- Jesteś mi już winien cały litr, Jednooki - zauważył sucho Porta, wręczając generałowi manierkę po raz drugi.

Następnie generał znikł za pagórkami, a hrabia Frick tuż za nim.

Porta zwinął zielony rypś Bladej Idy, oczyścił mankietem swój złoty cylinder i wsunął się do czołgu przez właz kierowcy. Ja wskoczyłem na moje miejsce przy peryskopie. Mały ułożył pociski w gotowości i sprawdziliśmy elektrykę. Porta zapalił potężny, wielokonny silnik i zakołysał odrobinę czołgiem naprzód i w tył, a potem wyłączył bieg. Kolejne stado piechurów przebiegło obok, większość bez hełmów i karabinów.

Porta zaśmiał się złośliwie.

- Spiesz im się, prawda? Wygląda, że zmęczyli się rolą bohaterów, a ja zawsze wierzyłem w to, co powiedział Adolf. - Naśladując głos Hitlera, kontynuował: - Niemieckie kobiety, niemieccy mężczyźni, nasi barbarzyńscy wrogowie, rosyjskie gady i amerykańscy gangsterzy, francuscy syfilityczni alfonsi i homoseksualni angielscy arystokraci mówią, że niemieckie armie cofają się. Ale tam, gdzie niemiecki żołnierz raz postawi stopę, tam

zostaje... - Roześmiał się Porta. - Chyba coś nasrało mi w oko, albo właśnie w tej chwili niemiecki żołnierz jest bardzo zajęty dawaniem dyla.

Feldwebel piechoty zatrzymał się dysząc obok mnie.

- Wynoście się stąd! - Zawołał. A potem oparł się wyczerpany o przód czołgu. - Macie może łyk wody? Starli z powierzchni ziemi całą moją drużynę. - Chciwie napił się z manierki Heidego.

- Dajże spokój - odezwał się uspokajająco Stary. - Przywidziało ci się. Opowiedz, co się stało.

- Opowiedzieć? - Odparł Feldwebel z wymuszonym uśmiechem. - Nagle byli za nami, przed nami, powyżej nas, mrowie czołgów i Jabos. W ciągu dziesięciu minut moja jednostka przestała istnieć, zmiażdżona gąsienicami czołgów w dołkach strzeleckich. Oni nie biorą jeńców i strzelają do rannych. Widziałem, jak jedna grupa poddaje się, to byli saperzy z mojej dywizji. Tamci zdmuchnęli ich miotaczami ognia.

- Która to twoja dywizja? - Nie przestawał pytać Stary.

- 16. Pancerna, 46. Pułk Grenadierów Pancernych.

- A gdzie są twoi Grenadierzy?

- W piekle.

- Tramwaj do Berlina zatrzymuje się tuż za rogiem - powiedział Porta ze złośliwym uśmiechem. - Jeśli się pospieszysz, pewnie dostaniesz miejsce siedzące z tyłu. Powiedziano mi, że motorniczym jest Adolf.

- Wkrótce będziesz jęczał i lamentował - powiedział ze złością Feldwebel. - Za trzy dni nie będzie we Włoszech ani jednego żywego, niemieckiego żołnierza.

- Och, bzdury - rzekł Stary.

- Lepiej odpalcie wasze stare bryki i spierdalajcie - zaproponował Feldwebel.

- Nie możemy tego zrobić - odparł Porta ze smutnym uśmiechem.

- Nie macie benzyny?

- Mnóstwo, ale Adolf powiedział, że nie może my tego zrobić. A my jesteśmy dobrymi chłopcykami, którzy zawsze robią to, co im powiedziano.

- Dupki - brzmiała odpowiedź. - Powinniście zobaczyć naszych marynarzy słodkich wód, którzy podobno mieli trzymać nadbrzeżne fortu. Jabos upiekły ich ropą naftową. Nasi grenadierzy powyrzucali wszystko, co strzela i podnieśli łapy do góry tak wysoko jak zdołali, ale Jankesi nie mają czasu, by brać jeńców. Po prostu kładą wszystkich pokotem.

- Ile razy zesrałeś się w portki od chwili, gdy zobaczyłeś swego pierwszego amatora coca-coli? - Spytał sarkastycznie Porta.

Leutnant Frick podszedł do nas z krzywym uśmiechem na ustach. Słyszał uwagę Porty, skierowaną do zatrwożonego Feldwebla.

- Ile czołgów widzieliście, Feldweblu, i jakiego były typu? - Wyciągnął mapę i rozłożył ją na przednim włązie Pantery. - Pokażcie mi, gdzie je ostatni raz widzieliście.

Feldwebel schylił się nad mapą, zerkając nerwowo na południe. Było oczywiste, że chciał dać dęba i przeklinał sam siebie za to, że zatrzymał się i odezwał do nas. Teraz został złapany.

- Byliśmy na pozycji na północ od Bellony. Oni już przekroczyli Volturno nim w ogóle zorientowaliśmy się, co się dzieje.

- Przecież nie mogli przejść przez rzekę bez mostu - nie zgodził się Leutnant Frick.

- Herr Leutnant, nie sądzę, że mi pan uwierzy, ale oni przez nią przejechali.

Frick z namysłem zapalił papierosa.

- Widzieliście czołg przekraczający rzekę?

- Tak, oraz ciężarówki, Herr Leutnant.

- Zwykle, wojskowe ciężarówki?

- Tak, Herr Leutnant, wielkie ciężarówki, a rzeka jest głęboka. Wiem o tym.

- Partyzanci - powiedział Frick, myśląc na głos. Podwodne mosty. Niezłe gówno. - Spojrzał badawczo na Feldwebla. - A gdy znaleźli się po drugiej stronie, daliście dyla.

- To było tak szybko, Herr Leutnant. - Zmiażdżyli co do jednego wszystkich ludzi w dołkach strzeleckich. I nie biorą jeńców.

- Ile tam było czołgów?

- Kilkaset, Herr Leutnant.

Porta parsknął śmiechem.

- Mylisz czołgi z transporterami piechoty, idioto.

- Tylko poczekaj aż przyjdą i zdmuchną ci tę żółtą dachówkę z twojej kopuły. Byłem w Stalingradzie, ale wojny takiej jak ta, jeszcze nie widziałem.

Frick z uśmiechem wyciągnął papierosa.

- Weź głęboki oddech i pomyśl. Gdzie były te wszystkie setki czołgów?

- W Amgnano.

Frick przyjrzał się mapie.

- Czy wszystkie były we wsi? - Zapytał pogardliwie Porta. - To musi być cholernie wielka wieś. Ile czołgów widzisz tutaj? Tysiąc? Czy jesteś całkiem pewien, że nie przybyłeś tu z Rzymu i dajesz drapaką w złą stronę?

- Zamknij gębę - warknął wściekle Feldwebel. Było ich tyle, że nie zdołaliśmy ich policzyć.

To zjawisko było znane. Piechota zawsze widziała wszystko podwójnie, gdy nacierały na nią czołgi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Feldwebel widział dwadzieścia pięć czołgów i ani jednego więcej. Z wybałuszonymi oczami wyjaśniał Leutnantowi Frickowi, jak ta liczba czołgów pojawiała się i znikwała pomiędzy domami wsi, strzelając do wszystkiego co żyje. Oczywiście było, że ten człowiek przeszedł piekło.

- No chodź, Beier. Musimy ruszyć naprzód i zobaczyć, co się dzieje. A ty, Feldweblu, pokażesz mi drogę - rozkazał Leutnant Frick.

- Tak, ale Herr Leutnant, amerykańscy gangsterzy są teraz we wsi.

- Pójdziemy i zobaczymy - powiedział Frick.

- Herr Leutnant, są także Japończycy z samurajskimi mieczami.

Leutnant Frick roześmiał się cicho i strzepnął trochę kurzu z krzyża, zawieszzonego na szyi. Był najelegantszym oficerem w dywizji. Jego czarny mundur czołgisty zawsze był niepokalanie czysty, wysokie buty świeciły tak, że można było się w nich przejrzeć. Lewy rękaw miał pusty. Stracił rękę w Kijowie, zmiażdżoną przez właz wieżyczki, gdy jego czołg został trafiony przez czterocalowy pocisk. Zwrócił się do nas wszystkich.

- Dwaj ochotnicy, którzy pójdą z nami.

Wystąpił Legionista i ja. Musieliśmy tak zrobić, bo na ochotnika zgłaszaliśmy się na zmianę i teraz była nasza kolej. Zarzuciłem na ramię lekki karabin maszynowy i zeszedliśmy do rowu. Leutnant Frick szedł pierwszy.

## Rozdział 2

*Byliśmy w Mediolanie, po nowe wyposażenie. Włoczyliśmy się po mieście, gdy inni wykonywali robotę. Popisywaliśmy się naszą krzepą u Biffiego i w Gran Italia, wywołując awantury z oficerami różnych narodowości. Nie mogli stawić nam czoła, gdyż cuchnęliśmy śmiercią i odzywaliśmy się wulgarnie i głośno. Ale zaprzyjaźniliśmy się z kelnerem Radim. To on układał nam menu. Było to u Biffiego naprzeciw La Scali. Pod arkadami i na tarasach kawiarni piliśmy likier fresa, który miał cudowny smak truskawek.*

*Heide i Barcelona dostali ataku megalomanii. Co wieczór chodzili do La Scali. Uznali, że to jest właściwy sposób postępowania, bo chodzi tam każdy, kto jest kimś w Mediolanie.*

*Ja się zakochałem. Robi się to, gdy pije się fresę przy małym stoliku pod arkadami. Miała dwadzieścia lat, ja nie byłem o wiele starszy. Jej ojciec wykopał ją z domu, gdy znalazł nas dwoje w łóżku; ale gdy ujrzał mój mundur, zrobił się miły. W owym czasie tak było z większością ludzi w Europie, w każdym razie gdy byliśmy w zasięgu wzroku i słuchu byli tak mili, jak tylko mogli.*

*Postanowiłem, że zdezerteruję, ale na nieszczęście znów się opilem fresą o cudownym zapachu truskawek i zwierzyłem się Porcie. Od tej chwili już nie pozwalali mi wychodzić samotnie. Dezercja była idiotyzmem, który mógł mieć niemiłe reperkusje dla przyjaciół dezercera.*

*Rozegraliśmy mecz piłki nożnej z drużyną włoskiej piechoty. Wynik meczu był nierozstrzygnięty, bo tak widzowie, jak obie drużyny wszczęli bójkę.*

*Gdy wyrzucano nas z Biffiego, rznąliśmy dziewczyny za filarami arkad, a po tym upijaliśmy się w trupa na dachu z artylerzystami z przeciwlotniczej.*

*Ludzie mówili, że w Mediolanie panuje wielki niepokój, ale my nigdy nie zauważyliśmy niczego takiego. Być może dlatego, że pijaliśmy chianti i fresę z partyzantami.*

*Gdy Biffi się zamykał, często chodziliśmy do Radiego. Mieszkał w suterenie, gdzie na ścianach były plamy wilgoci, a sprężyny wystawały z zapleśniałych siedzisk krzesel.*

*Radi zdejmował obuwie i polewał sobie stopy wodą mineralną. Twierdził, że to sprawia mu ulgę.*

**Czołgi atakują**

Słyszeliśmy gwałtowny ogień na południowym zachodzie - złośliwe, ostre trzaski wystrzałów armat czołgowych, zmieszane z nieustannym szczekaniem karabinów maszynowych. Błyski i płomienie tryskały w górę wśród drzew.

Drogą nadjechał Schwimmwagen<sup>1</sup> i zahamował tak gwałtownie, że wpadł w poślizg. Jeszcze zanim się zatrzymał, wyskoczył z niej Oberst z czerwonymi patkami Sztabu Głównego, ochlapany błotem od stóp do głów. Szarotka na jego bierze wskazywała, że należy do Brygady Górskiej.

- Co, u diabła, tu robicie? - Krzyknął podniecony. - Jesteście z Szesnastej?

- Oddział przedni rozpoznania, Herr Oberst odpowiedział Leutnant Frick. - 2. Kompania, 5. Szwadron, Pułk Pancerny Służby Specjalnej.

- Pantery! - Zawołał zachwycony Oberst. - Dokładnie we właściwym czasie. Gdzie są wasze bryki?

- W lesie, Herr Oberst.

- Cudownie, Leutnant. Przeprowadźcie je i dajcie łupnia gangsterom. Panowie, ruszcie te stare kalosze. Dywizja miała zostać wycofana, ale zapomnijcie o tym.

Leutnant Frick strzelił obcasami.

- Bardzo mi przykro, Herr Oberst, ale to nie jest takie łatwe. Mam najpierw sam zbadać, co się dzieje. Następnie mam zameldować o moich obserwacjach dowódcy kompanii. Czołg, Herr Oberst, nie może atakować na ślepo. Proszę o wybaczenie, Herr Oberst, nie próbuję uczyć pana pańskiego zawodu.

- Mam nadzieję, że nie, drogi chłopcze, bo wtedy ja miałbym coś do nauczenia ciebie.

- Oberst mówił gromkim głosem. Głosem kogoś przyzwyczajonego do rozkazywania.

Leutnant Frick przyglądał się swej mapie.

- Tu powinien być most, Herr Oberst, ale czy potrafi udźwignąć ciężar naszych 50-tonowych Panter?

- Oczywiście - oświadczył Oberst z najwyższą pewnością siebie. - Nasze działa samobieżne przejeżdżały nim wielokrotnie.

- Pozwoli mi pan zauważyć, Herr Oberst, że jest podstawowa różnica między działem samobieżnym i czołgiem typu Pantera. Nasz czołg w pełni załadowany waży dwukrotnie więcej, niż dział samobieżne, a jego gąsienice są trzy razy szersze.

Głos Obersta przybrał spokojny, niebezpieczny ton.

---

<sup>1</sup> Schwimmwagen - mała, czteroosobowa amfibia niemiecka z napędem na cztery koła, wykorzystywana powszechnie w Wehrmachcie i SS. Dużo popularniejszym samochodem sztabowym był Kübelwagen, zwany w żargonie wojskowym „kubłem”, napędzany tylko na jedną oś. (Przypis redakcji)

- Pozwól mi po prostu powiedzieć, Leutnancie, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim, a jeśli nie przyrowadzisz swych czołgów natychmiast i nie oczyścisz wsi z Amerykanów, huragan spadnie ci na głowę.

- Przykro mi, Herr Oberst, ale mam rozkazy od mego dowódcy pułku: mam sprawdzić, co jest we wsi i wobec tego nie mogę wykonać pańskich rozkazów.

- Czyś ty zwariował? - Ryknął Oberst. - Twoja książeczka wojskowa!

- Nie mogę panu pokazać mojej książeczki wojskowej, Herr Oberst. Nie mam żadnej gwarancji, że jest pan tym, za kogo pan się podaje. Ja jestem Leutnant Frick, dowódca drużyny w 5. Szwadronie Pułku Pancernego Służby Specjalnej, a nasz pułk podlega bezpośrednio Dowódcy Korpusu Południe.

- A teraz podlegasz mnie. Jestem Szefem Sztabu Dywizji na tym obszarze. Rozkazuję ci natychmiast przyrowadzić twój szwadron. Odmowa załatuje tchórzostwem.

- Herr Oberst, nie mogę wykonać pańskiego rozkazu.

- Aresztować tego człowieka - ryknął wściekle Oberst. Żaden z nas się nie ruszył. Oberst wskazał palcem Legionistę.

- Nie słyszałeś? Zatrzymaj tego człowieka!

Legionista powolnym ruchem trzasnął obcasami.

- *Je nai pas compris, mon commandant.*

Brutalną twarz Obersta zalała krwista czerwień i opadła mu szczeka.

- Co to jest, u diabła. - Zwrócił się do mnie. Aresztuj tego oficera. - Jego zdumienie jeszcze się zwiększyło, gdy odpowiedziałem mu po duńsku, gapiąc się na niego z wyrazem kompletnego niezrozumienia na twarzy. Niemal wychodził z siebie z wściekłości i kopnął kamień, a gdy zwrócił się do Leutnanta Fricka, jego ryk zmienił się w ostry pisk, a słowa mieszały się między sobą. - Ty, Leutnant, rozkaż swym strachom na wróble, by cię aresztowali! Do wszystkich diabłów, zrób coś! - Klął, przeklinał i straszył.

I nagle Leutnant Frick miał dość. Uniósł trzymany pod pachą pistolet maszynowy i wydał rozkaz:

- Grupa rozpoznawcza, rzędem, za mną marsz!

Oberst wyszarpnął pistolet z kabury i zagrzmiął:

- Stać, albo strzelam!

Był to ryk, który mógł zatrzymać uciekającą dywizję. I zatrzymał nas na moment. A potem ruszyliśmy dalej nie oglądając się. Nastąpiła seria wystrzałów pistoletowych.

- *Il est fou!* - warknął Legionista, gdy pociski zagwizdały nam koło uszu.

Z tyłu, za nami, Oberst dziko ryczał. Następną serią wystrzałów pogoniła nas.

Obejrzałem się przez ramię. Dostał amoku. Kopał nogą amfibię, po tym wskoczył do niej, próbował ją uruchomić, ale zastrajkowała. Wskoczył z niej z pistoletem w ręce.

- Uwaga! - Wrzasnąłem i rzuciłem się do rowu.

W chwilę potem Leutnant Frick i Legionista leżeli obok mnie.

Tylko obcy Feldwebel nie padł plackiem i cała seria trafiła go w plecy. Zwalił się z nóg, krew rzuciła mu się ustami, a hełm potoczył przez drogę.

- *Jamais vu si con!* - Bluzgnął Legionista. - Trzaśnij go, Sven!

Rozstawiłem nóżki kaemu.

- Nie - mruknął Frick. - To morderstwo.

- Zamknij oczy, Herr Leutnant, - zaproponował Legionista - albo pociesz naszego umierające go kolegę.

Przycisnąłem kolbę do ramienia, nastawiłem celownik, załadowałem, obróciłem kaem. Oberst wsadził nowy magazynek do swego pistoletu maszynowego. Grad pocisków posypał się wokół nas. Jego wielką postać widziałem precyzyjnie.

- Ładny, doskonały cel - uśmiechnąłem się do Legionisty. Ale wycelowałem za blisko i pociski uderzyły w drogę o parę metrów przed Oberstem, który zawył i skoczył w ukrycie za swój wóz, rycząc:

- Bunt!

Jękliwy świst prawie rozdarł mi bębenki uszu, gdy przemknął po nas cień. Stoczyliśmy się na dno rowu, gdy Jabo nas ostrzelał. Walił z armatki, a dwie rakiety trafiły dokładnie w amfibię pułkownika, odrzucając ją między drzewa, gdzie zajęła się ogniem, nie zostawiając na drodze nic, poza zwęgloną mumią człowieka, który przed tak krótką chwilą był Oberstem.

Leutnant Frick wstał, wołając:

- Za mną!

Odlamałem połówkę znaczka rozpoznawczego martwego Feldwebela i zabrałem ją ze sobą. Popelzliśmy aż do samej wsi. Na jej skraju nasi piechurzy i artylerzyści nadal bezładnie biegali, a za nimi, jak szaleni, gonili pijani zwycięstwem Amerykanie. Jakiś Hauptmann wpadł nam prosto w ramiona, szlochając:

- Skończone. Pułk został zmieciony. Zdobyli wszystkie nasze działa przeciwpancerne. W ostatnim momencie udało mi się wyskoczyć przez okno pokoju, w którym siedziałem z moim podoficerem. Koło uszu latały nam granaty ręczne. Jestem jedynym, który wyszedł żywy. Cały sztab kompanii został zniszczony, bez reszty.

- Nie wystawiliście posterunków? - Zapytał z rozbawieniem w głosie Leutnant Frick.

Hauptmann zerwał czapkę z głowy.



- Czuliśmy się tacy bezpieczni. Wczoraj wieczorem byli o 150 kilometrów od nas. Kilka ich pułków zostało odrzuconych. Przyprawiono nam paru jeńców z amerykańskiego 142. Pułku Piechoty i nie byli oni wiele warci. Byliśmy gotowi obchodzić zwycięstwo i wystawiłem tylko zwykłe warty. Nasze działa przeciwpancerne stały na pozycji za domami, z osłonami nałożonymi na wyloty luf i pociskami zapakowanymi na ciągniki.

- Ale co z wartownikami? - Zapytał Leutnant Frick.

- Amerykance podusili ich stalowymi pętlami.

Zmęczony Hauptmann usiadł wśród nas. Był stary, białowłosy, i należał do gatunku tych, którzy wierzyli, że żołnierz niemiecki jest niezwyciężony, dokładnie do chwili, gdy amerykańskie Shermany przejechały się po jego pułku. Wykształcony chłop, doktor czegoś tam czy innego na uniwersytecie we Fryburgu, taki rodzaj człowieka, który uważa każdego poniżej trzydziestu lat za dziecko. Ale dwudziestoletni amerykańscy czołgiści nauczyli go, że jest inaczej. Widział, jak cztery tysiące żołnierzy ginie w płomieniach w ciągu dwudziestu minut, a teraz siedział w rowie, przesłuchiwany przez innego dwudziestolatka, młodego szczeniaka w czarnym mundurze czołgisty z orderem zawieszonym na szyi, który mówił mu, co powinien był zrobić.

- Nigdy nie można czuć się bezpiecznym uśmiechnął się Leutnant Frick. - Gdy idę do łóżka, trzymam w ramionach pistolet maszynowy. Pańskie przeżycie było w Rosji pospolitym zjawiskiem. Wojna polega na podstępach i brudnych zagraniach.

Hauptmann spojrział na swój Krzyż Żelazny z Pierwszej Wojny Światowej.

- W latach 1914-1918 było inaczej. Służyłem w ułanach, przydzielony do hrabiego Holzendorfa, Naczelnego Dowódcy Armii Austro-Węgierskiej. Zostałem ponownie zmobilizowany ledwie trzy miesiące temu. To jest zła wojna. - Leutnant Frick potwierdził skinieniem głowy. - I jestem przekonany, że ją przegramy - wyszeptał Hauptmann.

Leutnant Frick nie odpowiedział. Przez chwilę przyglądał się makabrycznemu przedstawieniu, rozgrywającemu się przed nami. W końcu opuścił lornetkę na pierś.

- Co tam się stało, Herr Hauptmann? Czy może pan to opowiedzieć? Szybko, bo spieszy się nam.

Legionista zapalił papierosa i wetknął Frickowi w usta.

Hauptmannowi opadła szczęka.

- Oni po prostu nagle tu byli - streścił sytuację.

Leutnant Frick roześmiał się.

- Z tego zdaję sobie sprawę.

Hauptmann spojrział karcąco na śmiejącego się Leutnanta. Złapał patyk i zaczął rysować na piasku.

- Wyobrażam sobie, że musieli przyjść tędy.

Leutnant Frick kiwnął głową.

- Oczywiście. Ja też włamałbym się tędy. A potem przepisowo znokautowali pańskie armaty.

- Tak przypuszczam. - Hauptmann ukrył twarz w dłoniach, które miał w rękawiczkach.

- Nie mogę zrozumieć, jak zdołałem uciec. Mój zastępca leżał na stole z rozszarpanymi plecami. Był bardzo obiecujący. Właśnie mówiliśmy, że powinien przyjechać do Fryburga. Wiedział wszystko na temat Kanta.

Leutnant Frick zaśmiał się ironicznie.

- Lepiej by było, gdyby był specjalistą od dział automatycznych i zabezpieczania skrzydeł. W tej chwili potrzebujemy żołnierzy, nie filozofów.

Hauptmann podniósł głowę.

- Nadejdą inne czasy, młody człowieku.

- Z całą pewnością. Ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pan ich nie ujrzy, tak jak pański filozof-zastępca.

- Czy zamierza pan złożyć na mnie meldunek o zaniedbaniu obowiązków? - Spytał zaniepokojony Hauptmann.

- Ani mi się śni - odparł niedbale Leutnant Frick. - Wedle pana oceny, ile czołgów jest we wsi?

- Przynajmniej batalion.

- Hm - parsknął Leutnant Frick. - Brzmi to niewiarygodnie, ale musi pan wiedzieć, co pan widział. Ale czy zdaje pan sobie sprawę, ile terenu zajmuje batalion czołgów? 80 do 100 czołgów, plus wszystkie pojazdy pomocnicze. To robi tyle hałasu, że francuskiemu policjantowi włosy stanęłyby dęba na głowie.

- To była absolutna rzeź - odrzekł broniąc się Hauptmann. Widziałem, jak mego ordynansa zmiażdżył Sherman. Był studentem prawa z dobrej, wiedeńskiej rodziny. Mieliśmy w naszym batalionie mnóstwo obiecujących młodych ludzi, w sensie akademickim, mam na myśli. Teraz oni wszyscy są zabici. Mieliśmy coś w rodzaju koła dyskusyjnego. Nasz dowódca pułku był profesorem uniwersytetu. Szanowaliśmy ducha akademickiego.

- Nie potrafię nic o tym powiedzieć - zauważył sucho Leutnant Frick. - Ale zdaje mi się, że lepiej by było, gdybyście mieli ducha wojskowego. Mając go, potrafilibyście uratować

połowę swego batalionu. - Strzepnął nieistniejący pyłek ze swego krzyża rycerskiego. - Podejście filozoficzne jest nieprzydatne do dowodzenia batalionem.

- Pan jest żołnierzem, Herr Leutnant, odznaczonym za dzielność... I bardzo młodym.

- Tak, jestem żołnierzem i byłem nim od chwili, gdy wyciągnęli mnie z ławy szkolnej. Być może w pańskich oczach jestem tylko dzieckiem, ale teraz to dziecko musi wyciągać kasztany z ognia za pana i pańskich intelektualnych arystokratów. Tam, za mną, leży człowiek, który był żołnierzem przez trzydzieści lat. Dokładnie wyuczył się swego rzemiosła z Francuzami, a ten chorąży z kaemem jest jednym z tych, którymi pan pogardza. W pańskich oczach jest on po prostu produktem rynsztoka. Ani on, ani tamten mały podoficer, nie wiedzą nic o Kancie i Schopenhauerze, ale znają okrutne prawa Marsa.

Hauptmann patrzył nieruchomym wzrokiem na młodego oficera. Zmęczony uśmiech pojawił mu się na twarzy.

- Zabiłby pan własną matkę, gdyby przełożony panu to rozkazał.

- Z pewnością. Również przejechałbym ją, gdyby stanęła na drodze czołgu.

- Nieszczęsny świat - szepnął akademik w mundurze. Wstał z miejsca, cisnął pistolet i czapkę do rowu i samotnie odszedł drogą.

Spoglądając za nim Legionista odpalił nowego papierosa od starego.

- Całe pokolenie zniknie wraz z tym naiwnym idiotą. *Cest fini.*

Leutnant Frick poprawił na wstążce swój order, który otrzymał za zniszczenie całego batalionu rosyjskich czołgów.

- On wierzy w swe idee. Niech zatrzyma swe złudzenia do chwili, gdy wyciągnie kopyta. Gdy wrócimy, napiszemy o nim śliczny meldunek, o tym, jak obsługiwał armatę przeciwpancerną jako ostatni, który przeżył z batalionu.

Odeszliśmy chyłkiem zagłębioną drogą i łożyskiem wyschniętego potoku i dołączyliśmy do szwadronu.

Major Michael Braun, znany jako Mike, nasz nowy dowódca szwadronu, który przed wojną służył w amerykańskiej piechocie morskiej, w milczeniu wysłuchał naszego meldunku. Odwrócił się z uśmiechem do radiooperatora, „Barcelony” Bloma, i gburowatym głosem piwosza rozkazał.

- Wywołaj pułk, poproś o kodowe hasło do rozpoczęcia ogólnej rzezi. - Trysnął strumieniem soku tytoniowego na zapracowaną jaszczurkę i trafił ją w ogon. Barcelona zawołał do mikrofonu:

- Nosorożec wzywa Maciorę, Nosorożec wzywa Maciorę. Słucham.

- Tu Maciora. Nadawaj, Nosorożec. Słucham.

Wsadziliśmy głowy przez właz i słuchaliśmy rozmowy, zupełnie niezrozumiałej dla niewtajemniczonych.

- Tu Nosorożec do Maciory, Nosorożec do Maciory. Punkt 12 AZ woda 4/1. Jeden miot szczeniaków utopiony. Cztery matki. Niejasne, czy więcej. Dzikie świnię rozproszone. Nie ma włóczy. Pożądane hasło kodowe. Mike. Koniec, Słucham.

- Tu Maciora do Nosorożca. Zróbcie to sami. Odpowiedzialny Mike. Nie ma dodatkowych dzikich świń. Powodzenia. Koniec.

- Co za zmiana - uśmiechnął się Major. - To ma być na moją odpowiedzialność. Taskam pistolet ze sto lat i nigdy nie słyszałem, by nie szef szwadronu był odpowiedzialny. - Włazł na nasz czołg o numerze taktycznym 523. - Dowódcy czołgów do mnie! - Wsadził sobie do ust jedno ze swych olbrzymich cygar.

Dowódcy przybyli biegiem, Wszyscy nosili jedwabne szaliki, świecące wszystkimi kolorami tęczy. Załoga każdego czołgu wybierała własny kolor.

- Zaparkujcie dupy na murawie i słuchajcie. Nie mam czasu by cokolwiek powtarzać i szczył, który nie skuma co powiem, będzie miał ze mną do czynienia. Dostaliśmy nasze hasło, a to oznacza: wyczyścić sracz! Moi starzy przyjaciele, Jankesi, właśnie upiekli parę regimentów naszych kulisów i zajęci są robieniem im bagnetami znaków na dupach. Myślą, że są całkiem gotowi ogłosić *pobiedę* i zaczęli pisać pocztówki do domu z wiadomością o swym zwycięstwie. Szybkie zwycięstwa wywołują megalomanię i teraz my powiesimy ich na kołku, a może na dwóch. Zeskoczył z czołgu. - Wyciągać mapy. Musimy spaść na nich jak burza z piorunami. Tu jest luka. - Pokazał palcem na mapie. - Przejdziemy tędy. Mamy dwie mile na drugą stronę lasu, diabelnie wielka, otwarta przestrzeń, ale musimy ją przejechać. Za wszelką cenę. I wszystko zależy od nas. Nie mamy wsparcia. Działamy na własną rękę. Żadnego wsparcia piechoty, żadnego wsparcia artylerii. Chłopcy z Teksasu wszystkich wystrzelali. - Owinął go niebieski dym. - Pomyślałem, że zrobimy psikus w taki sposób. - Przesunął swe cygaro z jednego kąta ust na drugi. - Cztery Pantery walną prosto w środek wsi. Przyłapiemy teksańskich łobuzów przy kawie i ciasteczkach. - Wyciągnął cygaro z ust i podniósł je ostrzegawczo. - Jankesi nie mogą mieć pojęcia o naszym istnieniu, póki nie znajdziemy się w samym ich środku, podając lekarstwo na wymioty, wobec tego - Mike uniósł jedną wielką, krzaczastą brew - żadnej pukaniny. Wszystkie bezpieczniki zamknięte. A Jankesom też nie można pozwolić, by zaczęli strzelać.

- No to lepiej wyślijmy im pocztówkę na ten temat - odezwał się beczelnie Porta z jednego z tylnych rzędów.

- Zamknij się i słuchaj. Dwa pierwsze czołgi jadą prosto przez lukę i zamykają na drugim końcu drzwi, że tak powiem. Możecie zauważyć na mapie, że nie ma wyjścia zapasowego, wobec tego w tył zwrot, lufy skierowane w drugą stronę, Dowódca drużyny, gdy zatrzaśnie drzwi, strzela czerwoną raketą. Wtedy cztery inne czołgi też walą naprzód. Z ośmioma Panterami powinniśmy wylać ten nocnik do reszty. Leutnant Herbert - zwrócił się do nowego oficera, który dołączył do nas ledwie przed trzema dniami i przesunął po mapie gruby, brudny palec zostanie pan tutaj, na skraju lasu z pozostałymi ośmioma Panterami i pojedzie pan za nami, tylko, proszę zapamiętać, tylko wówczas, gdy zobaczy pan trzy żółte rakiety. - Chwycił młodego Leutnanta za mundur. - I niech Bóg się nad panem zlituje, jeśli ruszy się pan stąd, nim ujrzy pan potrójną gwiazdę, zdobiącą Boże niebiosa. Zrób pan to, a ja wciągnę panu pańską dziurę w dupie na głowę i będziesz pan wyglądał, jak zmęczony mnich o północy.

Major Mike wypuścił niedopałek cygara, wyciągnął z kieszeni zardzewiałą puszkę, wciągnął niuch głęboko nosem, chrząknął, splunął, otworzył pudełko i wyjął dwustopowy zwitek soczystego tytoniu do żucia. Rozchylając wargi odgryzł kawałek, a następnie wręczył zwitek Staremu.

Tylko oni dwaj spośród nas żuli tytoń. Major zawsze umieszczał swój kęs między dolną wargą i zębami, podczas gdy Stary wolał go mieć za prawym policzkiem, gdzie wyglądał jak gdyby miał olbrzymi czyrak na dziąśle.

- Dobry towar - skomentował pochwalnie Stary.

Leutnant Herbert potrząsnął głową. Oto Major, oficer pruski, dzielący się tytoniem do żucia z Feldweblem, zwykłym stolarzem ze slumsów Berlina. Co dalej, na niebiosa! Gdyby opowiedział o tym ojcu, ten by mu nie uwierzył.

- Jak powiedziałem, włączmy w tę lukę tak szybko, jak zdołamy i gdy tylko dwa prowadzące czołgi wyślą swe czerwone światła, my likwidujemy skurwieli w parę chwil. Zmieść wszystko, co się rusza. - Wsadził sobie palec w ucho i potrząsnął nim. - Oberfeldwebel Brandt, ty zajmiesz pozycję z twoim czołgiem radiowym w tym wyschniętym strumieniu. Przylep się do czwartej Pantery. Zamaskuj się natychmiast i kutasa w górę. Będziesz słuchał, aż dostaniesz zapalenia bębneków. Odłóż twój pornograficzny magazyn, abyś nie zapomniał co chwila włączać odbioru. Jeśli będę musiał czekać choć sekundę na połączenie, będziesz miał ze mną do czynienia a to będzie znaczyło, że masz za sobą najdłuższą część twego życia. Czerwona rakietka to początek balu. Potrójna żółta gwiazda, ogólny atak. Osiem czołgów w odwodzie. Nie potrzebujemy sygnału na wycofanie się. Albo my zlikwidujemy kowbojów, albo oni nas zmiotą. Są pytania?

Porta wystąpił, a Major zmarszczył brwi.

- Josephie Porto, mówię ci tu i teraz, że jeśli chcesz zrobić ze mnie głupca...

Porta udał zakłopotanie, wycierając dłonie o siedzenie swych spodni.

- Herr Major, czy słabe serce wyłącza człowieka z tego pikniku?

- Jestem cholernie mocno przekonany, że nie. Ani słabe serce, ani chory chuj. Coś jeszcze?

Mały w tylnym szeregu podniósł palec.

- Czego jeszcze? I tak nic z tego nie rozumiesz.

- Herr Major, zgodnie z Ustawą o Służbie Wojskowej z 1925 roku, autorstwa generała Blomberga, żołnierz, który służył ponad siedem lat, nie musi brać udziału w akcji. Mam za sobą dziewięć lat służby. Czy mogę dostać pozwolenie na usunięcie się tylnym, wyjściem? - Następnie Mały zrobił gest, jakby chciał pokazać swą książeczkę żołdu, ale major uciszył go gestem dłoni.

- Nawet jeśli służyłeś sto lat, zaparkujesz twą szeroką dupę na miejscu artylerzysty w czołgu numer 523 i możesz sobie podetrzeć też dupę Ustawą o Służbie Wojskowej generała Blomberga. Jeśli ktoś jeszcze ma jakieś pytanie, niech się z nim wstrzyma do Bożego Narodzenia i powiesi je na choince.

- Amen - mruknął Porta, wznosząc oczy do nieba.

- Wsiadać. Odpalić silniki.

Mały machnął nogą ponad rezerwowym czołgiem i zsunął się do środka włazem prawej wieżyczki i zawołał:

- Porta, znów wyruszamy na wojnę! I pomyśleć, że zgłosiliśmy się na ochotnika do tego gówna. Musiałem mieć tego dnia zapalenie *spekulanium*. - Pochylił się nad schowkiem na pociski w wieżyczce, wcisnął swą czarną kurtkę pancerniaka za akumulator, ściągnął przez głowę koszulę i wepchnął ją w to samo miejsce. Następnie zawiązał sobie na szyi różową koszulkę, otrzymaną od Luisy z Szerokim Tyłkiem, gdy ostatnim razem byliśmy klientami burdelu Bladej Idy. Złapał kilka wszy na gęstych włosach swej piersi i rozsmarował je na dalmierzu. - A ten rodzaj wojny, Porta, jest niebezpieczny. Możesz mieć odstrzelonego kutasa i jaja. Możesz, Porta, zostać w najokropniejszy sposób okaleczony, ale wojna może także prowadzić do niewyobrażalnego bogactwa. Porta, masz kleszcze dentystyczne?

- Załóż się - uśmiechnął się Porta i wyciągnął upiorny instrument zza cholewy buta. Następnie pochylił się nad tablicą wskaźników, sprawdził poziom paliwa i oleju, poruszył drążkiem biegów, sprawdził hamulce i w końcu obrócił w kółko ciężki czołg.

Major Mike wsiadł do czołgu dowodzenia i machnąwszy ręką nad głową na znak, by odpalić silniki, zawołał do Starego:

- Beier, trzymaj się mego ogona. Legionista i Barcelona, wy tuż za nim. Reszta w szyku klinowym. Czo-o-o-łgi marsz! - Kilka razy opuścił i podniósł pięść, sygnał na „pełnym gazem naprzód!”.

Ryknęły tysiące koni mechanicznych. Ziemia zakołysała się. Cały las zatrzęsł się od straszliwej wibracji, gdy czołg za czołgiem parł przed siebie. Każde stojące nam na drodze drzewo padało z trzaskiem. Major machał zachęcająco z wieżyczki swego numeru 005. Znów odgryzł kawałek ze swego zwoju tytoniu. Legionista odmachął mu ze swej wieżyczki, zapalił papierosa i zawiązał sobie na szyi niebiesko-czerwono-biały szalik. Barcelona przełożył swój talizman: wysuszoną pomarańczę z Walencji, z prawej do lewej kieszeni. Porta pochylił się i splunął na akcelerator, a palcem nakreślił krzyż w kurzu na panelu instrumentów. Ja zawiązałem na dalmierzu podwiązkę. Mały starannie umieścił kredkę do warg Luisy Szeroki Tyłek nad lampką magazynu zapalników. Heide, nasz super-żołnierz, sprawdził, czy przewód paliwa do miotacza ognia jest w porządku, odbezpieczył przedni karabin maszynowy, ułożył porządnie taśmę amunicyjną. Następnie zawiązał sobie na szyi małego, tekstylnego słonika.

Wszystkie nasze radiostacje zostały sprawdzone. Łączność była bardzo ważna i radiostacje musiały działać bez zarzutu, gdyż wiele od nich zależało. Ładownicowie wspięli się na lufy armatnie i zdjęli pokrowce z ich wylotów. Czołg po czołgu meldował gotowość do akcji.

- Nosorożec gotów do działania - rozległ się w radiu głos Mike'a.

A potem byliśmy już poza lasem, który do tej pory bezpiecznie osłaniał nas i widzieliśmy Amerykanów, strzegących trzema czołgami północnego wyjścia ze wsi.

Gdy mknęliśmy przez zdradziecką, otwartą przestrzeń tak szybko, jak nadążały gąsienice, Porta zaśpiewał beztróska:

*Eine kleine Reise in Frühling mit Dir, Sagmir, bitte, leise, Was gibst du dafür...*

Pedał gazu wcisnął w podłogę. Myśleliśmy, że w każdej chwili tłoki mogą wyskoczyć z cylindrów. Żaden z pozostałych wozów nie mógł nas dogonić. Przez radio słyszeliśmy potok przekleństw Barcelony:

- *Carramba, crucifix, sacramento!* Jak on, u diabła, potrafi tak rozpędzić tę skrzynię na gówna?

- Tylko Allah to wie - odpowiedział mały Legionista, odsyłając swego kierowcę przekleństwami na samo dno piekieł.

Teraz wszystko zależało od szybkości. Początkowo trzy Shermany na skraju wsi w ogóle nie zareagowały. Bóg jeden wie co myśleli, ale z pewnością byli niedoświadczeni. Nie oddano ani jednego strzału.

Pierwsi dostaliśmy się do środka wsi, tuż za nami Major Mike. Legionista, który był o sto metrów za nami, ujrzał, jak wieżyczki Shermanów zaczynają się obracać zatrzymał się, błyskawicznie wycelował własną armatę i w dziesięć sekund było po wszystkim. Trzy Shermany stanęły w płomieniach.

Cała reszta nastąpiła równie szybko. Mknęliśmy w koło wąskimi uliczkami, strzelając do wszystkiego, co miało na sobie amerykańskie godło lub białą gwiazdę, ogniem na wprost, więc nie mogliśmy chybiać.

Samobieżny miotacz ognia typu M. 5 pojawił się zza rogu domu, plując płomieniem długim na wiele metrów, ale gdy pocisk wbił się w niego, miotacz rozpadł się na tysiąc kawałków.

Czterdziestodwutonowy czołg T. 14 wynurzył się z gaju pomarańczowego, wściekle kręcąc wieżyczką.

- Ognia! - Krzyknął Stary.

Nacisnąłem spust i w następnej chwili nieprzyjacielski czołg stał w ogniu, tłusty, czarny dym buchał z jego włazów, rozjaśniony ostrymi językami czerwonych płomieni. Jakiś oficer rozpaczliwie próbował wydostać się z wieżyczki, ale właz wieżyczki opadł, a on został zwisając z otworu. Po jego mundurze skakały płomienie, dosięgły jego włosów, a on podniósł się na pół, próbując zdusić płomienie gołymi rękami. Jeszcze więcej płomieni wystrzeliło przez wieżyczkę do góry, zakrył twarz dłońmi, które powoli zmieniały się w węgiel. Wreszcie znikł w rozpalonym wnętrzu swego czołgu.

Doleciał nas duszący smród spalonego ciała. Ktoś zamachnął się miną, by nią w nas rzucić, ale został zmiażdżony gąsienicami, zanim zdołał zrealizować swój plan.

Grupa piechurów przyciskała się do ściany w naiwnej nadziei, że ich nie zauważymy. Heide zaśmiał się złośliwie. Jego karabin maszynowy zagadał, a oni zwalili się, jeden na drugiego, z przestrzelonymi brzuchami.

Kucharz wojskowy biegł przez otwartą przestrzeń placu, mając nadzieję, że ukryje się za którymś z czterech płonących Shermanów, ale krótka seria z kaemu na wieżycze zatrzymała go tak nagle, jakby wpadł na ścianę. Złapał się rękami za głowę i wydał krótki, przenikliwy wrzask, jego hełm potoczył się przez zakurzony plac, człowiek zrobił pół obrotu, a potem padł, raz czy dwa kopnąwszy nogą. Z jakichś krzaków wypadł Sherman. Wbiły się w niego dwa pociski przeciwpancerne kalibru 88 mm i wyleciał w powietrze w rozdzierającej



uszy eksplozji. Jego wieżyczkę wydmuchnęło wysoko w górę, aż spadła z wyciem, wbijając długą lufę swej armaty w ziemię.

Pojawił się kolejny Sherman. Bezpośrednie trafienie odstrzeliło mu wieżyczkę i cisnęło ją w dom. Mieliśmy widok prosto do wnętrza czołgu. Była tam tylko dolna część ciała dowódcy, gdyż został przecięty w połowie. Wisiały tam resztki ładowniczego, wciśnięte pomiędzy zamek armaty i półki na pociski.

Czołg Mike'a, który miał na wieżyczce zamontowane dwa ciężkie miotacze ognia, spalił grupę piechoty. Choć niektórzy podnieśli ręce poddając się, zginęli pod naszymi gąsienicami, bo czołgi nie potrafią brać jeńców. Szczerzące zęby trupie głowy na wyłogach naszych mundurów dobrze pasowały do rodzaju broni, w której służyliśmy.

I tak było wszędzie, a ani jeden z nich nie zdołał uciec. Zaskoczyliśmy ich tak kompletnie, jak kilka godzin wcześniej zaskoczyli naszą piechotę. To była nasza zemsta.

Wyskakując z czołgów zsunęliśmy gogle na czoło, podeszliśmy do fontanny z wodą na placu i piliśmy i pili, próbując zmyć z twarzy trochę oleju i pyłu. Gryzące dymy prochowe we wnętrzu czołgów spowodowały, że oczy nabiegły nam krwią, nasze gardła i płuca piekły, a oddychanie było bolesne.

Paru przerażonych, którzy uszli z życiem, wylazło i patrzyło się na nas. Jeden z nich znał parę niemieckich słów.

*- Nicht schiessen, Kamerad. Wir nicht Juden, nicht Japsen. Wir aus Texas. Wir O. K.*

Kilka minut później gawędziliśmy, pokazując sobie fotografie, wymieniając pamiątki, zaczynając śmiać się razem. Straciliśmy jednego człowieka, artylerzystę w czołgu Leutnanta Herberta. Włazy zostały szczelnie zamknięte i nie zauważono, że wentylator miał krótkie spięcie. Udusił się gazami. Mieliśmy także dwóch rannych, jednym był Feldwebel Schmidt, dowódca czołgu numer 531, który schylił się, by podnieść mapę z podłogi wieżyczki właśnie w chwili oddawania strzału i odrzut armaty zmiądzzył mu prawą rękę na miazgę. Kilka ostrych jak igły odłamków kości wystawało mu z ramienia.

Jeden a amerykańskich jeńców, sanitariusz, zrobił mu koło fontanny transfuzję krwi, my zaś staliśmy wokoło, przyglądając się. Było to w najwyższym stopniu interesujące. Feldwebel Schmidt miał szczęście, dla niego wojna skończyła się. Ale gdyby nie było tutaj Amerykanina z jego ruchomym bankiem krwi, Schmidt byłby martwy, Drugim rannym był jeden z ładowniczych, człowiek względnie nowy. Został trafiony w płuco pociskiem pistoletowym. Jego dowódca czołgu, Oberfeldwebel Brett, przeładowywał swój pistolet, gdy ten wypalił i trafił ładowniczego.

Ukryliśmy Amerykanina, który zrobił Schmidtowi transfuzję, kaprała z Lubbock, przed jednostką, która krążyła zbierając jeńców. W cztery dni później zabraliśmy go do czołgu, podwieźli na parę metrów od pozycji amerykańskich i pozwoliliśmy mu wyskoczyć. Przed tym podbiliśmy mu oko i wybiliśmy mu jeden ząb, do tego złoty, którego o dziwo, ani Porta ani Mały nie chcieli. Walnęliśmy go też w goleń kłamrą od pasa tak, by spuchła niemilosiernie.

Był pół-Żydem. Gdy nas poprosił abyśmy to zrobili powiedział nam, że z takim wyglądem zostanie odesłany do domu w Stanach i nigdy już nie ujrzy wojny. Tylko idiota pozostawał dobrowolnie na froncie, ale oczywiście byli tacy po obu stronach. Nie powiem, żebyśmy nimi pogardzali. Większość z nas była ochotnikami, więc w głębi serca mieliśmy coś w rodzaju podziwu dla twardych facetów, którzy nie cofali się przed niczym i akceptowali wszystkie konsekwencje bycia ochotnikami.

Ułożyliśmy rannych szeregami na poboczu drogi i przez radio wezwaliśmy amfibie oraz transportery opancerzone, które napełniliśmy zakrwawionymi, skomłającymi ciałami.

Porta i ja podnieśliśmy pewnego człowieka i stwierdziliśmy, że kawałek płuca wystaje z zieżącej rany na jego plecach. Mały przyszedł niosąc kaprała, którego połowa czaszki została odstrzelona, obnażając mózg. Za śmietnikiem znaleźliśmy oficera, któremu twarz zupełnie ściał odłamek pocisku artyleryjskiego. Martwych ułożyliśmy w dwa wielkie stosy. Wielu z nich było tylko zwęglonymi mumiami. Wokół brzęczały tysiące much. Wykopaliśmy wspólny grób. Niezbyt głęboki, na tyle tylko, by mieć pewność, że zostaną przykryci ziemią. Słodkawy zapach trupów przyprawiał o mdłości.

Jednemu z jeńców, sierżantowi sztabowemu, siedzącemu z przodu, na czołgu Mike'a, daliśmy sznapsa i był na pół pijany. Wygadał wszystko, opowiadając nam, jak wysłali tyłom zielony sygnał, na znak, że teren jest wolny od nieprzyjaciela. Niektórzy jego koledzy patrzyli na niego z pogardą. Potem ujrzali tę samą pogardę w naszych oczach i zrozumiał, jak obrzydliwą rzecz zrobił. Wyrwał pistolet Barcelonie, wsadził sobie lufę w usta i pociągnął za spust. Mogliśmy go powstrzymać. Ale żaden z nas się nie ruszył.

Major Mike pogardliwie szturchnął ciało czubkiem swego buta.

- Wojna, to przeklęta sprawa - mruknął Stary.

Major nabazgrał wiadomość do przekazania dowództwu przez radio: „Nosorożec do Dowódcy Maciory. 36 czołgów zlikwidowanych, 10 ciężarówek, 17 samochodów. Nieznana liczba zabitych. Straty własne: zabity jeden szeregowiec, ranny jeden Feldwebel i jeden podoficer. Oczekuję kontaktu z nieprzyjacielem. Kontynuuję na własną odpowiedzialność. Przerwywam połączenie. Koniec. ”.

Uśmiechnęliśmy się ze zrozumieniem wiedząc, że chciał na własną rękę załatwić się z pułkiem nieprzyjaciela. Z podoficera wspiał się do stopnia majora, był zdecydowany zabłysnąć i zrobić to w taki sposób, by pokazać sztabowcom, że nie tylko oni potrafią coś zrobić. Zerwanie łączności radiowej było bardzo pomysłowe. Przez następne trzy czy cztery godziny nikt nie będzie mógł połączyć się z nami. To była gra o wysoką stawkę, ale jeśli Major Mike zdoła ją rozegrać, będzie wielkim człowiekiem. Jeśli sprawy pójdą źle, a on wróci żywy, wyląduje w Torgau. Takie były twarde prawa Armii.

- Wsiadać - rozkazał Mike. - Czołgi na-a-a-przód!

Przejeżdżając przez pas młodych drzewek wychylaliśmy się z włazów, a potem zjechaliśmy w dół, do rzeki ze smrodliwą wodą i błotem, gdzie jakieś napuchnięte zwłoki bydlęce powodowały, że powietrze było zgniłe.

Czołg Leutnanta Herberta ugrzązł. Po prostu pchał błoto przed sobą tak długo, aż utknął na betonowo.

Major Mike zaklął wściekle wyskakując z czołgu i pobrnął przed siebie w błocie po kolana. Kopnął zdechłego szczura, spojrzał złowieszczo na Leutnanta Herberta w jego wieżyczce i zapytał: - Co robisz, człowieku? Czy ty w ogóle myślisz?!

Leutnant Herbert wybelkotał coś na temat, że to był wypadek, który mógł się przydarzyć każdemu.

- W moim szwadronie taka rzecz nie może się przydarzyć!!! - Zaryczał Major Mike. - Teraz nie opierdaldas się po Kurfursterdamm. Jesteś na wojnie i dowodzisz czołgiem, kosztującym milion Reichsmarek. Milion nic mnie nie obchodzi, ale potrzebuję twego cholernego czołgu. Co za cholerny głupiec mianował cię Leutnantem. Wyciągnij go, Beier!

Mały i artylerzysta nieszczęsnego czołgu razem przywiązali liny holownicze do haków czołgu.

Grube stalowe liny zaśpiewały, napięte jak struny. Mogły w każdej chwili pęknąć, a jeśli uderzyłyby człowieka, zabiłyby go na miejscu. Widzieliśmy takie wypadki.

Ładowniczy stał się tak nerwowy, że wypuścił z rąk haki i ukrył się za czołgiem. Mały cisnął w niego garścią błota, nie mając nic twardszego pod ręką.

- Zaczekaj, aż cię złapię, ty złodziejska pizdo! A potem skoczył na liny i całym ciężarem zawisł na hakach.

- Jeśli pękną - mruknął Stary - zrobią z niego mielonkę.

- *Un bon soldat* - powiedział Legionista, skinąwszy głową z aprobatą.

- Ale tak głupi, jak dziura w krowiej dupie orzekł z uśmiechem Porta.

- Nie posuwaj się za daleko - zagroził Heide. Ja nie jestem tak cholernie głupi. W ciągu ostatnich dwudziestu lat nikt nie ukończył szkoły podoficerskiej z wyższymi ocenami, niż ja. Który z was, szczyśle, potrafi przewyższyć mnie w taktyce?

- Szybciej, szybciej! - Zawołał Major Mike.

Powoli ugrzęzły czołg ruszył się i zaczął wynurzać się z błota. Mały leżał na brzuchu w poprzek lin, a major pomagał mu trzymać je mocno na hakach holowniczych, klnąc i przeklinając Leutnanta Herberta, który stał w swej wieżyczce, patrząc strapionym wzrokiem. Gdy tylko czołg znów znalazł się na twardej ziemi, Leutnant Herbert musiał opuścić swą wieżyczkę, a jego miejsce zajął Unteroffizier Lehnert. Nikt nie natrząsał się z nieszczęśnika. Widzieliśmy, jak Hauptmann został wyrzucony ze stanowiska dowódcy kompanii podczas ataku, a jego funkcję objął Feldwebel.

Zajęliśmy pozycję za długą groblą i natychmiast zaczęliśmy maskować czołgi, zacierając małymi grabiami szerokie ślady gąsienic, wtykając w nie trawę i kładąc na niej większe i mniejsze gałązki. To było ważne na wypadek, gdyby nadleciały nad nas samoloty. To Rosjanie nauczyli nas sztuki maskowania. Trzy Jabos wypadły z wrzaskiem z chmur właśnie w chwili, gdy Porta i ja sprawdzaliśmy, czy wszystko jest tak, jak powinno. Przycisnęliśmy się płasko do ziemi. W następnej chwili zaczęły strzelać. To było tak, jakby po ziemi przejechała niewidzialna kosiarka. Setki małych fontann ziemi wystrzeliły do góry. Mieliśmy szczęście, bo oni używali pocisków przeciwpancernych, a nie eksplodujących. Jeden z pilotów okazał się krwiożerczy, bo uniósł się prawie pionowo do góry i znów zanurkował na nas, plując morderczo z armatek.

Dwa pozostałe Jabos krążyły w kółko. Pierwszy przeleciał nad nami tak nisko, że myśleliśmy, iż rozedrze sobie brzuch maszyny. A potem z przeraźliwym rykiem silnika znikł za wzgórzem, lecąc za swymi towarzyszami.

Major Mike przywołał załogi do siebie i przysiedliśmy wśród krzaków, z nim pośrodku.

- Przed wami - powiedział - są dwie mile otwartej drogi. Gdy ci jebańcy nadejdą, pierwszy musi dostać się aż do zakrętu, gdzie droga znika w lesie. To będzie twój czołg, Beier. Jesteś na lewym skrzydle. Frick, ty jesteś na prawym. Przylepicie się do ostatniego czołgu w chwili, gdy wynurzy się zza zakrętu obok pagórka. Ale ostrzegam was: nie wolno oddać ani jednego strzału bez mego rozkazu. Osobiście zastrzelę każdego artylerzystę, który za wcześnie naciśnie spust. - W podnieceniu prawie połknął swe wielkie cygaro, a potem kontynuował łagodniejszym tonem. - Wszystkie szesnaście armat mają pierdnąć równocześnie. Każdy pocisk musi trafiać. Po pierwszej salwie odcinek zostanie podzielony na

pola ognia. Każdy czołg musi odchwalić swoje własne pole. - Plunął długim strumieniem na pasącego się ptaka, trafił go i uśmiechnął się szeroko. Odgryzł kawał swego tytoniu do żucia i jak zawsze wręczył go Staremu. - I radzę każdemu artylerzyście, który pośle pocisk w przestrzeń, aby za nim podążył, nim ja go nauczę, jak się celuje. Zachowajcie spokój, chłopaki. Niech oni sami wejdą na szafot. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy. W żaden sposób nie są w stanie nas wykryć. Dowodem te trzy Jabos. Spokojnie zostaniemy tutaj i poczekamy na nich.

Wsunęliśmy się na nasze miejsca. Sprawdziliśmy radia i elektryczne instalacje spustowe. Heide cicho rozmawiał z operatorami radia w innych czołgach. Feldwebel Slavek właśnie ożenił się przez pełnomocnika, a myśmy mu gratulowali i żądaliśmy, by opisał szczegółowo co robił ze swą narzeczoną, którą znał tylko przez tydzień.

Czekaliśmy i zabijaliśmy czas grając w kości. Nagle Mały odezwał się z chytrą miną swej wielkiej twarzy:

- Kto jest twym dziedzicem, Porta? To znaczy jeśli zostaniesz zabity. Ty jesteś moim, jak wiesz - pospieszył dodać. - Całe złoto w zielonym woreczku, który mam na szyi, jest twoje, jeśli pewnego dnia tamci wyślą mnie do parku sztywnych.

Porta uśmiechnął się krzywo, potrząsając kostkami nad głową i powiedział:

- Spryciarz z ciebie, co? Ja mam dostać twoje złoto? Wiem, co sobie myślisz. Doprawdy, sam to wszystko wymyśliłeś?

- Żadnym sposobem nie możesz wiedzieć, co ja myślę - zaprotestował z oburzeniem Mały. - Słowo honoru, dostaniesz moje złoto. Spisałem ostatnią wolę na kawałku papieru, jak ta kobieta w książce, którą czytaliśmy onegdaj.

- Zamknij się - warknął Porta. - Nie ma potrzeby, byś się o mnie martwił. Gdy byłem w Rumunii, godny szacunku gość, pasący w puszczy mnóstwo starych chabet, przepowiedział mi przyszłość. Nocami okradał bogate domy. Pewnego cichego wieczoru, gdy z przyjemnością smakowaliśmy kubek śliwowicy, zaproponował, że przepowie mi przyszłość z fusów po kawie. To było całkiem niesamowite. Patrzył się w nie przez dziesięć minut, podczas gdy ja myślałem o ślicznym, małym kawałku cipki, który odkryłem w Bukareszcie. W pewnym momencie on niesamowicie zawył: - Porta, widzę twą świetlistą twarz, otoczoną błyszczącą aureolą. Przepraszam, pomyliłem się. To były światła neonów. Przerażające. Twoje imię świecące nad całym Berlinem. Zostaniesz wielkim biznesmenem. Wiesz, co jest w życiu dobre. Nigdy nie oszukujesz biednej kurwy. Oddajesz właścicielowi lombardu, co mu się należy, a burdelmamie, co jej. Będziesz kradł nie dając się złapać. Zbliży się paskudna wojna. Tak wrogowie jak przyjaciele będą polować na twoją głowę, ale ty dasz sobie radę.

Przeżyjesz ich wszystkich, będziesz chodził na ich pogrzeby, ale twój jest daleko w przyszłości, której nawet nie zdołałem dostrzec w fusach. Przeżyjesz ponad sto lat, nie potrafię tu dostrzec śmierci, choć normalnie można w nich widzieć ponad sto lat naprzód.

- Uważasz, że powinienem kiedyś mieć przepowiedzianą przyszłość? - Zapytał zainteresowany Mały, z miłością głaszcząc zielony woreczek złotych zębów, zawieszony na szyi.

- To nigdy nie zaszkodzi - odpowiedział Porta.

- Jeśli facet próbuje ci wcisnąć kupę gówna, dajesz mu raz w czachę. Jeśli to, co mówi jest dobre, dajesz mu parę monet i łykasz to. Ale radzę ci, Mały, trzymaj się z daleka od testamentów. To niebezpieczne rzeczy, szczególnie, gdy twoi spadkobiercy wiedzą, jak jesteś bogaty.

Mały zamyślił się tak głęboko, że zapomniał potrząsnąć kostkami i gdy wreszcie je rzucił, wynik był beznadziejny. Podniósł wzrok na otwór wentylatora, wytarł kciukiem lampkę kontrolną mechanizmu ładowania, a potem oczy zaczęły mu nerwowo latać i wybuchł:

- Ty parszywy diable! Ty wielki, przeklęty wole! Zamordowałbyś przyjaciela za odrobinę złota?

Porta wzruszył ramionami.

- Jestem tylko człowiekiem, a z diabłem trudno się spierać. Może człowiekowi włożyć pod czaszkę najbardziej zwariowane pomysły. Ale jak powiedziałem: - Ostatnie wole i testamenty, wszystko to tylko kupa gówna.

Mały z wściekłością odrzucił kostki, kopnął pocisk i wrzasnął podniecony:

- Nie zdołasz zrobić ze mnie durnia! Mam szare komórki i wiesz o tym. Jeszcze dam ci popalić, załóż się o swoją głowę.

Porta zarechotał i wycofał się w bezpieczne miejsce za fotelem kierowcy. Powiedział z uśmiechem:

- Naprawdę ważne jest, gdy układasz ostatnią wolę, by zabezpieczyć się przed ludźmi, czyhającymi w ukryciu. Mówisz, że jestem twoim jedynym spadkobiercą. Jestem biznesmenem, a biznesmeni, pomimo ich wszystkich białych kołnierzyków i wypolerowanych paznokci, to banda wrednych skurwysynów. Jeśli któryś z nich da ci cygaro, możesz być pewien, że liczy na otrzymanie od ciebie w zamian całego pudełka. Wszyscy biznesmeni mają bezpośrednią linię łączności z diabłem. Świat biznesu to ciemna dżungla. Pamiętaj, Obergefreiterze Wolfgangu Creutzfeldzie, że tylko najtwardsi potrafią pływać na tej powierzchni. Niezliczeni ludzie próbowali tej gry, ale tylko niewielu zostało wybranych. Ci,

którzy nie wiedzą, jak się zabezpieczać ze wszystkich stron, wkrótce kończą w rynsztoku. Wszędzie są rywale, tylko czekający, by obdrzeć cię z twych ostatnich szmat. Ale jeśli wiesz, jak się gra w tę grę, pieniądze popłyną ci do kieszeni i nawet jeśli żaden z bogaczy nie potrafi ci się przeciwstawić, wszyscy będą ubiegać się o twoje towarzystwo i całować cię w dupę, jeśli tego zażadasz. Im jesteś większy i bardziej znieawidzony, tym niżej będą ci się kłaniać i płaszczyć się przed tobą. Napluj na parkiet w domu twego wroga, a będzie myślał, że to wspaniały żart. W środku nocy możesz zadzwonić do sędziego, a on nie będzie miał o to pretensji. Cokolwiek zrobisz, będzie słuszne. Pomachaj plikiem banknotów, a przybiegną wszyscy, od alfonsów do prezydentów. Nie możesz być wybredny, co do użycia metod. Musisz znać kilku bandziorów, umiejących zaaranżować przypadkowy wypadek uliczny. A podpiłowana przednia oś Jaguara twego konkurenta może okazać się bardzo pomocna.

- Ale to oznacza bycie gangsterem - sprzeciwił się Mały.

- Którym jest każdy wielki biznesmen. W przeciwnym razie pójdziesz na dno. Musisz mieć mnóstwo cip, szpiegujących dla ciebie. Wpychaj je do łóżek twych konkurentów, a rano będą miały do opowiedzenia mnóstwo interesujących rzeczy. Kociaki są frontowymi zwiadowcami w świecie biznesu.

Małemu twarz się rozjaśniła.

- Zamierzasz po prostu zbudować to wszystko na wzór wojska?

- Zgadza się, i właśnie dlatego zawsze uważam, gdy mamy wykłady z taktyki. Twoi kierownicy sprzedaży to oddziały pancerne, twoje bandziory to spadochroniarze.

- A co z piechotą? - Zapytał chciwy wiedzy Mały.

- To ci biedni głupcy, którzy orzą jak woły za nędzną płacę. Popychacze piór i dziecioty przy ma szynach do pisania po biurach. Gdy babka odda ci naprawdę wielką przysługę, owijasz ją w karakuły.

- Nigdy ich nie widziałem! - Zawołał Mały. Jak wyglądają?

- Czarne i kędzierzawe.

- Jak te, co Jednooki ma na czapce?

- Za Boga, nie - parsknął pogardliwie Porta. To, co ma Jednooki, to resztki pogryzionego przez mole pudła, którego jakiś Żyd wcisnął mu jako karakuła.

Radio zagwizdało.

- Nieprzyjacielskie czołgi w polu widzenia. Zarządzam ciszę radiową.

Wsunąłem się za peryskop. Porta uruchomił prądnice. Mały sprawdził zapalniki i wsunął do komory pocisk przeciwpancerny. Ciężki zamek zamknął się z trzaskiem.

- Załadowany, bezpiecznik odbezpieczony - zameldował automatycznie, już trzymając w ramionach kolejny pocisk przeciwpancerny. Długie pociski stały szeregami, rzucając na siebie błyski, wyglądając tak niewinnie. Ale za kilka minut zaczną siać śmierć i przerażenie, zapalą rozżarzone ogniska, spowodują, że ludzie będą wrzeszczeć w męce i strachu. Przez otwarte włazy wpatrywaliśmy się w napięciu w nieprzyjacielskie czołgi, toczące się w zwartej kolumnie po oświetlonej przez słońce asfaltowej drodze.

Nacisnąłem lekko na pedał. Silnik elektryczny zaszumiał. Cicho obróciła się wieżyczka. Mój cel musiał znaleźć się dokładnie między dwoma drzewami.

Major Mike wyglądał znad skraju wieżyczki. Lorneta leżała przed nim, osłonięta kawałkiem darni. Mieliśmy strzelać, gdy ściągnie z głowy beret.

Był ich cały pułk. Dowódca czołgu marzy o takim widoku.

- Trudno w to uwierzyć - wyszeptał Stary. - Jeśli nas nie wykryją, wszystko skończy się w dziesięć minut.

Na błękitnym niebie zanosił się trelami skowronek, stado jałówek stało na skraju lasu, spoglądając badawczo na czołgi, a dwóch parobków siedziało na wózku z nawozem pijąc chianti, odpoczywając i nie mając pojęcia, co czyha po drugiej stronie grobli. Za parę sekund znajdą się w samym środku walki. Pomachali wesoło do Amerykanów, którzy odkrzyknęli żartobliwie. Byliśmy tak spięci, że nawet nie ośmielaliśmy się głośno mówić. Przykleiłem oczy do gumowej osłony peryskopu.

Do wiejskiego wozu dokazując podbiegł pies. Jeden z ludzi rzucił w niego patykiem.

Trochę pszczoł brzęczało wśród kwiatów, skrywających armaty. Przez wieżyczkę przebiegła jaszczurka. Sroka męczyła wielkiego ślimaka. Amerykanie śpiewali.

Wtedy pierwszy czołg ukazał się w polu widzenia mego dalmierza. Prócz kierowcy, cała załoga siedziała uczepona do niego na zewnątrz.

Beret Mike'a pofrunął w powietrze.

- Ognia - rozkazał Stary.

Szesnaście ciężkich dział czołgowych rozgrzmiało równocześnie, kładąc poziomo krzaki. Wszystkie pociski trafiły. Ciała wylatywały w powietrze. Wszędzie były płomienie.

Ryknęła następna salwa, rozgniatając kolejne czołgi.

Przesunąłem lekko wieżyczkę. Mały czołem otworzył bezpiecznik. Po jego nagich plecach płynął pot. Pocisk po pocisku opuszczał lufę.

Konie przy gnojowym wozie popędziły przed siebie. Jeden z ludzi kurczowo chwycił lejce i został poniesiony przez klekoczący, podskakujący wóz. Jałówki wpadły w panikę przeskakując przez ogrodzenie i pobiegły prosto pod ogień.



Wszystkie czołgi na drodze stały w płomieniach.

- Odłamkowymi! - Rozkazał Mike.

Wtedy pociski zaczęły wybuchać wśród wrzeszczących, przerażonych ludzi. Ci, którzy byli już zabici, byli wyrzucani w powietrze i ponownie miażdżeni. W końcu załadowaliśmy pociski zapalające i droga zmieniła się w pożerające wszystko morze ognia.

- Odpalić silniki - rozkazał Major. - Czołgi na przód.

Wtedy nadeszła kolej na nasze karabiny maszynowe i miotacze ognia. Jechaliśmy przez rozpalone piekło, wieżyczki obracały się, karabiny maszynowe czekały, a martwych i rannych siekły nasze pociski. Jakiś człowiek wstał ze sterty zabitych, szaleńczo wyciągnął ramiona jakby chciał nas odpędzić, usta miał szeroko otwarte, oczy dziko wybałuszone. Miotacz ognia liznął go żółtym językiem płomienia i zmienił w coś czarnego i skurczonego.

Mike zaszygnował, by przerwać ogień.

- Sformować kolumnę marszową. Kierunek pułk!

Wznowiono kontakt radiowy. Śmieliśmy się do siebie. Tamci nie oddali ani jednego strzału. Nawet nie zarysowano naszej farby na pancierzach, a zniszczyliśmy cały pułk dzięki amerykańskiemu sierżantowi.

Major Mike wywołał dowództwo pułku. Słyszeliśmy w jego głosie dumę i zachwyty.

- Nosorożec wzywa Maciorę. Słucham.

- Tu Maciora. Nadawaj, Nosorożec. Słucham.

- Tu dowódca Nosorożca. Pułk nieprzyjacielskich czołgów zlikwidowany. Bez brania jeńców, Bez własnych strat. Zużyto 1500 pocisków przeciwpancernych, 800 odłamkowych, 300 zapalających. Dla obserwacji z powietrza: mapa 3, droga 6, punkt A2. Skończyłem. Słucham.

- Maciora do Nosorożca. Gratulacje. Zamelduj się. Dowódca Maciory. Koniec.

## Rozdział 3

- *Wolę wycofywać się, niż iść naprzód oświadczył Barcelona. - Tu możemy pić frese, ale gdy idziemy naprzód, musimy maczać nasze ryje w kałużach brudnej wody. Gdy idziemy naprzód, coś tam nam dają. A mnie znudziły dziwki Idy.*

- *Jutro - powiedział Porta z rozpromienioną miną i unosząc do góry dwa pulpety ze szpiku, abyśmy je podziwiali - chciałbym położyć się spać w cesarskim łóżu oraz zgwałcić królową i wszystkie królowny.*

- *Może będą z tego zadowolone - powiedział rozmarzony Gregor Martin. - Może będą lubiły być obmacywane pięściami, cuchnącymi śmiercią.*

- *Jesteśmy po prostu zjawiskiem naszych czasów - orzekł Stary. - Pewnego dnia to wszystko się skończy, a my będziemy musieli się umyć.*

- *Jeśli będzie czas, gdy dostanę się do Rzymu stwierdził Heide - a oni nie będą zbyt następowali nam na pięty, przede wszystkim walnę się na wielkie łóżo z czterema słupkami i jedwabnymi zasłonami. Ubrany we wszystkie moje szmaty. Zrobię z tego wszystkiego istny balagan. Potem schlam się po gardło, następnie wyjdę na ulicę i znajdę sobie jakąś fajną panią, w bardzo wysokiej klasy bieliźnie i będę ją rznął raz po raz. W końcu nawalę się jak stodoła i będę kontynuował odwrót.*

- *Więcej fresy! - Zawołał Porta. - Będziemy się tak zachowywać przez całą drogę, wypijemy wszystko, co mają, skurwimy wszystkie ich kobiety, obsramy im wszystkie łóżka w Rzymie, Mediolanie, Innsbrucku i skończymy w Berlinie na przyjęciu kończącym wszystkie przyjęcia.*

*Gwizdek przywołał nas do rzeczywistości.*

- *Wziąć broń, zbiórka przed czołgami! - Rozkazał Major Michael Braun.*

- *Jestem trochę zbyt śpiący - mruknął Porta.*

*Chwiejnym krokiem poszliśmy przed czołg numer 5; wszyscy byliśmy wyczerpani, bo nie spaliśmy przez cztery doby.*

*Ruszyliśmy.*

*Dwa czołgi przewróciły się, bo ich załogi zasnęły.*

**Major Michael Braun**

Pojawiły się roje Jabos i wymiotły drogę do czysta. Gdy tylko zjawił się jakiś czołg, atakowały go dwa lub trzy Jabos.

Cały nasz 2. Batalion został rozbity w pył w ciągu dwugodzinnego ataku Jabos, nasz szwadron stracił wszystkie Pantery i połowę swych załóg. Porta musiał potoczyć się po zboczu pagórka, by ugasić palący się mundur. Teraz staliśmy na kwaterze w górach, oczekując na uzupełnienie załóg. Otrzymaliśmy już nasze nowe czołgi: 68-tonowe Tygrysy z bardzo skutecznymi armatami kalibru 88 mm. Nowe załogi nie przybyły w całości, lecz jak zwykle kapaniną. Wszyscy byli weteranami, niektórzy jeszcze w strojach zimowych, przybywszy prosto z Frontu Wschodniego. Przyjmował ich Hauptfeldwebel Hoffmann, największy oszust ze wszystkich Feldwebli, uwielbiający dźwięk własnego głosu i często robiący sobie tę przyjemność. Niekiedy bywał sarkastycznie przyjacielski i nadawał swym podwładnym imiona biblijne, kiedy indziej brutalny i wówczas używał określeń rodem z latryny. Kiedy był normalny, to znaczy tylko średnio złośliwy, używał tajemniczych, pseudozoologicznych określeń, takich jak zębokrowa, śmiecioświnia, śmietnikobyk, dźwigokrólik lub parasoloszczur.

Choć jako podoficer, Hauptfeldwebel Hoffmann nie miał prawa do ordynansa, w rzeczywistości miał dwóch. Jeden z nich pełnił obowiązki jego lokaja. Nim zły los oddał go w szpony Hauptfeldwebla, był *maitre d'hotel* w jednym z najlepszych berlińskich hoteli. Funkcje drugiego polegały na byciu faktotum i podczaszym. Jego obowiązkiem było zapewnianie perfekcyjnej usługi podczas posiłków Hoffmanna, które spożywał w samotności.

Jedynym cieszącym się łaskami Hauptfeldwebla był człowiek o ksywie Orzeł, były Stabsfeldwebel w więzieniu wojskowym w Hamburgu-Altonie. Został głównym pisarzem szwadronu. Próbowaliśmy wpisać Orła na czarną listę u Mike'a i Leutnanta Fricka, ale nic z tego nie wyszło. Orzeł trzymał się ciepłutko i zwyczajnie śmiał się i drwił z nas. Pewnej nocy paru chłopców zrobiło mu ponury kawał. Rzucili się na niego, gdy słodko spał w łóżku, przywiązali go do drzewa, zawiązali oczy, a szyję owiązali ścierką. W końcu postawili przed nim włoski karabin maszynowy. Gdy rano został odwiązany, był trzęsącą się ze strachu galaretą.

Hoffmann uznał to za dobry żart i nazwał sprawców dowcipnymi psami. Ale gdy przypadkiem na jego stole wylądował granat ręczny bez zapalnika, dowcipne psy stały się cholerną bandą komunistycznych sabotażystów i posłał po tajną policję wojskową. Przybyła ona w osobie kulawego Kriminalobersekretara, który spędził trzy dni wypijając prywatne zapasy napojów alkoholowych Hoffmanna, a po tym odjechał nie wykrywszy niczego, nie zapominając jednak zabrać ze sobą czterech kartonów papierosów Camel oraz dwóch

wędzonych szynek baranich. Odjeżdżając, zapewnił Hoffmanna, że wkrótce wróci, aby dokładniej zgłębić sprawę, na co Hoffmann wydał najdziwaczniejsze z możliwych odgłosów. Gdy nasz Hauptfeldwebel wylewał żale swym kumplom w dowództwie pułku, pocieszali go przypominając, że sam posłał po policję. On zaś przysiągł, że od tej chwili będzie się stosował do rady tych, którzy mają większe doświadczenie: nigdy nie niepokoić władz i pozwolić im spać. Bardzo trudno ponownie ukołysać je do snu.

Staliśmy przed biurem czekając i marznąc. Hauptfeldwebel zawsze kazał nam czekać: sądził, że to zwiększa nasze napięcie nerwowe. Na naszych mundurach mieliśmy stare, ciemnoniebieskie drelichy i byliśmy pewni, że zostaniemy skierowani do remontowania sprzętu, jedynej roboty, którą zwykle wykonywało się bez nadzoru i inspekcji. Porta trzymał w dłoni kleszcze i cztery wkrętaki. Pudełko świec zapłonowych wystawało mu z kieszeni. Mały miał pod pachą pompę do paliwa. Chodził z nią przez cały ostatni tydzień, ale Hoffmann jak dotąd nie dał się nabrać.

Nowo przybyli stali uszeregowani na lewo od nas, mając przed sobą złożone płaszcze i tornistry. Ubrani byli w kurtki, a przez ramię mieli przewieszzone nowiutkie maski przeciwgazowe. Stalowe hełmy mieli zawieszane na haczykach u pasów.

Hoffmann wyszedł ze swego biura, tuż za nim Orzeł, niosąc tablicę z dziennym przydziałem zadań oraz sześć kolorowych ołówków. Trzymał się dokładnie o trzy kroki za Hauptfeldweblem, zatrzymując się i ruszając w ściśle tej samej sekundzie. Hoffmann, na rozstawionych nogach, zajął pozycję przed frontem szwadronu, otworzył usta, aż stały się wielką, czerwoną, parującą dziurą, a potem z ich głębin rozległ się dziki ryk komendy: Szwadron równaj w prawo! Na wprost patrz! - Spoglądał przez kilka minut. By się przekonać, czy ktokolwiek odważy się poruszyć, a po tym uśmiechnął się z satysfakcją i rozkazał: Spocznij. Wy różowe ogiery zebr wyobrażacie sobie, że możecie mnie nabrać na pracę przy remoncie sprzętu, prawda? A więc dziś jest to po raz ostatni, wy śmierdzące moszny. Mechanicy na prawo.

Dwie trzecie szwadronu przeszło na prawe skrzydło, podczas gdy reszta stała na miejscu, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń.

Hoffmann podszedł do nich, za nim Orzeł.

- Ty tam - zawołał, wskazując palcem Obergefreitera - skąd masz ten pistolet, który wisi na twoim szerokim tyłku?

Obergefreiter musiał oddać pistolet.

Hoffmann uśmiechnął się z rozkoszą. Uwielbiał tego rodzaju rzeczy. Wiedział, jak wiele dla zwykłego żołnierza znaczy pistolet. Pozbawić go pistoletu znaczyło tyle, co ukraść mu duszę.

Hoffmann trzykrotnie przegnał ich przez błoto pod pretekstem złej postawy i niezdyscyplinowanego zachowania.

Gdy grupa ponownie stanęła przed nim, na zbiórce, teraz ubabrana błotem i odchodami z kaczego stawu, rozkoszował się sobą:

- A więc, wy wszarze, teraz być może zdaliście sobie sprawę, że dołączyliście do prawdziwie pruskiej kompanii, gdzie panuje dyscyplina. Zobaczycie, że nie jesteście nawet zadkiem wykastrowanego hipopotama. Tutaj ja jestem tym, który mówi co jest czym i tylko ja. Jeśli poczuję, że mam ochotę odstrzelić wam wasze cholerne łby, zrobię to. Jeśli, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, odkryję wśród was, błotne ryby, pustynną krowę z odrobiną szarych komórek, zrobię z niego podoficera.

Gdy rozeszliśmy się, a Hoffmann znikł, Orzeł podszedł i krążył przez chwilę, zanim powiedział:

- Major chce pogadać z wami wszystkimi i obejrzeć sobie nowoprzybyłych. Dostał dziś kota. Już pięć razy wygonił pisarzy przez okno biura.

- Wiesz, co mam zamiar zrobić? - Zapytał Porta z chytrym uśmiechem. - Pewnego dnia zabiorę cię na linię frontu i pogonię cię przez nią do Gurkhów albo Marokańczyków z kilku odciętych palcami z pierścionkami w kieszeni. *Come tosia la vita!*

Orzeł pospiesznie znikł.

Nasz trębacz Rudolf Kleber, który poprzednio służył w SS, zagrał na sygnałównce capstrzyk.

- *Mille diables!* - Odezwał się ze śmiechem Legionista. - On długo nie pożyje.

Stanęliśmy na zbiórce tak, jak staliśmy, najpierw zanurzwszy dłonie w zużytych oleju. Mieliśmy jakoby pracować przy remoncie, a Hoffmann mógł wpaść na pomysł, by obejrzeć nasze ręce.

Major Michael Braun już tam był, oczekując nas. Stał oparty o ścianę, zabawiając się trzymanym w ustach cygarem. O Majorze Mike'u słyszeliśmy najdziwniejsze plotki. Niektórzy twierdzili, że w ogóle nie jest Niemcem, lecz Amerykaninem. Julius Heide, który zawsze był dobrze poinformowany, mówił, że był on dawniej kapralem w amerykańskiej piechocie morskiej. Urodził się w Berlinie i wyjechał do Ameryki tuż po Pierwszej Wojnie Światowej ze swymi dziadkami oraz siedmiu braćmi i siostrami. Tam jego matka wyszła za mąż za amerykańskiego biznesmena, który nie myślał o niczym innym tylko o biznesie i

kobietach. Handlował tekstyliami i ni cholere go nie obchodziła rasa ani polityka. Dla niego Stany Zjednoczone były całym światem i jego otaczającymi planetami. Każdy, kto nie popierał tego punktu widzenia, był cholernym czarnuchem.

Gdy Michael Braun powrócił z okresu służby na Hawajach z raczej szczególnymi poglądami, został zwolniony z wojska i powiedziano mu, że jest plamą na herbie Stanów Zjednoczonych. Żył ze swej odprawy demobilizacyjnej do chwili, gdy został żigolakiem pewnej aktorki w Los Angeles. Któregoś dnia, w sklepie spożywczym, rozpuścił ozór i powiedział o niej o wiele za dużo. Gdy wrócił do jej buduaru, zastał ją bardzo podkręconą wypiciem dziewięciu whiskies, dwóch dżinów, trzech jałowcówek oraz relacją o tym, co o niej powiedział i co przekazano jej przez telefon. Wspólnie udało im się połamać większość mebli nim Michael został wyrzucony.

Następnie próbował szczęścia jako pucybut na końcu Długiego Nabrzeża. Na nieszczęście nie nauczył się jeszcze ostrożności. Poszedł do łóżka z żoną członka Gwardii Narodowej, czarnowłosą meksykańską nimfomanką. Gwardzista, Irlandczyk, nie był w stanie zaspokoić jej wymagań i płacił dwóm Żółtkom z Jokohamy za zapewnianie jej zadowolenia. Jeden z nich miał pralnię na Little Street. Drugi pracował w piekarni, której właściciel, imigrant z Wiednia, wypiekał taki *Wienerbrod*, jakiego nie rozpoznałby żaden wiedeńczyk.

Michael zaplątał się w orgię seksualną, zakończoną potężną awanturą. Było mnóstwo gadania o ukrytych kamerach i wybuchł wielki skandal. Gwardzista został sierżantem, a dwaj Japończycy otworzyli wspólnie pralnię, która nadal istnieje na Little Street. Zarobili harmonię pieniędzy. Mieli jakiś własny sposób na stare koszule.

Michaelowi nie powiodło się. Wsadzono go do kicia z oskarżeniem, że to on robił te fotografie. Ale na swój sposób miał szczęście. Mógł dostać dziesięć lat, ale sędzia tego dnia zjadł dobry obiad i był w dobrym humorze. Został zwolniony. Sędziemu podobały się też fotografie, załączone jako dowody rzeczowe. Wykonano mnóstwo odbitek i rozdano sędziom, obrońcy i policji.

Wydostawszy się z więzienia Michael Braun wskoczył do pociągu towarowego do Nowego Jorku. Gdy był już na dnie nędzy w Millwall Dock, zgłosił się do biura werbunkowego na Washington Road. Przechwalał się tam nader arogancko, ostatecznie był przecież już w piechocie morskiej, a co więcej w Koszarach Shuffield. Ale nędzny sierżant z potrójną tęczą baretek nad lewą kieszenią, który brał udział w Bitwie nad Sommą i nadal się tym chwalił, zapytał go o świadectwo niekaralności. Braun próbował pominąć milczeniem rok spędzony w więzieniu w Los Angeles, ale z uśmiechem zaproszono go do sypialni, gdzie

dostał największe lanie w swym życiu i gdzie dano mu do zrozumienia, że jest świńskim kryminalistą, z którym Armia nie chce mieć nic do czynienia.

Wówczas wrócił do Millwall Dock, wślizgnął się na pokład statku linii HAPAG, *Brenten*, i został odkryty o 375 mil na wschód od Halifaksu. Ku swemu niezmiernemu zaskoczeniu dowiedział się wówczas, ile dokładnie talerzy człowiek potrafi umyć w ciągu jednego dnia. Za każdym razem, gdy któryś upuścił, naczelny kelner walił go w łeb deską do krojenia mięsa. Gdy statek dotarł do Hamburga, przekazano go oficerowi bezpieczeństwa. Bicie, jakie dostał od trzech sierżantów z biura rekrutacyjnego w Nowym Jorku było niczym w porównaniu z laniem, jakie mu spuszczone na Stadthausbrücke numer 8.

Spędził dziewięć miesięcy w Fulsbuttel, gdzie podlegał Marabu, najbardziej zniechęconemu ze wszystkich Obersturmbannführerów SS. Braun zrozumiał, że jeśli ma stąd wyjść żywy, musi uklęknąć przed pokrzywionym krzyżem nazistowskim i złożyć przysięgę lojalności. Jego wąż starego żołnierza powiedział mu, kto był w celi kapusiem. Bardzo ostrożnie zaczął im opowiadać o amerykańskiej piechocie morskiej i Koszarach Shuffield, opisując niewolniczą pracę w kamieniołomach, nieludzkie marsze pod rozpalonym słońcem, a od czasu do czasu wplatał jedno czy dwa zdania o nowym, półautomatycznym karabinie M1. Dał też do zrozumienia, że jest dobrze obznajomiony z karabinem model Garand Pedersena.

Marabu zainteresował się. Przez dwie godziny Mike stał na baczność, jak to potrafi tylko żołnierz piechoty morskiej. Marabu kiwnął z aprobatą głową i poddał go różnym testom. Podczas pierwszego gołymi rękami rozbroił trzech twardych esesmanów.

Marabu był zdumiony. Stał za firanką w oknie parteru i przyglądał się. Następnie Mike musiał pokonać pieszo dwukilometrową trasę na otwartym powietrzu po sześciu dniach głodówki. Wsadzili go do lodowej celi i był na pół martwy, gdy go uwolnili. Następnie przykuli go do grzejnika i co kwadrans polewali go wiadrem wody. Zaczął tęsknić do więzienia garnizonowego w Shuffield, gdzie panował Bliznowaty, najgorszy ze wszystkich złych sierżantów sztabowych na świecie.

Marabu plunął na Mike'a, ale ten gdzieś z tyłu mózgu postyszał znany zew trąbki z Shuffield. Marabu popełnił błąd, zastosowawszy wobec starego weterana metody, jakimi traktowano fanatyków politycznych. Mike stał na baczność i widział Marabu jak przez mgłę. Ten cztery razy uderzył go w twarz biczem ze skóry hipopotama.

W siedemdziesiąt trzy dni później Mike został przeniesiony do obozu pracy koło Eisenach. Krętymi drogami zdołał uzyskać kontakty w Partii. Zaprzyjaźnił się z gauleiterem i wspólnie odkryli, że mają żyłkę do interesów, szczególnie tych ciemnych. Mike został

dowódcą kompanii w Ogólnym SS. Pewnego dnia bliski przyjaciel szepnął mu do ucha, że policja wszczęła dochodzenie. Gdzieś na wyższym szczeblu ktoś zaczął się dziwić, dlaczego w Eisenach znika bez śladu tak wiele racjonowanych towarów. Mike zrozumiał, że nadszedł czas by zmienić scenę i rzucił kilka napuszonych uwag, że uważa za swój obowiązek rozpocząć służbę wojskową, jeśli Armia go zechce. Jego regionalny przełożony, Obergruppenführer SS Nichols połknął przynętę i dzięki temu pewnego kwietniowego, chłodnego, deszczowego dnia, Mike zameldował się w 121. Pułku Piechoty Granicznej w Tibor Camp. Ale tamtejszy dowódca 2. Kompanii, Hauptmann Tilger, nie mógł znieść tego pół-Niemca, Mike został więc wysłany do Tapiau na granicy z Polską, tak daleko jak tylko zdołali go wysłać. Tu spędził sześć miesięcy w 31. Batalionie Karabinów Maszynowych, gdzie w pewnym stopniu zwrócił na siebie uwagę swymi umiejętnościami strzeleckimi. Zdobył dla swego batalionu mistrzostwo Armii. Gdy dowódca zapytał go, jaki miał stopień w amerykańskiej piechocie morskiej, były kapral beczelnie odpowiedział: - Pełnego Leutnanta, Herr Major.

Do Berlina poszedł meldunek o Michaelu Braunie i w osiem dni później był Feldwebel, z galonem podchorążego rezerwy na naramiennikach. W trzy miesiące później był podchorążym służby stałej, a pod koniec roku starszym chorążym. Przypadkiem odkrył, że zamyślają go wysłać do Akademii Wojskowej w Poczdamie. Tam wystarczyłyby ze dwie godziny, by odkryć go jako gigantycznego kłamcę, którym był. Tak więc skontaktował się ze swymi znajomymi w Partii i znów wyruszył w podróż.

Przez pewien czas był w 2. Batalionie Saperów w Szczecinie, gdzie z mnóstwem przekleństw i wylewaniem potu nauczył się budować mosty pontonowe. Tak więc, za każdym razem, gdy była mowa o Akademii Wojskowej, udawało mu się uzyskać przeniesienie. Niewiele było niemieckich garnizonów, które nie miało zaszczytu goszczenia go do chwili, gdy wybuchła wojna 1939 roku. Udział w kampanii w Polsce zakończył we Lwowie, jako Leutnant dowodzący kompanią. Tam stał się mile witany gościem po drugiej stronie linii demarkacyjnej, gdzie wypił wiele szklanek wódki z rosyjskimi oficerami.

Poróżnił się ze swym dowódcą, który uznał, że dla Michaela Brauna nadszedł czas, by zaczął studiować w Akademii Wojskowej. W rezultacie opuścił 79. Pułk z wymownym wpisem do książeczki wojskowej: - Niezdyscyplinowany, niesubordynowany, kłótniwy. Nie nadaje się na samodzielnego dowódcę.

Jasne było, że tego rodzaju opinia nie ułatwiała mu startu w nowych jednostkach. Przez sześć miesięcy krążył po Niemczech, dowodząc kompanią w jednostce transportu i



pewnego pięknego dnia on i jego załadowane ciężarówki wjechały do Eisenach, gdzie połowa ich ładunków znikła w obszernych składach towarowych jego przyjaciela gauleitera.

Był to koniec służby Leutnanta Michaela Brauna w kompanii transportowej. W rekordowym czasie został Hauptmannem, a w pięć miesięcy później awansował na majora, wszystko dzięki gauleiterowi. Zdumiewającą rzeczą było, że Major Michael Braun nigdy nie znalazł się nawet o sto mil od jakiegokolwiek szkoły oficerskiej. Zawsze powierzano mu brudną robotę i niewykonalne zadania, a jemu takim czy innym sposobem zawsze udawało się je wypełniać, choć zasługę przypisywano komuś innemu. Jego ostatni dowódca dodał kolejną niepocholebną opinię w jego książeczce wojskowej, więc został odesłany do Pułku Służby Specjalnej, a wszystko to dlatego, że po pijanemu cisnął kuflem piwa w portret Hitlera ze słowami: Na zdrowie!

Ale teraz nie miał już pomocnego przyjaciela gauleitera, bo tamten tłukł kamienie dla nowej autostrady i sam fakt znajomości z nim był niebezpieczny. Mike pospiesznie o nim zapomniał.

W taki właśnie sposób Major Michael Braun znalazł się stojąc przed frontem naszej kompanii i przedstawiając się nowoprzybyłym. Potrafił kłać przez półtorej godziny jednym ciągiem i nigdy się nie powtarzał.

- A więc, wy dupy wołowe - ryknął - jestem waszym dowódcą i nie pozwolę na żadne wygłupy. Jeśli któryś z was wpadnie na wariacki pomysł, by mnie rąbnąć od tyłu, niech spisze swą ostatnią wolę i testament nim tego spróbuje. Mam oczy z tyłu głowy. - Pokazał na Małego i powiedział: - Creutzfeldt, kto jest najtwardszym dowódcą kompanii, jakiego kiedykolwiek miałeś?

- Ty, Mike.

Major uśmiechnął się szeroko. Następnie pokazał na Legionistę.

- Tam, na prawym skrzydle, macie podoficera Kalba. Słuchajcie go, a będziecie mieć szansę ocalenia życia. Służył z Marokańczykami i zna wszystkie brudne chwytaki jakie istnieją. Ten długi gbur z żółtą apaszką na szyi na lewym skrzydle 1. plutonu był jednym ze spadochroniarzy feldmarszałka, ale zbyt dobrze władał nożem i wykopali go. Możecie się od niego nauczyć walki wręcz. Od tamtego podoficera, Juliusa Heide, możecie się uczyć porządku i dyscypliny; od Feldwebela Williego Beiera, Starego, nauczycie się wiedzy o ludziach i ludzkości, choć co do tego ostatniego nie będziecie mieli większego użytku. Obergefreiter Porta może was nauczyć kraść, a jeśli poczujecie potrzebę pociechy duchowej, pójdziecie do kapelana, Ojca Emanuela. Nie pomylcie się co do niego. Potrafi lewą pięścią powalić byka. Major wyciągnął swego ciężkiego Walthera P. 38 z żółtej kabury. - I bez

wątpienia zauważyliście, że mój służbowy pistolet to nie jeden z tych przyrządów do laskotania dupy, którymi zabawiają się zniewieściali pedziowie a brudne świnie, które okażą najniższą oznakę tchórzostwa, gdy pojawią się głowołamacze, nie unikną kulki z niego, którą pošlę im prosto w czaszkę. Nie wyobrażajcie sobie, że przyszlście tu, by otrzymać Krzyż Żelazny. W SS trzeba być dwukrotnie przedstawionym do odznaczenia, by go dostać, tutaj sześć razy. Jesteście szumowiną człowieczeństwa, ale tu zostaniecie najlepszymi żołnierzami świata. Zaczerpnął głęboko powietrza i włożył swój pistolet do żółtej kabury. - Uczcie się od ludzi, których wam poleciłem. - Następnie zwrócił się do Hauptfeldwebela Hoffmanna. - Dwie godziny musztry specjalnej w rzece. Każdy, kto zabije kolegę, dostanie trzy tygodnie urlopu. Co dziesiąty nabój i co dwudziesty granat będzie ostry. Chcę zobaczyć co najmniej jedną złamaną rękę. W przeciwnym razie cztery godziny dodatkowej musztry.

Wtedy zaczęło się jedno ze zwykłych ćwiczeń Mike'a. Nienawidziliśmy go z ich powodu, ale zrobiły nas twardymi i nieludzkimi. Jeśli chcesz być dobrym żołnierzem, musisz być zdolny do nienawiści. Musisz być zdolny zabić człowieka tak, jak rozgniała się wesz. Mieliśmy wielu dowódców, ale niemiecko-amerykański Major Michael Braun, który nigdy nie był w szkole oficerskiej, nauczył nas tego wszystkiego w sposób, do jakiego inni nie byli zdolni. Potrafił drwić i pluć na człowieka o jedenastej, zagonić go na śmierć o dwunastej, a pić z nim whisky i grać w kości o pierwszej.

Z brudnych uliczników robił super-żołnierzy. Wprowadził paradny krok w błocie, w którym chlapaliśmy się aż po oczy, a poprzedzało nas dziesięciu trębaczy, dziesięciu flicistów i dziesięciu doboszy. Uzyskał nawet zezwolenie, by nasi muzycy nosili na hełmach niedźwiedzie czapy.

Padło całkiem sporo strzałów skierowanych w tył jego głowy, ale nawet pomimo tego Porta i Legionista dwa razy przywlekli go z ziemi niczyjej, a on nigdy nie powiedział dziękuję. Gdy było coś szczególnie trudnego do wykonania: zwinąć nieprzyjacielską linię frontu, wysadzić w powietrze jakiś specjalny obiekt, osłaniać odwrót, rozminowywać, popłynąć pod wodą z minerami, schwytać nieprzyjacielskiego generała, Mike zawsze brał w tym udział, ubrany w mundur szeregowca. Kiedyś przyniósł trzech naszych rannych, a nazajutrz wrócił po czwartego, który zawisł na drucie kolczastym.

Kiedy indziej nasza artyleria strzelała za krótko, a Mike popełził do wysuniętego punktu obserwacyjnego, aresztował obserwatora artyleryjskiego za zaniedbanie obowiązków i przez następne dwie godziny kierował ogniem artylerii, dzięki czemu zdołaliśmy wziąć pozycję nieprzyjacielską niemal bez strat. Przy innej okazji odczekał dziesięć minut poza czas

wyznaczony przez Sztab dla ataku, z takim wynikiem, że natarcie powiodło się ponad wszelkie oczekiwania, ale tylko dzięki Majorowi Mikowi.

Potrafił nas zmusić do stania po szyję, w nocy, w lodowatej wodzie, odbywając musztrę karabinem, ale zawsze pilnował, abyśmy po powrocie mieli suche sienniki, gdy rozchodziliśmy się ze zbiórki. I biada takiemu kucharzowi, który nie przyniósłby żarcia co do minuty tylko dlatego, że dwie mile za frontem położono ogień zaporowy. Starzy weterani doceniają takiego rodzaju rzeczy.

Mike był świnią, ale przyzwoitą świnią. Nigdy nie robił niczego z niechęci czy złościwości, wszystko co robił, zawsze było potrzebne, a siebie nigdy nie oszczędzał. Mike był jedynym majorem, jakiego w życiu spotkałem, który nie miał ordynansa. Potrafił wyczyścić parę twardych jak żelazo butów i uczynić je miękkimi jak masło. Wiedział, jak oczyścić okop z nieprzyjaciela wiązką granatów ręcznych, wiedział, jak strzelać z miotacza ognia krótkimi seriami, co dawało najlepsze wyniki. Gdy Mike szedł na czele natarcia, wiedzieliśmy, że jesteśmy prawie bezpieczni. Mike nas lubił, sam był chuliganem, który wylądował w armii z braku czegoś lepszego, w pułku bez oznaczeń bojowych. Jego największą przyjemnością był apel, podczas którego mógł wywołać jednego z nas i zapytać:

- Jacy są najlepsi żołnierze świata?

Znaliśmy odpowiedź, którą chciał usłyszeć:

- Amerykańska Piechota Morska.

Ale bawiło nas dawanie innej odpowiedzi. Na przykład Legionista oczywiście odrzekł:  
- *La Legion Etrangere.*

Na co niezmienną repliką Mike'a było

- Szumowiny z europejskich rynsztoków - a wówczas Legionista bladł z wściekłości.

Jeśli pytanym był „Barcelona” Blom, odpowiadał:

- *Ingeniero del ejercito espaniol*, najdzielniejszy z dzielnych.

Na co Mike śmiał się pogardliwie i mówił:

- Słyszałem, że marzysz o gaju drzew pomarańczowych. W jaki naprawdę sposób wzięłeś udział w wojnie domowej?

- Byłem jednym z załogi na jednej z tych wielkich łajb, na których dziwki bogatych wylegają się pod markizami, próbując zapomnieć, że ich sponsorzy są impotentami.

- Więc podrywałeś je, Feldwebelu?

- Dostyc często, Herr Major. Byłem w Barcelonie w dniu, w którym Generał wyskoczył na południu.

Początkowo ludzie śmiali się z niego i myśleli, że to jakiś żart, ale tym razem to było na serio.

Major ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Ale jak dostałeś się do armii hiszpańskiej, Feldweblu?

- Byłem w Barcelonie z jednym z ważniaków i za nim się zorientowałem, co się dzieje, byłem na ciężarówce wraz z wielu innymi. Posłano nas do Madrytu, po tym jak nauczyliśmy się mnóstwa na pamięć na temat Marksa i Engelsa, ale nigdy nie było z tego wielkiej pociechy w okopach. Tak więc pewnego dnia jeden mój kumpel i ja ukłoniliśmy się im ładnie. To było podczas walk w dzielnicy uniwersyteckiej.

- Feldweblu, czy byłeś nad Ebro? Powinieneś być mieć dokładnie jeden batalion naszej piechoty morskiej. Oni by wszystko załatwili.

Barcelona nie zadał sobie trudu, by zaprotestować. Tego rodzaju fanatykowi nie da się wytłumaczyć, jak okropna była wojna domowa.

- Ile kosztowała hiszpańska wojna domowa? - Zapytał Major Mike.

- Milion trupów, Herr Major.

Major Mike dalej nie pytał. Milion martwych to dużo, nawet jak na tak wielki kraj, jak Hiszpania. Stał na rozstawionych nogach przed frontem szwadronu.

- Żaden z waszych pułków nie równa się z Amerykańską Piechotą Morską - chełpił się.

- Ja, wasz dowódca, jestem dumny, że służyłem w Amerykańskiej Piechocie Morskiej.

Gdy wróciliśmy do pracy przy naszych czołgach, Stary parsknął ze złością:

- Mike to niebezpieczny typ.

Rozsiedliśmy się wygodnie, Porta miał dla nas niespodziankę: baryłkę po maśle pełną czarnej fasoli. Wyciągnęliśmy zza cholew składane łyżki i widelce. Baryłka stała w takiej pozycji, że wszyscy mogliśmy do niej sięgać z naszych miejsc. Fasola była zimna, ale to nie miało większego znaczenia.

Barcelona wydobyl papierosa i połamał go na trzy części. Wszystkie poszły w koło.

Porta rozdał karty.

- Czy jest coś przyjemniejszego - powiedział z uśmiechem Stary - niż siedzieć na pagórku, na wygodnym sraczu, mając przed sobą baryłkę fasoli i dobrą partyjkę kart, wiedząc, że jest się mniej więcej bezpiecznym od pocisków?

Zgodziliśmy się, że nie ma nic takiego. Jeśli moglibyśmy dalej siedzieć w naszym prywatnym sraczu, wojna mogłaby trwać sto lat, jeśli idzie o nas. Większość z nas nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat. Od dawna zapomnieliśmy, jak wygląda życie w cywilu.

Naszym największym luksusem była przyzwoita latryna pod gołym niebem na jakimś pagórku.

## Rozdział 4

*Dwa szwadrony czołgów stały w gotowości na Via di Porta Labicana.*

*Z ciemności nadleciały ochryple krzyki: - Sbrigatevi, per Bacco! I przerażeni ludzie wskoczyli do krytych wagonów. Wszędzie roiło się od ludzi z SD i ich faszystowskich pacholków; złe psy wściekle czekały; mała dziewczynka upuściła lalkę; stara kobieta potknęła się; podkute buty wymierzały kopnięcia na prawo i lewo; ciężkie drzwi zasuwano i zamykano łańcuchami, lokomotywa wypuściła parę.*

*- Świnie - zawołał nasz muzyk. - O wiele za mało miejsca w każdym wagonie, nawet by usiąść.*

*- Czy nie powinniśmy cisnąć kilku granatów w tych z SD? - zaproponował z nadzieją w głosie Mały.*

*- Ani nam, ani tamtym nie przyniesie to niczego dobrego - mruknął ze złością Stary.*

*- Było o wiele gorzej, gdy wywozili warszawskich Żydów - wtrącił Porta. - Tutaj nie używają batów, a tylko swoich nóg.*

*- Czemu nie uciekają? - Zapytał zdziwiony Barcelona.*

*Następne wagony towarowe podtoczono i wypełniono milczącymi ludźmi.*

*- Czy zabiją ich wszystkich? - Zapytał nasz Muzyk, który poprzednio był w SS.*

*- Możesz się założyć, że tak - stwierdził Heide, śmiejąc się brutalnie. - Zagazują ich w Polsce.*

*- Ale ludzie nie mogą w taki sposób traktować ludzkich istot - naiwnie odezwał się półgłosem Stary.*

*- Czyżbyś nie wiedział, człowieku, - rzekł z ironią Porta - że wspaniałą koroną wszelkiego stworzenia jest ta świnia, człowiek?*

*To była noc, podczas której deportowano rzymskich Żydów. Dwa szwadrony czołgów Armii Niemieckiej zabezpieczały ładowanie ich na stacji kolejowej w Rzymie.*

*Żydzi byli wylapywani w pełnym świetle dnia, tuż pod oknami Watykanu. Na Vicolo del Campanile była krótka, ale gwałtowna walka, gdy aresztowano dwie Żydówki oraz starca. Jedną z kobiet w końcu zaciągnięto za nogi do ciężarówki, zaparkowanej na Via delia Conciliazione.*

*Łapanka była nadzorowana osobiście przez szefa Gestapo w Rzymie, Obersturmbannführera SS Kapplera. Niemcy robili wszystko co mogli, by sprowokować*

*papieża do publicznego protestu, który byłby sygnałem do tego, czego chcieli Hitler, Himmler i Heidrich i o czym marzyli od dnia dojścia do władzy: likwidacji Stolicy Apostolskiej.*

*Dla Watykanu zaprotestowanie w tym momencie oznaczałoby przypieczerowanie własnej zguby. W Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy ludzie siedzieli przy telefonie, czekając na moment, w którym przekażą zakodowane hasło „Psia Obroża”.*

## **Szulernia Porty**

Mieliśmy kilka spokojnych dni, podczas których nie robiliśmy nic, poza odrobiną kopania okopów i minowania terenu nocą. Oczywiście od czasu do czasu traciliśmy paru ludzi, ale był to okres zabawy, gdyż nie uważaliśmy okopywania się za coś wartego uwagi. Tak naprawdę była tylko jedna niedobra noc. Zostaliśmy zaskoczeni przez gwałtowny ogień artyleryjski, straciliśmy orientację i popęziliśmy równolegle do naszych pozycji. Kosztowało nas to czterdziestu trzech zabitych i dwa razy tyle rannych, ale my wszyscy, starzy weterani, wróciliśmy z całą skórą. Co więcej, mogliśmy wyśmiewać się z Heidego. Został oskalpowany odłamkiem pocisku i błyszcząca, czarna czupryna, która była jego dumą, znikła z połowy jego głowy. Do opatrzenia ogromnej rany zużyliśmy dwa pakiety bandaży. Był tak wściekły, że o pół mili słyhać było jak kłął i przeklinał. Prawie zastrzelił Małego, gdy ten przywłókł się później z olbrzymim zwierciadłem, które przyniósł z wielkiego, pobliskiego domu, aby Heide mógł się nacieszyć swym widokiem. Ale Heide bardzo uważał, aby nie stłuc lustro. To by oznaczało siedem lat nieszczęść. Przeklinaliśmy to lustro. Stało się prawdziwym problemem. Próbowaliśmy pozbyć się go darując komuś, ale nikt nie chciał go przyjąć i w końcu zabraliśmy je do burdelu Bladej Idy i ze znacznym wysiłkiem umocowaliśmy je na suficie jednego z tamtejszych sraczy. Gdy tylko znalazło się na górze poczuliśmy, że przekleństwo zostało z nas zdjęte.

Porta znalazł dom, stojący samotnie wśród pinii, dobrze ukryty przed spojrzeniami ciekawskich. Tam otworzył spelunkę dla hazardzistów. Kot Stalin siedział na czerwonej jedwabnej poduszce w klatce na papugi nad głową Porty. Początkowo poduszka bywała używana jako podkładka pod tyłek jednej z dziewczyn Idy i Mały zabrał ją, gdy miał bójkę z jakimś bersalierami z 7. Alpejskiego Pułku, którego nienawidziliśmy z całego serca, choć nikt nie wiedział dlaczego.

Porta „zorganizował” elegancki stół. Mały zajął pozycję na wiadrze, odwróconym dnem do góry na innym stole, skąd miał dobry widok na wszystkich graczy na wypadek, gdyby wydarzyły się jakieś kłopoty, co zdarzało się zawsze. Naturalnie gra nie była uczciwa,

ale było to dobre, uczciwe oszukaństwo. Kto chciał, mógł swobodnie obejrzeć kości, ale ludzie rzadko to robili, gdy dostrzegli wyraz twarzy Małego, siedzącego wysoko, z pistoletem maszynowym na kolanach i amerykańską pałką policyjną, nonszalancko zwisającą z jego nadgarstka.

Oberfeldwebel Wolf miał dobrą passę i stos monet rósł przed nim. Z czystej rozkoszy i ufności w siebie podśpiewywał *Trzy lilie*.

- Herr Oberfeldwebel ma szczęście - powiedział Porta z chytrym uśmiechem.

- Rozbiję bank - zaśmiał się Wolf, - Nie słyszał, jak Mały poufnie szepnął do Porty: - Czy mam pójść za zasrańcem i dać mu raz po karku?

Porta potrząsnął głową. Mały po prostu nie kumał, co jest grane. Dla jego prostego umysłu najprostszą rzeczą było walnąć Wolfa w głowę pałką, gdy wyjdzie na zewnątrz, i uwolnić go od wygranej. Ale Porta na tę okazję miał własny plan.

Wolf wstał z miejsca, zgarnął całą wygraną i napełnił kieszenie, aż napęczniały. Następnie wyciągnął pistolet zza cholewy i zakręcił nim w kółko na palcu.

- Bandyci, zwróćcie uwagę, że jest to Colt II i chciałbym, abyście wiedzieli, że potrafię go używać. Ktokolwiek, kto otworzy drzwi wcześniej, niż w pięć minut po moim odejściu, znajdzie się z dziurą w głowie, jak również w swej dupie, a to odnosi się szczególnie do ciebie, Creutzfeldt. - A potem z szerokim uśmiechem wycofał się tyłem aż do drzwi, trzymając odbezpieczonego Colta w ręce. Na zewnątrz spuścił ze smyczy swe dwa wielkie wilczury, które czekały przywiązane do drzewa. Te krwiożercze bestie można było spotkać wszędzie, gdzie był Wolf. Kiedyś prawie zagryzły Małego, gdy próbował ukraść dżipa, którego Wolf zamierzał prywatnie opylić. Gdy znikł na ścieżce prowadzącej przez sosny, usłyszeliśmy jak Wolf się śmieje, a jego psy szczekają.

Mały zeskoczył ze swego stołu i rzucił się do drzwi. Otworzył je na całą szerokość i znalazł się twarzą w twarz z żółtoskórym Wongiem. Wong był jednym z dwóch żołnierzy Własowa, z których Wolf korzystał jako z osobistych ochroniarzy.

- Ty nie z drzwi iść. Wolf mówi nie. *Niet. Niet.*

Mały wycofał się przed lufy rosyjskiego pistoletu maszynowego, wycelowanego prosto w jego przeponę. Trochę dalej dostrzegł wśród drzew postać drugiego ochroniarza, Thunga.

Mały zatrzaskał drzwi i znów wdrapał się na swoje miejsce.

- Ten Wolf nie jest miły - oświadczył z oburzeniem. - Wystawiać morderców przeciw spokojnym ludziom! Oby tylko na parę minut poszedł na front.



- Z pewnością tego nie zrobi - oświadczył z przekonaniem Porta. - Nawet gdyby Adolf osobiście próbował go tam zwabić.

Znów zajęliśmy miejsca wokół stołu do gry.

- On wróci - przepowiedział z całym przekonaniem Porta. - Wykładajcie wasze stawki!  
- Zadzwoił małym, srebrnym dzwoneczkiem, a Mały uderzył swą pałką w podkowę, zwisającą na sznurku z sufitu.

- Czy mogę się przyłączyć? - Zapytał Orzeł, siedzący z przygnębioną miną w kącie.  
Mały zeskoczył ze swego wiadra i uderzeniem pałki zwałił pytającego na ziemię.

- Opróżnij jego kieszenie - polecił Porta. - On już grał i wszystko stracił. To powinno nim wstrząsnąć.

- Ten szczur więzienny ma kilka kawałków złota - oświadczył Mały, przetrząsnąwszy kieszenie nie przytomnego eks-Hauptmanna i Stabsfeldwebela.

- Niedługo je miał - powiedział Porta. - Na stół z nimi.

Mały wyrwał je zdecydowanym ruchem.

- Na co takiemu człowiekowi potrzebne zapasowe zęby? - Zapytał Porta. Dwa złote zęby znikły w jego płóciennym woreczku.

- Ile ich tam masz? - Zapytał zaciekawiony Heide.

- A czy to twój zasrany interes? Nie dostaniesz żadnego z nich. - Plunął na Orła, który zaczął się poruszać. - Spójrzcie na tego tłustego szczura więziennego. - Trzy miesiące temu był na samym szczycie. Kopał mnie w dupę i groził na wszelkie sposoby.

- Wyślijmy go do Amerykańców z odciętym palcem z obrączką w kieszeni - zaproponował Marlow.

Orzeł podniósł się z trudnością.

- Uderzyłeś mnie - powiedział płacząco do Małego.

- Zrobiłem to, i co z tego? - Uśmiechnął się prowokacyjnie Mały. - Czego jeszcze oczekiwałeś? Próbowalesz okraść bankiera, przegrawszy w uczciwej grze.

- Przegrałem? - Wymamrotał zdławionym głosem Orzeł z głupią miną i zaczął gorączkowo przeszukiwać swe puste kieszenie. - Obrabowaliście mnie! Wiem, że nie grałem. Wszystko znikło. Mój zegarek! - Jego wrzaski zmieniły się w rozdzierający pisk. - I mój srebrny pierścień z orłem, który dał mi Gauleiter Lemcke! - Otworzył usta. Grubym, obłożonym językiem przesunął po górnych zębach.

- To niemożliwe - wymamrotał, odmawiając wiary w to, co mu powiedział własny język. Nerwowo wpakował do ust brudny palec wskazujący. Powoli ogarniało go zrozumienie: jego dumy, jego dwóch złotych górnych kłów już nie było na miejscu.

- Gdzie u diabła są moje złote zęby? - Zawołał dzikim głosem, spoglądając na nas rozpaczliwie. Ale wszędzie napotykał tylko uśmiechnięte twarze, rozkoszujące się sytuacją.

- Czyś ty zwariował? - Zapytał lodowatym tonem Porta. - O jakich zębach ty mówisz?

- Doskonale wiesz - kwiknął Orzeł, podnosząc głos. - Miałem tu dwa złote zęby. - Rozpaczliwie odwrócił się do Marlowa i Barcelony. - Wy dwaj jesteście feldweblami. Musicie mnie poprzeć przeciw tym złodziejom. Złożę skargę do sądu.

- *Carramba* - zaśmiał się z wielką przyjemnością Barcelona. - Nikt ci nie uwierzy, jeśli będziesz opowiadał, że oni rąbnęli ci twoje złote zęby.

Marlow aż zgiął się w pół w napadzie wesołości.

- Mały! - Rozkazał Porta. - Odprowadź tego dżentelmena za drzwi.

Mały odłożył na bok pałkę i pistolet maszynowy, podszedł i szeroko otworzył drzwi. Następnie ustawił w nich Orła, rozpędził się i wymierzył mu kopniaka, godnego internacjonała piki nożnej. Orzeł poleciał daleko między drzewa.

Wróciliśmy do naszej gry.

W kwadrans później pojawił się, z błyskiem w oku, Hauptfeldwebel Hoffmann.

Ponieważ nikt jakoś nie spieszył, by wydać komendę „Baczność!”, zrobił to sam. Ale ku jego bezmiernemu zaskoczeniu nikt się nie ruszył. Nie był jeszcze dość długo w tym szwadronie, by się nauczyć nie wchodzić w drogę Porcie.

- Czy nie słyszałeś komendy? - Skierował palec w stronę Porty. - I zdejmij z głowy ten złoty kapelusz.

- Tego się nie da zrobić, Herr Hauptfeldwebel. Mam tylko dwie ręce, a w jednej kostki, w drugiej moje krupierskie grabki. Jeśli upuszczę jedno z nich, to już koniec.

Hoffmann zaryczał:

- Bunt! Niesubordynacja! - Klął nas, nazywając wszelkiego rodzaju stworzeniami nieznanymi zoologii i zakończył: - Zabraniam wam uprawiać gry hazardowe!

Porta wyciągnął z wewnętrznej kieszeni grubo notes, poślinił palec i z namysłem zaczął przewracać kartki. Komicznym ruchem umieścił w oku swój pęknięty monokl.

- Niechże zobaczę. Kazirodztwo - Odwrócił jeszcze kilka kartek. - Kradzież mienia wojskowego. Falszowanie dokumentów, Hauptfeld..., nie, Oberleutnant Hi... Gwałt, pedofilia...

Hoffmann kilka razy otworzył i zamknął usta. Nic nie rozumiał.

Porta z namysłem kontynuował.

- Oszustwo, fałszywe zeznania, sprawa o ojcostwo; to Stabsintendant Meissner. Co za świnia. Skończy w Torgau. - Porta z ożywieniem przewracał kartki. Następnie z rezygnacją

spojrzał na Hoffmanna. - Melduję posłusznie, że mój wywiad powiadomił mnie, iż Herr Oberst Engel, który spędza czas jako szef Oddziału IIA w Sztapie Dywizji, tydzień temu wygrał w Sztapie 10 000 marek, zgadując cyfry na banknotach stumarkowych. W tym samym czasie planowano natarcie, na które czekamy leżąc tutaj. To sprawa poufna, Herr Hauptfeldwebel. Natarcie jest ściśle tajne. Zabandażowano nawet oczy maskotce pułkowej, koziołkowi, który był obecny podczas dyskusji i zatkało mu uszy watą, aby niczego nie wydał, gdyby spotkał się z pałką gumową. Oberst Engel jest gwiazdą w zgadywaniu numerów. Za każdym razem podaje je właściwie, - Porta pociągnął się za ucho i zaproponował Hauptfeldwebelowi Hoffmannowi niucha czegoś ze srebrnej tabakierki.

Hoffmann ze złością odmówił, a twarz nabrzmiała mu purpurą.

- Słyszysz się niewiarygodne rzeczy - kontynuował radośnie Porta. - Dziś rano słyszałem, że pewien Hauptfeldwebel w naszym czcigodnym Pułku Służby Specjalnej wysłał do domu dla swej żony kilka jedwabnych spadochronów.

Hoffmann zaczął szczerkać zębami jak gorączkujący muł. Kolor jego cery zmieniał się z żółtego na niebieski i z powrotem. Nie był już zdolny do logicznego myślenia.

- Ober... Ober... Obergefreiter Porta, - wyjąkał - coś się stanie. Na Boga, tak jest. Tak dalej być nie może. - Zawrócił w miejscu i wybiegł chwiejnym zygzakiem. Ostatnią rzeczą jaką usłyszał, były słowa Porty, zwrócone do Legionisty:

- Wkrótce będziemy mieli nowego Hauptfeldwebela.

- W jaki sposób wymyśliłeś to wszystko? - Spytał Portę zdumiony Stary.

- Wymyśliłem! - Parsknął Porta. - Fakty nie są czymś, co się wymyśla. Bądź tego pewien, Herr Feldwebel Beier. Po prostu mam oczy otwarte. Jeśli chce się przeżyć w cywilizowanym kraju, lepiej wiedzieć coś, co bliźnim przynosi ujmę. Wtedy można na nich polegać. Nie ma nikogo, kto nie miałby w swej przeszłości jakiejś ciemnej sprawki, bez względu na to, czy jest cesarzem, czy wszą. Weź na przykład siebie, Stary. Czy wierzysz, że wszystko co robi Adolf jest słuszne? Uważasz go za całkiem niezłego zboczeńca, prawda?

- Oczywiście - odrzekł Stary.

Porta wyłowił z kieszeni swój notes i dokonał starannego wpisu.

- To była kompromitująca uwaga na twój temat i tylko całkowita klęska Armii Niemieckiej może cię z niej oczyścić. Na twoim miejscu poszedłbym do naszego kapelana i poprosił go, aby pomodlił się za szybkie wkroczenie amerykańskiej piechoty morskiej do Berlina. - Następnie wyciągnął swój flet i wszyscy zaczęliśmy śpiewać:

*Do diabła z Hitlerem i nazistowskimi pasożytami.*

*Podetrzyj sobie dupę flagą ze swastyką*

*I przyciśnij do serca wszystkich dobrych zdrajców.*

- Zwariowaliście - roześmiał się Marlow. - Hoffmann będzie się zachowywał tak, jak poprzednio.

Porta dał kotu w klatce na papugi kawałek kielbasy.

- Jeśli tu wróci, to po to, by przyłączyć się do gry. Od tej chwili, jeśli tego zechcę, będzie lizał moje buty. Czy widziałeś jego zieloną, rogatą poduszkę, którą tak lubi? Jutro da mi ją w prezencie.

- Dziwne, że nigdy nie zrobiono cię Feldweblem - mruknął z podziwem Marlow.

- Idiota! Jako Obergefreiter jestem kręgosłupem Armii. To ja decyduję, czy mój bezpośredni przełożony ma mieć ból zęba, lumbago, czy coś innego. Gdy byliśmy na Ukrainie, wsadzono nam na kark Hauptmanna nazwiskiem Meyer, parweniusza, wsiowego szkolnego nauczyciela. Umarł.

- Co mu się przytrafiło? - Zapytał zaciekawiony Gregor Martin.

- Udało mu się umieścić swój szeroki tyłek na minie talerzowej - powiedział wesoło Porta. - Jazda, stawiajcie forszę. Jeden zielony dolar to tysiąc papierków Hitlera.

- Czy bierzesz pieniądze Churchilla? - Spytał Gregor Martin.

- Oczywiście, pod warunkiem, że rozpoczęły swe istnienie w Banku Anglii. Jeśli idzie o mnie, to możecie stawiać jeny, ruble, złotówki lub korony. Kurs jest ustalany przeze mnie i w Nowym Jorku. Ale strzeżcie się marek, ich kurs spada z każdą godziną. Perły, złoto i podobne artykuły są wyceniane w dolarach. Nie wymaga się świadectwa posiadania. Z chwilą gdy skończymy, i tak będą moje.

Kości toczyły się. Godzina za godziną. Słońce zaszło. Komary brzęczały i kłuły nasze nagie ręce i szyje, ale nie zwracaliśmy na to uwagi, skupiwszy całą uwagę na kostkach. Dym wypełnił pokój, lampa na stole filowała z braku potrzebnego jej tlenu; perły, pierścionki, obrazy, dolary, funty, duńskie i szwedzkie korony, polskie złote, japońskie jeny, indyjskie rupie, ulubione pistolety i broń do walki wręcz zmieniały właścicieli w tej walącej się włoskiej chacie.

Feldwebel Marlow wyszedł na chwilę krótko przed świtem i powrócił z trzema belami jedwabiu. Porucznik włoskich bersalierów, z urodzenia hrabia, rzucił na stół przed Portę plik dokumentów, akt własności jakiegoś zamku w okolicy Wenecji.

- 20 000 dolarów - mruknął.

Porta przekazał dokumenty Legioniście, który zbadał je starannie, a po tym szepnął coś do Porty. Porta spojrzął na hrabiego.

- Ponieważ jesteś Włochem, dam ci 17 500. Gdy byś był Prusakiem z dwoma Żelaznymi Krzyżami i *Pour le merite* na szyi, dostałbyś dziesięć.

- 18 - powiedział hrabia, usiłując mieć taką minę, jakby to go nie obchodziło.

- 17 - odparł z uśmiechem Porta.

- Przecież poprzednio powiedziałeś 17, 5 - zaprotestował hrabia.

- Za późno, mój drogi hrabio. Historia świata zmienia się z minuty na minutę. Twój zamek może jutro zostać zarekwirowany przez parobków zza oceanu, a kto u diabła może sprzedać zarekwirowany zamek? Nawet Żyd by nie potrafił, mając do pomocy dziesięciu Greków i pięciu Katalończyków.

Hrabia przełknął ślinę.

W tym momencie pewien Oberjager wyrzucił sześć szóstek. Chciwie zgarnął wielki stos zielonych banknotów.

Hrabia patrzył jak zahipnotyzowany za żółty kapelusz Porty, potem przeniósł wzrok na kota w klatce na papugi, zobaczył, jak oberjager ponownie wygrywa. Nie miał pojęcia, że było to ustawione, stanowiło część psychologicznej taktyki Porty. Nagle zdecydował, że jego zamek jest starą ruiną, piskliwym głosem zaakceptował propozycję Porty i zgniótł w dłoniach swój kapelusz z kogucim piórem. Potoczyło się sześć kostek i już był byłym właścicielem zamku w okolicy Wenecji. Udało mu się wyjąkać parę wulgarnych słów, nim Mały wyrzucił go za drzwi.

- Jestem porucznikiem Królewskiej Włoskiej Armii - wykrzyczał w stronę świtu.

- Nie utuczysz się na tym - brzmiał pożegnalny okrzyk Małego, nim zatrzasnął drzwi.

Hrabia, pogrążony w głębokiej depresji, poszedł ścieżką, ale zanim dotarł do szosy przy trzech krzywych dębach, wpadł na połączony patrol żandarmerii, dowodzony przez faszystowskiego włoskiego kapitana i niemieckiego Oberleutnanta. Ponieważ zostawił swą książeczkę wraz z papierami w chacie Porty, patrol rozprawił się z nim od ręki. W całym kraju ogłoszono stan wojenny, ponieważ było aż nazbyt wielu dezertarów.

- Badoglio świnia - wrzasnął mściwie kapitan, gdy zmusili hrabiego, by ukląkł. Kopnęli jego kapelusz z piórkiem, zerwali mu z munduru naramienniki i baretki. Tuż przed tym, zanim go zastrzelili, krzyczał coś o „nielegalnej speluncie hazardu i rabunku”.

- Co za świnia - parsknął faszystowski kapitan i splunął na trupa. - Nazywać Italię Benita spelunką.

O trzeciej nad ranem pojawił się oficer lekarz. Przegrał cały swój szpital polowy, ale Porta wielkodusznie wynajął mu go do końca wojny.

Gdy słońce znów chyliło się ku zachodowi i Porta ogłosił trzygodzinną przerwę, obecni zaczęli dziko protestować, ale Mały przy pomocy swej pałki napędził im rozum. Porta ogłosił z niemąłą satysfakcją, że bank nie przegrał. Wręcz przeciwnie. Odczuliśmy potrzebę uczczenia tego, a naszemu kotu Stalinowi powiedzieliśmy, że dziś są jego urodziny i w rekordowym czasie dostarczyliśmy sobie dwa podstawowe składniki każdej uroczystości: piwo i kobiety.

Mały i Porta znaleźli zapasioną świnię, którą mianowaliśmy Oberleutnantem i honorowym członkiem Partii. Dwóch ludzi zaprowadziło Feldwebela do magazynu i tam, przy pomocy butelki brandy oraz grożąc sądem polowym, Gestapo i żandarmerią, dostali największą kurtkę mundurową, jaka była. Prawie pasowała na świnię z wyjątkiem tego, że nie mogliśmy jej zapiąć kołnierzyka. Świnia głośno protestowała przeciw noszeniu niemieckiego munduru. Przywiązaliśmy ją do krzesła, które przybiliśmy do ściany i tam siedziała, jako wierny wizerunek chorego na niestrawność, zapasionego niemieckiego oficera, najniższego w hierarchii dowództwa. Stary śmiał się tak bardzo, że zuchwa wyskoczyła mu z zawiasów i Mały musiał uderzeniem pięści wcisnąć ją na miejsce. Próba włożenia świni butów okazała się beznadziejna, ale daliśmy jej spodnie i czapkę polową. Na jej piersi Marlow przypiął obwieszczanie: - Ja, Oberleutnant Świntuch, jestem jedyną przyzwoitą świnią w Armii Niemieckiej.

- Do diabła z tym - krzyknął Heide. - Ja nic o tym nie wiem, zapamiętajcie to sobie.

- No to pierdol się - zaproponował mu Porta z wyrazem wyższości. - Nikt cię tu nie trzyma.

- Sam się pierdol - odparł ze złością Heide. Bardzo dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić bez ciebie.

- Czy mam mu dać po jadaczce? - Zapytał krwiożerczo Mały, machając swą długą pałką.

Heide wyciągnął zza cholewy granat ręczny.

- Uderz mnie jeśli się odważysz, ty wielki zasańcu.

Mały zaczął szaleńczo wymachiwać rękami. Słowo „odważyć się” niezmiennie doprowadzało go do furii.

Oficer lekarz i Oberfeldwebel Wolf wtoczyli do środka stulitrową beczkę piwa, pomagał im przy tym sierżant-kwatermistrz Krabbe. Niedawno Krabbe, przeczytawszy książkę o żołnierzach Karola XII, sam mianował się kwatermistrem. Był niebezpiecznym konkurentem Porty. Od Krabbego można było kupić wszystko a nawet trochę więcej, nie

wyłaczając ciężkiego krążownika, jeśli przypadkiem ktoś był w potrzebie. Z Portą nienawidzili się wzajemnie, ale zawsze byli dla siebie grzeczni i dobrze wychowani.

- No, niech mnie diabli - zawołał Porta, gdy zobaczył wtaczaną beczkę. - Krabbe, czy nie dopuściłeś się kradzieży?

Krabbe wyprostował się w całej okazałości, a to było niemało.

- Takie oskarżenie, wytoczone przeciw kwatermistrzowi, jest godne ubolewania, Obergefreiterze Porta. To piwo, to zaoszczędzone racje. Gdy usłyszałem, że macie uroczystość, pomyślałem, że jest to właściwa okazja, by je wypić.

- Krabbe, dzisiejszego wieczoru jesteś naszym gościem, ale przede wszystkim przyprowadź mi Orła. Potrzebuję ordynansa.

- Wkrótce możesz go mieć - wtrącił Mały. Przyłapałem go obok Dowództwa Pułku, włóczącego się z długim meldunkiem w ręce. Przywiązałem go tu na zewnątrz, na śmietniku i musiałem mu wetknąć parę brudnych gaci w jadaczkę, ponieważ wrzeszczał bardzo niemiło, gdy powiedziałem, że wczesnym rankiem zrobimy z niego ognisko.

- Dostarcz go - polecił Porta.

Orzeł został wniesiony. Potoczył się jak piłka do stóp Porty, zachęcany butami Małego.

- Stań na baczność, ty szmato - rozkazał Porta i nie mrugaj tak idiotycznie gałami. Tej nocy zostałeś przydzielony do mnie jako mój osobisty ordynans, ale najpierw zaszaluj naszemu dowodzącemu oficerowi, siedzącemu tam na krześle i usiądź obok niego.

Orzeł musiał salutować umundurowanej świni; najpierw pięć razy przechodząc obok z przepisowym „na prawo patrz”, następnie frontem przed nią. Za każdym razem, gdy świni chrząknęła, musiał pytać: - Herr Oberleutnant sobie życzył? Dano świni wiadro piwa ze sznapsem, a Orzeł musiał pilnować, by Oberleutnant Świntuch, co kwadrans dostawał solidny łyk mieszaniny. Gdy świni już się napiła, Orłowi też wolno było zaczerpnąć łyk z wiadra.

- Co jest dość dobre dla jednej świni, wystarczy też dla drugiej - oświadczył Porta i zachichotał z przyjemnością. - Pomiedzy łykami posadź twą dupę na krześle naprzeciw Oberleutnanta i salutuj.

Orzeł zaprotestował, ale Mały szybko nauczył go rozumu.

- Przypomina mi to proboszcza z Pistolen Strasse, który chciał złożyć skargę na biskupa Niedermeyera - wtrącił Porta. - Pisał ją przez trzy dni.

- Och, zamknij się Porta - zawołał Stary. - Nie zniesiemy tego dzisiaj po raz drugi.

Porta kiwnął głową ze zrozumieniem i wskazał na Orła.

- Teraz widzisz, ty zjedzony przez mole więzienny pierdzielu, jak małą wagę ludzie przywiązują do skarg. Żadna skarga nie znalazła jeszcze swego miejsca w historii świata. Jeśli masz nas dość aż po gardło, po prostu spójrz na to, jak na zło konieczne. Zachowuj się przyzwoicie, a twoje życie będzie mniej więcej do wytrzymania. W przeciwnym razie przekażę cię pod jurysdykcję Małego. Wystrzeli cię w górę jak raketę 31 grudnia o godzinie za pięć minut północ.

Orzeł wziął się do roboty, blady ale opanowany.

Po trzecim kuflu piwa Porta zapytał jedną z dziewczyn, czemu ma na sobie majteczki.

Po siódmej szklance piwa Krabbe zaproponował szybką partyjkę rozbieranego pokera.

Samo piwo już utraciło dla nas powab. Zbyt długo trwało, nim wywarło skutek. Wielka beka była w połowie pusta, więc dopełniliśmy ją whisky, chianti, wódką, jałowcówką, a by uczynić ją naprawdę smakowitą, na koniec dodaliśmy butelkę sosu worcester. Eleganckie towarzystwo tak robi, gdy przygotowuje koktajle - zawiadomił nas Porta.

Orzeł musiał potoczyć beczkę dwukrotnie na pagórek i z powrotem, by należycie wymieszać zawartość. Gdy skończył, rozbeczał się.

Mały wstał z miejsca, podciągnął spodnie, podniósł z podłogi kawał sznura i podszedłszy do Orła zawiązał katowską pętlę.

- Wszystko ma swój koniec - powiedział radośnie, zakładając Orłowi pętlę na szyję. - Oto ładny kawałek sznura. Teraz wyjdź na dwór, znajdź sobie miłe drzewo i powieś się, odchodząc z tego świata.

Orzeł wyskoczył drzwiami, goniony przez Małego. Zaskrzeczał głośno, gdy dobrze wymierzony kopniak posłał go z rozłożonymi rękami i nogami w dół zbocza, z powiewającym za nim końcem sznura.

- Gdy dotrzesz na dno, znajdziesz dobre drzewo tuż na lewo od siebie.

- To był widok cieszący moje oczy - stwierdził śmiechem Porta. - Mały ma morale, którego wam pozostałym brakuje.

Nasz młody oficer medyk upił się straszliwie i uwodził sierżanta kwatermistrza w mylnym przekonaniu, że jest to Greta Garbo.

- Twoje majteczki są zrobione z bardzo szorstkiego materiału, Miss Garbo - powiedział głośno czkając.

Krabbe trzasnął go bagnetem po palcach.

- Pazury przy sobie, specjalisto od wymiotów.

Medyk zalał się łzami. A potem jego twarz nagle się rozjaśniła jak po zakończonym pogrzebie i splunął na podłogę.



- Wypiszę ci świadectwo zgonu - oświadczył, i zaczął pisać na figach jednej z dziewczyn. - Eks-Stabsfeldwebel Stahlschmidt nie żyje. Samobójstwo. - Po tym upadł na Marlowa, leżącego na podłodze i chlejącego. - Jesteś trupem! - Zawołał, co było bardzo bliskie prawdy. - Nie życzę sobie mieć tu trupa leżącego i zachlewającego się. Pod darninę z tobą! Albo poślę po żandarmerię.

- I nie pozwolimy, by Padre Emanuel pobłogosławił Orła. A nie może też dostać ostatniego namaszczenia - krzyknął Heide.

- Boże miej litość nad nim, jeśli będzie tak bezczelny, by wrócić do życia - rzekł groźnie Porta. A teraz odmówmy dziękczynienie.

Heide skoczył na równe nogi i zaczął wybijać rytm, my zaś objęliśmy się wszyscy za ramiona, z Małym płaczącym ze wzruszenia i zaśpiewaliśmy.

Następnie rozpoczęliśmy rytualne wnoszenia zdrowia: wyższy stopniem zapraszał niższego, lub też, gdy obaj mieli taki sam stopień, zapraszał posiadający więcej odznaczeń tego, który miał ich mniej, aby z nim wypił. Rozpoczął Porta. Wzniósł swój kufel do oficera medyka.

- Wślizgnąłeś się do naszego związku zawodowego tylnym wejściem z twego ogłupiającego, uniwersyteckiego instytutu naukowego. Nosisz nasz mundur, ale nawet nie potrafisz odróżnić karabinu maszynowego od procy. Nie masz pojęcia, jak zaprosić stado głodnych kutasów do posiłku. Twoje zdrowie.

Lekarz wstał niepewnie, stanął chwiejnie, uniósł kufel i osuszył go jednym haustem, jak nakazywały przepisy.

Następnie przepił do niego Heide. Po nim Marlow. Gdy nadeszła kolej Starego, młody lekarz nie był w stanie wypić więcej. Padł jak przekłuty balonik, został wyniesiony na noszach przy wtórze marsza żałobnego i wyrzucony na śmietnik.

Wolf chciał przepić do Porty, ale spotkała go pogardliwa odmowa. Poklepując z dumą swą pełną baretek pierś, Porta oświadczył:

- Ty cholerna świeco zapłonowa, czy myślisz, że jestem rozdzielaczem, któremu możesz po prostu powiedzieć, by dał iskrę? Pójdź i przynieś mi lok amerykańskiego piechura morskiego i będziesz miał malutką szansę, by otrzymać pozwolenie przepicia do frontowego Obergefreitra.

- Musisz mi wybaczyć - czknął Wolf i próbował złożyć ukłon, ale stracił równowagę i upadł u stóp umundurowanej świni, którą błędnie uznał za którąś z dziewczyn. Droga, młoda pani - wykrzyknął - twoje zachowanie nie może być uznane za przyzwoite. Chodzić publicznie bez majteczek! - Następnie dał świni głośnego całusa prosto w ryj, wyszczerzył idiotycznie

zęby i zawołał: - Twe wargi są chłodne i nie można im się oprzeć. - Następnie stał się ordynarny, ale w połowie zdania dostrzegł odznakę stopnia na mundurze świni, niezgrabnie zasalutował z szeroko rozstawionymi palcami. - Na pańskie rozkazy, Herr Oberleutnant. Jestem na pańskie rozkazy. Herr Oberleutnant, jest pan świnią! - W końcu osunął się na podłogę.

Wtedy nastąpił nowy pogrzeb. Ponieśliśmy go wysoko nad głowami do śmietnika i tam położyliśmy obok zwłok doktora.

Pojawił się Padre Emanuel. Stanął na chwilę w drzwiach przyglądając się nam i potrząsając głową. Marlow zaprosił go do środka. Mały uparcie podążył za nim chwiejnym krokiem, ale wyczerpany osunął się na śmietnik. Gdy ujrzał leżące bez życia ciało doktora, ogarnęła go żal i błagał o przebaczenie za to, że go zabił. Przysiągł, że nigdy więcej tego nie powtórzy. Następnie odkrył Wolfa i zaszlochał z głębi złamanego serca.

- Dobry Boże, jestem masowym mordercą! Następnie zaczął myśleć o wszystkich obelgach, którymi obrzucał go w przeszłości Wolf i zamiast płakać, zaczął pluć na trupa.

Wtedy wydarzyło się coś takiego, że prawie zemdlął: trup wstał. Mały wydał kwik przerażenia, chwycił swój pistolet i opróżnił magazynek w ducha, ale na szczęście wszystkie osiem strzałów chybiło.

- Co to jest u diabła? - Krzyknął Wolf, wyciągając zza cholewy granat ręczny, którym rzucił w Małego, ale zapomniał pociągnąć za sznur zapalnika.

Mały rzucił się do chaty.

- Tam jest trup, ciskający we mnie granatami ręcznymi! - Wrzasnął. - Teraz idę do domu. Mam dość wojny.

Wolf zataczając się wszedł do środka. Wycelował oskarżycielsko palec w Małego.

- Morderca!

Mały chwycił pistolet maszynowy, który wyrwaliśmy mu z najwyższą trudnością. Uspokoił się dopiero, gdy Wolf zaproponował, że do niego przepije.

Nagle eks-spadochroniarz Marlow skoczył na równe nogi, przysłuchując się uważnie. Obok niego na ziemi leżała dziewczyna z szeroko rozłożonymi nogami. Mały leżał na drugiej, robiąc z nią to, co nazywał umizganiem się.

- Nadchodzą czołgi! - Ryknął Marlow.

To nas otrzeźwiło. Chwyciwszy za broń usłyszeliśmy znajomy szczepek, na który krew zastyga w żyłach nawet najdzielniejszym.

- Piechota morska - zaśmiał się Porta i przywiązał cztery granaty ręczne do butelki pełnej benzyny.

- *Nom de Dieu*, oni usłyszeli nasze małe święto - zachichotał Legionista.

Drzwi otworzyły się i do środka wsunął głowę w hełmie wartownik, z trudem chwytając powietrze. - Alarm! W dolinie słychać gąsienice czołgów.

Barcelona odepchnął go na bok.

- Spierdalaj, chłopczyku. My to załatwimy.

Mały leżał płasko na brzuchu, szukając pod łóżkiem panzerfausta. Jeden za drugim chwiejnie wyszliśmy na dwór, gdzie usłyszeliśmy odgłos silników. Stary szedł pierwszy, trzymając w każdej ręce wiązkę granatów. Marlow szedł za nim, niosąc minę talerzową.

- Silniki Maybacha - oświadczył Oberfeldwebel Wolf.

- I ślady gąsienic Tygrysa - odrzekł Porta z pewnością siebie zawodowca.

- Coś tu się nie zgadza - powiedział Wolf. W warsztatach naprawczych nie mamy żadnych czołgów i na tym odcinku frontu jesteśmy jedynym batalionem Tygrysów.

Wyjrzeliśmy zza drzew na krętą, wijącą się szosę. Było ich przynajmniej pięć czy sześć. Słyszeliśmy głosy klnące po niemiecku.

- Zmień bieg, ty dupo wołowa!

Nastąpił zgrzyt skrzyni biegów, silnik ryknął, Porta i Wolf spojrzeli po sobie.

- Amatorzy - mruknął Wolf.

- Nigdy nie nauczą się jeździć Tygrysami stwierdził Porta, - Uważam, że to są Cyganie

- W każdym razie ponura sprawa - wtrącił Barcelona, wymachując butelką koktajlu Mołotowa. Dam im lekcję.

Porta zajął stanowisko na środku drogi, szeroko rozstawiwszy i mocno wparłszy w nią nogi. Granatem ręcznym podrapał się we włochatą pierś. W lewej ręce miał dzban czystego spirytusu.

Brzęk gąsienic czołgowych stał się ogłuszający. Barcelona ustawił karabin maszynowy za przewróconym drzewem. Musiał zrobić to sam, bo nie miał pomocnika. Wbił nogi trójnoga w ziemię, sprawdził ustawienie poziome i poprawił kąt poniesienia, a po tym postawił koło siebie trzy koktajle Mołotowa.

Marlow i Wolf zawiesili na drzewie pocisk 75 mm i podwiązali do niego kilka drutów, w ten sposób zmieniając go w ciągu kilku sekund w śmiercionośny *Baumkrepierer*. Biada każdemu, kto by wpadł na jeden z tych drutów!

Legionista leżał wysoko na pagórku z dwoma sprzężonymi miotaczami ognia. Jeśli spróbują się wycofywać, będą praktycznie martwi, gdyż będą musieli przedostać się przez ścianę płonącej ropy naftowej.

Pierwszy czołg pojawił się na ostrym zakręcie - najpierw tłumik ognia wylotowego na długiej lufie armaty. Był to nasz najnowszy model, Tygrys II. Właz był otwarty, a w nim ujrzelśmy postać w czarnym mundurze. Ale popełnili fatalny błąd, wysyłając ich w roli komandosów. Dowódca w wieżyczce miał na głowie tyrolski kapelusik, jakiego żaden niemiecki pancerniak nie nosił od roku 1942. Było to nakrycie głowy, jakie po cichu zabierało się na urlop, by zadzierać nosa.

Ciężki, szeroki, ogromny Tygrys pojawił się, pchając się z trudem po krętej szosie, następny tuż za nim.

Porta nadal stał na środku drogi. Podniósł rękę, by zatrzymać stalowego, górującego tuż nad nim potwora. Zajrzał do lufy jego armaty kalibru 88 mm i uśmiechnął się do dowódcy, wychylonego z wieżyczki.

- Witamy w naszej knajpie! - Zawołał.

Dowódca czołgu miał typowo drezdeński akcent.

- *Gruss Gott.* - Napracowałem się, szukając was. Przypuszczam, że jesteście 5. Szwadronem 27. Pułku Służby Specjalnej? Jestem Oberfeldwebel Brandt z 2. Szwadronu. Mamy zameldować się u was. Mamy nowe czołgi z miotaczami ognia. Czy powiedziano wam o nas?

Porta łyknął czystego spirytusu i pocałował swego kota w tył głowy.

- On jest dobry, Stalin, co? Cholernie dobry. Mógłby mieć znakomity numer cyrkowy.

Mały zaczął macać zakrętkę granatu.

- Będzie miał gorąco pod dupą.

Stary odepchnął Portę i Małego na bok. Ciężkim krokiem i wymachując rękami podszedł do wielkiego czołgu.

- Hallo, kumplu. A może by tak hasło, po prostu żeby zrobić wszystko jak należy?

- Scharnhorst - odpowiedział tamten z szerokim uśmiechem.

Marlow trącił Heidego.

- Czy widzisz? To blade gówno ma esesmańską trupią główkę na wyłogach. Jeśli to są piechurzy morscy Mike'a, to ja zwymiotuję.

- *C'est le bordel* - mruknął Legionista. - Ale wdepnęli.

Pierwszy czołg został skierowany prosto do zapory drogowej, gdzie wisiało osiem min talerzowych. Wsiedliśmy na niego. Człowiek w wieżyczce zrobił się nerwowy, zauważywszy nasze koktajle Mołotowa.

- Chcesz cygaro? - Spytał Porta, wyciągając granat trzonkowy, z którego niebezpiecznie zwisało porcelanowe kółko.

Następny czołg, Tygrys I, podjechał ciężko szosą i zatrzymał się tuż za pierwszym, co było niebezpiecznym błędem taktycznym. Nie wierzyliśmy własnym oczom, gdy cztery kolejne zrobiły to samo.

- Czy macie tu jakieś cipy? - Zapytał dowódca pierwszego czołgu.

- Mamy broń - uśmiechnął się Porta.

- Przyjechaliście z Rzymu? - Zainteresował się Marlow, podrzucając w powietrze granat ręczny jak żongler z płonąca obręczą.

- Czemu macie czołgi różnych typów? - Zapytał dociekliwie Porta. - Czemu wieziecie je do nas? Jesteśmy pułkiem szkolnym. Znamy pierwszy model. Pozbyliśmy się ich trzy miesiące temu. Gdzie byłeś rekrutem?

- W 2. Pancernym w Eisenach.

Stary wypchnął mnie do przodu.

- Wobec tego on jest jednym z was. Uśmiechnąłem się.

- Nie pamiętam cię. W którym szwadronie byłeś?

- Czwartym.

- Ach tak. Waszym szefem był Hauptmann Krajewski. Kto był oficerem dowodzącym?

- Major von Strachwitz.

Był dobrze poinformowany. Rzeczywiście hrabia dowodził tą jednostką.

Stary trącił mnie, ale nie całkiem wiedziałem, co ma na myśli.

- Czy pamiętasz nazwisko adiutanta? - Zapytałem. - Zawsze je zapominam.

- Oberleutnant von Kleist - uśmiechnął się Oberfeldwebel z drezdeńskim akcentem.

- Kiedy opuściliście pułk? - Spytałem.

- Zaraz po Raciborzu.

- Czy wiesz, gdzie jest teraz Hyazinth Graf von Strachwitz? - Kontynuowałem.

Spytany z trudem ukrywał nerwowość.

- Co u diabła oznacza to przesłuchanie? - Zawołał poirytowany. - Otwórzcie tę zaporę i wpuście nas do środka. Mamy się zameldować. - Wyciągnął różne dokumenty i wskazał na pieczęć. - Jak widzisz, przyjechaliśmy prosto z Dowództwa Armii. Więc do góry ten szlaban.

- Spokojnie - uśmiechnął się Porta. - Ta kampania to nie sprawa ekspresowa. Nigdy nie należy stąpać po cienkim lodzie. Wyskakujcie z tych czołgów, a my je poprowadzimy. Major Mike woli widzieć w wieżyczkach znajome twarze.

- Czy to ten major, który był w amerykańskiej piechocie morskiej?

- Tak, brachu. Koszary Shuffield. Hawaje.

Tamten przełknął ślinę.

Mały zaczął sobie jeździć na lufie armaty. Wsadził do jej wylotu granat i niedbale bawił się porcelanowym kółkiem.

- Co ty u diabła wyprawiasz? - Zawołał Oberfeldwebel. Powiedział coś do załogi we wnętrzu, czegośmy nie dosłyszeli, ale zobaczyliśmy, jak złe oko miotacza ognia ruszyło z miejsca.

Legionista, który znalazł sobie miejsce na tylnym włązie, zajrzał ciekawie do wieżyczki.

- *On lui coupe les couilles!* - Odwrócił dłoń kciukiem w dół i w tej samej chwili ryknął jego pistolet.

Człowiek w wieżyczce upadł do przodu, podziurawiony jak rzeszoto. Koktajle Mołotowa zaczęły wlatywać przez otwarte włazy wieżyczek. Wolf wziął zamach do tyłu i mistrzowskim rzutem umieścił minę talerzową tuż pod podstawą wieżyczki trzeciego Tygrysa.

Nastąpiła rozdzierająca uszy eksplozja i piętnaście ton stali uniosło się w powietrze. Długolufa armata kalibru 88 mm pofrunęła w sosnowy las, a kawałki ciał były rozrzucone we wszystkich kierunkach. Płonąca ropa tryskała wokół nas, a wybuch następował za wybuchem, jak erupcja wulkanu.

W samym środku tego piekła stała chwiejąc się postać młodego lekarza, ściskającego torbę pierwszej pomocy. Krzyknął coś niezrozumiałego, twarz miał zalaną krwią i brakowało mu połowy nosa.

Żar uderzył w nas jak zaciśnięta pięść. Płonąca ropa i mdlący zapach spalonego ciała.

Wszystkie sześć czołgów stało w płomieniach.

- Zdrajcy - mruknął nasz lekarz i rzucił się na ziemię obok Porty.

- Amerykańscy Niemcy - poprawił go Porta. - W tej wojnie nie ma zasad. Tylko nieuczciwa gra i brudne chwyt. Gdyby ci amatorzy spróbowali ze szwadronem, który ma swe czołgi w naprawie i nie wybrali Pułku Służby Specjalnej, to by im się udało.

- Powinni byli zadać sobie trud przyczepienia regulaminowych trupich główek do wyłogów mruknął Mały. - Wszyscy wiedzą, że nie ma tu jednostek pancernych SS.

Porta wstał i obojętnie popatrzył na płonące czołgi.

- Teraz chce mi się pojebać - ogłosił.

W sosnowym lesie zatknęliśmy 42 brzozone krzyże z nazwiskami amerykańskich czołgistów. Każdemu według zasług.

## Rozdział 5

*Monte Cassino, nazwa, klasztor, na pół zapomniane miejsce na południe od Rzymu? Nie, piekło tak nie do opisanie, że nawet ludzie o największej wyobraźni nie będą umieli opisać jego okropności. Było to miejsce, gdzie martwi umierali po pięć razy. Miejsce głodu i pragnienia.*

*Cmentarz młodych ludzi między dwudziestym i trzydziestym rokiem życia.*

*W okopach leżały wysokie stosy ciał. Było ich tak wiele, że przestaliśmy je usuwać. Deptaliśmy po nich i cofaliśmy się, zdrętwiali z przerażenia, gdy rozlegały się ich „E-e-ech!”. Przepraszam, brachu, myślałem, że jesteś martwy.*

*I byli martwi. Krzyk dobywał się z szeroko otwartych ust, gdy nadepnęło się na ich pełne gazów ciała.*

*Co było najgorsze? Huraganowy ogień? Głód? Pragnienie? Błyszczące bagnety? Płonąca ropa naftowa miotaczy ognia? Czy bezwłose szczury wielkości kotów? Nie wiem. Ale jedyną rzeczą, której ani ja, ani żaden żołnierz, który tam był, nie potrafi zapomnieć, był smród.*

*Słodkawy smród trupów, pomieszany z zapachem chloru. Przez całe miesiące lepił się później do rannych w szpitalach, doprowadzając do mdłości lekarzy i pielęgniarki. Zabrano i spalono ich mundury, ale smród przeniknął ich do kości. Smród Monte Cassino.*

*Dziewięć na dziesięć kolumn zaopatrzeniowych pozostawało w wąwozie śmierci, krwawe, nierozpoznawalne bryły. Można jeść korę, liście, nawet ziemię dla oszukania głodu, lecz nie pragnienie! Biliśmy się jak dzikie zwierzęta o kałuże. Daleko na ziemi niczyjej odkryliśmy pełen wody lej po pocisku. Piła ją chciwie cała horda szczurów. Cisnęliśmy w nią granatem ręcznym, a potem, nie zwracając uwagi na wybuchające pociski, rzuciliśmy się tam i pili, pili, pili!*

*Po południu wybuchy pocisków opróżniły lej. Na dnie leżały rozkładające się trupy. Były tam od dawna. Wywróciły nam się flaki. Ale następnego dnia znaleźliśmy inny lej i piliśmy znowu.*

*To było Monte Cassino, święta góra.*

**Tajna misja**

Szczyt grzbietu zasłaniała gęsta, błękitna mgła. Co chwilę wchodziliśmy w płaty niskiego oparu. Stado kruków krążyło uradowane nad zapomnianym trupem. Odgonił je wielki ptak morski.

Po całonocnym kopaniu, które kosztowało nas dwunastu ludzi, byliśmy źli i zmęczeni.

Padły pierwsze, złośliwe 105-milimetrowe pociski. Odgłosem przypominały zatraskiwanie olbrzymich wrót. Na szczęście dla nas nie miały zapalników natychmiastowych. Gdyby tak było, większość z nas zostałaby załatwiona tu i teraz.

Gdy zaczęły nadlatywać, Porta i ja rozwijaliśmy zwój drutu kolczastego. Przez następne dwie godziny leżeliśmy na ziemi niczyjej. Wtedy zaatakowali. Całe ławice piechoty. Mieliśmy przy sobie tylko lekką broń gdyż kopaliśmy, tak więc jako broni musieliśmy użyć drutu kolczastego i słupków. Każdy z naszych zaostrzonych, stalowych słupków był równie dobry, jak bagnet.

Większość strat ponieśliśmy wracając z natarcia, gdyż strzelała do nas nasza własna piechota, celując nisko w przekonaniu, że jesteśmy Anglikami. Gdy dotarliśmy do jej pozycji Mike trzasnął w głowę dowódcę kompanii, rozkładając go nieprzytomnego, zaś Leutnant Ludwig padł u stóp swego dowódcy z połową wnętrzości zwisającą z ziejącej dziury w brzuchu. Ludwig miał tylko osiemnaście lat i była to pierwsza jego akcja bojowa. Dowódca zwymiotował.

Okopywanie się i drutowanie nie były uważane za coś istotnego, na równi ze służbą wartowniczą. Nikt tego szczególnie nie lubił, ale trzeba to było robić. Zawsze były przy tym straty. Robotę przydzielano jednostkom wypoczywającym.

Słyszeliśmy na północy gwałtowny ogień artyleryjski. Brzmiał tak, jakby coś miało się zacząć w Forti. Ale to nas nie obchodziło. Nigdy nas nie wzruszało, nawet gdy usłyszeliśmy, że została zmieciona cała dywizja. Ci ludzie, to nie byli nasi znajomi. Byliśmy do szpiku kości egoistami. To nas uczyniło obojętnymi na cudzy ból.

Gdy dotarliśmy do drogi, gdzie powinny były czekać na nas ciężarówki, nie było ich. Ze złości cisnęliśmy hełmy na ziemię i posłaliśmy służbę transportu do piekła i z powrotem. Nie znosiliśmy ich i uważaliśmy za dekowników, podobnie jak kucharzy.

Z mgły wynurzył się Leutnant Frick w towarzystwie dwóch obcych oficerów Luftwaffe. Przeszli powoli przed szwadronem, wybierając różnych ludzi, którym mówiono, by stanęli na zbiórkę po lewej stronie drogi.

Stary kiwnął głową.

- Znów szykuje się brudna robota. To śmierdzi misją specjalną.

Wybrano prawie wszystkich z 2. Drużyny. W sumie siedemnastu.



- *La merde aux yeux* - zaklął Legionista, trzęsąc się z zimna. - Żegnaj nasza poranna kawo.

Leutnant Frick przywołał Starego. Poszeptali. Następnie wywołano Gregora Martina i Marlowa, którzy podeszli do nas.

- Więc nie potrafisz sobie bez nas poradzić uśmiechnął się Marlow, siadając obok Legionisty.

Oficerowie Luftwaffe dokładnie obejrzelili każdego z nas. Podjechało parę trzęsących się ciężarówek.

- 5. Kompania, wsiadać. Wybrani przejść na lewo - zakomenderował Mike.

Ci, którzy mieli szczęście, radośnie wsiedli do ciężarówek i pomachali nam rękami.

Plunęliśmy na nich. Małemu to nie wystarczyło. Cisnął w nich wielkim kamieniem.

- Za broń. Rzędem za mną - wydał komendę Leutnant Frick.

Ciężarówki Luftwaffe zawiozły nas do Teano. Tam przez cały dzień leżeliśmy za budynkiem stacji, czekając. Połowę życia żołnierz spędza na czekaniu.

Graliśmy w oko. Gdy nadeszła pora kolacji, włamaliśmy się do stojącego na boczniczy wagonu z zaopatrzeniem. Dwie skrzynki koniaku spowodowały, że życie wydało nam się odrobinę przyjemniejsze. Porta znalazł cztery prosiaczki, które upiekliśmy na rożnie.

- To jest rabunek - mruknął Stary. - Można was za to powiesić.

- Przynajmniej wyciągnę kopyta z pełnym brzuchem - odrzekł Porta.

Gdy nas obudzono i kazano pomaszerować do gęstego lasu, była północ. W lesie stało, oczekując nas, piętnaście ciężarówek SS. To była niespodzianka. Ciężarówki należały do 20. Dywizji Grenadierów SS, składającej się głównie z ludzi z ościennych państw. Raz spotkaliśmy tę dywizję, na Białorusi. W ciężarówkach leżały w tyle płaszcze i hełmy SS.

- Co to jest, u diabła? - Warknął zdumiony Stary. Czy oni chcą spróbować wepchnąć nas do SS?

Barcelona i Mały już z przyjemnością przymierzali płaszcze. Mały założył jeden z odznakami Unterscharführera i dumnie w nim paradował. Pogardliwie wskazał palcem na Starego, który patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Stań na baczność, ty antyku, gdy przechodzi Unterscharführer! Albo wolisz pobyt w obozie koncentracyjnym, by nauczyć się dobrych manier? Jestem ważną osobą. Nawet raz pocałowałem Führera w dupę. Zapamiętaj to!

Leutnant Frick pojawił się zza jednej z ciężarówek.

- Zdejmij ten płaszcz, Creutzfeldt i trzymaj głowę na kłódkę!

- Tak jest, Untersturmführer. Unterscharführer SS Creutzfeldt melduje posłusznie swoje odejście. Cisnął płaszcz i hełm w głąb ciężarówki, podszedł ponownie do Leutnanta Fricka i strzelił obcasami.

- Herr Leutnant, Obergefreiter Creutzfeldt melduje swój powrót.

Leutnant Frick gestem pełnym irytacji polecił mu odejść.

- Wsiądź do tej ciężarówki na sam tył i zrób mi tę przyjemność, idź spać.

Tuż przed świtem wynurzyliśmy się na otwartą przestrzeń przed klasztorem Monte Cassino, gdzie już czekały liczne, wielkie ciężarówki Luftwaffe. Jacyś młodzi oficerowie z Dywizji Pancerniej Hermann Goering krzatali się pospiesznie. Kazali nam zamaskować nasze ciężarówki i ukryć się. Paru żołnierzy już zacierało ślady kół samochodowych.

Mały nie potrafił się powstrzymać. Znow nałożył płaszcz i hełm SS. Major Luftwaffe ochrzanił go zdrowo i zagroził wszelkimi nieszczęściami, jeśli jeszcze raz pokaże się w tym mundurze.

Czekaliśmy cały ranek i nic więcej się nie wydarzyło, z wyjątkiem latających w górze bombowców alianckich, ciągnących za sobą po niebie smugi kondensacyjne. Byliśmy dość przewidujący, by zaopatrzyć się z wagonu kolejowego, a Porta miał w kieszeni płaszcz kawałek prosiaka.

- Będziemy wysadzać w powietrze całe to zasrane miejsce - oznajmił Mały z rozpromienioną twarzą.

- Niech ich diabli wezmą - zawołał ze złością Porta. - Mogli wziąć do tego pionierów. Dziś jest galowa noc u Błodej Idy. Dostała całą masę świetnych dziwek z Rzymu, wszystkie pachnące wodą różaną.

Mały całkowicie puścił wodze swej lubieżnej wyobraźni. Ślina pociekła mu z ust.

- W tym świętym budynku są mniszki.

Heide zmrużył oczy.

- Zgoda na pogrom pasowałaby ci, prawda?

Mały przełknął ślinę i oblizał się.

- Nie wspominaj o tym. Prawie mi rozsadza spodnie.

Porta odgryzł wielki kęs prosiaka. Twarz miał błyszczącą od tłuszczu.

- Czy opowiadałem wam kiedyś o czasach, gdy byłem ogrodnikiem w żeńskim klasztorze?

Roześmieliśmy się i stłoczyli bliżej pod ciężarówką, wygodnie podkładając pod głowy maski gazowe.

- Czy to było nad rzeką Dubowia? - Zapytał Stary.

- Nie, nie! To było wtedy, gdy zostałem wypożyczony do 2. Pułku Pancernego.

Z całą pewnością nie pamiętam, abyś tam był! - Roześmiał się Stary, zerkając na nas z ukosa.

- Nigdy nie mogłeś pochwalić się dobrą pamięcią - odciął się Porta. - Ale my, znaczy 2. Pułk i ja, byliśmy gdzieś nad Morzem Czarnym wśród tamtejszych chłopów. Chodziłem sobie samopas, rozglądając się za czymś ważnym.

- Cipa? - Zapytał nagle zainteresowany Mały.

- To jest jedyna myśl, jaką masz pod twoją grubą czaszką - powiedział Porta. - Szukałem kłęski.

- Czy uważano, że da się ją znaleźć nad Morzem Czarnym? Zapytał rozbawiony Stary.

- Właśnie owego ranka usłyszałem w radiu Angoli, że kłęska jest bliska. Bitwa w dolinie Struma miała być decydująca. Wobec tego z lupą w ręku szukałem pod każdym kamieniem. Usłyszałem wrzaski kobiet. Aha, pomyślałem sobie, tam są takie, które znalazły kłęskę. Ale sądząc z dźwięków, raczej opuszczano majtki, a nie flagi. Wrzaski dolatywały z żeńskiego klasztoru. Wskoczyłem na mur i wsadziłem głowę do środka. I wyobraźcie sobie, co zobaczyłem. Nasi wierni sprzymierzeńcy zajęci byli pomaganiem mniszkom. Nie pamiętam co im powiedziałem, ale wycofali się ze znaczną szybkością. Wylądowałem na klombie tulipanów i otrzymałem znakomite przyjęcie.

Pasjonujące opowiadanie Porty zostało przerwane przez Leutnanta Fricka rozkazem zbiórki.

Przyjrzał nam się Oberleutnant z Dywizji Pancerniej SS Hermann Goering z białymi patkami na kołnierzu.

Nad klasztorem krążył samolot obserwacyjny.

- Obserwator artyleryjski - stwierdził Heide. Jeśli nas zauważy...

Paru zakonników wyniosło nam gorącą herbatę. Wylaliśmy jej połowę i dopełniliśmy kubki rumem. Nadal nie wiedzieliśmy, po co tu jesteśmy. Z wnętrza klasztoru dobiegało stukanie młotków i piłowanie, a ostrzał artyleryjski trwał w oddali nieprzerwanie.

- Mocno się za to wzięli za tamtymi górami powiedział z namysłem Stary. - Coś się szykuje. Czuję to w kościach.

Kiedykolwiek Stary to powiedział, tak było. Był starym weteranem i jako taki umiał wywęszyć brudną robotę o milę.

- Po co tu jesteśmy? - Zapytał Heide, nie zwracając się do nikogo szczególnie i wstrząsnął się.

- Nie mam pojęcia - mruknął Stary. - Nie podobają mi się ci wszyscy ludzie z białymi patkami i mundury SS w ciężarówkach. To śmierdzi szachrajstwem. Sto razy grozili nam Bóg wie czym, jeśli tylko zbliżymy się do klasztoru, a teraz tu jesteśmy, i do tego uzbrojeni po zęby. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zaczęło się polowanie na katolików?

- Boże ratuj nas, jeśli tak jest - rzekł Barcelona. - Bo jeśli tak jest, będziemy brodzić po szyje we krwi.

Stary powoli zapalił fajkę.

Gdy noc zapadła nad górami skrywając je, podsunęliśmy ciężarówkę tyłem pod drzwi klasztoru. W żadnym wypadku nie wolno było zapalać jakichkolwiek świec. Podstarzały Leutnant Luftwaffe polecił nam złożyć broń w kabinach kierowców. Nikomu uzbrojonemu nie wolno było wejść do klasztoru. Dość niechętnie wepchnęliśmy nasze pistolety maszynowe do kabiny. Bez broni czuliśmy się nadzy.

- Zdejmijcie wyposażenie i broń - rozkazał z naciskiem obcy lotnik.

Mały próbował wdrzeć się do środka z Waltherem P. 38 sterczącym mu z kieszeni spodni.

Leutnant ostro krzyknął na niego.

- Wojna bez przyrządów do strzelania, to wariactwo. - Mały nie mógł się powstrzymać od odpowiedzi.

- Zamknij gębę, Obergefreiterze - wściekł się oficer Luftwaffe.

Legionista nadszedł tanecznym krokiem z papierosem, zwisającym z kącika ust. Otwarcie zaśmiał się z Leutnanta. Na piersiach wisiał mu ciężki, rosyjski pistolet.

- Sąd polowy, Herr Leutnant? *Merde alors!* Pan chyba żartuje.

- Co to za zachowanie, człowieku? - Krzyknął oburzony lotnik.

- O to właśnie chciałem pana zapytać, Herr Leutnant. Jestem w najwyższym stopniu zainteresowany, co sąd polowy powiedziałby na to, co się tu dzieje. - Legionista niedbale zapalił następnego papierosa i puścił dym w twarz oficera Luftwaffe. Odmawiamy oddania naszej broni, Herr Leutnant i nie weźmiemy udziału w sabotowaniu rozkazów. Pan i pańscy tu obecni koledzy macie więcej powodów, by bać się sądu polowego, niż my.

- Czyś ty stracił rozum? - Zawołał Leutnant głosem drżącym ze zdenerwowania. - Co za nonsensy opowiadasz?

Legionista uśmiechnął się impertynencko. Zwrócił się do nas wszystkich, którzy słuchaliśmy z napiętą uwagą.

*Il nous casse les coquilles!*

- Znam francuski, ty chamie. - Lotnik prawie wychodził z siebie z wściekłości.

- *Je m'en merde* - zaśmiał się Legionista.

Przez chwilę myśleliśmy, że oficer rzuci się na Legionistę, który obojętnie kontynuował przegląd magazynka swego ciężkiego pistoletu.

Staliśmy z ustami otwartymi ze zdumienia. Nie mogliśmy tego zrozumieć. Legionista był stuprocentowym żołnierzem. Nigdy nie posuwał się za daleko. Potrafił być bezczelniejszy niż wielu, ale nigdy nie ryzykował. Musiał wiedzieć o czymś bardzo ważnym. Nie bardzo wiedząc dlaczego, znów chwyciliśmy za broń i ustawiliśmy się tuż za Legionistą.

Leutnant odwrócił się i pobiegł w górę schodami.

- Teraz rakietę da sygnał do natarcia - szepnęła Rudolph Kleber. - To mi przypomina bunt Pułku Kawalerii SS Florian Geyer.

- Nic się nie stanie - odrzekł Legionista ze spokojną pewnością. - Jeśli zrobią się bezczelni, zastrzelimy ich. Dostaniemy za to medale.

- Co się dzieje? - Zapytał Heide. - Mógłbyś nam przynajmniej powiedzieć. Prawie sikam w spodnie z podniecenia. - Ochoczo wymachiwał swym pistoletem automatycznym, włoską Berettą.

Porta zarzucił sobie na plecy zbiornik swego miotacza ognia i zaciągnął rzemienie.

- Opalmy im włosy na jajach - zaproponował i nastawił miotacz na bliską odległość.

- *Hamdoulla*, powoli - powiedział Legionista. Jeśli mamy zastrzelić tę bandę *des fumistes*, będę strzelał pierwszy.

- Więc na litość boską wyjaśnij - rzekł rozdrażniony Marlow.

- *C'est le bordel*. Oni sabotują rozkaz specjalny, wydany osobiście przez Adolfa i Kaltenbrunnera.

Grupa oficerów pospiesznie zbiegła po schodach. Nasz Leutnant Frick szedł spacerkiem za nimi, uśmiechając się. Znał nas. Oczywiście było, że nie będzie tolerował żadnych głupich wybryków.

Mały oficer Luftwaffe gdakał jak stara kwoka. Potężnie zbudowany major uciszył go. Nikt z nich nie był uzbrojony. Nie mieli nawet pasów.

Niektórzy z nas ukryli się w klasztorze za filarami. Legionista prowokacyjnie usadowił się na parapecie studni na centralnym dziedzińcu. Trzymał palec na spuście. Był tak pewien siebie, jak rosyjski komisarz osobiście mianowany przez Józefa Stalina.

Barczysty major stanął przed nim. Był dwa razy większy od Legionisty. Płaszcz miał rozpięty. Nie było wątpliwości, że jest nie uzbrojony.

W milczeniu patrzyli na siebie.

Porta w zamyśleniu manipulował swym miotaczem ognia.

- *Bon, mon Commandant*. Co teraz? Sąd polowy? A może mydlenie oczu?

- Chciałbym zamienić z tobą parę słów na osobności.

Legionista uśmiechnął się tajemniczo.

- *Non, mon Commandant*. Nie zależy mi na kulce w tył głowy w jakiejś ciemnej piwnicy. Słyszałem o tak zwanych specjalnych sądach oficerskich. Nie jestem oficerem. Jestem tylko *capoml-chef*, kimś nieznanym, bez imienia ani zaszczytów. *La Legion Etrangere*.

Jakiś Hauptmann podszedł o parę kroków, ale został powstrzymany przez majora.

- Podoficerze, daję ci słowo honoru, że nic ci się nie stanie.

- Oficerskie słowo honoru dla nędznego żołnierza? - Legionista wzruszył ramionami.

Major wziął głęboki oddech. Zarumienił się.

Mały otworzył usta, by włączyć się do rozmowy, ale Porta ostrzegawczo kopnął go w goleń.

Legionista nie przejmując się zapalił nowego papierosa.

- Czego chcesz, podoficerze? Czy myślisz, że powinniśmy zniszczyć tysiącletnią kulturę, ponieważ jakiś obłąkaniec to rozkazał?

- Obłąkaniec? Ta uwaga może pana kosztować głowę, *mon Commandant*.

Major postąpił o krok naprzód i zrobił gest, jakby chciał w zaufaniu położyć dłoń na ramieniu Legionisty, ale ten zrobił unik ruchem ciała i odepchnął go lufą swego pistoletu.

- Podwładny musi stać o trzy kroki od swego przełożonego, *mon Commandant*.

Hauptmann znów chciał się wtrącić.

- Powiedziałem ci, żebyś siedział cicho - rzekł ze złością major. - Następnie, zwracając się do Legionisty, powiedział: - Podoficerze, czy wiesz czym jest Monte Cassino? Wiesz, że jest najstarszym ośrodkiem kulturalnym Europy? Jest to pierwszy klasztor Benedyktynów i najświętszy zabytek chrześcijaństwa. Czy chcesz, by księgozbiór 70 000 niezastąpionych woluminów obrócił się w popiół? Księgozbiór, którego zgromadzenie zabrało Benedyktynom wiele stuleci? Nie mówiąc już o malowidłach wielkich mistrzów, wiekowych krucyfikach, historycznych rzeźbach w drewnie i cudownych dziełach złotników. Czy z czystym sumieniem pozwolisz to zniszczyć z powodu szalonego rozkazu? Jesteś twardym i dobrym żołnierzem, podoficerze, o tym wiem. Jesteś dumny z tego, że służyłeś w słynnym korpusie dzielnych ludzi pod francuską flagą. Ale nie zapominaj, że ta sama Armia Francuska przez wieki broniła wiary chrześcijańskiej. Czy teraz ty, francuski żołnierz, którym jesteś, uniemożliwisz nam uratowanie tego wszystkiego? Ty i twoi towarzysze możecie nas wszystkich zabić tutaj, w klasztorze. Możesz zacząć ode mnie, a skończyć na arcyopacie

Damare. Nic ci się nie stanie, jeśli to zrobisz. Możesz za to nawet zostać odznaczony, ale mogę cię zapewnić, że wtedy Armia Francuska nie będzie chciała mieć z tobą nic wspólnego. Odbiorą ci czerwoną wstążeczkę, którąnosisz nad lewą kieszenią. Nie obawiam się śmierci, podoficerze. Moi oficerowie też nie. Wiemy, że robiąc to, ryzykujemy własnymi głowami, ale nie zamierzamy pozwolić, żeby to wszystko zostało zniszczone. Jesteśmy po prostu ludźmi. Można nas zastąpić, ale ani jednej drzazgi, ani jednego tutejszego dokumentu nie da się zastąpić. Zakon benedyktyński miał tu swój dom od roku 529. Wkrótce Monte Cassino będzie w samym sercu zażartej bitwy. Jego murów, pomników, bazyliki, wszystkich tych wspaniałych budowli - podniósł ręce rozpaczliwym gestem, zaś wiatr łopotał jego płaszczem i mierzwił mu siwe włosy - tych nie potrafimy uchronić od zniszczenia. Zostaną zrównane z ziemią, a tysiące młodych ludzi zostanie zabitych lub okaleczonych. Ale te jedyne na świecie, nie do zastąpienia skarby, które święty klasztor zawiera, mogą w całości zostać zabrane do Rzymu w ciągu dwóch lub trzech nocy.

- A jeśli nas złapią, *mon Commandant!* - Zapytał z uśmiechem Legionista. - Chętnie byśmy panu pomogli, jeśli to aż tak wiele dla pana znaczy, ale nie pozwolimy, by pańscy oficerowie nas nabierali czy nam grozili. Jak pan powiedział, jesteśmy od dawna żołnierzami. Tylko w tym jesteśmy dobrzy. Naszym zawodem jest palenie, rabowanie i zabijanie. Urodziliśmy się na śmietniku Armii i tam wyciągniemy kopyta, ale wiemy, jaki wyrok wyda sąd polowy za sabotowanie rozkazów Führera. Nie jesteśmy idiotami. Mamy zostać wsadzeni w płaszcze SS i wykonać nielegalny transport, na który pójdą tysiące litrów cennej benzyny. Benzyny, *mon Commandant*, której tak bardzo potrzebujemy dla naszych wojsk, dla ciężkich Tygrysów. Zmarnowanie ledwie kilku litrów może kosztować czyjąś głowę. Nie chcemy, by nas łamano kołem w Gestapo przy Via Tasso. Sporo słyszałem o Sturmbannführerze Kappelu, który rezyduje w dawnym ośrodku kultury. Nie zamierzamy dać się wyróżnić o godzinie jedenastej za jakąkolwiek ilość świętego śmiecia. Jeśli może pan nam podać wszystko w postaci zgodnego z regulaminem rozkazu, jesteśmy z panem.

- Słuchajcie, słuchajcie - rozległ się z tyłu głos Porty.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - rzekł w rozmarzeniu Mały - mogą nam postawić pomnik. Nie przeszkadzałoby mi, gdybym stanął tutaj, patrząc na dolinę Liri.

- Możesz zostać kurkiem na kościele - powiedział Porta.

- Zamknijcie się - warknął ze złością Legionista.

- Jeśli chcecie, dam wam rozkaz na piśmie. Zostaliście przepisowo przydzieleni do mojej jednostki. Nikt nie może uznać ciebie ani twoich kolegów za odpowiedzialnych, jeśli coś się nie uda.

- Miejmy taką nadzieję - mruknął Legionista choć nie jestem tego taki pewien. Zgoda, zrobimy to.

Oficerowie znikli na schodach wiodących do bazyliki.

Legionista machnął pistoletem maszynowym. Wstrzymaliśmy oddech sądząc, że ich skosi. Roześmiał się złośliwie.

- Zwariowaliśmy. Gdybyśmy ich roznieśli i zameldowali o całej sprawie, wszyscy dostaliśmy awanse i być może uchronilibyśmy się od frontu. Ten interes nigdy mi się nie podobał - wyjaśnił. - Natknąłem się kiedyś na typka w mnisim habicie. Był esesmanem. Jednym z bandy, której Heidrich kazał wejść do różnych zakonów po to, aby podkopywać je od środka. Facet opowiedział mi o rozkazie specjalnym, jednym z tych absolutnie ściśle tajnych.

- Jak u diabła skłoniłeś go do gadania? - Zapytał Stary.

Legionista uśmiechnął się chytrze i podniósł legitymację partyjną. Kiwnęliśmy głowami, rozpoznając ją. Odebraliśmy ją przeniesionemu do nas za tchórzostwo esesmanowi, którego zrzuciliśmy z urwiska.

- Gościu nie był tam długo. Przybył z jakimiś uciekinierami, ale wie wszystko co się dzieje. Zgodnie z tym rozkazem specjalnym niczego nie wolno usunąć z klasztoru, wszystko musi pójść w powietrze wraz z nim, ma zostać zniszczone. Nie przez nas, lecz przez drugą stronę.

Porta gwizdnął z uznaniem.

- Wcale niegłupie. Decydująca bitwa zostanie stoczona tutaj, na szczycie świętej góry. My mamy bronić klasztoru, podczas gdy druga strona rozwali go w drobny mak. A Goebbels będzie miał przygotowane długie opowiadanie o nieludzkich czynach tych zamorskich barbarzyńców, którzy zniszczyli najstarsze i najwspanialsze zabytki kultury, jakie posiada Europa. My mieliśmy próbować ratowania tych skarbów, ale ich bestialska artyleria nam to uniemożliwiła. I każda prosta dusza połknie to na surowo. Wystarczy, gdy Goebbels zapyta: - Czy to nasze pociski zrównały z ziemią klasztor? - Nie, proszę pana, to strony przeciwnej. - Zdziwiłbym się, gdyby po Monte Cassino nie przyszła pora na Watykan. Jestem przekonany, że to tutaj, to tylko próba. Jeśli się uda, kolej na papieża.

Legionista podrapał się po brodzie, a po tym kontynuował.

- To cholernie niebezpieczny interes. Oni myślą, że najgorszym co może ich spotkać, to sąd polowy i postawienie pod ścianą. Ale tak nie będzie. Będziemy wrzeszczeć, błagać o śmierć. Będziemy ich zaklinać, by nas zastrzelili. Człowiek żyje niewiarygodnie długo w



rękach specjalistów. Pomyśl co do klasztoru wyszedł od Kaltenbrunnera. On nienawidzi katolików nawet bardziej, niż Heydrich. Chłopcy na Via Tasso będą łamać nas kołem.

- Widziałem kiedyś, jak jakiemuś Leutnantowi brzuch pękł od sprężonego powietrza podczas przesłuchania. Oni używają także wody - wtrącił Mały.

- Kiedy indziej, Mały - powiedział Stary, uciszając go gestem.

- Proponuję - mówił dalej Legionista - żebyśmy Mały i ja zamienili tego człowieka z SD w zimną konserwę. Obiecałem zaalarmować SD w Rzymie i mam się z nim spotkać wkrótce pod tym starym krucyfiksem na dworze. Mały może zająć go od tyłu i zarzucić pętlę na szyję. Wtedy wsadzimy go pod ciężarówkę i przejedziemy, aby nikt nie nabrał żadnych podejrzeń. A potem, jak uważam, powinniśmy dać stąd dęba tak szybko, jak zdołamy. Nic nie zyskamy zajmując się tym rozpalonym do czerwoności gównem. Nikt nam nie podziękuje. Oficerów będą wynosić pod niebiosa, a o nas zapomną.

- Z drugiej jednak strony - oświadczył z chytrym uśmiechem Porta - to idiotyzm, by pozwolić na zniszczenie tych cennych rzeczy. Mnóstwo ludzi ma hopla na temat staroci. Przypuśćmy, że niektóre z nich znikną w drodze stąd do Rzymu? Chwytnie pomyśl?

- Możemy wpaść w piekielne kłopoty, gdy tylko wojna się skończy - zauważył sucho Stary. - Nie sądźcie, że wojna skończy się dokładnie w chwili, gdy paru generałów podpisze się na kropkowanej linii. Wtedy zabawa zacznie się na serio. I wtedy każdy diabelnie pośpiesznie będzie próbował się wybielić. A my, kulisi, będziemy tymi, którzy za to zapłacą.

- *Tu as raison, mon sergent* - oświadczył Legionista, kiwnąwszy twierdząco głową.

- Cholerne z was cykory - powiedział Gregor Martin. - Mój generał i ja wychodziliśmy z odwiedzanych muzeów z mnóstwem ładnych rzeczy.

- Słuchajcie, słuchajcie! - Zakrzyknęli zgodnie Marlow i Porta.

Legionista kiwnął Małemu głową.

Mały z morderczym błyskiem w oku machnął swą stalową pętlą. A potem obaj wyszli przez bramę i znikli w ciemności na wąskiej ścieżce.

## Rozdział 6

*Siedzieliśmy na gołej ziemi, czołgi zostały wkopane, więc byliśmy ukryci przed wzrokiem nieprzyjaciela. Od czasu do czasu górą przelatywał pocisk. Gdy położoną wyżej drogą przejeżdżały ciężarówki, podnosiły chmurę pyłu, który osiadał na naszych czarnych mundurach i wszystko stawało się białe.*

*Rzeka wyla się u stóp góry. Niosła wodę niebieską jak niebo, a przez nią kamienie leżące na dnie świeciły białawo jak brylanty. Nasze menażki pełne były spaghetti. Eksperci umieli owijać je na widelcach. Należał do nich Heide, ale on wszystko robił w sposób doskonały. Porta podniósł widelec z wolnymi końcami makaronu powiewającymi swobodnie, więc wysłał je z głośnymi odgłosami zadowolenia.*

*Mały używał do jedzenia palców.*

*Za każdym razem, gdy pocisk padał w pobliżu, kładliśmy się plackiem i śmieliśmy się z całego serca gdy okazywało się, że nikomu nic się nie stało.*

*Porta wskazał palcem kilka rozkładających się trupów, płynących z prądem rzeki. Ich smród dolatywał aż do nas.*

*Barcelona śmiał się. - Nie ma znaczenia czym się je, tak długo, jak je się do syta!*

*Porta dokładnie oblizał kawał wieprzowiny z sosu pomidorowego z oliwą i wsadził go do kieszeni, na potem. Porta zawsze myślał o tym, że może nadejść czarna godzina.*

*Nikt z nas się nie liczył, więc nienawidziliśmy wojny. Z drugiej jednak strony zapomnieliśmy o życiu przed wojną. Jedynym, który udawał, że coś pamięta, był Porta, ale on był natchnionym przez niebiosą kłamcą.*

*Mieliśmy gąsior pełen wina, które odrobinę zalatywało kwasem, ale co to miało za znaczenie? Jeśli pijąc zatkało się nos, ledwo czuło się jego smak.*

*Seria pocisków wzburzyła rzekę. Bryzgi wody prawie doleciały do nas.*

*Mały wylizał menażki do czysta, co oszczędziło nam kłopotu mycia ich. On zawsze wylizywał do czysta wielkie naczynia na kuchennej ciężarówce. Nigdy nie miał dosyć. Ale on był nader wielki.*

*Siedzieliśmy tam przez całe rano i większą część popołudnia. To było dobre miejsce. Prawdopodobnie szukali nas już od kilku godzin. Nic nas to nie obchodziło. To nie my mieliśmy wygrać wojnę; myśmy się nie liczyli.*

## **Untersturmführer SS Julius Heide**

Mały i Porta siedzieli w pierwszej ciężarówce. Mały tulił starożytny krucyfiks i otwarcie dyskutowali, ile bogaty kolekcjoner byłby gotów dać za taki przedmiot. Pomiędzy nimi siedział człowiek nie rozumiejący ich języka, więc gdy zaczęli rzucać sprośności, śmiał się wraz z nimi, niczego nie pojmując.

Gdy dotarliśmy do samego Cassino, zatrzymała nas żandarmeria, świecąc latarkami na insygnia SS na naszych mundurach.

- Przyszliście żartować? - Zaśmiał się Porta prosto w brutalną twarz pod stalowym hełmem.

- Oddział Specjalny? - Warknął żandarm.

- Tym właśnie jesteśmy - rzucił niedbale Porta.

- Specjalne zadanie bezpośrednio od Reichsführera SS.

Zjawił się Heide maszerując wzdłuż kolumny i powiewając połami swego płaszcza Untersturmführera SS, z pistoletem maszynowym przewieszonym przez pierś.

- Kto u diabła ośmiela się nas zatrzymywać?! - Ryknął buńczucznie.

Feldwebel żandarmerii stał się nerwowy, strzelił obcasami i zameldował się.

- Melduję posłusznie, Herr Untersturmführer, wszystkie pojazdy mają być przeszukane. Rozkaz Dowództwa Armii.

- Sram na wszystkich dowódców armii - ryknął Heide. - Mam tylko jednego dowódcę, Reichsführera SS. - Wycelował pistolet. - Otwórz drogę mojej kolumnie, do cholery, jeśli nie chcesz wisieć, Feldwebelu. A ten transport jest „Ściśle Tajny”, zapamiętaj to sobie.

- Jawohl, Herr Untersturmführer - wyjąkał z zdenerwowania żandarm.

- A tego „Herr” możesz sobie wsadzić w dupę.

W SS pozbyliśmy się tego już dawno. - Heide uniósł dłoń arogancko i wrzasnął „Heil Hitler” w ciemności.

Szlaban podniesiono. Kolumna potoczyła się dalej.

Wyładowaliśmy skrzynie w Zamku Świętego Anioła, a raczej inni wyładowali je za nas, podczas gdy my leżeliśmy, pijąc, w cieniu. Porta zdobył całe wiadro żarcia. Jacyś ludzie ze służby transportu próbowali wkraść się w nasze łaski, ale zostali brutalnie odpędzeni, zaś jakiś Stabsgefreiter próbował zadzierać nosa, co go kosztowało dwa przednie zęby.

Gdy miało się ku zachodowi, pojechaliśmy z powrotem do Cassino. Hauptmann z Dywizji Pancerniej Hermann Goering przyniósł nam rozkazy wyjazdu.

Podczas następnej podróży nie byliśmy zatrzymywani aż do Valmontone, około dwudziestu kilometrów od Rzymu. Tutaj Heide też zachował się na sposób esesmański, ale nie poszło tak łatwo, bo mieliśmy do czynienia z Leutnantem żandarmerii, człowiekiem wielkim jak góra, z zatkniętymi za pas granatami ręcznymi.

- Rozkaz wyjazdu - zażądał, a w jego oczach widać było szubienicę z dyndającym sznurem.

Heide nie pamiętał o niebezpieczeństwie, bo zawładnął nim czar jego esesmańskiego munduru. Podeszedł prosto do żandarma, ugiął lekko kolana, zsunął swą czapkę SS na tył głowy.

- Co do cholernego diabła wy, zimnodupiaści sodomici, sobie wyobrażacie? To już drugi raz ten Ściśle Tajny transport został opóźniony. Chciałbym usłyszeć, co Reichsführer będzie miał do powiedzenia, gdy o tym usłyszy.

Ale olbrzymi Leutnant nie był człowiekiem, który dałby się zastraszyć lada wrzaskiem.

- Twój rozkaz, Untersturmführer? Reichsführer SS nie pochwaliliby, gdybym przepuścił kolumnę bez sprawdzenia.

- Jeśli jest cokolwiek, co chcesz wiedzieć, Leutnancie - głos Heidego rozlegał się ponad domami zaciemnionego Valmontone - zwróć się do chłopców na Via Tasso. Oni cię nauczą sabotowania rozkazów Reichsführera. Daję ci dziesięć sekund na usunięcie tego pisuaru, którym zablokowałeś drogę! Albo polecą kulki i ciała.

Żandarm jakby skurczył się trochę. Zrobił nerwowy gest, który być może dałby się uznać za salutowanie, następnie zwrócił się do Oberfeldwebela, nonszalancko opartego o ciężarówkę.

- Zabierz to z drogi, człowieku! Nie stój tam i nie gap się. Chcesz sabotować rozkaz Reichsführera? Zateśniłeś do śniegów frontu wschodniego?

Oberfeldwebel zaczął się krzątać, warcząc i rugając siedzącego w kabinie kierowcę.

Heide demonstracyjnie pociągnął łyk z manierki, nie proponując jej Leutnantowi. Stał w miejscu na szeroko rozstawionych nogach, z czapką SS zsuniętą na tył głowy i palcem na spuście pistoletu, przyglądając się, jak załadowane ciężarówki przejeżdżają obok oficera żandarmerii i jego gorliwych ludzi. Spoglądając pogardliwie na niego zaczął niedbale pogwizdywać.

Leutnant spojrzął z ukosa na opaskę, którą Heide założył na rękaw, co było jego własnym pomysłem. Było na niej wypisane: Reichssicherheitshauptmat.

Heide podsunął mu ten swój rękaw pod nos.

- Czy nie podoba ci się moja opaska, Leutnancie?

- Gdybyś od razu powiedział, że jesteście z RSHA, moglibyście przejechać bez dyskusji. Ale włóczy się tak wiele gnojków z najbardziej niewiarygodnymi papierami, podpisanymi przez takiego czy innego wszawego generała. Ale to nie dotyczy was, chłopców Henryka.

Gdy dziesięcotonowa ciężarówka Kruppa przejeżdżała powoli obok, Leutnant Frick w esesmańskim hełmie wyjrzał przez okno kabiny kierowcy i w pomieszczeniu zsalutował, co mogło się okazać fatalnym błędem, gdyby Heide nie zareagował natychmiast.

- Co ty u diabła wyprawiasz? Czy wyobrażasz sobie, że nadal jesteś Oberleutnantem Armii? Czy jeszcze ci nie weszło do głowy, że w naszym towarzystwie używamy pozdrowienia niemieckiego, a nie żadnego z waszych junkierskich gestów?

Z szerokim uśmiechem zwrócił się do oficera policji:

- I co my mamy robić z tym plugastwem? Przyjeliśmy ich dziesięć tysięcy w Charkowie. Wraz z generałem Hausserem. Nigdy nie powinien być zostać naszym dowódcą. Nie, Papa Eike albo Sepp Dietrich, to by było coś.

- Jaką jesteście teraz jednostką? - Zapytał żandarm.

- 1. Łotewska Dywizja Grenadierów SS.

Żandarm gwizdnął przeciągle.

- W takim razie coś się szykuje. To wy chłopcy załatwialiście transporty wszystkich Żydów. Byłem z jednym z nich w Auschwitz, gdzie wy, chłopcy z 1. Łotewskiej, byliście strażnikami. To wymagało odrobiny wytrzymałości, a ja widziałem więcej, niż inni. Byłem w tej wielkiej strzelaninie w Kijowie, gdzie w parę godzin położyliśmy plackiem kilka tysięcy z nich.

- Reichsführer nas lubi - odrzekł dumnie Heide. - Robimy co nam każą, bez gadania.

Żandarm z poufną miną pochylił się do niego.

- Untersturmführerze, czy Pius wyjdzie z krzaków? Czy już nadszedł czas? Mówiono, że akcję przeciw Żydom podjęto tylko po to, by sprowokować starego lisa i jego cholernych kardynałów.

Heide roześmiał się głośno, co można było dowolnie zrozumieć. Żandarm kiwnął głową i poklepał swój pistolet.

- Na tajnym zebraniu partyjnym w 1934 obiecano nam, że chrześcijańska zaraza zostanie wykorzeniona.

- Wiem. Nie ma na tym świecie dość miejsca równocześnie dla nas i dla czarnych kruków warknął Heide. - A my nie ustąpimy.

- To mi się podoba - powiedział z uśmiechem Leutnant, zacierając z przyjemnością ogromne dłonie.

- Mam taką nadzieję - syknął Heide. - W przeciwnym razie musiałbym zabrać cię z nami.

Żandarm roześmiał się z przymusem.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, Untersturmführerze. Rozumiem, że wasz transport jest Ściśle Tajny, ale czy zmierzacie do Rzymu?

Heide wyprostował się.

- Oczywiście. Jadę do Rzymu.

Zmieszany Leutnant położył dłoń na swym kwadratowym podbródku. A potem odezwał się:

- Wiesz, że macie przejechać przez jeszcze dwie blokady drogowe? Wystawiliśmy je dwadzieścia minut temu. Rozkazy z Via Tasso.

Heide przygryzł dolną wargę i mocniej zaciągnął rzemyk hełmu.

- Co to u diabła za nonsens? Ci goście dostaną fest po dupie, jeśli jeszcze raz zostaną opóźniony. Ostatnie słowa Reichsführera do mnie brzmiały:

„Nie zawahaj się strzelać, untersturmführerze, jeśli natkniesz się na przeszkody". Ale może lepiej będzie, jeśli dostanę hasło.

- Nie jestem pewien... To wielkie ryzyko, Untersturmführerze. - Góra mięsa była w widoczny sposób zaniepokojona. - Moje rozkazy z Via Tasso też zostały określone jako Ściśle Tajne!.

Heide tak opuścił lufę pistoletu, aż wymierzona została prosto w kłamrę u pasa Żandarma.

- Rozkaz Reichsführera mówił, abym strzelał jeśli będę opóźniany.

- Waterloo - wyszeptał Leutnant, patrząc jak za hipnotyzowany w wylot lufy pistoletu maszynowego.

Twarz Heidego rozjaśniła się z zadowolenia.

- A odzew?

- Blücher.

Heide opuścił lufę peemu.

- Dziękuję, przyjacielu. Nienawidzę dziurawienia kolegi-oficera, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Leutnant żandarmerii nagle poczuł się bardzo zajęty. Wpadł do drewnianej chaty na poboczu drogi.

- Co za pierdolona kolekcja półgłówków. Odepchnął na bok podoficera, by szybciej dostać się do telefonu. Gorączkowo zakręcił korbką, syknął szereg kodowych wyrażeń do mikrofonu i zaklął. - Oberfeld - wrzasnął do człowieka na drugim końcu drutu - jeśli kolumna, która jest w drodze, nie przeleci przez zaporę jak rakietę, stracisz twą cholerną głowę! Osobisty rozkaz Reichsführera.

Mały Schwimmwagen Heidego stał na poboczu drogi ze zgaszonymi światłami.

- Za mną! - Ryknął Leutnant i wskoczył do swego Kübelwagena, czekającego pomiędzy drzewami. Jego silnik wydał wielki ryk, gdy wystrzelił w kierunku Rzymu, wyrzucając na obie strony błoto z drogi.

Heide wskoczył do swej amfibii i uśmiechnął się zachęcająco do Gregora Martina.

- Za nim, Gregor! Pokaż nam, co potrafi kierowca furgonetki! Nie wolno mu odskoczyć od nas. Jeśli tylko zaczniesz myśleć, dostaniemy za swoje!

W pięć minut później Gregor zaklął, zahamował jak wściekły i z trudem udało mu się uniknąć zderzenia z wielką, zatrzymaną ciężarówką. Lekka amfibia poślizgiem przejechała wzdłuż szeregu ciężarówek, dwa razy zakręciła się w miejscu i wyładowała na polu.

Klnąc i przeklinając wypelzli obaj bez szwanku z rozbitego wozu. Wielki Leutnant podbiegł w towarzystwie dwóch żandarmów. Zaczął służalczo otrzępywać Heidego, ale ten odepchnął go na bok z gestem irytacji.

- Co to jest do wszystkich diabłów, żandarmie? Czy znów zatrzymał pan moje wozy? Połącz mnie z SD, abym zamienił parę słów z Gruppenführerem Müllerem w Berlinie. Najwyższy czas, by waszej bandzie wsadzić rakietę w dupy.

- Wszystko jest w porządku, Untersturmführerze. Kolumna może jechać prosto przed siebie. Załatwię się ze wścibskim Oberfeldweblem, który tu dowodzi.

Oberfeldwebel żandarmerii, stojący tuż za zdenerwowanym Leutnantem, wyjąkał wyjaśnienie.

- Łaskawie zamknij gębę, Oberfeldwebel! - Wrzasnął histerycznie Leutnant. Jesteś brudnym sabotażystą. Wkrótce zostaniesz szeregowcem, pieszo łąącym po Rosji. Zobaczysz! A teraz znikaj! Precz z moich oczu!

Oberfeldwebel wymruczał coś, czego nie zdołaliśmy usłyszeć.

Leutnant wyrwał swój pistolet z żółtej, skórzanej kabury.

- Zamknij gębę, ty namiastko żołnierza, albo wyboruję ci dziurę za niesubordynację.

Heide uśmiechnął się szeroko. Stał sobie pośrodku drogi na szeroko rozstawionych nogach, z peemem przewieszonym przez pierś. Nawet Himmler by go pochwalił. Heide cudownie odgrywał swą rolę, jakby się do niej urodził, co, w pewnej mierze, było prawdą.

- Czemu nie zrobić tego teraz, Herr Leutnant? Nie ma miejsca dla pół-żołnierzy w naszych szeregach. Widzę na twarzy tego człowieka ładny kawał sznura, zwisającego z gałęzi.

Oberfeldwebel znikł pospiesznie w ciemnościach, w myśli posyłając wszystkich oficerów SS na samo dno najgorętszej części piekła. W parę sekund jego podziw dla niemieckiego systemu zmienił się w nienawiść.

- Paskudny typek - szepnął jeden z jego podwładnych.

- Zmądrzeje, zasraniec, gdy nadejdą Amerykanie - warknął pod nosem uciekający Oberfeldwebel. - Zgłoszę się na ochotnika do nowej żandarmerii, którą nasi obecni wrogowie będą organizować w Trzeciej Rzeszy po swym zwycięstwie i przez cały czas będę się zajmował łapaniem oficerów SS!

Amfibia paliła się wesoło. Porucznik wielkodusznie ofiarował Heidemu swój wóz, Heide łaskawie przyjął propozycję i obiecał oddać go na punkcie kontrolnym w drodze powrotnej.

Leutnant Frick drżał ze zdenerwowania. Chwalił i przeklinał Heidego. Jeśli oficer żandarmerii zacznie podejrzewać, że zrobiono z niego wariata, konsekwencje będą nieobliczalne.

Porta śmiał się, nie zważając na nic.

- Zaczną szukać winnych w 1. Dywizji Łotewskiej.

- A gdy przekonają się, że jej nawet nie ma we Włoszech? - Zapytał Leutnant Frick, potrząsając głową.

- Wtedy zaczną podejrzewać górskich partyzantów, Herr Leutnant - odrzekł Porta i zarzucił sobie na ramię ciężką skrzynię. - Nigdy nie pomyślą, by poszukać w 27. Pułku Służby Specjalnej. Proszę pamiętać, że niewielu w Dowództwie Armii Południe wie o nas.

- Nasza obecność we Włoszech jest tak cholernie tajna, - krzyknął Mały z jednej z piwnic Zamku Świętego Anioła, gdzie mocował się z ciężką klatką do pakowania - że sami prawie nie wiemy, że się tu znajdujemy.

Wtedy Barcelona potknął się, upuścił pakę relikwiarzy, którą włókł w dół po schodach i zmiażdżył Małemu dwa palce. Mały wybuchł dzikim rykiem i wyszarpnął swą dłoń, zostawiając dwa palce pod ostrym kaniem ciężkiej skrzyni, paru potężnymi susami dostał się na górę i rzucił się na Barcelonę, tryskając krwią ze zranionej dłoni.

- Ty hiszpański złodzieju cip, zrobiłeś to naumyślnie! - Wyrwał Porcie starożytny krucyfiks i morderczo machając nim nad głową pognał za Barceloną, który uciekł z dziedzińca.



Padre Emanuel, który stał w bramie z dwoma zakonnikami, w mgnieniu oka zorientował się w sytuacji. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy było to po to, by ratować Barcelonę czy krucyfiks, ale wyciągnął nogę, podstawił ją Małemu i posłał go ślizgającego się twarzą po ziemi. Mnisi szybko odebrali mu krucyfiks.

Mały wstał klnąc i szalejąc z gniewu. Wtedy zauważył Haidego, który spacerował sobie w swym oficerskim mundurze SS z rękami założonymi na plecy, ale nie dość szybko usunął się Małemu z drogi.

- To ty mnie przewróciłeś, świni! - Wrzasnął Mały i runął na niego jak huragan.

Heide wziął nogi za pas, ale Mały dognał go na środku Mostu Świętego Anioła i posłał jak pocisk moździerzowy do wody. Heide kraulem dopłynął do brzegu jak wyścigowa motorówka, odepchnął na bok Leutnanta Fricka, gdy ten próbował go zatrzymać i rzucił się na Małego.

Mały podniósł ciężką belkę i machał nią jak cepem. Nie posiadaliśmy się z radości. To było właśnie to, czego nam było trzeba: dobra, regularna bójka!

Leutnant Frick zagroził nam sądem polowym, jeśli nie wrócimy do rozładowywania, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nie chcieliśmy przeoczyć walki między Małym i Heidem.

- Mały - krzyknął prowokacyjnie Gregor - Julius mówi, że nie potrafisz go pobić.

Mały dziko warknął i otarł zmiażdżoną dłonią twarz, obsmarowując ją krwią.

- On mocno krwawi - zauważył Padre Emanuel.

- To bez znaczenia - uśmiechnął się Porta. - Ma tego mnóstwo. Julius będzie wykończony na długo, zanim tamten straci ostatnią kroplę.

Heide krążył z szeroko rozłożonymi rękoma wokół Małego, który trzymał swą belkę w gotowości.

- Zabiję cię, żydożerco.

- Wybiła twoja ostatnia godzina, worku rzygowin - syknął Heide, a potem podniósł kawałek drewna i cisnął nim w Małego.

Mały zaszarżował, trzymając przed sobą belkę jak taran. Heide został wyrzucony przez bramę, ale Mały wziął za wielki rozpęd, by zdołać wykorzystać ten sukces. Rozległ się trzask drewna i brzęk szkła, gdy taran Małego przebił żaluzję i znajdujące się za nią okno. Mały potknął się, ale w jednej chwili wstał trzymając belkę nad głową jak ogromną maczugę.

Myśleliśmy, że nadeszła ostatnia godzina Heidego, ale ten na sekundę przed uderzeniem belki odtoczył się na bok i wyciągnął zza cholewy swój sztylet do walki wręcz. Mały miał ledwie tyle czasu, by skoczyć za drzwi, nim sztylet gwizdząc nadleciał. Mały

chwycił Heidego za kostki u nóg i zaczął nim kręcić w kółko. Gdyby Heide nie miał na głowie stalowego hełmu, miałby głowę zmiądzoną o kamienny mur.

Mały wskoczył mu obiema nogami na brzuch i ślepy z wściekłości wymierzył mu kopnięcie w twarz. Na parę chwil zupełnie wyszedł z siebie, ale Heidemu udało się odtoczyć w bezpieczne miejsce pod jedną z ciężarówek. Chwycił gaśnicę, uderzył jej zaworem w ziemię i skierował na Małego strumień piany, zmieniając go w ciągu sekundy w śniegowego bałwana, dziko wymachującego ramionami. Oślepiony, na pół uduszony Mały biegał w kółko kwicząc i przez omyłkę złapał Gregora Martina.

- Puść mnie, Mały. Jestem Gregor.

W następnej chwili obaj leżeli bez zmysłów, dostawszy po głowach pustą gaśnicą Heidego.

## Rozdział 7

*Śmierć! Co to takiego? Uderza jak błyskawica. Zawsze oczekiwaliśmy jej i stała się naszą towarzyszką, przyzwyczajeniem. Żaden z nas nie był religijny. Nigdy nie mieliśmy czasu.*

*Niekiedy, w leju po pocisku, mogliśmy rozprawiać o śmierci, ale nikt z nas nie wiedział, czy coś po niej istnieje. Skąd mogliśmy wiedzieć?*

*Najlepiej jest uważać śmierć za niekończący się, pozbawiony marzeń sen. Tak często grożono nam sądem polowym i egzekucją, że już nie robiło to na nas żadnego wrażenia. Gdy ma się zostać tak czy inaczej zabitym, niewielkie ma znaczenie, kto to robi. Nie obchodziło też nas gdzie i w jaki sposób zostaniemy pochowani. W rowie pod zardzewiałym hełmem, czy na paradnym cmentarzu z palącym się wiecznym ogniem.*

*Uważaliśmy że najważniejsze jest, by śmierć była szybka i bezbolesna. Pluton egzekucyjny pod wielu względami był korzystniejszy, niż powolna śmierć w płonącym czołgu.*

*Większość ze starej bandy już odeszła. Tu, przed Monte Cassino, w okresie Bożego Narodzenia pozostało tylko 33 z 5000, z którymi wyruszyliśmy w 1939 roku. Większość zginęła w płomieniach, co jest klasyczną śmiercią czołgisty. Paru wlokło się bez nóg i rąk, inni byli niewidomi. Niektórych odwiedziliśmy w przejeździe. Na przykład Schrödera, Feldwebela par excellence. Gryzł się śmiertelnie z rozpaczy utraciwszy oboje oczu. To był jeden z tych pocisków, które wybuchają dwukrotnie. Całą twarz mu oderwało.*

*Żaden z nas, którzy odwiedziliśmy go w szpitalu, nie zapomni tego widoku. On, ten zgrabny, elegancki Feldwebel Schröder, nie chciał, abyśmy go oglądali. Ciskał w nas butelkami od lekarstw.*

*Siedzieliśmy na schodach przed szpitalem jedząc czekoladę i pijąc wino, które przynieśliśmy dla niego. Odpędzono nas. Nie pozwolono nam siedzieć na tych schodach. Nie byliśmy jeszcze kalekami.*

*Tego samego wieczoru Mały walnął bykiem w brzuch jakiegoś lekarza w stopniu oficera sztabowego. Poczuliśmy się lepiej.*

### **Watykański transport**

Siedzieliśmy na kamiennym parapecie przed rzymskim amfiteatrem. Klasztor górował nad nami, a my patrzyliśmy na dół, na Cassino u naszych stóp, gdzie ludzie chodzili sobie w rozkosznej ignorancji faktu, że wieś wkrótce zostanie zrównana z ziemią. Paru niemieckich i włoskich oficerów siedziało przed Hotelem Excelsior, rozmawiając przy szklance chianti.

- Porta, widziałem coś naprawdę ładnego - powiedział Gregor Martin, w zamyśleniu machając nogami. - Następną partię wieziemy do Watykanu i to jest nasza szansa. Pamiętaj, kompania warsztatowa Dywizji Hermann Goering ma większość środków transportu, a oni bynajmniej nie wiedzą o naszym istnieniu. Jak mawia Mały, jesteśmy ściśle tajni, sami wcale nie wiemy, że tu jesteśmy. - Splunął na jaszczurkę, pospiesznie przedostając się przez drogę. - Wyciągnijmy z tej wojny jakąś korzyść. Możemy ukryć gówno u Błędnej Idy, nim wszystko się znów uspokoi. To bystra dziewczyna. Barcelona i Mały wstali z miejsc.

- O czym wy dwaj spiskujecie? - Zapytał Mały głosem, odbijającym się echem od gór. - Odkryliście już sposób na uszczknięcie trochę tego towaru?

- Nie wrzeszcz tak, idioto! - Powiedział Gregor.

Powoli wspięliśmy się do klasztoru. Słyszeliśmy pomruk artylerii na południu. Świetnie zdyscyplinowany oddział z Pułku Pancernego SS Hermann Goering wmaszerował na dziedziniec klasztorny. Szybko załadowali kilka ciężarówek. Patrzyliśmy na nich w milczeniu. To byli ludzie wykonujący rozkazy co do kropki. Białe patki na ich kołnierzach błyszczały. Pracowali w milczeniu, każda grupa podnosiła i przenosiła skrzynie dokładnie właściwą ilość razy. Jakże odmienne towarzystwo od nas! Podoficer z zimnymi, rybimi oczami i w niewiarygodnie czystym mundurze podszedł do nas z wielką pewnością siebie.

- Myślicie, że jesteście sakramenckimi turystami - wrzasnął. - Właźcie do środka. Jesteście potrzebni. Pospieszcie się, albo zabolą was tyłki.

Pojawił się Legionista. Miał w ręce połowy radioodbiornik.

- Zamknij się, towarzyszu i posłuchaj, co nasi przyjaciele po drugiej stronie wykrzykują dziś w eterze! - Podkręcił radio tak głośno, jak tylko możliwe.

- Tu radio alianckie na południowe Włochy. Powtarzamy nasz poprzedni komunikat dla patriotycznych Włochów: - Zjednoczcie się przeciw bandytom, którzy bezczeszczą wasze kościoły i groby. W tej chwili Dywizja Hermann Goering rabuje skarby klasztoru Monte Cassino! Walczcie i powstrzymajcie ich! Powtarzamy: pod dowództwem oficera sztabowego Dywizja Pancerna Hermann Goering rabuje klasztor Monte Cassino. Jeden transport już bezkarnie odjechał ze skarbami nieopisanego wartości. Patrioci włoscy, brońcie waszej własności. Nie pozwólcie, by ci bandyci was obrabowywali.

Legionista wyłączył radio.

- Teraz wsadzono kij w mrowisko, *mes amis!* Przez kilka następnych dni nie nosiłbym białych patek, gdybym chciał pozostać przy życiu.

- Jesteśmy tutaj zgodnie z rozkazami - zaprotestował podoficer, ale jego tępa arogancja znikła.

- Rozkazy? - Zaśmiał się Porta. - Adolfa?

- Stawiam tysiąc przeciw jednemu - oświadczył Gregor Martin - że w tej chwili pędzi do nas przynajmniej kompania żandarmerii.

- Nasz dowódca załatwi to z nimi - odrzekł tonem pełnym rozpaczony podoficer. - Jesteście bandą tchórzów i już wtuliliście ogony pod siebie.

Granat ręczny znalazł się blisko jego twarzy i wycelowano w niego przynajmniej dziesięć luf pistoletowych.

- Ty jebany gnojku Hermanna, powtórz to, a położę cię zimnym trupem - syknął Porta.

- W naszej bandzie mamy więcej Krzyży Żelaznych i dodatkowych odznaczeń, niż masz włosów na dupie. Jeśli ktokolwiek jest tchórzem, to jesteście wy, hemoroidy z białymi patkami!

- Och, zabij go - powiedział Mały. - Wtedy będziemy mogli powiedzieć żandarmom gdy nadjadą, że przypadkiem przechodziliśmy tędy, ubrani na taką okazję i ocaliliśmy skarby.

Podoficer zawrócił na pięcie i odszedł. Jego ludzie rozglądali się nerwowo. Nie całkiem wiedzieli, czego się trzymać. Obergefreiter-mechanik zapytał ostrożnie:

- Co to wszystko znaczy, koledzy? Wygląda na coś bardzo tajnego.

- Możesz być tego pewien - zaśmiał się Porta. - Jest tak cholernie tajne, że nawet Adolf o tym nie wie. Ale wygląda, że nasi koledzy po tamtej stronie Neapolu z wielką starannością opowiadają mu o tym. Dumna Dywizja Hermanna Goeringa stała się bandą zbójców. Phi! Jutro was oskarżą o gwałcenie zakonnice. Ja bym zdjął wasze białe patki. Mam parę różowych, które mógłbym ci sprzedać. Po wyzwoleniu powieszają was.

Otwarty Kübelwagen z piskiem hamulców zatrzymał się przed klasztorem. Tuż za nim podążało pięć ciężarówek. Dwa plutony żandarmów pod dowództwem Oberleutnanta wpadły do środka przez bramę. Ich półksiężycowate ryngrafy błyszcząły. Wśród starożytnych murów chrapliwie rozbrzmiały komendy.

Łowcy głów uśmiechali się z rozkoszą. To było właśnie to, co im odpowiadało.

- I co, rabujecie, wy zasańcy? To was będzie kosztowało wasze głowy! Mamy doskonałą praktykę w doraźnych sądach polowych. Nie ujrzycie zachodu słońca!

Daliśmy nura w ukrycie za jakimiś krzakami różanymi.

- Popatrz co robisz, idioto! - Syknął Porta, gdy gmerałem przy taśmie z nabojami, próbując ją założyć do mojego kaemu. - Jeśli nie zdarzy się cud, za godzinę nie będziemy żyli.

Załadowałem, przesunąłem bezpiecznik naprzód, przycisnąłem kolbę do ramienia i rzuciłem spojrzeńie Staremu, który leżał za wielkim głazem ze swym kaemem.

- Strzelaj, jebańcu - szepnął Porta, odkręcając kapsel granatu ręcznego. - Jeśli mamy wykorkować, każdy z nas zabierze ze sobą jednego z psów gończych. Zamieć podwórze do czysta od lewej do prawej.

- Nie będę strzelał, póki Stary nie wyda rozkazu - odparłem.

- Ty cholerny głupcze! - Powiedział Porta i kopnął mnie w bok z taką siłą, że potoczyłem się daleko od mojego karabinu maszynowego. Następnie przycisnął kolbę do własnego ramienia. Ledwie śmiałem oddychać. W oczywisty sposób był gotów wystrzelać zgromadzonych żandarmów.

W oknach klasztoru widzieliśmy twarze mniszek i mnichów, z niepokojem patrzących co się dzieje.

Ukazał się Major Luftwaffe.

- Co tu się dzieje? - Zapytał oficera żandarmerii.

- Wasze zawadiackie zachowanie denerwuje moich ludzi. Wydałem im rozkaz, by byli czujni z powodu partyzantów.

- Herr Major - powiedział Oberleutnant żandarmerii z miną pełną entuzjazmu - jestem tutaj na osobisty rozkaz Dowódcy Korpusu Południe. Aliancka radiostacja podaje, że oddziały niemieckie plądrują klasztor i moim obowiązkiem jest przeprowadzić dochodzenie. I muszę pana poprosić, Herr Major, by udał się pan ze mną do dowodzącego generała. Widząc, co tu się dzieje, mogę tylko wnioskować, że Alianci mówią prawdę.

- W tej chwili nie mam czasu, by gdziekolwiek pójść - odrzekł z uśmiechem Major. - Arcybiskup Damare może cię zapewnić, że nie ma tu żadnego rabunku. Gdyby któryś żołnierz przywłaszczył sobie choć drzazgę, zostałby na miejscu zastrzelony.

Mały trącił Portę.

- Herr Oberleutnant - kontynuował Major - może im pan powiedzieć w dowództwie, że zapewniam bezpieczeństwo klasztoru. W najbliższych godzinach złożę szczegółowy meldunek osobiście. Teraz zabierajcie się stąd, nim wasze ruchy nie zwrócą uwagi nieprzyjacielskich samolotów.

Oberleutnant wycofał się ze swoimi ludźmi.

Kilka następnych godzin spędziliśmy na harowaniu przy ciężkich skrzyniach. Jeszcze przed zmrokiem pierwsza kolumna ruszyła w drogę do klasztoru Vulgata w San Girolamo. Wkrótce następna kolumna wyjechała w ciemnościach, kierując się do San Paolo.

Wtedy nasz spokój został zakłócony przez wycie w ciemności i ryk pierwszych Jabos, przelatujących tuż nad klasztorem. Wokół nas spadł grad bomb.

Porta, który siedział pod ciężarówką, próbując opróżnić butelkę czystego spirytusu, nagle znalazł się bez ukrycia gdy ciężki pojazd pofrunął w powietrze jak piłka tenisowa i potoczył się w dół po zboczu góry. Spadochroniarz śpiący na siedzeniu kierowcy został wyrzucony przez dach i spadł na stos karabinów, nadziejąc się na nie.

Wtedy nadleciała z rykiem następna fala, z szeroko otwartymi przepustnicami i tryskając z nosów pociskami smugowymi.

Feldwebel spadochroniarzy został przecięty na pół, gdy przebiegał przez otwartą przestrzeń przed klasztorem. Jego dolna część zrobiła jeszcze kilka kroków, nim się zatrzymała.

Porta siedział na środku, wymachując pustą butelką.

- Dobry, stary Charlie, jesteś z powrotem, prawda? - Wrzasnął do atakujących samolotów. - Tęskniliśmy za wami. Baliśmy się, że udławiliście się spaghetti.

Jabo przemknął o parę metrów nad jego głową. Strumień podmuchu wyrzucił go w powietrze. Otrzeptał swój żółty cylinder, który spadł mu z głowy, uniósł się na kolana i potrząsnął pięścią na Jabos. Pociski ich armatek rwały się wokół niego, ale żaden go nawet nie drasnął. I tak siedział samotnie, a flary zmieniły noc w dzień.

- On zwariował - powiedział do Leutnanta Fricka któryś z mnichów. - Zabierzcie go.

Porta wstał na nogi z kaemem w ramionach. Gmerał przez chwilę przy taśmie amunicyjnej, ostrożnie ułożył żółty cylinder na ziemi obok siebie i wcisnął w oczodół swój pęknięty monokl.

- Cele wybierać samodzielnie - wydał sam sobie komendę. - Ognia! - Zachwiał się od ogromnego odrzutu kaemu, plującego rozpaloną stalą na atakujące Jabos. Klnąc i bluzgając, gdyż broń była tak gorąca, że sparzyła mu palce, zmienił lufę. Oczy mu się śmiały. Był szalony lub pijany, albo jedno i drugie. Założył nową taśmę amunicyjną i teraz oparł się o resztki rozwalonej kabiny kierowcy. Flara zrzucona przez Halifaxa zalała wszystko jaskrawobiałym światłem, które otoczyło góry jak aureola.

Otwarta przestrzeń była zasłana pociskami karabinów maszynowych i działek z nadlatujących lotem koszącym lub nurkujących Jabos i Mustangów.

- Porta! - Wrzasnął rozpaczliwie Stary. - Zabiją cię!

- Zabierzcie go do środka - rozkazał oficer Luftwaffe. - Trzy dni przepustki dla człowieka, który to zrobi! On oszalał.

Nowa flara wybuchła na ciemnym niebie. Na północy zapaliła się, jak w świąteczne wieczory, cała seria kolorowych rakiet.

Porta łyknął z manierki i zapalił papierosa. Następnie rozstawił nóżki kaemu, założył celownik do strzelań przeciwlotniczych i wybuchł pijackim śmiechem.

- Chodź no, Charlie, teraz jestem gotów stuknąć cię w dupę!

Można by pomyśleć, że on i nieprzyjacielscy piloci mieli bezpośrednią łączność, bo gdy tylko wyrzeszczał te słowa, pierwszy samolot ze świstem pojawił się na oświetlonej części nieba. Z ogłuszającym hukiem wybuchła bomba. Samolot zachwiał się i zataczając się odleciał. Z jego lewego skrzydła ciągnęły się długie płomienie.

Z rykiem nadleciały dwie maszyny, jedna za drugą. Huknęły bomby. Morze ognia zakryło Portę, ale wynurzył się nietknięty z dymu, zgiął się w pół ze śmiechu i ucałował trzymany karabin maszynowy.

Odwrócił się do tyłu. W parę sekund jego lufa już celowała w atakującego Mustanga. Porta posłał serię w ogień jego rury wydechowej. Rozległa się gigantyczna eksplozja. Spadały szczątki rozwalonej maszyny. Porta musiał trafić bombę podwieszoną pod samolotem, który rozpadł się na miliony kawałków, dosłownie obrócił się w proch.

- Dobranoc, Charlie! - Wrzasnął. - Wyślę twojej matce pocztówkę!

- To jest fantastyczne! - Zawołał oficer spadochroniarzy. - Kto to jest? Duch?

Ogromna postać wynurzyła się spomiędzy sosen, ciągnąc reflektor przeciwlotniczy; zadanie, które zwykle wymaga dźwigu. W cieniu dwóch ludzi było zajętych przy przewodach.

To Mały przyszedł na pomoc. Nie zwracając uwagi na wybuchające wokół nich pociski, dwójka zasalutowała sobie wzajemnie wyciągnięciem ręki i uniosła kapelusze.

- Nie mogą sami obsłużyć tego reflektora! - Krzyknął Heide. - Muszę pomóc. Józefie, Mario, Jezusie, osłaniajcie mnie! - Zgięty w pół pobiegł zygzakiem przez jaskrawo oświetloną, otwartą przestrzeń. Położył się pod reflektorem, by posłużyć za żywą tarczę obrotową. Smuga światła strzeliła w niebo, smuga, która mogła pilotowi wypalić oczy.

- Mam go, diabła! - Radował się Mały. - Patrzy prosto w mój ogień. Teraz mam cię, Charlie!

Pierwszy myśliwiec zginął w ogniu tryskających płomieni benzynowych. Mały nie posiadając się ze szczęścia walił pięściami w ziemię.



- To ja go załatwiłem! Ja go załatwiłem. - Nagle zapaliły mu się włosy na głowie. Heide ugasił je swym płaszczem.

Snop światła reflektora znów uderzył w niebo. Miliony kandelii skierowanych na niskie chmury.

Zanurkował Mustang z namalowanymi zębami rekina.

- Mam go. Wypalę gały w jego paskudnym pysku.

Umierający rekin wpadł w korkociąg, próbując umknąć z morderczego promienia.

Mały wyłączył światło, przysłuchując się rykowi silnika. Czy był to przypadek, czy piekielna kalkulacja mózgu, który nigdy nie uczył się matematyki, że znów włączył światło dokładnie we właściwym momencie, trafiając maszynę podczas jej wariackiego nurkowania i oślepiając pilota na resztę jego życia. Heide stał na czworakach pod reflektorem, przenosząc barki z jednej strony na drugą, gdy samolot desperacko próbował uciec ze światła, aż uderzył w ziemię z szybkością pięćuset kilometrów na godzinę.

Dwa Halifaxy i cztery Mustangi zaryczały nisko nad otwartą przestrzenią. Seria bomb spowodowała, że z klasztoru wybuchły w górę płomienie. Zdawało się, że wszędzie bulgoce i rozpryskuje się fosfor.

Ryk silników samolotowych ucichł w oddali. Kalifornijscy mordercy zrzucili swój ładunek. Zużyli całą amunicję. Na ostatnich litrach benzyny ledwie zdołają powrócić do bazy.

Tuż przed odjazdem kolumny odgłos kilofów i szpadli dał się słyszeć na płaskim terenie poniżej klasztoru, gdzie w parę miesięcy później znajdzie miejsce wiecznego spoczynku 2. Polski Korpus generała Andersa. To Porta, Mały i Heide kopali grób dla spalonych resztek Charlies.

Gdy grób był gotów, położyli ich jednego przy drugim, każdego z amerykańską czapką przy kościach dłoni. Wtedy przybyła reszta 2. Szwadronu wraz z ojcem Emanuelem.

Stary sypnął pierwszy szpadel ziemi, mówiąc coś, co dla nas brzmiało, jak: „Za wasze matki i Boga!”.

Następnym był Leutnant Frick. Ostatnim nasz kapelan, Emanuel. Mówił o Bogu. Całą masę niezrozumiałej dla nas gadaniny. Zaśpiewaliśmy *Ave Maria*. Groby zostały szybko zasypane i w pięć minut później odjechaliśmy.

To była najtrudniejsza z naszych podróży. Na dachu każdej kabiny kierowcy leżało dwóch z nas z karabinem maszynowym na lawecie przeciwlotniczej. Roje Jabos wyskakiwały za nami lotem koszącym. Via Appia chwilami była zasłana dywanem światła.

Mijaliśmy niekończące się potoki ciężarówek, jadących w przeciwną stronę, niż my: artylerię, saperów, czołgi, materiał do budowy mostów, kolumny amunicyjne i ambulanse.

Bomby trafiały w ciężarówki z amunicją, które wylatywały w powietrze, rozrzucając swój ładunek we wszystkie strony.

Wielki Mercedes z generalskim poręcznikiem na przednim błotniku, eskortowany przez żandarmów na motocyklach, przeciskał się wężym między ciężkimi pojazdami.

- Jechać prawą stroną. Jechać prawą stroną - wydierał się Major żandarmerii. Należał do gatunku ludzi, którzy bezlitośnie zabiliby każdego, kto im wejdzie w drogę. W tym momencie zaatakowały cztery Jabos. Mały zauważył je, gdy wyskoczyły z chmur i rzuciły się na nas.

Zeskoczyłem na maskę wozu, by mieć lepszą stabilność. Mały trzymał mnie w taki sposób, by siła odrzutu nie obaliła mnie na szosę.

Pierwszy otworzył ogień Heide. Był przy karabinie maszynowym na wozie bezpośrednio za nami.

- Do cholery, przesun się - wrzeszczał Porta z miejsca kierowcy. - Nic nie widzę!

Rozległ się wrzask, trzask i stuk i Major żandarmerii wraz ze swym motocyklem zostali zmiażdżeni pod naszym ciężkim szesnastokołowcem.

- Do piekła z nim! - Zaśmiał się Mały. - Wyślemy Charliemu pocztówkę z podziękowaniem.

Wóz generalski stał w płomieniach. Ubrana w futrzany płaszcz postać wstała, próbowała wyjść z samochodu, ale znów upadła w morze ognia. Wóz wpadł w poślizg, przekoziółkował i wybuchł. Jakiś ambulans uderzył prosto w armatę 280 mm. Jego tylne drzwi otworzyły się, a na drogę wypadło osiem noszy.

Ranny Feldwebel próbował odtoczyć się sprzed miażdżących kół wielkich ciężarówek. Ubrany był w zabłocony mundur, brzuch owinięty bandażami. Jedną nogę miał amputowaną.

Ciągnik gąsienicowy przejechał mu po głowie.

Wyskoczył żandarm, próbując zatrzymać kolumnę, ale padł trafiony salwą nurkującego Jabo.

Cała Via Appia skąpana była w jaskrawym świetle. Dwa „choinkowe” grona gwiazd rakietowych stały nad środkiem kolumny. Przeleciał, plując ogniem, Halifax.

- Trzymajcie się mocno - zawołał Porta. - Schodzę z szosy na pole. - Wielka ciężarówka wpadła do rowu, zmieniając po drodze małą amfibię w bezkształtny stos żelastwa.

Pozostałe cztery ciężarówki podążyły za Portą. W każdej z nich wieźliśmy po dwóch zakonników, którzy uklękli modląc się. Przebiliśmy sobie przejście przez mur cmentarny, przewracając nagrobki, zaś potężnymi kołami ryjąc nowe groby. Mała kapliczka została

zrównana z ziemią. Pojechaliśmy dalej z krucyfiksem zwisającym ze zderzaka. Wtedy wyłączył się silnik wozu Barcelony. Pierwsza linka holownicza pękła jak nitka.

Druga wytrzymała kilka minut. Dwudziestotonową ciężarówkę ze zużytym silnikiem niełatwo jest wyholować z miękkiej ziemi cmentarza. Porta wyskoczył klnąc z kabiny, cisnął stalowym hełmem w Marlowa i zażądał cumy okrętowej.

Bęben na ciężarówce Barcelony odwinął się, a Gregor chwycił grubą linę cumowniczą.

Porta całkiem wściekł się stwierdziwszy, że Gregor nosi rękawiczki.

- Kim ty, u diabła, wyobrażasz sobie, że jesteś? Ściągaj to cholerne świństwo!

Gregor odszczeknął mu się i zamachnął się w Portę kawałkiem zerwanej linki. W jednej chwili zaczęliśmy przewalać się wśród grobów w dzikiej walce. Flara oświetliła tę scenę. A z chmur wyskoczył ryczący myśliwiec. Z ciężarówki spadł spadochroniarz, krwawiąc z łańcuszka dziur w piersi. Zakonnik złożył się w pół jak scyzoryk.

Brezent naszego wozu stanął w płomieniach. Zakonnik zdławił go gaśnicą.

Leutnant Frick dmuchał w gwizdek i groził nam wszelkiego rodzaju nieszczęściami: sądem polowym, Torgau, egzekucją.

Wyplułem dwa zęby, które wylądowały Heidemu na kolanach. Nad lewym okiem Porty zwisał płat krwawej skóry. Heide miał długą ranę ciętą na pośladku, a Mały usta rozdarte aż do jednego ucha. To była paskudna walka. Nasz sanitariusz oraz ojciec Emanuel, przeklinając, zużyli na polatanie nas półtorej godziny.

Owiązaliśmy zepsutą ciężarówkę liną cumowniczą. Gregor i Porta zacisnęli sobie nawzajem bandażę i podzieli się zawartością manierki.

- Teraz spróbuję ruszyć - zawołał Porta z kabiny. - Odejść od liny. Jeśli pęknie, pozbawi was jaj.

Powoli, niewiarygodnie powoli, wielka ciężarówka zaczęła się poruszać. Flary zgasły.

Pozostało pięć okaleczonych ciał. Ogień na ciężarówce został ugaszony i nic z naszego droгоценnego ładunku nie ucierpiało.

Na Via Appia rozszalało się piekło. Wyglądała, jakby stała w płomieniach na przestrzeni, co najmniej stu kilometrów. Stary i Leutnant Frick jechali pierwsi, w Kübelwagenie. W napięciu przyglądali się mapie, by przekonać się, czy zdołają znaleźć drogę objazdu. W San Cesarea stoczyliśmy z grupą partyzantów walkę, w której straciliśmy trzech ludzi, w tym naszego sanitariusza Freya. Granat ręczny oberwał mu obie nogi, więc wykrwawił się na śmierć prawie w jednej chwili.

Gdy dotarliśmy do Rzymu, słońce właśnie miało wschodzić. Samotny, wolno stojący dom, palił się wesoło.

Zza zatrzymanego samochodu wynurzyło się dwóch ludzi w długich płaszczach. Trzymali wycelowane pistolety maszynowe.

Legionista zaczął podśpiewywać:

*Przyjdź teraz, śmierci, po prostu przyjdź!*

Położył swój rosyjski pistolet maszynowy na górnej krawędzi drzwiczek. W ciemność strzelił długi język ognia. Złośliwe rat-tat-tat odbiło się echem wśród domów. Obaj mężczyźni zwalili się. Jeden z nich miał stalowy hełm, który z brzękiem potoczył się do rynsztoka. Szybko popłynęła kałuża krwi, mieszającej się ze strugami deszczu.

- Co to było? - Spytał jeden z siedzących z tyłu zakonników.

- Para bandytów chciała z nami porozmawiać.

Zakonnik przeżegnał się.

Jadąc wzdłuż Tybru napotkaliśmy kolumnę grenadierów SS. Byli z Dywizji Muzułmańskiej i na głowach nosili czerwone fezy ze srebrnymi trupimi główkami.

Na Piazza di Roma Porta skręcił w niewłaściwą stronę i znaleźliśmy się na Piazza Ragusa.

Zatrzymał nas zwyczajny posterunek. Wymieniliśmy się papierosami i sznapssem. Dowodzący wartą Feldwebel piechoty ostrzegł nas przed partyzantami w niemieckich mundurach.

Niektórzy nawet twierdzili, że są w mundurach żandarmerii.

- Strzelajcie przy najlżejszym podejrzeniu - doradził. - Jeśli się pomylicie i zastrzelicie paru z psów gończych, nie będzie to aż tak wielkim nie szczęściem.

- Będziemy strzelać na sam widok półksiężycowatego ryngrafu - zapewnił z uśmiechem Porta. Radowałbym się z całego serca, mogąc paru z nich położyć plackiem.

- Strzeżcie się makaroniarzy - ostrzegł Feldwebel. - Zaczynają uprzykrzać nam życie. Strzelajcie do każdego spotkanego. Ostatnio stali się całkiem odważni. Onegdaj musieliśmy zlikwidować całą wieś na północ stąd. Zaczęli świętować zwycięstwo Aliantów.

Pojechaliśmy dalej wzdłuż linii kolejowej. Porta znów się pomylił, a cała kolumna pojechała za nim. Jeździliśmy w kółko, nie potrafiąc znaleźć właściwej drogi. Uzyskaliśmy pomoc od kilku dziwek, stojących na rogu Via La Spezia i Via Taranto. Wsiadły do kabin obok nas. Policja wyrzuciła je na Via Nazionale. I nagle znaleźliśmy się na Placu św. Piotra. Mały rozdziawił gębę.

- Ależ to kawał roboty! Czy to tutaj papież ma swoją jaskinię?

Nikt mu nie odpowiedział.

- To mi się nie podoba - stwierdził z namysłem.

- A jeśli on ma, tak jak Bóg, zdolność jasnowidzenia?
- Ale ty przecież nie wierzysz w Boga - powie dział z uśmiechem Legionista.
- Nie mam zamiaru o tym dyskutować, póki jesteśmy gdzieś blisko tego.

Znów zawróciliśmy, pojechaliśmy przez Borgo Vittoria na Via di Porta Angelica.

Szeroka brama stała otworem. Oczywiście było, że nas oczekiwano. Przejechaliśmy wąską uliczką i przez następną bramę. Paru Gwardzistów Szwajcarskich pokazało nam drogę.

Zdenerwowaliśmy się. To było coś nowego. Wysechł nawet potok słów Porty. Nie było słyhać bluźnierstw ani przekleństw, choć normalnie nie potrafił wypowiedzieć trzech słów, nie wstawiwszy jednego z nich. To była część wojny.

Ściągnięto brezenty. Kilka wypowiedzianych cichym głosem rozkazów i zaczęliśmy wyładowywać ciężarówki szybko i z przejęciem.

Śniadanie dostaliśmy w koszarach Gwardii Szwajcarskiej. Porta i Mały zdumieni się na widok gwardzisty wchodzącego z halabardą.

- Czy to jest papieska broń przeciwczołgowa? - Zachichotał Mały.

Oficer uciszył go, ale Małego nic nie mogło powstrzymać.

- Czy wy naprawdę jesteście żołnierzami? - Zapytał Porta.

Mały nie posiadał się z radości, gdy pozwolono mu włożyć hełm z czerwonymi piórami i potrzymać halabardę. Wyglądał w tym idiotycznie. Zupełnie to nie pasowało do nowoczesnego munduru maskującego. Zaproponował swój pistolet maszynowy i stalowy hełm w zamian za hełm szwajcarski, ale ten nie był na sprzedaż.

Porta uniósł do góry halabardę.

- Piechurzy morscy wytrzeszczą oczy, jeśli będę im tym odcinał głowy.

W drodze powrotnej Porta i Mały jeszcze raz spróbowali kupić hełm i halabardę, ale Szwajcarzy tylko potrząsali głowami.

Wtedy Porta wyciągnął swój atut: zaproponował całą garść papierosów z opium. Ale gwardzista był nieprzekupny. Mały dodał trzy złote zęby i pudełeczko kokainy. Żaden normalny człowiek nie oparłby się temu, ale żołnierze papieża nie chcieli niczego sprzedać.

Porta i Mały osłupieli. Za coś takiego każdy z nich sprzedałby drugiego. W końcu Mały wskazał swe buty. Buty amerykańskiego lotnika. Najcudowniejsza, miękka skóra. Szwajcar nie był zainteresowany.

Wyładowawszy ciężarówki usiedliśmy na szczycie kamiennego muru.

Oficer Gwardii Szlacheckiej przyszedł po Padre Emanuela i Leutnanta Fricka. W kwadrans później przysłano po Starego. Minęła większa część godziny.

- Aż nie zaczną w nas walić - warknął Porta. Być może robią coś tamtym trzem. Jeśli nie pokażą się najdalej za godzinę, pójdziemy i przyprowadzimy ich. Całe nasze żelastwo jest w wozie Nr 5.

Szybko załatwimy się z Gwardią.

- Widocznie ugryzła cię ślepa małpa - sprzeciwił się Marlow. - A jeśli Bóg naprawdę istnieje? Nigdy tego nie wybaczy!

- Przejmę dowództwo - zdecydował Porta wtedy to nie będzie wasza sprawa i przed Boskim sądem polowym będziecie mogli oświadczyć, że jesteście niewinni.

Marlow pokręcił głową.

- Jeśli Bóg istnieje, będzie wiedział, że jestem Feldweblem i będzie też wiedział, że żaden normalny Feldwebel nie pozwoli, by mu rozkazywał nędzny Obergefreiter.

- To udawaj, że nim nie jesteś - zaproponował żartobliwie Mały.

- Bóg się na to nie nabierze - potrząsnął głową Marlow. - Gdy zobaczy wszystkie moje odznaki, krótko się ze mną załatwi. - „To u nas nie przejdzie, Marlow”, tak powie, a ja zwalę się Szatanowi prosto na kolana. A to mnie nie pociąga. Tę sprawę trzeba załatwić dyplomatycznie. Wyślijmy do nich na słówko Małego.

- Za żadne skarby - zaprotestował Mały, usuwając się na bok. - Potrafię sam jeden zwinąć cały amerykański okop, ale ci tam są niebezpieczni.

Minęły dwie godziny i byliśmy coraz bardziej zdenerwowani i napięci. Większość z nas już wyciągnęła pistolety z wozu Nr 5 i wsadziła je za cholewy butów. Porta siedział, bawiąc się jajowatym granatem ręcznym.

- Dajmy stąd dyla - zaproponował Heide, zezując na wielki budynek biblioteki.

- Zamknij gębę, ty nazistowski twardzielu! Czy wyobrażasz sobie, że zostawimy tu Starego?

- Nie mówiąc już o kapelanie - wtrącił Barcelona. Miał niesłychany szacunek dla wszystkiego rzymskokatolickiego, co datowało się od czasów, gdy służył w *Tercio* podczas hiszpańskiej wojny domowej. Nigdy nie udało nam się wykryć przyczyny tego wszystkiego. Zawsze trzymał nas na dystans, odpowiadając: - O takich rzeczach się nie mówi. A z resztą i tak nie zrozumielibyście.

- Padre Emanuel sam potrafi dać sobie radę orzekł Porta. - Ma bezpośrednią łączność z grupą dowodzenia niebiańskiej Kwatery Głównej. Ale widoki dla Starego i Fricka nie są tak dobre.

- *Tu as raison, camarade* - powiedział mały Legionista, potrząsając twierdząco głową.

- Przed boskim sądem polowym staje się samotnie i nie ma nikogo, kto by cię bronił. Tam

leżą twoje otwarte akta. Allah wie wszystko, włącznie z przyczynami twoich cholernych wybryków. Nieugięta, jasna sprawiedliwość to jedyne, co się liczy. Niełatwo uzyskać tam uniewinnienie.

- To wszystko jest kupą gówna - zdecydował Mały. - Ja nigdy nie zostałbym uniewinniony - Nigdy nie wiadomo - odparł z przekonaniem Legionista. - U Allaha najdziwniejsze rzeczy wychodzą człowiekowi na korzyść. Czy naprawdę jesteś tak wielkim bandytą?

Mały pokiwał wielką głową i zsunął czapkę na jej tył.

- Doprawdy nie wiem. Ale parę razy dostałem kopa w szczękę. Nie należę do najlepszych. Większość z nas, którzy tu siedzimy, znalazła się tutaj z własnej wolnej woli. Dobrze się tu nami opiekowano. Ale ktokolwiek powie, że zabiłem kogokolwiek wyłącznie na rozkaz, będzie cholernym kłamcą. Nie mam dosyć szarych komórek. Dlatego mamy oficerów, którzy za nas myślą. Czy w całej Pruskiej Armii jest Obergefreiter, który miałby więcej blaszek, niż ja? - Uderzył się pięścią w pierś. Kim był ten, który ocalił cały pułk pod Stalino? Kto wyciągnął zapalniki w Kijowie? Czy pamiętacie, jak w Kerczu liczyliście sekundy, gdy ja pełzłem przez dziurę? Wiwatowaliście, gdy sam wysadziłem w powietrze całą fabrykę traktorów.

Barcelona zaśmiał się pogardliwie.

- Wy dupki blade! Trzy dni temu użyliście jako celu przydrożnego krucyfiks. Teraz japy wam się trzęsą od płaczu, bo siedzicie w mieście Jego Świątobliwości.

Wrócił Stary. Był dziwnie milczący.

- Spotkałem papieża.

- Widziałeś go? - Wyszeptał przejęty grozą Mały.

Stary kiwnął głową i zapalił fajkę.

- Czy go dotknąłeś? - Spytał Barcelona, spoglądając na Starego z nowym szacunkiem.

- Nie dotknąłem go, ale byłem tak blisko, że mogłem to zrobić.

- W jakim był mundurze? - Zapytał Porta, nie mając ochoty skapitulować. - Czy miał Krzyż Rycerski?

- Był wspaniały - mruknął Stary, ciągle pod wrażeniem swego niesłychanego przeżycia.

- Co powiedział? - Zainteresował się Heide.

- Że mam Was pozdrowić. Pobłogosławił mnie.

- Na Jowisza, zrobił to? - Wykrzyknął Heide. Doprawdy cię pobłogosławił?

- Czy widziałeś prawdziwego kardynała? - Zapytał Rudolph Kleber. - W czerwonym kapeluszu?

Pytania sypały się na Starego.

- Czy powiedzieliście mu o mnie? - Pytał Mały.

- Nie specjalnie o tobie, ani o żadnym z nas indywidualnie, ale opowiedziano mu o 2. Szwadronie jako całości. Dał mi pierścień. - Stary podniósł rękę, abyśmy wszyscy go zobaczyli.

- Czy ten pierścień jest dla szwadronu? - Zapytał Barcelona.

- Tak, dał mi go, tak jak generałowi daje się Krzyż Rycerski. Noszę go w imieniu szwadronu.

- Czy mogę go przymierzyć? - Zapytał Heide z dziwnym błyskiem w oku, który powinien był ostrzec Starego. Ale ten jeszcze nie całkiem powrócił do naszej brutalnej rzeczywistości. Dumnie podał Heidemu pierścień.

Heide podniósł palec, abyśmy mogli podziwiać pierścień. Gdy Mały spróbował go dotknąć, dostał mocno po palcach bagnetem Heidego.

Stary wyciągnął rękę.

- Oddaj go.

- Tobie? - Heide uśmiechnął się chytrze. - Czemu ty miałbyś go mieć?

Stary był tak zdumiony, że tylko otworzył i zamknął usta.

- To mój pierścień. Ja go dostałem. Papież mi go dał.

- Dał go tobie? Dał go szwadronowi. Pierścień należy do 2. Szwadronu, tak samo, jak amerykańskie buty, które Mały chwilowo nosi. Ty nie jesteś szwadronem bardziej, niż jest nim Mały. Ja, Sven, Porta, nasze pistolety, nasza armata 88 mm, ciężarówka Nr 5 i cała reszta, to jest szwadron.

Heide potarł pierścieniem o rękaw, chuchnął na niego, podniósł do oczu i z dumą go obejrzał.

- Teraz, gdy ujrzałem ten dar od Jego Świątobliwości Piusa Dwunastego, nie jestem pewien, czy nie wierzę w Boga.

- Daj mi ten pierścień - powtórzył Stary głosem drżącym z oburzenia i zrobił krok w stronę Heidego

- Trzymaj łapy z daleka - warknął Heide - albo dostaniesz kulkę w łeb. Będę go nosił w imieniu szwadronu. Ale jeśli kopnę w kalendarz, ty możesz zostać nosicielem pierścienia zamiast mnie. Możemy spisać dokument taki, jaki spisaliśmy na temat butów Małego.



- Za żadne skarby! - Krzyknął Porta. - Gdy dostaniesz już za swoje, to będzie moja kolej noszenia go. Stary widział papieża. To mu musi wystarczyć. Nie ma prawa do niczego więcej.

Barcelona wyciągnął z buta swój nóż do walki wręcz i zaczął nim czyścić paznokcie. Nie dlatego, by brudne paznokcie mu przeszkadzały, lecz bardziej dla podkreślenia tego, co powiedział teraz:

- Uważaj, Julius, abyś nie zginął młodo.

Heide zmarszczył brwi i wsadził dłoń z pierścieniem do kieszeni.

- Wyobrażasz sobie, że kim jesteś, ty sztuczny Hiszpanie?

Stary był siny na twarzy ze złości. Próbował groźbami zmusić Heidego do oddania pierścienia, ale Heide nie zwracał na niego uwagi. Nie zamierzał go oddać.

Poszedł do koszar Gwardii Szwajcarskiej i z dumą pokazał im pierścień. Właśnie gdy tam był, nastąpił pierwszy atak. Halabarda świsnęła mu koło głowy, mijając tylko o cal. Nikt nie widział skąd nadleciała, ale mocno podejrzanym był Mały.

Heide pomknął do ciężarówki i wsadził sobie za pas dwa odbezpieczone pistolety. Święty pierścień narobił nam mnóstwo złej krwi. Było niebezpiecznie wejść w jego posiadanie, ale każdy tego chciał.

Kolejny atak nastąpił po dwudziestu minutach. Heide wylegiwał się na środku podwórza, a dwaj spadochroniarze podziwiali pierścień. Coś spowodowało, że odwrócił głowę i w następnym momencie 20-tonowa ciężarówka przetoczyła się dokładnie przez miejsce, na którym leżał on i dwaj spadochroniarze i z hukiem zatrzymała się na drzewie. Stłumiony śmiech dał się słyszeć z rogu Via Pio i Via del Belvedere, gdzie siedziała i grała w kości reszta szwadronu.

- Dziwne, jak ciężarówka może tak sama sobie ruszyć z miejsca - zauważył z namysłem Porta.

Heide otarł czoło i zsunął czapkę na tył głowy. Trzymając obie ręce głęboko w kieszeniach, spacerowym krokiem podszedł do nas.

- Banda morderców - oświadczył. - Ale nie dostaniecie pierścienia. Niełatwo mnie zabić.

- To się jeszcze zobaczy - odparł Barcelona i z uśmiechem rzucił kości.

\*\*\*

W drodze powrotnej przez Via Appia straciliśmy trzy ciężarówky i siedmiu ludzi. Marlow został ciężko ranny i wsadziliśmy go do powracającego do Rzymu ambulansu. Skórę

miał jak pergamin, wargi sine i wyszczerzone zęby. Gdy Barcelona odpiął z jego pasa Nagana i kaburę, Marlow szeptem zaprotestował.

- To moje. Zostaw mi to.

- Dostaniesz go, gdy wrócisz - obiecał Stary.

- Oddajcie mi mojego Nagana. Potrafię go pilnować. Nie ukradną go.

Ale my wiedzieliśmy lepiej. Wiedzieliśmy, co oznacza taka żółta skóra. Wiedzieliśmy, gdy kościotrup z kosą położył na kimś swą pieczęć i że sanitariusz ukradnie tego Nagana jeszcze zanim Marlow umrze. Czemu miałby go mieć sanitariusz, gdy nam może oddać dobre usługi?

Twardy Marlow płakał. Mały zrobił coś niezręcznego. Jeszcze zanim ambulans ruszył, wziął leżący obok Marlowa jego zwinięty płaszcz. Był to jeden z tych nieprzemakalnych, w dobrym gatunku, które wydawano spadochroniarzom. Były bardzo poszukiwane, a Mały i Marlow byli mniej więcej tego samego wzrostu. Marlow próbował wysiąść z ambulansu.

Wykrzykiwał do nas przekleństwa, ale ludzie z obsługi wozu wepchnęli go do środka i także klnąc zatrzasnęli drzwi. Gdy staliśmy na jezdni, patrząc w ślad za odjeżdżającym ambulansem, doleciał do nas krzyk Marlowa.

- Dajcie mi zostać z wami! Nie chcę umierać! Przynieście mi mego Nagana!

- Będzie martwy, nim dotrą do szpitala - powiedział spokojnie Stary.

Kiwnęliśmy głowami, wiedząc, że ma rację. I Marlow to wiedział. Przed dwudziestu minutami był z nami, śmiejąc się z Małego i jego hełmu.

Przyspieszając, Porta mruknął do siebie:

- Dobrze, że wygrał te kilka ostatnich rzutów.

Legionista oglądał Nagana, który już wymienił z Barceloną. Następnie wbił bębenek na miejsce i wsadził ciężki rewolwer do wspaniałej, żółtej kabury, która była najukochańszą własnością Marlowa. Wstał z miejsca w kabinie, poklepał kaburę i oświadczył:

- Dobrze pasuje.

Widać było, jak go cieszy jej ciężar. Da mu poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała Marlowowi.

Dla frontowego żołnierza najważniejsza jest świadomość posiadania pistoletu. Powinno się go odczuwać tak, jak czuje się pomocną dłoń przyjaciela. I tak zawsze czuło się Nagany. Zawsze bardzo dbaliśmy o nie. Wszystkie, które posiadaliśmy, zdobyliśmy na Rosjanach ryzykując życiem. W 2. Szwadronie mieliśmy ich pięć i bardzo uważaliśmy, aby żadnego nie stracić. Zawsze zabieraliśmy pistolet umierającego. Gdy zmarł, inni mieli prawo do tego, co posiadał.

Póki żył, on sam i wszystko co posiadał należało do 2. Szwadronu. Nieprzyjemne było to, że umierający prawie zawsze wiedział, że zabraliśmy to. Jego pistolet był jego polisą na życie, a gdy go zabierano, płomyk życia migotał szaleńczo. Ale nie mogliśmy sobie pozwolić na niedbalstwo tam, gdzie szło o Nagana.

Następnego ranka opuściliśmy klasztor. Tuż przed odjazdem zostaliśmy wszyscy zaproszeni do bazyliki. Tam pojawił się arcybiskup Damare. Podniósł ręce i zaintonował:

*Gloria Deus in excelsio!*

Następnie przez dziesięć minut odprawiał nabożeństwo w sposób tak chwytający za serce, że nawet my, poganie, stojący w pierwszym rzędzie, byliśmy jak urzeczeni. Następnie mnisi, mniszki i dzieci z domu dziecka odśpiewali chorał, który z ogromną wspaniałością rozbrzmiał w tych czcigodnych ścianach.

Cisi i nieco przestraszeni wymaszerowaliśmy i odjechaliśmy.

Barcelona i ja spojrzeliśmy po sobie. Mieliśmy wspólną tajemnicę, o której nie mogliśmy powiedzieć innym. Wyśmieliby nas. Staliśmy obaj na warcie. Tuż przed wschodem słońca byliśmy na dole, na końcu szeregu pojazdów. Po niebie przemykały chmury i od czasu do czasu świecił księżyc. Oparliśmy się o mur, trzymając pistolety maszynowe pod płaszczami, dla ochrony przed mrozem, w milczeniu patrząc w dół zbocza góry i ciesząc się poczuciem bezpieczeństwa, które mogą sobie wzajemnie zapewnić tylko naprawdę dobrzy koledzy. Nie wiem, który z nas ujrzał to pierwszy. Ukazało się daleko w dole za jakimiś drzewami, figura owinięta ogromnym płaszczem i wyglądająca raczej jak cień.

- Jeden z zakonników? - Zapytał Barcelona.

Nagle postać zatrzymała się na otwartej przestrzeni, gdzie później pochowano Polski Korpus. Pogroziła klasztorowi pięścią. Następnie, przez około sekundę, księżyc zaświecił przez lukę w pędzących chmurach i postać ujrzeliśmy wyraźnie. Gdy wiatr pochwycił płaszcz i odwinął go do tyłu, serca nam zamarły. Postacią była Śmierć z kosą na ramieniu!

Krew zastygła nam w żyłach. I wtedy usłyszeliśmy śmiech, długi, triumfalny śmiech. A potem postać została pochłonięta przez kłąb mgły.

Biegając do wartowni następowaliśmy sobie wzajemnie na pięty. W środku spali Stary, Porta i inni. Szczękaliśmy zębami, a ja zgubiłem mój pistolet.

- Musisz pójść i przynieść go - powiedział Barcelona. Odmówiłem. Zamiast tego ukradłem pistolet śpiącemu spadochroniarzowi. Gdy już było jasno, poszliśmy z Barceloną poszukać mojego, ale nie znaleźliśmy go nigdy.

Inni zobaczyli, że coś się wydarzyło, ale nie ośmieliliśmy się opowiedzieć im o tym. Przez chwilę myśleliśmy, by pójść do kapelana, ale potem zgodziliśmy się, że lepiej będzie w

ogóle to przemilczeć. Jak słusznie powiedział Barcelona: - Nie masz obowiązku, by opowiadać o wszystkim, co widzisz.

Skończyło się na tym, że udawaliśmy przed sobą, jakbyśmy o wszystkim zapomnieli. Ale Śmierć odwiedziła świętą górę, by obejrzeć miejsce zbliżającego się zniwa i przypadkiem Barcelona i ja ujrzeliśmy ją i usłyszeli jej pełen triumfu śmiech.

## Rozdział 8

*Joseph Grapa był Żydem. Poznaliśmy go pewnego wieczoru, gdy składaliśmy wizytę grupie dezertków na strychu domu za dworcem Termini. Wchodziło się tam przez zamaskowaną klapę. Była tam jedna z dziewczyn Idy, która musiała zejść do podziemia.*

*Dla Heidego znalezienie się twarzą w twarz z Grapą było szatańską niespodzianką.*

*- Grunt nie zaczyna ci się palić pod nogami, Żydku? - Zapytał prowokacyjnie. - Mogę dostać za ciebie piękną cenę. Co byś powiedział na bilet w jedną stronę do Via Tasso?*

*Porta zaczął czyścić paznokcie nożem do walki wręcz, a Mały zabrzęczał swą stalową pętlą. To powstrzymało Heidego i od tej chwili on i Żyd tylko obrzucali się oskarżeniami.*

*- Cała moja rodzina, wszyscy moi przyjaciele zostali wywiezieni do Polski - powiedział spokojnie Grapa.*

*- Nie piszcz, żydku - zachichotał Heide. - Ci z was, Żydów, którzy przeżyją, będą się mścić. Będziecie świętymi krowami i gatunkiem chronionym. Nie zdziwiłbym się, gdyby zabroniono nazywać was Żydami. Adolf naprawdę oddaje wam wielką przysługę. Zemścicie się na katolikach, których nienawidzicie tak samo, jak Heydrich i Himmler. Przewiduję, że oskarżycie papieża o zagazowywanie Żydów.*

*- Żaden uczciwy Żyd tego nie robi - zaprotestował Grapa.*

*- Nie istnieją uczciwi Żydzi - oświadczył Heide i wybuchnął śmiechem. - Oskarżycielsko pokazał Grapę palcem. - Istnieje mnóstwo dokumentów, których można użyć przeciw papieżowi. Watykan jest wszą, schwytaną między dwa paznokcie. Zrozum mnie dobrze. Bynajmniej nie kocham papieskich czarnych kruków. Wykończcie ich jutro, to chętnie pomogę. - Na samą tę myśl zatarł ręce.*

*- Czemu Watykan nie protestuje? - Wykrzyknął Grapa. - Gdyby to zrobił, przerwano by deportacje. Nie ośmieliliby się ich kontynuować.*

*Heide parsknął śmiechem.*

*- Nie ośmieliliby się! Jesteś naiwniakiem! Czy myślisz, że oni boją się paru świętych brudasów? Gdyby tylko katabasy zaprotestowały, dopiero wtedy zobaczyłbyś coś. Być może Hitler i Stalin doszliby do porozumienia. Wiesz, kto powinien był protestować? Prezydent Stanów Zjednoczonych, król angielski i wszyscy inni, którzy mają armie na każde swe skinienie. Ale przecież oni nawet nie pierdnęli, usłyszawszy, że zaczęliśmy was szlachtować. Cały świat wiedział, co robiliśmy w 1935, nie mówiąc już o 1938. Ale oni po prostu zatkali*

sobie uszy.

- *Czy uważasz, że to wszystko powstrzymało by zabijanie? - Zapytał Grapa.*

- *Jeden protest nie - stwierdził Heide. - Ale bojkot ekonomiczny, nawet tak późno jak w 1938, uczyniłby to. Żaden papież, ani chodzący z parasolem premier, nie przestraszą Adolfa. A poza tym, kto twierdzi, że naszym przeciwnikom nie podoba się wpychanie was do gazu? Nie chcieli was wykupić nawet za parę ciężarówek i platform. Stalin w Moskwie z pewnością nie będzie za wami tęsknił. Nie wiem co papież ma do powiedzenia, ale uważam, że jest jedynym człowiekiem, który wystąpiłby w waszej obronie, gdyby dysponował wystarczająco wielką armią. Ale jego protest w tej chwili odniósłby taki skutek, jak awanturujący się przed fasadą Pałacu Dożów biały gołąbek. Wy Żydzi jesteście zdolowani i zawsze będziecie. Możecie wznieść się na krótko, ale wtedy jakiś idiota spośród was zacznie nazbyt się panoszyć i wtedy znów was zepchną w dół. Powinniście mieć własne państwo. Tak byłoby najlepiej.*

*Porta pogardliwie splunął na podłogę.*

- *Człowiek jest najgłupszym ze wszystkich zwierząt.*

### **Operacja Psia Obroża**

Plotki o tym, co robiliśmy na Monte Cassino, dotarły do Berlina. Prawdę powiedziawszy, na Prinz Albrecht Strasse 8 dotarł cały potok wiadomości, co spowodowało, że pewnego słonecznego poranka bombowiec Heinkel wylądował na lotnisku deirilbe pod Rzymem. Z samolotu wysiadł Generał Wilhelm von Burgdorf, szef departamentu kadr Wehrmachtu z cienką, czarną teczką na dokumenty pod pachą. Strzepnął jakieś imaginacyjne drobinki kurzu ze swych krwawoczerwonych patek i uśmiechnął się swym zwykłym, przyjaznym uśmiechem.

Generał był człowiekiem, który cały świat uważał za gigantyczny żart. Człowiekiem, który awansował pułkownika na generała z takim samym uśmiechem, z jakim wręczał feldmarszałkowi pigułkę cyjanku potasu. Uśmiechnął się uprzejmie do komendanta lotniska, który stał z otwartymi ustami i zapytał go o zdrowie. Zagadnięty major natychmiast zbladł śmiertelnie. Generał Burgdorf uśmiechnął się.

- Herr Major, załatw mi samochód z kierowcą, który umie prowadzić. Nie obchodzi mnie, czy będzie to skazaniec czy feldmarszałek, jeśli potrafi prowadzić. Spieszę się na spotkanie z Dowódcą Armii Południe.

Major był w widoczny sposób zdenerwowany. Nagłe pojawienie się Burgdorfa zawsze pociągało za sobą szereg samobójstw.

- Herr General - major dwukrotnie strzelił obcasami - mamy tu Oddział Czołgów Służby Specjalnej w koszarach na Via del Castro Pretorio. Możemy dostać od nich pierwszorzędnego kierowcę.

Przeszli razem do osobistego gabinetu komendanta lotniska. Wyglądało na to, że wszyscy inni oficerowie znikli. Niektórzy twierdzili, i nie bez słuszności, że generał jest najpotężniejszym człowiekiem w Armii. Jedno jego słowo i generał już nie był generałem. Inne słowo, a młody Leutnant zamieniał swe srebrne naramienniki w rekordowym czasie na plecione złote oficera sztabowego. Jedno było pewne: nikt nie był awansowany bez zgody Generała Burgdorfa.

Komendant lotniska puścił w ruch gryziopiórków swego biura. Wyglądało to tak, jakby przez budynek przeszedł huragan. Dziesięć telefonów zaczęło dzwonić równocześnie w koszarach na Via del Castro Pretorio. Dziesięciu ludzi nabazgrało ten sam rozkaz.

Ludzie w przerażeniu szeptali nazwisko „Generał Burgdorfa pewien Oberleutnant oraz Major zameldowali się jako chorzy, nie czekając na dalsze szczegóły. Gdy zdano sobie sprawę, że Generał żąda tylko samochodu z kierowcą, dało się słyszeć ogólne westchnienie ulgi.

Hauptfeldwebel Hoffmann prawie udławił się rolmopsem, gdy wyszczekawszy w swój arogancki sposób jakieś impertynencje do telefonu, odkrył, że rozmawia osobiście z Dowódcą Bazy. Jego arogancki szрек zmienił się w słabowite miauczenie. Słuchał dziwnego rozkazu obawiając się najgorszego, a potem ostrożnie odwiesił słuchawkę i przez moment wpatrywał się w osłupieniu na czarny instrument. A po tym nagle powrócił do życia.

- Ty mokry dupodajco - wrzasnął na urzędnika, czy nie pojąłeś jeszcze faktu, że jest tutaj Generał Wilhelm von Burgdorf i żąda środka transportu? Weź się w kupę i ruszaj się, albo będziesz w drodze na Front Wschodni nim zdążysz mrugnąć.

W tym momencie weszli Major Mike i Leutnant Frick. Hoffmann wyrzeszczał swój meldunek.

- Burgdorf? Phi! - Zawołał Mike. - Chce samochodu, doprawdy? Dostanie go wraz z kierowcą. Damy mu więcej, aroganckiemu gówniarzowi, ponieważ będzie przejeżdżał przez niebezpieczny teren, gdzie mali, makaroniarscy chłopcy mogą wpaść na cholernie dobry pomysł wysadzenia go w powietrze. - Rzucił Leutnantowi Frickowi diabelski uśmiech. - Jak sądzisz, Frick, czy mamy mu dać mój „kubel”?

Leutnant Frick uśmiechnął się złośliwie.

- Wspaniały pomysł, Mike. I Portę jako kierowcę.

Major Mike z entuzjazmem kiwnął głową.

- I Małego jako eskortę.

Hauptfeldwebel Hoffmann zbladł. Dwa razy poprosił o niewłaściwy numer telefonu. Własny język jakoś nie chciał go słuchać. Major Mike i Leutnant Frick usiedli na jego biurku i obserwowali go z jawnym rozbawieniem. W końcu udało mu się połączyć z garażem. W dziesięć minut później wycofał się do łóżka z gwałtowną migreną i iskierkami tańczącymi przed oczyma. Przed odejściem zwrócił uwagę urzędnika w stopniu sierżanta na fakt, że nie ma pojęcia jaki rozkaz został wydany. Major Mike i Leutnant Frick woleli upić się i ukryć bez śladu do chwili, aż niebezpieczeństwo minie.

Pięćdziesięciu ludzi szukało Porty i Małego. Powinni obaj znajdować się w garażu, zajęci serwisowaniem swych pojazdów, ale okazało się, że w jakiś tajemniczy sposób uzyskali przeniesienie do innych zajęć. Portę odkryto w zbrojowni, gdzie grał w bitwę morską z kwatermistrzem i ojcem Emanuelem, w momencie, gdy wygrywał całą pulę. Małego wytropiono w sypialni za kantyną, gdzie zabawiał się wraz z podoficerem kantyniarzem i dwiema dziewczynami kuchennymi. Gdy go odnaleziono, właśnie zapinał spodnie. Wolnym truchtem udał się do garażu, trzymając na ramieniu skrzynkę amunicyjną. Ujrzawszy z dala Portę, zawołał:

- Mamy zabrać na przejażdżkę generała. Z wizytą do feldmarszałka.

Gdy odjeżdżali po generała, raczej nie można było określić ich jako ubranych na paradę. Komendant lotniska dostał szoku, gdy się u niego zameldowali. Ale Generała Burgdorfa to rozbawiło. Należeli do typu ludzi, jakich lubił. Dał każdemu z nich garść cygar i nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na majora.

Pomknęli przez Rzym ponad setką. Adiutant Burgdorfa, Hauptmann, siedzący z zamkniętymi oczami, wolałby wysiąść, ale generała cieszyła szybkość. Natychmiast zorientował się, że Porta zna się na swej robocie, ale nawet on z lekka zbladł, gdy usłyszał, jak Porta mówi Małemu, że przednia oś jest nadal luźna i dlatego musi bardzo uważać na wyboje. Mając mniej niż cal luzu przecisnęli się pomiędzy dwoma tramwajami, w deszczu klątw i przekleństw dwóch motorniczych oraz pasażerów. Ochlapali błotem policjanta, zmuszając go do skoku dla ratowania życia, co go przekonało, że tejże nocy powinien przyłączyć się do partyzantów.

Generał słuchał z zainteresowaniem rozmowy Porty z Małym, przyznając w duchu, że są najlepszą parą kierowców, jakich miał kiedykolwiek. Nie mógł jednak uznać, by fakt, że wiozą generała, robił na nich jakiegokolwiek wrażenie. O ile zdołał zrozumieć, planowali kradzież świni, która jakoby znajdowała się w Dowództwie Armii. To generała nie dotyczyło. Nie przyleciał do Włoch, by zajmować się drobnymi wykroczeniami.



Porta szczegółowo opisał Małemu swój ulubiony sposób gotowania krwawej kiszki. Raz nawet zdjął z kierownicy obie ręce, by pokazać, co ma na myśli.

Z piskiem hamulców zatrzymali się przed Dowództwem Armii we Frascati. Leutnant Luftwaffe niemal spadł ze schodów z gorliwości, otworzył drzwiczki wozu i pomógł wysiąść generałowi i adiutantowi. Generał rzucił okiem na Portę i Małego, którzy pozostali na swoich miejscach w najbardziej niezdyscyplinowany sposób, z rezygnacją wzruszył ramionami i zaczął wspinać się po schodach. Dla niego byli zbyt drobną zwierzyną. Leutnant nie mógł zrozumieć, z czego generał się śmieje, gdy wchodzili do środka.

Gdy przybył Generał Burgdorf dowódca Armii prowadził konferencję. Trzech oficerów i dwaj Feldweble poderwali się na równe nogi i podbiegli, by pomóc mu zdjąć zakurzony płaszcz, ale Burgdorf odpędził ich machnięciem ręki.

- Czy życzy pan sobie, abym złożył zażalenie na niezdyscyplinowane zachowanie dwóch Obergefreiterów w pańskim wozie? - Zapytał służalczo Leutnant.

Generał Burgdorf uśmiechnął się swym niebezpiecznym uśmiechem.

- Herr Leutnant, gdybym życzył sobie krytykować, zacząłbym od pana. Guzik pańskiej górnej kieszeni jest odpięty. I od kiedy to, Herr Leutnant, Leutnanci piechoty mają zezwolenie noszenia ostróg? Czy ja, generał piechoty, noszę ostrogi? Złóż łaskawie mojemu adiutantowi meldunek o twym nieregulaminowym umundurowaniu, zanim odjadę. Jak długo jest pan w Sztabie Generalnym?

Leutnant wybełkotał coś niezrozumiałego. Przed wojną był nauczycielem w jakiejś okropnej, małej wiosce w górach Eigeru, gdzie był postrachem dwunastolatków. Burgdorf popatrzył na niego z pogardliwym uśmiechem.

- Czy ma pan pistolet? - Zapytał z zainteresowaniem?

- *Jawohl, Herr General* - wrzasnął Leutnant, strzelając obcasami z nieregulaminowymi ostrogami.

- Wspaniale - uśmiechnął się Burgdorf. - Jestem pewien, że wie pan, jaki zrobić z niego użytek. Żegnam, Herr Leutnant.

Obecni mieli teraz nieco bledsze twarze. Burgdorf trzcinką klepnął w ramię Rittmeistra.

- Proszę powiedzieć Dowódcy Armii, że chcę z nim rozmawiać w cztery oczy.

- Herr General, na nieszczęście nie jest to możliwe. Herr Generalfeldmarschall ma konferencję i nie wolno mu przeszkadzać. Planujemy następny atak oraz obronę Linii Gustawa - dodał rotmistrz.

Generał Wilhelm Burgdorf roześmiał się z całego serca i zauważył, że Rittmeister w oczywisty sposób nie zdaje sobie sprawy, że ma do czynienia z najpotężniejszym człowiekiem w Armii Niemieckiej. Następnie zwrócił się do Oberfeldwebela.

- Przyprowadź mi dwóch ludzi z mego samochodu.

- *Jawohl, Herr General!* - wrzasnął Feldwebel.

- Oraz - dodał po namyśle Burgdorf - powiedz im, by zabrali ze sobą pistolety.

W trzy minuty później Porta i następujący mu na pięty Mały wpadli do pokoju z niemałym hałasem. Burgdorf uśmiechnął się krzywo.

- Aż do następnego rozkazu wy dwaj bandyci jesteście moją ochroną osobistą. Jeśli rzucę na podłogę rękawiczki, strzelacie do wszystkich i wszystkiego.

- Ach, znamy to, Herr General - powiedział Mały. - Kiedyś odbyliśmy wycieczkę z generałempułkownikiem i wydał taki sam rozkaz. Jediną różnicą było, że miał rzucić swoją czapkę.

Burgdorf wolał nie usłyszeć uwagi Małego. Zwrócił się do Rittmeistra.

- Herr Rittmeister, spieszy mi się. Wyobrażam sobie, że nie uszło pańskiej uwadze, iż toczymy wojnę. Armia we Włoszech jest tylko maleńką częścią tej wojny. Idź do Dowódcy Armii i zamelduj moje przybycie.

Rittmeister pospiesznie znikł. Burgdorf zaczął chodzić po pokoju, założywszy ręce do tyłu; jego długi, skórzany płaszcz rozwiewał mu się wokół nóg. Już się nie uśmiechał. Porta i Mały stali jak posągi po dwóch stronach podwójnych drzwi. Trzymali pistolety maszynowe pod pachami, ładownice mieli otwarte.

W chwilę później podwójne drzwi rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich Generalfeldmarschall Kesselring, wysoki, barczysty, w szarym mundurze Luftwaffe.

- Mój drogi Burgdorf, cóż za niespodzianka! Jestem do twojej dyspozycji.

Generał Burgdorf uśmiechnął się i dokładnie przyjrzał się rozżarzonemu czubkowi swego papierosa.

- Herr Feldmarschall, słucham tego z największą radością. Wobec tego szybko będziemy mogli skończyć. Proszę odesłać swoich ludzi.

Obecni tam oficerowie pospiesznie wyszli. Ale Porta i Mały pozostali.

- Herr Feldmarschall, w Berlinie pojawiły się szalone plotki na temat tego, co się tu dzieje. Czy negocjuje pan z Amerykanami? Na przykład o wycofaniu wojsk niemieckich z Rzymu? Mam na myśli, czy wpadł pan na pomysł ogłoszenia Rzymu miastem otwartym? Wiemy, że w Rzymie jest amerykański generał.

- Niemożliwe, Herr Burgdorf! Gdyby tak było, powinienem o tym wiedzieć.

- To nie jest niemożliwe, Feldmarszałku. Ale pytanie brzmi, czy pan o tym wie i czy może spotkał pan tego Generała?

- Daję panu słowo honoru, Herr Burgdorf, że nie.

- Wierzę panu, ale co z kontaktem przez pośrednika?

Generalfeldmarschall Kesselring pokręcił głową. Jego twarz straciła swój zdrowy, czerwony kolor.

- Czy to prawda, że święte zabytki zostały usunięte z Monte Cassino? Pan musi wiedzieć, co robi Generał Conrad. Radiostacje alianckie ogłaszały wszem wobec, że parę dni temu Dywizja Pancerna Hermann Goering zajęta była plądrowaniem klasztoru. Jest to z całą pewnością plądrowanie, którego Reichsmarschall Goering jest całkowicie nieświadom, ale być może pańscy oficerowie wywiadu śpią. W takim wypadku proponowałbym doraźny sąd polowy w ciągu najbliższej półgodziny. W Berlinie wiemy, że Oberleutnant Schlegel z Dowództwa Dywizji Pancerniej naradzał się z Conradem, który dał zielone światło dla sabotowania rozkazu Führera. Führer życzy sobie, by to wszystko, co jest w klasztorze, zostało zniszczone przez amerykańskie bombardowanie. Generał Freyberg, Nowozelandczyk, domaga się, by bombowce amerykańskie zniszczyły klasztor, ale do naszych kolegów po tamtej stronie ów pomysł specjalnie nie przemawia. Jednak nasz nowozelandzki przyjaciel to uparta bestia i bez wątplenia w końcu uda mu się uzyskać zgodę, by ten kawał skały został dla niego rozwalony. Ale tymczasem pański cholerny generał i zidiociały Oberleutnant zepsuli nam całą grę. Człowieku, czy nie możesz zrozumieć, jaki mamy cel? Po prostu wyobraź sobie tytuły w prasie rynsztokowej na całym świecie: „Angloamerykańscy gangsterzy niszczą najcenniejsze katolickie zabytki Zachodu!” Mamy nawet oddział komandosów do likwidacji tego starego idioty Damare. Możemy spowodować, by tamci zrównali z ziemią klasztor, ale dla nas ważne jest, aby znajdujące się w nim skarby sztuki poszły równocześnie z dymem. Freyberg jest całkiem przekonany, że nasi agenci mówią prawdę, iż klasztor został zmieniony w fortecę nie do zdobycia. Tak więc, tuż przed tym, nim zrównają go z ziemią, zapewnimy sobie otrzymanie od całej bandy tamtejszych katabasów oświadczenia, że w klasztorze nigdy nie było ani jednego niemieckiego żołnierza. Z punktu widzenia naszej propagandy będzie to miało dla nas kolosalne znaczenie. Jediną dobrą rzeczą, spowodowaną przez transport Schlegela jest to, że ciężarówki zostały sfotografowane przez alianckie samoloty zwiadowcze, co jest wodą na młyn Freyberga. Führer jest wściekły. Obergruppenführer Müller jest już w Rzymie. Stoi pan jedną nogą przed sądem polowym, Herr Marschall. Cały ten biznes musi zostać wykręcony w taki sposób, że pan wiedział wszystko o tym cholernym transporcie, w

przeciwnym razie cały świat oskarży nas o rabunek. Nie możemy w tej chwili pozwolić sobie na sprawę tego rodzaju.

Twarz Generała-feldmarszałka była śmiertelnie blada.

- Nie rozumiem pana, Herr Burgdorf.

- Sądziłem, że wypowiadam się całkiem jasno. Czy życzy pan sobie stanąć przed Sądem Honorowym, oskarżony o zdradę główną, czy osobiście wyciągnie pan te kasztany z ognia? Gruppenführer Müller jest na Via Tasso. Nie czuje żadnych oporów przed schwytaniem w swą sieć marszałka.

- To jest oszczerstwo, Herr General, najobrzydliwsze oszczerstwo! - Krzyknął ze złością Kesselring.

- Obawiam się, Marszałku, że pańskie idee, co do nowej ery są nieco pogmatwane. Rzesza nie jest już Niemcami Cesarскими. Jesteśmy państwem narodowosocjalistycznym. Nie cofamy się przed niczym, by osiągnąć nasz cel. Führer życzy sobie, by ta cholerna kwestia żydowska została rozwiązana. Ja osobiście nie sympatyzuję ze wszystkimi jego ideami politycznymi, ale jestem żołnierzem i złożyłem przysięgę posłuszeństwa, tak samo, jak pan. Burgdorf uderzył pięścią w blat stołu z weneckiej mozaiki. - Jeśli otrzymuję rozkaz, wykonuję go co do kropki. Kocham dzieci, szczególnie małe, ale jeśli jutro otrzymam rozkaz zabicia wszystkich dzieci w Europie poniżej dwóch lat, zostaną zabite bez oglądania się na moje osobiste uczucia. A każdy z moich podwładnych, który ściśle nie wykona moich rozkazów, stanie przed sądem polowym. Jesteśmy świadomi pańskich przekonań religijnych.

- Czy pan wierzy w Boga, Generale Burgdorf?

- To w co wierzę nie powinno pana interesować. Jestem żołnierzem. Zawodem żołnierza jest prowadzenie wojen, a wojna oznacza zabijanie. Mam podejrzenie, że nie jest pan tego w pełni świadom. Ostrzegam pana. W tej chwili w Torgau jest 36 generałów. Jutro wczesnym rankiem rozstrzelujemy dwóch z nich. Jak pan widzi mam ze sobą dwóch Obergefreiterów. Zabrałem ich półtorej godziny temu z Pułku Pancernego Służby Specjalnej pańskiej armii. Są to ludzie, którzy po raz drugi ukrzyżowaliby Chrystusa, gdyby otrzymali taki rozkaz i udałoby im się go schwytać.

Burgdorf podszedł blisko do Kesselringa i ostrzegawczo pomachał swą czapką polową przed pobladałą twarzą Generała-feldmarszałka. - Nie zawahają się przed zaciągnięciem generała-feldmarszałka za śmietnik i zastrzelenie go tam.

- Herr Burgdorf, ostrzegam pana, że Reichsmarschall otrzyma moją skargę na pańskie niesłychane zachowanie.

Burgdorf zaśmiał się i zgiął kolana. Był absolutnie pewien siebie.

- Z pewnością nie sądzi pan, że jestem tutaj z własnego polecenia? Przybyłem tu na osobisty rozkaz Führera i nie jestem sam. Co do Marszałka Rzeszy, nie liczyłbym na pomoc z tej strony. Od pewnego czasu wpadł w niełaskę. Mówiąc między nami, Führer go nie znosi. Obecnie Luftwaffe znalazła się na dalekim planie. Führer ocenia ją jako niewypał.

- Moi spadochroniarze walczą we Włoszech jak wcielone diabły. Jeśli nadal będą tak postępować, żaden nie zostanie przy życiu.

- Führer nie będzie wylewał łez z tego powodu - rzekł suchym tonem Burgdorf. - Mogę zabrać pana ze sobą do Berlina i wsadzić do Torgau, gdzie pewnego wczesnego ranka cicho przejdzie pan do wieczności za to, że nie zapobiegł pan tej aferze z Monte Cassino. Jutro o jedenastej rano mam ważną konferencję z dwoma dowódcami dywizji i paroma dowódcami pułków na temat Operacji Psia Obroża i biada panu, Herr Marschall, jeśli choć jedno słówko dotrze do Watykanu. Oberführer Müller puszcza w ruch służbę bezpieczeństwa. Mamy w Watykanie agentów, którzy donoszą nam o wszystkim. Chcemy sprowokować Piusa do protestu przeciw prześladowaniu Żydów i zmusimy go do otwarcia swej wielkiej gęby, tego może być pan pewien.

- Czy planujecie aresztowanie papieża? To byłby szaleńczy czyn. Pan chyba żartuje, Herr General!

- To rzecz śmiertelnie poważna. Czy myśli pan, że mam czas na żarty?

- Tego nie można zrobić - wyszeptał ochryple Feldmarszałek, nerwowo dotykając swego Krzyża Rycerskiego.

- Można zrobić znacznie więcej - zadrwił Burgdorf. - To nie byłby pierwszy wypadek w historii, że papież został wzięty do niewoli.

- Co spodziewacie się osiągnąć w ten sposób?

- To samo, co przez likwidację synagog i Żydów. Pańskie zadanie polega na dopilnowaniu, by rozkazy wydane przez Berlin zostały wykonane. Burgdorf położył dłonie w rękawiczkach na weneckim stole. - I strzeli pan papieżowi w tył głowy, jeśli otrzyma pan taki rozkaz.

- Ale to przecież diabelstwo - szepnął marszałek.

- Czy mam poinformować Führera o pańskiej opinii, gdy będę składał raport? Czy pan nie wie, że Führer stoi ponad wszelką krytyką? Mamy mnóstwo ludzi, którzy mogą zająć pańskie miejsce, Istota sprawy, Generale, jest następująca: Czy zamierza pan zastosować się do swej przysięgi posłuszeństwa, czy nie? Jest pan człowiekiem wierzącym. Czy złożył ją pan na Biblię?

- Herr General, ja nie łamię przysięgi.

- Nie oczekiwaliśmy, że pan to robi, Herr Marschall. Berlin będzie w stanie całkowicie usprawiedliwić każdą likwidację papieża. Katolicyzm jest najniebezpieczniejszą przeszkodą na naszej drodze.

- Tego samego możnaby oczekiwać od Stalina, Herr General.

Burgdorf stuknął trzcinką w swe błyszczące buty. Czerwone lampasy na jego spodniach błyszczały jak krew.

- Nasza wojna nie jest wojną narodową. Jeśli ją przegramy, nasza rola jako wielkiego narodu będzie skończona, może też samo nasze istnienie. Dlatego wojna musi być prowadzona z taką brutalnością i twardością, jakich świat jeszcze nie widział. Nie cofamy się przed niczym. Jeśli w naszych szeregach są oficerowie, którzy nie będą bezwzględnie wykonywać rozkazów Berlina, oni i ich rodziny zostaną zlikwidowani. Gdy Berlin wysła zaszyfrowany rozkaz „Psia Obroza”, pańskim obowiązkiem, jako tutejszego naczelnego dowódcy, jest zapewnienie, by został wykonany. - Burgdorf w zamyśleniu wyjrzał przez okno. - „Psia Obroza” jest otoczona tajemnicą. Nie istnieje na papierze. - Uśmiechnął się i z całej siły uderzył się po bucie. - Jest jedna rzecz wspólna dla Kremla i Prinz Albrecht Strasse: jedni i drudzy uważają, że burżuazji brak wyobraźni w ocenach. Sprawa może być tak ogromna, że wygląda na całkiem niewiarygodną. Nie ma znaczenia, jeśli paru ludzi o bystrej inteligencji w nią wierzy, jeśli ogromna, głupia biurokracja nie potrafi jej pojąć. Gdy prawda wyjdzie na jaw, natychmiast zostanie określona jako kłamstwo i w ten sposób nada wykonawcom urok prześladowanej niewinności.

Generalfeldmarschall wpatrywał się w Burgdorfa z miną, jakby uważał go za człowieka chorego umysłowo, albo za osobistego adiutanta Szatana.

- Jeśli przegramy wojnę - powiedział łamiącym się głosem - prawda historyczna potępi nas z całym okrucieństwem.

Burgdorf potrząsnął głową.

- Berlin zdoła wykonać to tak skutecznie, że to przekroczy pańską wyobraźnię. Najpierw świat będzie wstrząśnięty. A potem pojawią się wątpliwości i nim minie dziesięć lat, burżuazja odmówi przyjęcia faktów do wiadomości. Papież boi się tak Stalina jak Hitlera i ma ku temu dobre powody. Zabierzemy go do Berlina, oficjalnie by go ochronić.

- Po tym, jak Watykan zostanie okupowany przez oddziały niemieckie? - Zapytał z powątpiewaniem Feldmarszałek. - Nie uda się wam skłonić kogokolwiek do uwierzenia w to.

- Czy uważasz, że my, w Berlinie, jesteśmy tak niezdarni? - Burgdorf zaśmiał się pogardliwie. Wojska niemieckie zajmą Watykan po tym, jak zostanie zaatakowany przez

bandę partyzantów pod dowództwem żydowskich komunistów. Jak sądzisz, po co sprowadziliśmy do Berlina batalion Służby Specjalnej Dirlewangera?

- Czy oni w końcu nie zaczną gadać? - Spytał zamyślony Feldmarszałek.

- Żaden nie przeżyje, by mógł to zrobić. Zapewni to Pułk Pancerny Służby Specjalnej.

- Czy Niemcy będą strzelać do Niemców?

- Pułk Pancerny nie będzie strzelał do Niemców, lecz do bandytów we włoskich mundurach.

- Świat nigdy nie pogodzi się z eksterminacją katolików - upierał się Feldmarszałek. - Podniesie się burza oburzenia.

- Likwidacja już się zaczęła - odpowiedział Burgdorf. - W Dachau dokonaliśmy egzekucji tysiąca dwustu księży. Liczni siedzą w Plötzensee, czekając, aż zostaną uduszeni. Czy słyszał pan, by ktokolwiek protestował? Ja nie.

- A co z konkordatem? Czy to go nie dotyczy?

- Całkiem bez znaczenia - rzekł Burgdorf. - To tak, jak nasze obietnice, składane Żydom. Jeśli chce się uniknąć paniki wśród idącego na rzeź bydła, trzeba je najpierw uspokoić. 12 czerwca 1933 Führer powiedział: - „K Konkordat zupełnie mnie nie interesuje, ale pozwoli nam w spokoju kontynuować naszą walkę przeciw Żydom, a po tym pozwoli nam iść dalej i robić inne rzeczy”.

- Nie rozumiem, dlaczego Watykan zawarł z Rzeszą ten konkordat. Zawsze istniało ryzyko, że zostanie użyty przeciw nim.

- Ryzyko, które Watykan był zmuszony podjąć - odparł podrażnionym tonem Burgdorf. - W celu uniknięcia gorszych rzeczy, niż śmierć paru milionów Żydów.

- W Niemczech jest trzydzieści milionów katolików - wtrącił Marszałek. - A pomyśleć choćby o tych, we wszystkich innych krajach.

- Dla Reichsführera to bagatelka. Mamy dziesięć milionów fanatycznych niewierzących, którzy z rozkoszą poderzną gardło każdemu katolikowi, którego zdołają złapać, jeśli Reichsführer SS powie jutro jedno słowo.

- Nie rozumiem, Herr Burgdorf, czemu Berlin jest tak zainteresowany, by skłonić papieża do protestu przeciw prześladowaniu Żydów?

Burgdorf uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Powinienem był pomyśleć, że było to całkiem oczywiste i obawiam się, że oni tam w Watykanie zaczynają coś podejrzewać. Jeśli papież zaprotestuje przeciw prześladowaniu Żydów teraz, gdy okupowaliśmy Włochy i wprowadziliśmy stan nadzwyczajny, będzie w konflikcie z przepisami o bezpieczeństwie, a my będziemy mieli wyraźnie określone powody,

by zabezpieczyć jego osobę, ponieważ wówczas publicznie da wyraz postawie wrogiej wobec nas. Gdy tylko zabierzemy go z Rzymu, z całą resztą z pewnością damy sobie radę.

- To będzie oznaczało wojnę z 400 milionami wierzących katolików. Nazbyt gigantyczne przedsięwzięcie.

- Wszystko można zrobić, jeśli człowiek nie ogląda się na źle pojęty humanitaryzm. Właśnie w tej chwili jesteśmy na eksperymentalnym etapie eksterminacji niepożądanych elementów, a to będzie działanie, które wywoła pełną sympatię marszałka Stalina. Kto wie, może Berlin i Moskwa spotkają się właśnie dzięki tej akcji. Tak Berlin, jak Moskwa, zdają sobie sprawę, że nie możemy osiągnąć naszych celów, nie wykorzeniwszy w pierw, do szczętu, chrześcijaństwa.

- Cały świat podniesie się, by zaprotestować - za wołał zrozpaczony Marszałek - gdy to wyjdzie na jaw!

Burgdorf pokręcił głową.

- Liczby są w ogóle zbyt wielkie, by naprawdę kimkolwiek wstrząsnęły. Zwykły człowiek nie będzie w stanie ich pojąć. W Kijowie w ciągu dwóch dni za strzeliliśmy 34 000 Żydów i Cyganów. Istnieje mnóstwo miast o mniejszej ludności. W Polsce dokonujemy egzekucji 4000 do 6000 osób dziennie. W Oświęcimiu zlikwidowaliśmy 600 000; w Brzezince nieco poniżej 300 000. Od 1940 roku zabiliśmy dwa miliony Żydów. Gdybyśmy mieli dość czasu, zabilibyśmy sześć, dziesięć albo dwadzieścia milionów. Świat usłyszał te przerażające liczby dawno temu. Dla przeciętnego człowieka dziennikarze, którzy o tym pisali, to kłamcy. Ale gdybyśmy zamiast tego zabili 800 dzieci, a nie 135 000, świat podniósłby wrzask, ponieważ 800 to cyfra, którą ludzie mogą pojąć.

Burgdorf wsadził sobie trzcinkę pod pachę, zapiął rękawiczki, wsadził czapkę na głowę, wesoło, na bakier.

- Herr Marschall - powiedział następnie - jeśli sumienie nie pozwala panu zastosować się do przysięgi posłuszeństwa, proszę napisać nam parę słów i natychmiast zostanie pan odwołany z dowództwa.

Popatrzył Marszałkowi prosto w twarz.

- Ale jestem pewien, że nie potrzebuję panu mówić, jakie konsekwencje to za sobą pociągnie. Żołnierz nigdy nie powinien myśleć o otrzymywanych rozkazach „co” i „po co”, lecz wykonywać je. Pewne rzeczy, które robi, śmierdzą! Dla nas znaczenie ma tylko to, co rozkazuje Führer. Jego wola jest naszą wolą. Jego wiara w zwycięstwo jest naszą wiarą w zwycięstwo.

Burgdorf uniósł trzcinkę w krótkim pozdrowieniu i wyszedł z pokoju.



Marszałek stał samotnie na środku sali, spoglądając w ślad za oddalającą się postacią.

## Rozdział 9

*Porta naciągnął łuk. Długa strzała pomknęła prosto, wbiła się w szyję i wyszła drugą stroną. Wysoki, żylasty, amerykański kapitan zachwiał się, padł na twarz, a strzała się złamała.*

*Porta był dumny.*

*- Zrobią mnie honorowym wodzem indiańskim. Jeśli tak będzie szło mi dalej, przyjmę nazwisko „Czerwony Płomień”.*

*W ciągu następnych dwóch dni trafił w ten sposób jeszcze sześć razy. Amerykanie zawołali do nas, chcąc się dowiedzieć, kim jest nasz łucznik. Jeden z ich Murzynów był świetnym łucznikiem, zdezerterował, i oni myśleli, że to on. Proponowali nam Bóg wie co, jeśli go zwrócimy.*

*- Nie mamy tu żadnych czarnuchów - zawołał Heide. - A także żadnych cholernych żydlaków!*

*Następnie pomachaliśmy białym materiałem, zatkniętym na końcu bagnetu, a Porta wspiął się na przedpiersie.*

*- Trzymajcie waszych oficerów z dala! - Wrzasnął Heide. - Czerwony Płomień strzela tylko do oficerów!*

*Porta pomachał nad głową swym żółtym kapeluszem. Jego czerwone włosy płonęły w promieniach słońca.*

*- Witajcie, Błede Twarze! - Zawołał.*

*Amerykanie rzucali hełmami w powietrze i wiwatowali. Olbrzymiego wzrostu sierżant w battledresie luźno wiszącym na nim wylazł na amerykańskie przedpiersie.*

*- Tu Szary Niedźwiedź z Alaski. Ile masz lat służby, Czerwony Płomieniu?*

*- Osiem.*

*- Dzieckiem jesteś. Ja zaliczyłem 24. Zastrzeliłem twego parszywego ojca pod Verdun.*

*- To kłamstwo, ty brudny Jankesie - rozdarł się Porta. - Mój stary odsiaduje swój trzeci rok w Moabit, cela 840. Więzień najwyższego ryzyka, jeden z twardzieli.*

*Amerykanin założył furażerkę na swój hełm.*

*- Ty nędzny Szwabie, ukradłeś sobie indiańskie imię. Ja tu reprezentuję moje plemię. Zestrzel tę czapkę z mego hełmu, to my, Indianie, cię uznamy. Jest tu nas trzech. Jeśli chybisz, zabierzemy cię tej nocy i oderżniemy ci kutasa.*

*Porta wyciągnął strzałę z przytroczonego do pleców kołczanu, naciągnął cięciwę i starannie wycelował.*

*- Nie próbuj tego - ostrzegł Stary. - Jeśli go zabijesz, pomszczą go.*

*- Święta Dziewico, prowadź jego rękę - zamruczał Ojciec Emanuel, przeżegnawszy się.*

*Setki lornet wycelowano w furazerkę Amerykanina. Zapadła śmiertelna cisza. Wtedy strzala ze świstem popędziła, przebiła czapkę i zrzuciła ją. Wielki ryk entuzjastycznego aplauzu rozległ się nad obiema liniami. Helmy i karabiny ciskano w powietrze. Ponieśliśmy Portę w triumfie wzdłuż przedpiersia. Amerykański sierżant uniósł ręce w hołdzie dla zwycięzcy i w tym momencie pojawił się Jednooki.*

*- Co tu, u ciężkiej cholery, się dzieje? Czy wszystkich was pogryzły wściekle małpy?*

*Zasługujecie na sąd połowy!*

*Wojna trwała nadal.*

### **Prywatna wojna Majora Mike'a**

Deszcz ze śniegiem siekł nam twarze, spływał po naszych hełmach, po szyjach, lepił się do szczeciny na naszych twarzach, a na wargach żłobił bolesne rowki.

- I to ma być słoneczna Italia - doleciał z tyłu głos Porty.

Maszerowaliśmy dwójkami w górę zbocza. Klasztor stał wysoko nad nami, uczepiony skały. Nie szliśmy do niego, lecz prosto przez górę, na drugą stronę Monte Cassino. Saperzy powiedzieli nam, że ten odcinek trzymają Japończycy.

- Zewrzeć szyk - rozkazał Major Mike. - I nie pozwalajcie swym językom strzępić się tak, jak dotychczas.

Otuliła nas ciemność. Na południowym-zachodzie pomrukiwały armaty. Pociski oświetlające leciały do góry. Zapalające rysowały swój bieg na niebie, jak pawie ogony. Był to tak cudowny widok, że można by się z niego cieszyć, gdyby nie był tak niebezpieczny.

Byliśmy grupą do specjalnego zadania. Nie było to dla nas niczym nowym. Nim odeszliśmy z kwater wypoczynkowych, wykopaliśmy trzy wielkie groby zbiorowe. Żaden z nas nie wierzył, że są przeznaczone dla nas, więc robota nie zrobiła na nas wrażenia. Ale Porta przygotował jedno szczególnie ładne miejsce, które, jak orzekł, przeznaczone zostało dla Orła, którego Hauptfeldwebel Hoffmann wykopał z biura. Mike powitał go w naszych szeregach szczerząc zęby.

- Jesteś zbyt tłusty, Stahlschmidt. Musisz stracić na wadze, Najlepiej będzie, gdy zostaniesz moim gońcem. - To było najgorsze zajęcie w szwadronie.

Porta i Mały natychmiast zaczęli wprowadzać Orła w tajniki jego obowiązków.

- Będziesz musiał używać platfusów, - powiedział Porta - zygając pomiędzy wybuchającymi pociskami i nie pokazuj swej tłustej gęby przed karabinem snajpera.

Orzeł pojawił się w sam czas, by zobaczyć swego poprzednika. Miał oderwaną połowę czaszki. Jeszcze żył, ale umarł nim odeszliśmy. Orzeł wziął jego torbę meldunkową.

Pocisk rozerwał się blisko nas. W jednej chwili szwadron rozproszył się. Słyszeliśmy, jak nadlatuje. Mike prawie połknął swe wielkie cygaro.

- *Hombre!* - Wykrzyknął Barcelona Blom - Te cholerne pociski zawsze nadlatują tak nagle.

Maszerowaliśmy dalej. Nikomu nic się nie stało. Porta i Mały podeszli z dwóch stron do Orła i zmusili go do dołączenia do 3. Drużyny.

- Znalazłeś się w paskudnym świecie, he, Stahlschmidt? Pociski burzące, zapalające, ząbkowane bagnety i okropne, samurajskie miecze. Wszystko gotowe do urwania ci jaj. Miotacze ognia, które ogolą cię w mig. Psss! Lepiej ci było w twojej klatce, w Altonie, nieprawdaż? Ale wojna jest jak kino, najlepsze miejsca są z tyłu, a frontowe, to ledwie mrugnięcie. Ale uspokój się, zrobiliśmy dla ciebie, we wspólnym grobie, śliczne, miękkie miejsce.

- Zamknij twarz - warknął Orzeł. - Może się okazać, że na koniec to z ciebie będą się śmiać.

- Jak długo żyje goniec szwadronu? - Zakrakał złośliwie Mały.

- U saperów tydzień - powiedział, diabelsko chichocząc, Heide. - W piechocie pięć do dziesięciu dni, a u nas nigdy dłużej niż dwa.

Mały zrobił znak krzyża przed twarzą Orła.

- Jesteś katolikiem? - Zapytał.

- A co ci do tego? - Warknął Orzeł.

- Myślę, że powinieneś pójść do kapelana, żeby natarł ci pysk ostatnim namaszczeniem, zanim dotrzemy na naszą pozycję! - Mały zarżał rozkosznie, uznawszy siebie samego za dowcipnisia wszech czasów. Śmiał się przez dobre piętnaście minut.

- To doprawdy okrutne, że tak obiecujący materiał na oficera będzie musiał umrzeć w kwiecie wieku - zauważył Barcelona.

- Takie są twarde prawa wojny - powiedział Porta, patrząc badawczo na Orła. - Boisz się ścisnąć półdupki, Stahlschmidt?

Mały demonstracyjnie chwycił spodnie Orła za siedzenie.

- Jeszcze nie - oznajmił. - Ale już wkrótce.

Orzeł wściekle zamachnął się na niego torbą meldunkową.

- Jestem żołnierzem dłużej niż ty, zasrańcu.

- Papierowym żołnierzykiem - zakpił Mały. Gdyby Walt Disney znał cię, zrobiłby cię czarnym charakterem w kreskówkach z Kaczorem Donaldem. - Padł na ziemię i potoczył się ze śmiechu. Należał do tych szczęśliwych ludzi, którzy całymi godzinami potrafią się radować z jednej rzeczy.

Znaleźliśmy stary projektor filmowy, wielkiego, ciężkiego potwora, który wszędzie nosiliśmy ze sobą. Był w nim tylko jeden film, bzdurna komedia. Gdy tylko była okazja, puszczailiśmy cały film, wielokrotnie. Za każdym razem, gdy oglądaliśmy go, śmieszył nas jednakowo. Już cztery razy Mały zwichnął szczękę ze śmiechu podczas jednej ze scen, gdzie bohater przejeżdża starym Fordem przez piłą taśmową.

Dotarliśmy do lasu, w którym wszystkie drzewa były rozwalone przez pociski i obrócone w drzazgi. Póki nie ujrzało się takiego widoku, nie można uwierzyć, że jest to możliwe. Wszędzie martwe drzewa, sterczące oskarżycielsko w niebo. Maszerując tamtędy znów śmialiśmy się kosztem Orła.

Parę pocisków padło za nami.

- To mi się nie podoba - mruknął Stary.

Zbliżaliśmy się do wąwozu śmierci, odcinka, który budził największy postrach na froncie. Powietrze pełne było gwizdów, skowytów i wycia. Był to wąski odcinek pod obserwacją nieprzyjaciela. Leżały tam setki wyrzuconych w powietrze ciał ludzi i koni. Tylko pięć procent naszych kolumn przedostawało się tamtędy.

- Odległość, odległość! - Przekazano rozkaz z ust do ust. - Nie palić!

Padła nowa salwa pocisków. Rzuciliśmy się biegiem. Ciężko dysząc brnęliśmy przed siebie. Jeden z ludzi porzucił mózdzierz. Był to Shirker-Brandt. Ten człowiek zawsze próbował pozbywać się swego bagażu. Stary zagroził, że go zastrzeli, jeśli nie podniesie mózdzierza. Pocisk 75 mm z wizgiem wbił się w ziemię. Brandt osunął się na kolana, fontanna krwi trysnęła z miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą miał głowę. A potem upadł na mózdzierz. Stary i ja odrzuciliśmy jego ciało na bok i wspólnie zaczęliśmy taszczyć mózdzierz. Brandta już zapomnieliśmy.

Pociski waliły wśród nas. Ludzie wrzeszczeli. Myśleliśmy tylko o sobie. Nasze nogi pracowały jak tłoki w silniku. Mieliśmy tylko jedną myśl: wydostać się stąd i ukryć. Nie zwracałem uwagi na to, że karabin maszynowy obija się o hełm, a jego rzemienie wrzynają się w ramiona. Naprzód, naprzód! Teraz już nie trzeba było nas ponaglać.

Biegącemu obok mnie Feldweblowi urwało obie nogi.

Unteroffizier Schrank z 1. Drużyny zatrzymał się nagle, patrząc w zdumieniu na karabin maszynowy i swoją odciętą rękę, leżące przed nim, na ziemi. Gefreiter Lazio siedział na środku ścieżki, próbując wcisnąć sobie wnętrzości z powrotem do rozdartego brzucha.

A potem już byliśmy za wąwozem, zostawiając za sobą jedną czwartą z nas. Orzeł nie był jedynym, który narobił w spodnie podczas tego dziesięciominutowego biegu.

Mieliśmy chwilę odpoczynku. Nasze twarze wyglądały teraz zupełnie inaczej. Śmierć położyła nam swą dłoń na ramionach i już nie byliśmy tacy sami. Byliśmy zabójcami, śmiertelnie niebezpiecznymi. Można się schować przed pociskiem, ale bardzo trudno ukryć się przed przerażonym żołnierzem, spragnionym zabijania.

Snajperzy siedzieli wysoko na drzewach, mając karabiny z celownikami teleskopowymi. Zawsze trafiali między oczy. Kurtyna w dół. Zbłąkana kula czy odłamek granatu artyleryjskiego mogą przebić twój hełm. W najgorszym razie zostaniesz zaledwie oskalpowany. Ale jeśli wbija się w miękkie miejsce na tyle głowy, przyjacielu, muszą cię zabrać noszowi. Masz szansę, ale niewielką. Jeśli w połowym szpitalu nie będą zbyt zajęci, wyciągną z ciebie ten kawałek żelaza, ale to będzie oznaczało całe miesiące dalszego pobytu w szpitalu. I będziesz musiał uczyć się wszystkiego od początku: mówienia, chodzenia, poruszania się. Stracisz też na zawsze węch. Zapomnisz wszystkiego. Być może zwariujesz, zanim nauczysz się wszystkiego od początku.

*Die blauen Dragonen sie reiten Mit klingendem Spiel durch das Tor...*

Jakież niemiecki żołnierz nie śpiewał tego w garnizonie? To taka wesoła, pełna radości piosenka o kłusowniku, który wystawia gajowego na dudka. Ale nikt jej nie śpiewa, gdy siedząc w błotnistym dołku strzeleckim przyciska palcami swą otwartą tętnicę udową i dosłownie trzyma życie w swych rękach. Rozpaczliwym głosem wzywa noszowych z białymi opaskami przekreślonymi czerwonym krzyżem, przyjaciół frontowego żołnierza. Ale oni nie przyjdą. Mają co innego do roboty. Są zajęci pomaganiem tym, którym można ocalić życie. Biedak został skazany, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Rana nie wygląda na nic niezwykłego, ale nie da się założyć na nią opaski uciskowej. Patrzy zaskoczony jak krew przecieka między palcami. W ciągu pół godziny będzie martwy. Cicho wykrwawi się na śmierć.

*Aupres de ma blonde*

*Qu'illait bon dormir...*

Na froncie nie ma piszczałek ani bębnow. Wzywa na pomoc, na zmianę, Boga i Szatana. Ale nie odpowiadają. Podczas wojny obaj są zbyt zajęci. Czemu Bóg na to pozwala? - Pyta. Chce mu robić wyrzuty z tego powodu. Ale to nie Bóg pozwolił, żeby to się

wydarzyło. Dał człowiekowi wolną wolę, nawet wolność toczenia wojen. Złodziej czy morderca nie może obwiniać policji za to, że jest złodziejem czy mordercą. Nie może też obwiniać Boga za to, że jest wojna.

Przejęliśmy pozycję od spadochroniarzy. Byli wykończeni. Odchodząc, nie powiedzieli nam nawet do widzenia. Mieli w głowach tylko jedną myśl: wydostać się stąd. W godzinę później mieliśmy pierwszy atak. To byli Japonce. W jednej chwili wszyscy tarzaliśmy się w dzikiej walce wręcz. Ustawiliśmy z Legionistą cekaem na pozycji i zalaliśmy ulewą ołowiu całą długość okopu. To spowodowało straty po obu stronach, ale cóż mogliśmy zrobić? Żółtków trzeba było wyrzucić i dokonaliśmy tego. Właściwie zrobił to Legionista. Wyrwał karabin z podstawy, przycisnął do biodra i zaryczał swoje *Allah-el-akbar! Vive la Legion! Avant, avant!* I poszliśmy za nim, jak to wcześniej często bywało w Rosji. Nawet Mike przyłączył się do nas. Mały wymachiwał zaostrzoną saperką. Chwycił Japońca za kostki u nóg i roztrzaskał mu głowę o kamień. W ciągu kilku minut tamci wycofali się w panice.

Znaleźliśmy Barcelonę z raną od noża w brzuchu. Człowiek, który mu ją zadał, leżał w kącie z rozplataną głową. Posłaliśmy Barcelonę na tyły, do punktu opatrunkowego. Wysłanie go tam kosztowało nas sześć cygar, zegarek, trzy laski opium i dwanaście francuskich fotografii. Była to wysoka cena, ale Barcelona był dobrym kumplem.

Doktor dał mu wielki zastrzyk morfiny.

Teraz mieliśmy w drużynie o jednego mniej. Zanim go zabrali, dał Staremu pomarszczoną pomarańczę, którą przywiózł z Hiszpanii. Wbił sobie w głowę, że nic mu się nie stanie, dopóki pomarańcza znajduje się w 5. Szwadronie. Stary musiał przysiąc na pożyczony od Ojca Emanuela krucyfiks, że aż do powrotu Barcelony będzie ją trzymał w prawej kieszeni spodni.

Następnie Barcelona pomachał do nas z zaimprovizowanych noszy w postaci żołnierskiego płaszcza naciągniętego między dwoma karabinami. Patrzyliśmy za nimi, póki nie znikli, idąc z boczem wąwozu śmierci.

Tej samej nocy schwytaliśmy chłopczyka. Przechodził przez rzekę i wpadł patrolowi prosto w ramiona. Nie zdołaliśmy wydobyć z niego ani słowa. Gdy go zrewidowano, znaleziono w jego kieszeniach różne nasiona. Nic więcej. Gdy go zapytano o nazwisko, podał takie, jakie wówczas nosiły dziesiątki tysięcy włoskich chłopców.

Przyszedł dywizyjny oficer wywiadu, ale i on nie potrafił nic z niego wydobyć.

Odesłaliśmy go wraz z patrolem i tego samego wieczoru dowiedzieliśmy się, że został rozstrzelany. Odkryto znaczenie nasion: białe to były czołgi, kukurydza armaty, nasiona słonecznika karabiny maszynowe, ziarnka jabłek pułki. Miał tylko dziesięć lat, lecz był

znakomitym szpiegiem. Widział, jak jego ojciec i matka zostali zastrzeleni w jakimś zaułku Rzymu i z tego powodu zniechęcił nas tak bardzo, że własnoręcznie poderznął gardło żandarmowi.

W dwa dni później Amerykanie pytali o niego. Powiedzieliśmy, co widzieliśmy. Przeklęli nas i w odwecie zastrzelili pięciu naszych.

W wąwozie śmierci było drzewo, z którego gałęzi zwisała wiejska dziewczyna. Złapali ją na gorącym uczynku, gdy zakopywała miny. Na brzegu rzeki było dwóch komandosów, przywiązanych do siebie drutem kolczastym. Zostali złapani daleko na naszych tyłach. Łowcy głów przyprowadzili ich tutaj, zabili strzałami w tył głowy i tu umieścili ich ciała, tuż pod nosem Amerykanów, jako groźne ostrzeżenie. Zaczynali już się rozkładać, ale pod groźbą surowej kary zakazano nam ich usuwać. Wkrótce już ich nie zauważaliśmy. Stali się częścią krajobrazu, jak stara wierzbina, próbująca utopić się w rzece.

Instykt, nieomylny przewodnik frontowego żołnierza, podpowiedział nam, że niedługo nadejdzie atak. Choć nikt nam tego nie rozkazywał, zaczęliśmy kopać jednoosobowe dołki strzeleckie, najlepszą obronę piechoty przeciw czołgom.

Grenadierzy ze 134. Pułku śmieli się z nas.

- Tu nie ma żadnych czołgów. Wy, pancerniaczy, macie czołgi w mózgu.

- *Va tefaire cuir un oeuf* - powiedział Legionista. - Nadejdą. Poczekaj, a przekonasz się.

I nadeszły. O takiej porze, gdy się ich najmniej spodziewaliśmy: tuż po północy.

Opuściliśmy nasze pozycje i wycofaliśmy się do dołków, z których kładliśmy pokotem piechotę podążającą za czołgami i niszczyliśmy czołg za czołgiem. Zapaliliśmy trzydzieści sześć gorejących ognisk. Tylko dziesięciu czołgom udało się wycofać.

Porta i Mały wyruszyli na polowanie na złote zęby, zanim jeszcze amerykański atak się skończył. Powiedziano im, że Japończycy zwykle mają ich dużo. Ich rozczarowanie było ogromne, gdy energiczne poszukiwania przyniosły plon, liczący tylko dziewięć sztuk. Postanowili, że zbadają trupy ponownie, przy świetle dziennym. W ciemności mogli jakiegoś przeoczyć. Przynajmniej dwudziesty raz Major Mike zagroził im sądem polowym, ale to nie zrobiło na nich wrażenia. Nic nie mogło powstrzymać ich gorączki złota. Mały dumnie pokazał wspaniały kieł.

Przesunięto nas na nową pozycję przy Wzgórzu 593, gdzie po drugiej stronie leżała 34. Dywizja Teksaska. Mieliśmy wgląd daleko, aż do Rocca Janula, na którą spadała ulewa pocisków. Mike całe godziny spędzał ze szklami przyklejonymi do oczu, szukając znanych



twarży. Amerykański 133. Pułk Piechoty znajdował się nieco w bok od nas, a Mike był w nim rekrutem.

Widać było, że chce im wykręcić brudny numer. Żywił wobec nich urazę. Nagle ujrzał kilku, których rozpoznał. Odepchnął obserwatora artyleryjskiego, chwycił telefon polowy i zażądał połączenia z majorem, dowodzącym jednostką. Leutnant Frick próbował go powstrzymać.

- Nie rób tego, Mike. Oni nas zniszczą.

- Odpierdol się! To moja prywatna wojna. Czekalem na to przez wiele lat. - Wezwał Portę, który przechodził tamtędy z dwumetrowym łukiem, znalezionym obok martwego Amerykanina. Mike wskazał mu cel. - Czy widzisz te trzy krzaki tuż obok pięciokątnej skały?

Porta kiwnął głową.

- Trochę na prawo, około trzech palców, jest luka - mówił dalej Mike. - Widzisz ją?

Porta spojrział przez lornetę i wydał długi gwizd.

- Mam go. To posterunek obserwacyjny.

Mike uśmiechnął się i przygryzł cygaro.

- Bynajmniej! To ich punkt dowodzenia. Jest tam łajno, które było ze mną w Kompanii F. Potrafisz posłać tam strzałę z listem?

- Da się zrobić - odparł Porta.

Major Mike wydarł kartkę ze swego bloczku meldunkowego i szybko zaczął pisać.

*Joe Dunnawan, czy pamiętasz Michaela Brauna? Byliśmy razem w Koszarach Shuffield. Zakapowałeś mnie, Dunnawan. To była twoja wina, że zostałem wyrzucony. Teraz jestem majorem.*

*Przyjdziemy do was, by naciągnąć ci dziurę w dupie na twarz. Na twoim rachunku, Joe, jest mnóstwo odsetek do zapłacenia, a ja, Joe, przyjdę po ciebie, nawet, jeśli ukryjesz się w Kwaterze Głównej generała Clarke'a.*

*Dokładnie za trzy minuty wysyłam ci pęczek pocisków. Schowaj się, Joe, albo twoja głowa pofrunie, a to nie spodobałoby mi się. Chcę dostać cię żywego. Na Boga, Joe, będziesz wyl tak, jak my, niewolnicy, wyliliśmy w więzieniu garnizonowym, gdy katował nas Major Jednonogi.*

*Zobaczymy się, Joe!*

*Mike Braun Major, Dowódca Kompanii.*

Porta przywiązał papier do długiej strzały, naciągnął cięciwę, wycelował starannie i wiadomość szybko, ze świstem odleciała.

Mike nacisnął stoper, skoczył do telefonu polowego, wyrwał obserwatorowi arkusz obliczeń i z szatańskim uśmiechem na twarzy wydał rozkaz baterii ciężkich haubic. Następnie poprosił o baterię rakiet.

Dokładnie w trzy minuty po wystrzeleniu przez Portę strzały, rozległ się ryk, jakby setka lokomotyw ekspresowych leciała nam tuż nad głową. Mimo woli padliśmy na kolana. Nad pozycją nieprzyjacielską wyrosła ściana ognia, stali, ziemi i kamieni. To były haubice. Wystrzeliły dziesięć salw. W pięć sekund później wkroczyła bateria raketowa. Haubice są paskudne, ale są niczym, w porównaniu z rakietami 300 mm, które nadleciały nisko, ciągnąc za sobą długie ogony ognia. Doświadczaliśmy tego wiele razy, ale za każdym razem kuliliśmy się przerażeni na dnie okopu. Wiedzieliśmy, że bateria rakiet składa się z trzech wyrzutni, a każda wyrzutnia ma dziesięć przewodnic. To oznaczało trzydzieści przerażających pocisków, a wszystko dlatego, że Major Mike chował urazę wobec jakiegoś gościa. Mike siedział teraz na dnie okopu, szeroko rozłożył nogi, a na twarzy miał zły uśmiech.

Po deszczu pocisków cisza była niesamowita.

- Uważaj - powiedział Leutnant Frick. - Oni muszą odpowiedzieć.

I zrobili to. Przez kwadrans walili ze wszystkich posiadanych luf. Następnie powrócił pokój.

Mike siedział w swej ziemiance, knując nowe diabelstwo. Wkrótce po zapadnięciu ciemności wezwano ochotników do, jak nam powiedziano, grupy szturmowej. Ale wszyscy wiedzieli o prywatnej wojnie Majora Mike'a i nikt się nie zgłosił. Mike drwił i nazywał nas bojaźliwymi dziewczynkami, ale to nikogo nie obeszło. - Sam będę tym dowodził - powiedział Mike, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nie mieliśmy zaufania do Mike'a, jako dowódcy nocnej grupy szturmowej. Nie ośmielił się wydać nam rozkazu. Gdyby to zrobił, a sprawa poszła źle, miałyby to dla niego bardzo paskudne konsekwencje. Po tamtej stronie nie było amatorów. Tak więc tej nocy nie było grupy szturmowej. Mike nawet obiecał Porcie i Małemu po 60 lasek opium i tyle złotych zębów, ile będą chcieli zrabować, jeśli zdołają zgromadzić grupę. Robili co mogli, używając gróźb i obietnic, ale my po prostu nie reagowaliśmy.

Następnego ranka Amerykanie zaczęli drwić z Mike'a. Przez linie cisnęli nam stary but piechoty ze zdechłym szczurem w środku. Wiadomość była jasna. Następnie posłużyli się megafonem.

- Nie zapomnieliśmy cię, Braun. Jesteś najpaskudniejszym renegatem, jaki kiedykolwiek nosił amerykański mundur. Doskonale pasujesz do Szwabów. Jestem tu czekając na ciebie; ale nie pozwól mi czekać zbyt długo. Nie chcę dostać odcisków na dupie,

sztuczny Majorze Braun. Obiecujemy 20 000 dolarów i tyle papierosów, ile udźwignie dwóch ludzi, jeśli twój szwadron utnie ci głowę i rzuci ją do nas. A jeśli nie oderzną ci makowy, wyrzniemy wszystkich, co do nogi, gdy przyjdziemy po ciebie.

Ich snajperzy zajęci byli przez cały dzień i zabili jedenastu z nas. Tuż po północy zabili naszych wartowników i tylko dzięki Legioniście nie wyczyścili naszego okopu. Wyszedł z ziemianki, wysikać się, i zobaczył biegnących Amerykanów. Natychmiast otworzył ogień ze swego kaemu. Ciężka walka trwała dziesięć minut, zanim ich odparliśmy. To kosztowało nas kolejny tuzin ludzi. Mieliśmy tego wszystkiego powyżej uszu. Posunęli się za daleko.

Mike rozradowany zatarł ręce, gdy pojawił się Legionista i zameldował, że grupa szturmowa jest w gotowości. Mieliśmy wślizgnąć się tam i przytaszczyć przyjaciela Mike'a tuż po godzinie 19.00, gdy będą pobierali racje żywnościowe. Będą zajęci jedzeniem, a ponieważ nasze racje były wydawane mniej więcej w tym samym czasie, nie wpadną na to, że przyjdziemy o tej godzinie. Był to pomysł Legionisty i spotkał się ze zdecydowanym oporem takich żarłoków, jak Porta. Mike'owi też się to nie spodobało, ale Legionista przeforsował swoje. Mały i Heide wycięli przejście przez zasieki i błyskawicznie popęzliśmy w kierunku nieprzyjacielskich okopów. Zebraliśmy się w paru lejach po pociskach tuż przed amerykańską pozycją. Zdjęliśmy zakrętki z granatów, odbezpieczyliśmy pistolety. Byliśmy tak blisko, że słyszeliśmy, jak żartują na temat zawartości menażek z jedzeniem. Jeden powiedział, że jest to gulasz z martwych niemieckich telefonistek. Dwaj kłócili się o butelkę whisky.

Mike, patrząc przez nocną lornetkę, wybrał drogę. Szeptem polecił Małemu, żeby poszedł z nim i pomógł przynieść Joego Dunnawana. Wyglądało, że Amerykanie zapomnieli o wszystkim prócz swego jedzenia. Mike opuścił rękę, dając sygnał do ataku.

Skoczyliśmy naprzód. Jakaś menażka pofrunęła wysoko w powietrze, gdy wylądował w niej granat ręczny. Wrzucaliśmy miny i granaty ręczne do ich ziemianek i czyściliśmy okopy pistoletami maszynowymi.

Zrobił się potworny zamęt. Po paru minutach byliśmy już w drodze powrotnej. Nim odeszliśmy, mieliśmy akurat tyle czasu, by zniszczyć ich moździerze i ciężkie karabiny maszynowe. Wylądowaliśmy w naszych okopach zupełnie bez tchu.

Mike prawie stracił mowę z wściekłości. Mały zbyt ostro obszedł się z Dunnawanem i udusił go, więc wszystko, co Mike mógł zrobić, to kopnąć jego martwe ciało. Być może jeszcze bardziej rozżłościło go to, że nie mógł nawet ukarać Małego za jego niezdarność, gdyż całe przedsięwzięcie było nieregulaminowe.

Przez kilka następnych dni zabawialiśmy się strzelaniem z łuków i dmuchawek ze strzałkami.

Zaczęło padać. Marzliśmy w naszych mundurach maskujących. Mogliśmy popatrzeć na klasztor, który wyglądał jak groźnie zaciśnięta pięść. Pewnego wczesnego ranka cały południowo-zachodni horyzont wyglądał, jakby stanął w płomieniach. Niebo otworzyło się, a my staliśmy, patrząc w płomień wydostające się jakby z szeregu kolosalnych pieców hutniczych. Góry drżały. Cała dolina Liri zatrzęsała się ze strachu, gdy z hukiem gromu spadło na nas osiem tysięcy ton stali. Rozpoczęła się największa w historii bitwa artyleryjska. W ciągu jednego dnia na nasze pozycje spadło tyle pocisków, ile ich wystrzelono podczas wszystkich walk o Verdun. Nawałnica ognia i stali trwała godzina za godziną.

Ziemianki zawały się jedna po drugiej i musieliśmy wkopywać się w ziemię rękami, nogami i zębami. Staliśmy się kretami. Tuliliśmy się do ścian okopów, a raczej tego, co z nich pozostało. Był to najgorszy, piekielny ostrzał, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyliśmy. Widzieliśmy, jak 38-tonowy czołg wylatuje w powietrze. Ledwie wylądował, do góry gąsienicami, chwiejąc się na wieżycze, gdy wybuch cisnął go z powrotem tam, skąd się pojawił.

Cała kompania, idąca rowem dobiegowym, w ciągu paru sekund została żywcem pogrzebana. Pozostały z niej tylko wystające tu i ówdzie lufy karabinów.

Tej nocy ostrzał zaczął doprowadzać ludzi do utraty zmysłów. Musieliśmy przewracać ich i bić, aby przywrócić im rozsądek. Ale nie zawsze udawało nam się chwycić ich na czas, by uniemożliwić im bieg w deszcz pocisków, gdzie nikt nie mógł długo przeżyć. Całe miejsce było piekłem pełnym rozpalonej do czerwoności, wyjącej w powietrzu stali.

Leutnantowi Sorg urwało obie nogi i wykrwawił się na śmierć. Nasi dwaj sanitariusze zostali zabici. Jeden został zmiażdżony przez spadającą na niego belkę. Drugi został przecięty na pół, gdy pocisk padł tuż przed nim, a on szedł do Leutnanta Sorga. Małemu odłamek odciął nos, a Legionista i Heide trzymali go, podczas gdy Porta przyszywał wątpliwą ozdobę twarzy na miejsce. Zrobiono to pod osłoną stosu trupów. I tak to trwało przez całą noc i cały następny dzień. Nasze baterie polowe zostały uciszone, a nasze czołgi spalone na pozycjach wyjściowych.

Nagle zapora ogniowa znikła, przesunięta dalej za nas. Wtedy nadeszli, wynurzając się z kraterów i dziur. To były diabły, krzyczące i wrzeszczące. Ufając w zwycięstwo szturmowali prosto przed siebie, pewni, że żaden z nas nie mógł pozostać przy życiu. Ale my leżeliśmy, w lejach po pociskach i pomiędzy skałami, skuleni za naszymi karabinami maszynowymi i miotaczami ognia. Pierwsi przebiegli obok nas, a my udawaliśmy nieżywych.

Nadchodziło ich coraz więcej. Jeden z nich kopnął mój stalowy hełm, aż mi zadzwoniło w głowie. Poczekaj, ty świni, pomyślałem. Nie wrócisz żywy. Przez rzęsy mogłem dostrzec biegnące nogi, wysokie, sznurowane, amerykańskie buty, białe francuskie getry, angielskie owijacze. Wszystko było pomieszane. Potem zjawili się kilku Murzynów, wszyscy szarzy na twarzach ze strachu.

Ochrypli głos komenderował: - Naaaprzód! Naaaprzód!

Zaczął szczekać karabin maszynowy. Przetoczyłem się na brzuch, podniosłem karabin maszynowy i stanąłem w błocie. Mały założył taśmę. Ładowałem i strzelałem. Pociski smugowe z sykiem trafiały w plecy odzianych w khaki żołnierzy, kosząc ich. Próbowali poddawać się, ale Śmierć wzięła z nich zniwo.

Rzuciliśmy się na nich z bagnetami i wyostrzonymi łopatkami. Deptaliśmy trupy, potykaliśmy się i ślizgali w walających się wnętrznościach, gołymi rękami dusiliśmy naszych bliźnich.

Zabijaj, żołnierzu, zabijaj za swą ojczyznę oraz wolność, której nigdy nie doświadczysz.

Zamachnąłem się łopatką i odciąłem twarz amerykańskiemu, czarnemu sierżantowi. Opryskała mnie jego krew. Wskoczyłem pod osłonę metrowej dziury. Pod błotem coś się poruszyło. Ukazała się twarz pod płaskim hełmem. Krzyknąłem ze strachu, chwyciłem łopatkę.

Opróżniłem magazynek pistoletu nawet go nie trafiając. Wstał ociekając błotem. Wymierzyłem mu kopniaka w brzuch. Rzucił się na mnie z bagnetem. Wstałem, wytrąciłem mu bagnet z ręki i ciąłem go bez przerwy po twarzy moją ostrą jak nóż łopatką.

*Pro patria* Naprzód, mój bohaterze, naprzód z bagnetem i łopatką.

## Rozdział 10

*Zablokowanie Via del Capoci było pomysłem Carla, a policjant drogowy pomógł nam postawić szlaban w poprzek ulicy, na obu końcach. Mario przyniósł stalowe kule i zaczęliśmy grać w prowansalską grę petanque, w której kule toczy się i stuka wzajemnie o siebie. Jacyś ludzie zaczęli protestować, ale policjant tylko na nich wrzasnął. Przyłączyła się cała ulica. Było wspaniale, z wyjątkiem kilku meczy na wyzwiska z kierowcami, którzy nie mogli zrozumieć, czemu ulica została zamknięta.*

*Ciszę przerywały tylko przyjemne brzęki kul, stukających o siebie. Przyklękaliśmy, celowaliśmy, mierzyliśmy i spieraliśmy się między sobą. Graliśmy przez cały dzień i przestaliśmy dopiero, gdy zaczęło padać.*

*Przed odejściem nie usunęliśmy szlabanów. Mogło się zdarzyć, że będziemy potrzebowali tej ulicy nazajutrz.*

*Po tym wybraliśmy się do burdeli na Mario de Tiori, ale zanim tam dotarliśmy, wplątaliśmy się w bójkę z paru żołnierzami włoskich brygad górskich. Było to pod wielką cukiernią na Via del Corso. Przebiliśmy się przez jedną ze szklanych witryn. Wtedy przybyli karabinierzy, ale schwytali tylko Włochów. Reszta z nas zajęła pozycję w burdelu.*

*- Tu, w Rzymie, jest cudownie - powiedział Carlo.*

### **Na urlopie w Rzymie**

Wiele razy zdawało się, że ciężarówka się wywróci, gdy trzęsła się, na niezliczonych lejach od pocisków. Mój rozkaz urlopowy szeleścił w górnej kieszeni mego sztywnego, maskującego munduru, obiecując mi dwa tygodnie zapomnienia w Hamburgu. Adiutant szepnął coś, że mam szansę otrzymania pieczętki, zezwalającej mi na przejazd do Danii. Pułk nie mógł mi tego załatwić, ale można to zrobić w Hamburgu. Mogę pojechać dalej, do Kopenhagi. Ale co mam tam robić? Przeskoczyć do Szwecji i być odesłanym z powrotem, przez Szwedów? Tak postępowali, rutynowo. Przed trzema dniami wystawiliśmy pluton egzekucyjny dla trzech lotników, którzy zdezerterowali w Rzymie i dostali się aż do Sztokholmu. Wrócili w kajdankach. Szwedzka policja eskortowała ich do Helsingborga, gdzie zostali przekazani żandarmerii. I na koniec myśmy ich rozstrzelali. Jeden z nich umarł przeklinając Szwedów.

- Dokąd się wybierasz? - Zapytał podstarzały Obergefreiter z czerwonym galonem grenadierów na naramiennikach.

Patrzyłem na niego w milczeniu. Nie potrafiłem odpowiedzieć.

- Zapytałem, dokąd się wybierasz? - Powtórzył z chłopskim uporem.

- A co to za twój cholerny interes, głupia świnię? Czy ja cię pytałem, dokąd ty idziesz?

- Wygląda, że chcesz dostać kulą w twarz, ty młody pedału. Jestem dość stary, by być twoim ojcem.

- No to chodź. Jestem gotów. - Zerwałem z siebie pas i owinąłem wokół pięści, gotów do bójki.

Zawahał się, nie mogąc zrozumieć, czemu tak się rozłościłem. Ale musiałem wyładować się na kimkolwiek, a ten stary bardzo dobrze się nadawał. Jeśli mnie uderzy, zabiję go. Nie obchodziło mnie, co się ze mną stanie. Po prostu czułem, że muszę zrobić coś rozpaczliwego po przyprowadzających o szaleństwo 62 godzinach w wieżycze czołgu.

Wyglądało, że otaczają mnie ludzie ze służb pomocniczych, ale w samym końcu samochodu zauważyłem dwóch marynarzy w pogniecionych, wysmarowanych olejem mundurach. Guziki ich kurtek były zielone od grynszpanu. Jeden zgubił wstążkę na czapce, a nawet przy najlepszej na świecie woli nie dało się odczytać, co ma na swojej drugiej. Odznaki na rękawach powiedziały mi, że są to podwodniacy. Czułem, że chętnie bym z nimi pogadał i sądziłem, że oni byliby chętni do pogawędki ze mną. Ale podobnie jak ja, niewątpliwie obawiali się zrobić pierwszy krok. Być może przez 150 kilometrów, które mamy zrobić w trzęsącej się ciężarówce, nie zamienimy ani słowa.

Dostaliśmy się do Rzymu akurat na czas, bym złapał odchodzący na północ ekspres, ale najpierw musiałem pójść do 12. Szpitala, by oddać pakiet od Jednookiego, pakiet zaadresowany do tamtejszej lekarki. Niewiarygodne, ale nasz Generał Jednooki był zakochany.

Miałem wielką ochotę ujrzeć tę dziewczynę. Jeśli urodą dorównywała Jednookiemu, nie będzie wyglądała nadzwyczajnie. Ale okazało się, że dziewczyna jest zdumiewająco ładna i w zastępstwie Jednookiego wskoczyłem z nią do łóżka.

Kieszenie miałem wypchane listami, które zabierałem, aby nie przechodziły przez cenzurę wojskową, ponieważ były pięknym zbiorem dokumentów, stanowiących dowody zdrady głównej. Niewątpliwie najgorszy pochodził od Porty. Był to list do jego przyjaciela, dezertera spędzającego piąty rok w ukryciu, który wraz z pewnym policjantem założył nielegalną „organizację”, udzielającą pomocy tym, którzy mogli za nią zapłacić. Ale biada tym, którzy wpadli w ich pazury nie mogąc zapłacić. Porta miał z nimi jakieś porozumienie

biznesowe, nie mam pojęcia, na czym ono polegało, ale było wyjątkowo tajemnicze i z całą pewnością było to coś na imponującą skalę. Po wojnie przyjaciel Porty został szefem policji w dobrze znanym, niemieckim mieście. Nie powiem jakim, aby nie wytoczył mi procesu o oszczerstwo.

Ciężarówka grzechocząc wjechała do Rzymu. Kilka sparszywiałych psów szczekając goniło za nią przez pewien czas. Zatrzymaliśmy się przed koszarami, smrodliwym miejscem z tynkiem odpadającym od ścian. Widać było, że nie mieszkają tam prawni właściciele. W rzeczywistości znajdowali się bardzo daleko, pochowani w afrykańskim piasku, albo gnijąc w obozach jeńców wojennych w Libii.

Jakiś Feldwebel zaczął na nas wrzeszczeć.

- Odpierdol się! - Wrzasnął jeden z marynarzy, zeskakując z wozu. Trzymając się blisko siebie, z torbami wojskowymi na ramionach, dwaj marynarze szybko przeszli przez bramę koszarową. Pobiegłem za nimi, głuchy na krzyki Feldwebla. Marynarze śmierdzieli olejem i słoną wodą. Szliśmy ciągle przed siebie. Gdy dotarliśmy do Schodów Hiszpańskich, zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Następnie weszliśmy na Via Mario de Tiori i daliśmy nura do baru, wąskiej dziury z długim kontuarem. Policjant drogowy, z goglami zwieszającymi się z szyi, papierosem zatknętym w kącik ust, głośno przechwalał się. Cały mundur miał pochlapany. Zobaczywszy nas, zamilkł.

Parę kurew przechadzało się po barze, wyglądając tak, jakby lata terminowania miały dawno za sobą.

Barman, wysoki, tłusty olbrzym, w pulowerze bez rękawów i ścierką na szyi, leniwie polerował szklankę. Policjant odezwał się głośnym szeptem:

- *Attenzione!* Dziadowscy Niemcy!

Mniejszy z dwóch marynarzy podszedł do niego, trzymając rękę na bagnecie.

- Kolego - zaczął. - Ty jesteś Rzymianinem. My jesteśmy Niemcami. Jesteśmy przyzwoitymi facetami i nie robimy nikomu krzywdy, jeśli nie jesteśmy sprowokowani. Uważam, że nasz przyjaciel za barem jest tego samego zdania. Chce tylko otrzymywać to, do czego ma prawo. Te dwie panie są miłe, tak długo, jak dostają to, co im się należy. - Przerwał na chwilę, wyciągnął bagnet i zaczął dłubać sobie jego końcem w zębach, następnie wyciągając szyję pochylił się blisko nad policjantem. Spod kołnierza wyjrzała czerwona, oparzona skóra. Taką widzi się na rozbitkach, którzy w ostatniej chwili wydostali się z pomieszczenia pełnego przegrzanej pary. - Ale bądź łaskaw to sobie zapamiętać, policjancie, żaden z nas nie jest dziadem. Ty znasz swe drogi i ulice, ja moje morze. Leżałem głęboko pod wodą, czekając na wielkie konwoje, tak jak ty kryłeś się za kamieniem, czekając, aż pojawi



się pijany alkoholik. - Wypuścił bagnet i uderzył w bar płaską dłonią. - Dawać tutaj piwa. Trzy czwarte piwa, reszta śliwowicy. A po tym szampan biedaków (połowa piwa, połowa szampana).

Barman uśmiechnął się ze zrozumieniem. Otarł sobie brzuch ścierką.

- Spiesz się wam się uchlać, he? - Podrapał się po tyłku i zębami wyciągnął korek z butelki szampana.

Przyjrzelismy się zdjęciom na ścianie za barmanem. Popstrzone przez muchy fotografie nagich kobiet, które zauważali tylko nowi klienci.

My trzej jeszcze nie zamieniliśmy ani słowa. Nie mogliśmy, póki nie wypiliśmy pierwszej szklanki, tego rytuału należało trzymać się skrupulatnie. Oni mnie nie obchodzili ani ja ich, dopóki nie wypiliśmy razem szklanki śliwowicy z piwem. Barman zadał sobie z naszym piwem wiele trudu. Zabrało mu to kwadrans.

- Czy chcecie patyczków do mieszania? - Zapytał.

Nasze milczenie powiedziało mu, że tak.

Przed każdym z nas postawił litrowy kufel i wetknął do każdego na pół tylko czysty patyczek, czarnym od brudu końcem do góry. Z wielkiego, ceramicznego garnka wyciągnął trochę jagód jałowcowych i do każdego kufla wrzucił po parę sztuk. Następnie podsunął nam miskę oliwek i marynowane sardele, bez wykałaczek. Braliśmy je po prostu palcami.

Stuknęliśmy się kufelami i zaczęli pić długimi, spragnionymi łykami. Wyższy z marynarzy, długi, chudy jak tyka, poczęstował papierosami. Były to Camele. Podrapał się w kroku i popatrzył na dwie kurwy, oceniając je.

- Jesteśmy w drodze do szpitala - wyjaśnił. Carl złamał sobie coś w środku, gdy spadła na niego torpeda. Mnie męczy mój stary syf, a obaj mamy poparzenia, wymagające przyłożenia maści. - Dla podkreślenia rozpiął się, pokazując czerwone, spalone ciało. - To rezultat lania, jakie dostaliśmy koło Cypru. Leżeliśmy na dnie przez 48 godzin, gdy szyper stracił cierpliwość. Nie chciał słuchać naszego pierwszego oficera i wynurzył się na głębokość peryskopową. Był młody i niedoświadczony. Tylko 21 lat. Pierwszy miał 47 i mnóstwo doświadczenia. Nim przeszedł do U-botów pływał na trampach. Gdy wyciągnęliśmy go ze stanowiska dowodzenia, ciało miał spalone do kości. Wrzący olej. Nigdy nie odnaleźliśmy dowódcy. Znikł. Zachciało mu się Krzyża Rycerskiego i tak było przez cały czas. Trzydziestu siedmiu z załogi odeszło wraz z nim. Ale zaprowadziliśmy starą balię do domu. Dzięki pierwszemu mechanikowi.

- Też pomysł, że opowiadasz mu to wszystko powiedział mniejszy z marynarzy, który miał na imię Carl. - Przepluczmy gardła.

Każdy z nas postawił kolejkę. Następnie zrobił to barman. Nawet dopuściliśmy do kompanii policjanta i pozwoliliśmy mu postawić jedną. Resztki wlaliśmy dziewczynom za dekolty.

Weszła jeszcze jedna dziewczyna.

- Oho - warknął Carl, wtykając palec pod zebra wysokiego marynarza. - Chcę pierdolić właśnie tę. Ciekawe, ile ona kosztuje? Dam 500 za noc.

Przedyskutował cenę z dziewczyną i zgodzili się na 500 marek oraz 10 paczek papierosów Lucky Strike. Mieszkała nad barem, na drugim piętrze. Otto i ja poszliśmy z nimi na górę.

Gdy odchodziliśmy, barman wsadził nam pod pachy parę butelek.

- Zajrzę za pół godziny, gdy będę zamykał zawołał.

Wspinaliśmy się po stromych schodach. Dziewczyna prowadziła i mogliśmy widzieć jej nogi. Miała czerwone majteczki z czarną koronką i długie podniecające pończochy, z ciemnym wykończeniem u góry.

Carl zachichotał łakomie i złapał ją za udo.

- Masz śliczny takielunek!

Poszliśmy za dziewczyną długim, ciemnym, choć oko wykol, korytarzem, śmiejąc się głupawo i kolejno zapalając zapalki. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się na łyk piwa.

Za jakimiś drzwiami jęczała kobieta. Zza innych słychać było lubieżny śmiech mężczyzny. Jakieś łóżko skrzypiało protestując. Coś upadło, musiała to być butelka, bo potoczyła się po podłodze.

Otto schylił się, by zajrzeć przez dziurkę od klucza.

- *Sbegateui!* - Szepnęła niecierpliwie dziewczyna. - Co, u diabła, tak się guzdracie?

- Spokojnie - powiedział Otto. - Jesteśmy w drodze do doku. Nie ma pośpiechu.

- Jeśli nie przyjdziecie, wezmę sobie innego kmiota. Noc jest krótka. Pracuję. - Potrząsnęła głową, rozsypując po plecach swe długie, niebieskawo-czarne włosy. - Co to za pomysł? Chcecie jebać, czy nie?

- Już idziemy - warknął Otto. - Po prostu pijemy sobie szklankę piwa. Czy zastanawiałaś się, kiedy, Carl, czemu kurwom zawsze się spieszy? To najpracowitsze kobiety na świecie. Pamiętasz tę wysoką w Salonikach, która brała po dwóch klientów naraz? Była tak zajęta, że nie dopilnowała Obermaata Granta. Odszedł z jej zarobkami z czterech nocy, a gdy pobiegła za nim, wpadła do wody, przeciąwszy sobie czoło o pacholek do cumowania?

- Nie nazywaj mnie kurwą! - Krzyknęła dziewczyna, która nieco rozumiała niemiecki.  
- Dla ciebie, marynarzu, jestem dziewczyną lekkich obyczajów, kokotą, dziwką, mewką, ladaczną, kurtyzana, czymkolwiek sobie życzysz, ale nie kurwą.

- W porządku - powiedział pojednawczo Otto.

- Wejdźmy do środka i uzgodnijmy kolejność, nawiasem mówiąc, jak cię nazywano, gdy byłaś z mamą?

- Lolita.

- Lolita - smakował imię Otto. - Lolita. Carl, czy kiedykolwiek byłeś pod prześcieradłem z dziewczyną imieniem Lolita?

- Jeśli tak, to nie pamiętam. Chodź, Lolita, pokaż nam swoją koję.

Ottonowi wypadła butelka, tocząc się po korytarzu i w dół schodów. Dał za nią szczupaka, gubiąc inne butelki, które miał pod pachą, stracił równowagę i zjechał po schodach z przerażającym rumorem.

Carl i ja pospieszyliśmy mu na pomoc, łomocząc buciorami po cichych dotychczas schodach. Otworzyły się drzwi. Mężczyźni i kobiety przeklinali nas jak tylko Włosi potrafią. Stojący obok ogromnej dziewczyny szpenio obiecał, że obje nam uszy, ale gdy ujrzął Ottona, wycofał się szybko i zabarykadował drzwi komodą oraz bidetem.

Na końcu schodów pojawił się barman błyszcząc od potu i z pałką w dłoni.

• *Per Bacco! Accidenti!* - Chłopcy, jeśli ktokolwiek chce was napaść, załatwię się z nim.

- Ja tylko wypuściłem moje piwo - wyjaśnił Otto.

- Stłukło się? - Zapytał z niepokojem barman.

- Chwała Bogu nie. Ale co za cholerne schody tu macie. Przypominają mi Nagasaki. Tam też zjechałem na dupie. To było tej nocy, gdy załapałem mego syfa. Była Japonką, a na prawej stopie miała tylko trzy palce.

- Syf! - Krzyknęła Lolita. - W takim razie żadnej roboty ze mną! - Pobieгла korytarzem, a potem dał się słyszeć huk zatrząskiwanych drzwi.

Carl zaczął utyskiwać.

- Ty niebotyczny idioto! Czemu zechciałeś otworzyć swą wielką gębę na temat twego syfa? Czy nie rozumiesz, Otto, że tego rodzaju rzeczy są Ścisłe Tajne? Czy kiedykolwiek słyszałeś, abym trząskał dziobem na temat trynia, którego dostałem, gdy bunkrowaliśmy w Pireusie? I to była twoja wina, Otto. Upierałeś się, żebyśmy poszli do tej cholерnej kafejki. Gdybyśmy poszli do dziewczyn z centrali telefonicznej jak proponowałem, to nic by się nie zdarzyło.

- Kto mówi, że dziewczyny od telefonów są niepokalane? - Bronił się Otto. - Jeśli miałeś go złapać, dostałbyś nawet, gdybyś polazł do pałacu królewskiego i wskoczył do łóżka z księżniczką.

Usiedliśmy na schodach i otworzyliśmy parę butelek, a potem z trudem weszliśmy znów na górę, zatrzymując się, by popić piwa na każdym podeście.

- Piwo już nie jest takie, jak niegdyś - oświadczył kłótliwym tonem Otto. - Pachnie jak piwo, nazywa się piwem i liczą za nie tak, jakby było piwem. Ale to łąjno smakuje jak woda. Gdy tylko piwo się psuje, czas kończyć wojnę. Nikt nie zdoła wytrzymać wojny bez przyzwoitego piwa.

- Czy wy dwaj jesteście zawodowymi? - Zapytałem.

- Tak, a czymże innym? - Warknął Carl. - Splunął na ścianę. - Poszliśmy razem do szkoły, Otto i ja. Dojadło nam to i wstąpiliśmy razem do Marynarki w 1924. To było jedyne stałe zajęcie, jakie mogli nam zaofiarować. Natychmiast zaangażowaliśmy się na 12 lat. Jaki, u diabła, ma sens dzielenie życia na małe kawałki? I zostaliśmy tam od tej pory na stałe.

- I nadal macie tylko stopnie matów? - Spytałem zaskoczony.

- Już dawno temu mogliśmy zostać bosmanami sztabowymi - uśmiechnął się Otto. - Zostaliśmy zdegradowani pięć razy. Za dużo cip i piwa. I za wielu idiotów oficerów. Ale to było przyjemne, póki nie zaczęła się ta plugawa wojna. Teraz jesteśmy jedynymi, z 375, którzy pozostali, ze starej szkoły podwodniaków w Kilonii.

- A co będziecie robić, kiedy przegramy wojnę i pozbędziemy się Marynarki Wojennej?

- Mówisz o rzeczach, których nie znasz, synu powiedział Carl, z dezaprobatą potrząsając głową.

- Marynarki nie można ot tak rozwiązać. Was wyślą do piekła. Mogą nam na chwilę odebrać nasze rekiny, ale przeniosą nas do poławiania min.

Otto dotarł teraz do drzwi Lolity i groził, że odstrzeli zamek, jeśli ona nie otworzy. Szczękał swoim karabinem po to, aby wiedziała, że mówi serio.

- Odejdź od drzwi! - Wrzeszczał. - Będę strzelał.

Po drugiej stronie trzasnęły dwie zasuwy, wepchnięte na miejsce i dał się stamtąd słyszeć potok obelg i przekleństw. Groziła, że napuści na niego Mussoliniego, Badoglia, Churchilla i papieża, jeśli nie odejdzie.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i gościnna dziewczyna zaprosiła nas do środka. Otto zarzucił na ramię swą torbę żołnierską i karabin, zapominając o Lolicie.

Uścisnęliśmy sobie ręce i przedstawiliśmy się. Nazywała się Isabella. Koło umywalki miała całą beczułkę piwa, a z sufitu, na sznurkach, zwisały kufle.

Otto natychmiast zrzucił ubranie. Miał wielkie dziury w skarpetkach, a na spodniach pleśń.

Pokazał palcem swe buty.

- Nie potrafię wysuszyć tych cholernych pudełek na kości powiedział. - Ostatni kawałek musieliśmy brodzić. Łódź ratunkowa nie mogła dopłynąć do brzegu. Być marynarzem, to pieskie życie.

Isabella zdjęła spódnicę. Miała krótką, czarną halkę, która wywołała nasz podziw. Carl i ja usiedliśmy na brzegu łóżka, obaj z kuflami piwa. Otto i Isabella spierali się po przyjacielsku, jaką pozycję przyjąć. W końcu ona ustąpiła i uklękła na łóżku.

Carl i ja znaleźliśmy się odrobinę na drodze i musieliśmy się posunąć. Następnie coś poszło nie tak z kondomem i musiałem z dolnej szuflady w komodzie Isabelli wyciągnąć nową prezerwatywę. Isabella dopilnowała, aby została ona prawidłowo założona.

- Teraz jesteśmy gotowi - oświadczyła.

- Świetnie - mruknął Otto. - No to do roboty.

Carl opisał mi życie na statkach obozowych, na które dostarczali wziętych do niewoli jeńców.

- Na jednym z nich miałem najwspanialsze jebanie w życiu - powiedział. - To była czarna dziewczyna i dzika jak diabeł. Wcielona afrykańska dżungla. Ruszała swym podwoziem jak kołem zamachowym walca parowego.

Otto usiadł z zadowoloną miną. Następnie była kolej Carla. Zdejmując spodnie nadal opowiadał historyjkę o afrykańskiej dziewczynie.

Isabella objęła nogami jego uda.

- A kiedy na niej byłem - kontynuował Carl - jadłem łyżką kawior z puszki. Dam ci stówę ekstra powiedział do Isabelli - jeśli zrobisz to po francusku.

- Jak sobie życzysz. Wyciągaj pieniądze.

- Próbowałem przeszmulować ją na naszego rekina - nie przerywał opowiadać Carl - ale nasz Stary zobaczył ją właśnie w chwili, gdy dawaliśmy nura do rufowego kubryku. Dostałem dwanaście dni, ale ona była warta ponad dziesięć razy tyle. Masz śliczny zadek - powiedział, szczypiąc Isabellę w szeroki tyłek.

Otto wyrzucił swego zużytego kondoma przez okno i postawił buty do wyschnięcia koło grzejnika.

- Ty, Sven, co byś powiedział na dołączenie się do nas na parę dni? Szpital może poczekać. Myślę, że my trzej powinniśmy obejrzeć tę dziurę, którą, jak się zdaje, wszyscy eleganccy ludzie pragną ujrzeć. Znajomość Rzymu to część edukacji.

Zgodziłem się, choć to oznaczało poświęcenie kilku tak cennych dni.

- Nasz pierwszy oficer powiedział mi o dobrej gospodzie. Mam adres. Wszystko mi o niej opowiedział, gdy byliśmy w łodzi ratunkowej na Biskaju.

- Zostaliście storpedowani?

- Nie, to był cholerny samolot. Wyskoczył prosto ze słońca i walił do nas z armatki automatycznej. Dowódca i główny inżynier, którzy siedzieli z przodu, pałac, zostali zabici pierwszą serią. Następna zmiotła całą obsadę działa. Oczywiście zrobiono zanurzenie alarmowe. Pierwszy oficer i ja byliśmy na pokładzie rufowym. Szarpaliśmy właz, ale był już zamknięty od środka. Pierwszemu oficerowi na szczęście udało się odzepić ponton ratunkowy i wleźliśmy do niego z butami, pistoletami i całą resztą. Musieliśmy oddalić się do naszej bestii, żeby nie zassało nas w dół. Jebańcy zrobili zwrot, a z nas prawie miazgę przy pomocy kiosku.

W dwa dni później zabrał nas kuter torpedowy. Powinieneś być widzieć twarz Carla, gdy wpadliśmy na siebie w kantine 3. Flotylli w Bordeaux.

Carl uniósł się na łokciach nad piersiami Isabelli i zatrzymał się na tyle długo, by powiedzieć:

- Bóg mi świadkiem, to była największa walka w moim życiu. Gdy ten latający skurwysyn sobie poszedł, wynurzyliśmy się, by was poszukać. Szukaliśmy przez całą noc. Użyliśmy nawet reflektora, choć jest to zabronione. Następnego dnia zebraliśmy wszystkie wasze rzeczy i urządziliśmy stypę. Więc jak zobaczyłem cię w Bordeaux, prawie zlałem się w portki z radości.

Wraz z Isabellą powrócili do działania.

Rozległo się wściekłe walenie do drzwi.

- Kto tam znowu? - Zawołała poirytowana Isabella. - Via do qua!

- Nie wrzeszcz tak. To ja, Mario - rozległ się przepity głos barmana.

Otto otworzył drzwi, a Mario wtoczył się do środka, niosąc na ramieniu skrzynkę piwa.

- Przyniosłem wam parę butelek, na wypadek, gdybyście byli spragnieni - wyjaśnił, zrzucając piwo na środek podłogi. Poklepał Isabellę w wypięty do góry tyłek. - Jesteś tak zapracowana - powiedział i zaśmiał się. Następnie odrzucił głowę do tyłu i jednym haustem opróżnił butelkę.

Carl skończył. Otto oświadczył, że ma ochotę na następną kolejkę i zajął pozycję między mocnymi udami Isabelli.

- To właśnie utrzymuje zmęczonego bohatera w formie - powiedział. Położył sobie pięty dziewczyny na ramionach. - Na morzu rzadko kiedy mamy tego do syta.

- Nie bez kondoma - powiedziała, uwalniając się, Isabella. Znow musiałem szukać w dolnej szufladzie.

- Przypuszczam, że macie wszystkie papiery w porządku - zauważył Mario. - Żandarmi będą tu za godzinę.

- Nie muszę się niczego obawiać - odrzekłem i roześmiałem się radośnie.

- Twój rozkaz urlopowy jest do Rzymu, tak?

- Nie, do Hamburga.

- No to cię zabiorą. Nie daj im się tu znaleźć. Ale gówno z tym, macie dość czasu. Jest taka ślepa, stara wiedźma, co mieszka w suterenie. Uszy ma jak łasica i gdy tylko cokolwiek usłyszy, rozbija butelkę o ścianę podwórza.

Otto zmęczył się, a Isabella siedziała okrakiem na bidecie. Ten widok podniecił Maria. Nie zadawali sobie trudu, by pójść do łóżka. Zrobili to na podłodze, jak para psów. Mario miał butelkę w zasięgu ręki i pił przez cały czas. Nikt z nas nie robił im z tego powodu żadnych zarzutów.

Isabella pracowała, a my byliśmy jej klientami. To było dokładnie tak samo, jakby poszło się do sklepu i gdzieś na jego końcu wypilo butelkę piwa.

Mario spociał się.

- Uff, uch - zajęczał. - Straciłem formę. Doprawdy muszę to robić częściej.

- Możesz to robić tutaj, tak często, jak zechcesz - powiedziała Isabella - dopóki płacisz.

W przeciwnym razie sklep jest zamknięty.

- Nie masz faceta? - Zainteresował się Otto.

- Teraz nie. Zabrali go tydzień temu, razem z Żydami.

- Ciekawe, co oni robią ze wszystkimi krzywonosami - powiedział Carl.

- Zdmuchują ich - odrzekł Otto. - Słyszałem, że wypróbują na nich środki do wojny chemicznej.

- Ludzie mówią, że są gazowani w wielkich obozach w Polsce - wtrącił Mario.

- A ty nie przyjdiesz? - Spytała Isabella, wskazując mnie. - Lepiej zrobmy to teraz, póki jestem w formie.

Chciałem się z tego wykręcić, ale inni pomyśleli, że po prostu jestem zakłopotany i pomogli mi. Po co to opisywać? Zresztą przerwano nam w samym środku, przez Carla, który odezwał się nagle:

- Pokaż mi pachę. Masz tam grupę krwi, prawda?

Byłem tak zaskoczony, że bezmyślnie podniosłem prawe ramię, a po tym wybuchłem.

- Wy, marynarze, zjedzone przez mole solone śledzie, nie macie prawa rządzić się tutaj! - Chwyciłem napełniony do połowy nocnik i cisnąłem w Carla. Uchylił się błyskawicznie, a nocnik trafił Maria w chwili, gdy ten opróżniał butelkę piwa.

Otarł śmierzącą zawartość z twarzy, wylewając równocześnie potok jadowitych przekleństw. W chwilę później Isabellę i mnie rzucono w przeciwne strony.

- Ty parszywy, niemiecki, benzynowy lokaju! - Wrzasnął. - Dostałeś tu włoską cipę po cenie wyprzedażowej, a ciskasz szczynami w uczciwych ludzi. - Próbował skoczyć mi nogami na brzuch, ale odtoczyłem się na czas.

Carl i Otto rzucili się na niego i udało im się obalić go na podłogę. Wysoki Otto osiadł okrakiem na jego piersi, zaś Isabella udzieliła pierwszej pomocy w postaci piwa i sznapsa, które dla uspokojenia go wlała mu w wielkich ilościach do gardła. Powoli powróciło mu opanowanie, ale zanim obiecał, że będzie rozsądny, Isabella musiała mu obiecać darmowe jebanie. A w czasie, gdy je miał, śpiewaliśmy *Oh, Tannenbaum!*, na głosy.

- Mogę stwierdzić, że okazałeś się jednym z nas - zaczął z powagą Otto.

Na dole szybu wentylacyjnego butelka rozbiła się o rurę. Na wąskich schodach dały się słyszeć pospieszne kroki. Podkute buty próbowały stąpać cicho. Żandarmi, cholerni łowcy głów.

Mario oderwał się od Isabelli.

- Do diabła, chłopcy, oni tu są. Ślepa kobieta ich usłyszała. Jazda na dach! *Sbrigatevi!*

Próbowałem wpełznąć pod łóżko, ale wyciągnięto mnie za nogi.

- Zwariowałeś? - Syknęła Isabella. - To pierwsze miejsce, do którego zaglądadają.

Mario wypchnął nas przez okno.

- Wyłączyć, jebańcy! I żadnych hałasów. Jeśli was tu znajdą, zamkną bar i cały ten interes. Do diabła z wami, Niemcy. Jeśli idzie o mnie, możecie wystrzeliwać się nawzajem, ile tylko chcecie, tylko zostawcie nas, Rzymian, w spokoju.

Trzymałem w zębach pistolet, a dwa granaty miałem zawieszzone na szyi. Gdy spojrzałem w dół, zakręciło mi się w głowie.

Carl wyszedł tuż za mną. Zapomniał spodni i uśmiechał się nieśmiało. Dwa worki żołnierskie i mój plecak wrzucono do studni szybu wentylacyjnego. Najgorzej było z



karabinami marynarzy. Wepchnięto je do komina i miałem nadzieję, że ich naboje nie wystrzelą. Nie byliśmy jedynymi, którzy uciekli w ten sposób z budynku. Trzymaliśmy się ścian jak winne grona. Palce u nóg miałem oparte o wystającą cegłę, a dłonie wciśnięte w okap.

- Nie patrzcie w dół - odezwała się ostrzegawczo Isabella.

Boże, jak się bałem! Czemu musieli na nas polować nasi ludzie? Co zrobiliśmy? Wolność na jedną noc. I to było wszystko. Byliśmy żołnierzami potrzebującymi sobie ulżyć. Do diabła z tą całą policją.

- Została tam moja czapka i kabura - szepnąłem zaniepokojony.

- Idiota - szepnął w odpowiedzi Carl i kopnął w szybę. Wyjrzał Mario.

- *Per Bacco!* Wy, Niemcy, jesteście idiotami wszechczasów - powiedział, podając mi moje rzeczy.

W kilka minut później usłyszeliśmy otwieranie drzwi. Isabellę potraktowali jak błoto, uderzyli Maria i kpili z Italii. Następnie otworzyło się okno. Przycisnęliśmy się płasko do ściany, zmieniając się w milczące cegły. Gdyby nas odkryto, oznaczałoby to śmierć. Żadne tłumaczenia nie uratowałyby nas.

Odbezpieczyłem mego Walthera. Carl trzymał w zębach sznur zapalnika granatu. W padającym przez okno świetle ujrzałem kamienną twarz pod stalowym hełmem. Promień światła latarki zaświecił w dół studni podwórza. Chryste, pomóż nam. Tylko ten jeden raz. Niech znikną, a my jutro pójdziemy na mszę. Nie możesz mieć zastrzeżeń, że tylko raz zabawiliśmy się!

Słyszeliśmy wrzeszczących żandarmów i trzask rozbijanego drewna. Ktoś zakrzyczał. Odgłos pałek padających na ciało. Strzał z pistoletu. Brzęk szkła. Przekleństwa i obelgi.

- Za tą świnią - rozkazał przepity głos.

Podkute buty zagrzmiały w dół po schodach.

Ciekawe, kogo złapali. Musiał być zdesperowany, jeśli strzelał. Połamię mu wszystkie kości w ciele. Nie strzela się bezkarnie do żandarma. W cichej ulicy ożył ciężki silnik. Parę żandarmskich motocykli dołączyło się z hałasem.

Teraz odjeżdżają. Z polowem z jednej nocy.

Po kawałeczku przesuwaaliśmy się po wąskim szczycie muru. Tuż przed tym, jak już wchodziliśmy przez okno, odezwał się Otto:

- Uważajcie. Może zastosowali stary kawał, udając, że odjeżdżają, aby nas wywabić.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza. Czulem się tak, jakbym mózg miał całkiem obnażony. Oderwałem sobie paznokieć, który wisiał na niteczce i bolał jak diabli, kiedy tylko ruszyłem palcem.

Otwarto okno i ukazał się stalowy hełm. Żandarm zajrzał w studnię podwórza, promień światła latarki zatańczył na przeciwległej ścianie, pospiesznie opuszczono żaluzję.

Usłyszeliśmy kogoś wysoko na dachu. Świetlik zdradziecko zastukał. Wstrzymaliśmy oddechy.

W końcu okno otworzyło się, a Mario i Isabella wystawili głowy.

- Wy cholerni Niemcy będziecie moją śmiercią powiedział Mario. - To było o mały włos. - Brudny pulower miał mokry od potu. - Jeśli kiedykolwiek schwycę któregoś z tej bandy, uduszę go własnymi rękami. A jutro pójdę na mszę. Nie dlatego, bym wierzył w Boga, ale wszystko jedno. - Wytarł sobie czoło ścierką. - Rita, głupia idiotka, miała jednego w szafie. Dezertera z Luftwaffe. Uciekał od trzech miesięcy. Raz go stąd wykopałem. I miał włoskie papiery. Upiekłoby mu się z nimi, gdyby nie znaleźli go w szafie. Nawet krowa podejrzewałaby kogoś znalezionego w szafie.

- Znaleźli włoskiego dezertera oraz Anglika - wtrąciła Isabella. - Tego, co uciekł z 304. *Campo Concentramento Prigionieri di Guerm.*

Pokój zapelnili ludzie, mówiący mieszaniną języków. Siedzieliśmy jeden na drugim, na szerokim łóżku. Większość śmiała się z ulgą, ale w jednym kącie pokoju siedziała ładna dziewczyna z ponurą miną. Anglik był jej przyjacielem.

- Ciągnęli go w dół po schodach, za nogi - wyszeptła. - Jego głowa objęła się o każdy stopień.

Policjant drogowy, którego spotkaliśmy wcześniej tego wieczoru, wyciągnął butelkę sznapsa, ale dziewczyna odepchnęła ją, mrużąc coś, czego nie zrozumiałem.

- Złapali go, prawda? Do diabła z nimi - powiedział Mario. - Jutro mieli odejść w góry. Partyzanci ich oczekiwali.

- To głupota być w Rzymie bez papierów oświadczył policjant drogowy z zawodową pewnością siebie. - Tu nie można się ukryć.

Gdy odwiedziłem Maria po wojnie, opowiedział mi, że miał dokładnie takie same kłopoty z Amerykanami.

- Gdzie znaleźli Heinza? - Zapytał mężczyzna z ostrym czubkiem nosa, występujący w pobliskiej restauracji.

- Pod umywalką, w toalecie - odpowiedziała dziewczyna z twarzą zapuchniętą od płaczu. Właśnie mieli odchodzić, gdy jeden z nich odwrócił się i poświecił latarką pod

umywalkę. Nie był to nawet jeden z kacyków. Zwykły gefreiter. Nie rozzłościł się. Zwyczajnie roześmiał się i powiedział do Heinza: - Lepiej wylaż, mały. Tam musi być nudno. Heinz musiał zwariować. Wyciągnął pistolet i strzelił do niego. Trafił go tylko w rękę. To ściągnęło innych i zatłukli go na śmierć kolbami karabinów. Kopali go w dół po schodach jak futbolówkę. Leżał na każdym kolejnym podeście, póki nie przyszli i nie kopnęli go dalej na dół.

- Jesteś pewna, że Heinz nie żyje? - Zapytał Mario pomiędzy dwoma łykami piwa.

Pulchna dziewczyna kiwnęła głową.

- Jak ja nienawidzę żandarmów! - Wykrzyknął Otto dzikim głosem. - To prawdziwi rzeźnicy. Rozpiął płaszcz, odpiął drewniane guziki swego kombinezonu i wyglądało, że szykuje się do długiego wyjaśnienia, ale Carl przerwał mu ostro.

- Zamknij się! Sraj na żandarmerię. Ciesz się wojną. Pokój będzie długi i przerażający. Czy nie masz tyle cip i chlania, ile tylko chcesz? Czy nie jesteś z kumplami. A psy gończe odeszły. Więc na co, u diabła, sarkasz? Czego jeszcze chcesz? Czy Bóg nie jest dla nas dobry?

Isabella położyła płytę na gramofonie i wszyscy z nas tańczyliśmy nasze ulubione tańce, bez względu na muzykę. Jednej z dziewczyn podbito oko. Mario rozbił butelkę na głowie policjanta drogowego. Sikaliśmy przez okno. Dla dziewczyn nie było to takie łatwe. Musieliśmy je trzymać, aby nie straciły równowagi. Żadna z nich nie chciała opuścić pokoju, obawiając się, że może wydarzyć się coś interesującego, gdy nie będzie obecna.

Mario i włoski marynarz chwycili akordeony, a my skądś sprowadziliśmy człowieka z katarynką. Cały dom zaczął się trząść od przerażającego hałasu. Ścianka działowa między pokojem Isabelli i następnym zawałiła się.

Policjant drogowy i jedna z dziewczyn podjęli poważną decyzję, że razem opuszczą ten świat. Przygotowali się do popełnienia samobójstwa. Pomogliśmy im napełnić wannę. Przez krótką chwilę potrzymaliśmy ich pod wodą i zmienili zdanie. Carl wpadł we wściekłość i zderzył ich mocno głowami, obrzucił obelgami jako idiotów bez charakteru, którzy sami nie wiedzą, czego chcą.

Kopulujące pary leżały wszędzie, na korytarzu i dalej, na schodach. Mario położył brudne nogi na krzyżu moich zajętych pracą pleców. Nie dlatego, by chciał przeszkodzić mnie i Annie, ale dlatego, że nie miał gdzie ich położyć, trzymając głowę między obfitymi piersiami Luisy. Rozciągnął swój akordeon na całą długość, splunął piwem, które mu się cofnęło z żołądka, do wazonu, w którym żółte kwiaty zaprotestowały potrzęsawszy głowami.

*Du hast Gluck bei den Frauen, bel orni, Gar nicht elegant, gar nicht charmant...*

Nie można było nazwać tego śpiewem, było to dzikie, entuzjastyczne wycie. Po każdej linijce robił przerwę na oddech. Sweter miał podciągnięty do połowy w górę, ukazując wielki obszar włochatego brzucha.

Otto i dziewczyna ukazali się spod łóżka, gdzie spędzili dosyć długi czas. Następnie nogą, której wiele brakowało do czystości, Otto wepchnął ją tam na powrót. Dziewczyna pochodziła z Warszawy i wylądowała w Rzymie z mnóstwem innych szczątków i odpadów, wyrzucanych na brzeg przez wojnę. Zawsze bez zmęczenia opowiadała o szlacheckim majątku ziemskim jej ojca.

- A teraz zamknij się, Zosia - zawołał Otto. Nie chcę, byś mi zawracała głowę opowiadaniem o twych sakramenckich konikach i landach. Nigdy nie będę powoził białymi końmi. - Odwrócił się plecami do łóżka, a dziewczyna zawiesiła mu swe gołe nogi na ramionach. Chwycił ją pod kolanami i zaśpiewał:

*Wir legen vor Madagaskar und haben die Pest am Bord...*

Śpiewaliśmy o ciężkiej doli poławiacza sardynek, który po całej nocy na wzburzonym morzu z bolącymi mięśniami wyciąga swe sieci i widzi w nich jedną rybkę, wszystko, czym ma nakarmić stadko swoich dzieci.

Parę dziewczyn z wyższej sfery, wraz ze swymi głupawo uśmiechniętymi przyjaciółmi dołączyło się do nas. Były znużone antykami i pięknymi kryształami i chciały ujrzeć brudne paznokcie, usłyszeć plugawe przekleństwa i poczuć skwaśniałe piwo. Jedna z nich opowiedziała nam, że jej matka i jej kochanek razem się otruli.

- Moja matka była kurwą. Ależ gówno. Czy nie chciałbyś mnie zerznąć? - Powiedziała do Carla i otoczyła mu szyję ramionami. Zajęli pozycję na korytarzu.

Przyszedł Otto zataczając się, podtrzymywany przez dwie nagie dziewczyny.

- Nie ufajcie szlachcie! - Zawołał, wskazując oskarżycielsko palcem jednego z chłopców. To sami kłamcy. Od czasu do czasu w swym plugawym życiu bawią się w komunistów i namawiają nas, uczciwych kulisów, byśmy ponieśli czerwoną flagę.

Druga dziewczyna z wyższej sfery śmiała się, wieszając mi się na szyi. Otto próbował pomóc jej z zamkiem błyskawicznym, z takim skutkiem, że jej spódniczka rozdarła się do samego dołu.

- Czarne majtki, krótka halka! - Wykrzyknął, chwycił dziewczynę za ramię i rzucił na łóżko. - Powinno skopać się im dupy, cholernym sztucznym proletariuszom. Czy nie jesteś w tej chwili komunistą, łaciny chłopcze?! - Wrzasnął do jej towarzysza.

Carl zaśpiewał:

*Die Neger in Afrika sie rufen alle laut: Wir wollen heim ins Reich!*

- Ty komunista? - Zawył wojowniczo Otto.

Młody człowiek kiwnął głową. Zacisnął pięść i wybąkał coś jakby „Czerwony Front”.

- Dziecinna zabawa - zakpił Otto. - Następnie wyłowił z kieszeni Walthera P. 38 i cisnął go chłopcu. - Wobec tego idź na ulicę, znajdź gestapowca albo wojskowego psa gończego i naszpikuj go tym. Ale oczywiście nie ośmielisz się. Znam was, brudne, małe, salonowe łajno, jebańcy z wyższych sfer. Podporucznicy, uczniowie szkół oficerskich, porucznicy od picia szampana, phi! Żaden z was nie ma tyle odwagi, ile stary, rzymski kocur dachowy.

Akordeony ucichły. Pojawiło się powszechne zainteresowanie. Otto drwił dalej. Był typowym, starym marynarzem z U-botów, nienawidził wszystkiego związanego z wyższą klasą społeczną, a słowo „intelektualista” działało na niego, jak czerwona płachta na byka.

Dziewczyna o akademickim wglądzie, w okularach na nosie, próbowała interweniować, ale Otto wlepił w nią wściekłe spojrzenie. A potem znalazła się nagle na drugim końcu korytarza.

Młody człowiek, którego włosy domagały się przycięcia, znikł za drzwiami z pistoletem w kieszeni. Jeden czy dwóch próbowało zatrzymać go w środku.

Druga dziewczyna wróciła do mnie.

- Wyrzuć twój mundur i chodź ze mną zaproponowała. - Wojna wkrótce się skończy.

Przesunąłem dłoń po jej udzie do góry. Padła plecami na łóżko z nogami zwisającymi z jego brzegu, a ja rzuciłem się na nią.

Otto nadal gderał:

- Komuniści! Ani na jotę! Poddadzą się na sam widok podróbki policjanta ze swastyką na dupie.

Policjant drogowy wszedł w towarzystwie kolegi.

- Do diabła, ale szczęście! - Zawołał ze złością. Dwa przebicia, za każdym razem przedniego koła. Bruno i ja siedzieliśmy na ogonie sportowego samochodu z dziewczynami w środku. Rozrzuciły za sobą gwoździe. Tego człowiek spodziewa się tylko po młodych twardzielach. Bruno prowadził i wpadliśmy prosto na drzewo. Ale wiem, kim jest jedna z dziewczyn; jej stary będzie musiał zabulić. - Wlał sobie do gardła całą butelkę piwa. - Byłem w Cyrenajce - powiedział Ottonowi. - Dostałem cholerną kulkę w nogę, więc mogłem wrócić do drogówki.

- A co mnie to obchodzi? - Burknął Otto. - Ja jestem w Marynarce. To my, marynarce, wystawieni jesteśmy na główne uderzenie w tej przeklętej wojnie.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł z zadowoleniem brudny policjant drogowy i wyciągnął butelkę piwa. - Od pokoleń moja rodzina służyła w policji. Mój ojciec został zastrzelony w Neapolu. Załatwił go cholerny alfons. Mojego dziadka też położyli trupem. Był sierżantem w karabinierach. Wrzucili jego ciało do kanału.

- To mnie nie martwi - rzekł Otto. - Nigdy nie byłem w stanie znieść policjantów. We wszystkich krajach są tacy sami.

- Nikomu nie robię nic złego - zaprotestował policjant drogowy. - Ale ta dziewczynka, która rozrzuciła gwoździe, niech tylko poczeka! Do jutra.

- Jeśli ona jest z wyższych sfer - czknął Carl - to precz z jej głową! Może lepiej będzie, jeśli ja i moi dwaj tutejsi koledzy też przyjdziemy i pomożemy ją załatwić.

Wszystko ociekało piwem. Jedna z dziewczyn wymiotowała. Miała na sobie jasnoniebieskie majteczki. Mario wsadził jej w tyłek żółty kwiat. Ale zbyt okropnie się czuła, by to zauważyć.

Wtedy Mario i dwaj policjanci chwiejnie zeszli po schodach. Każdy z nich śpiewał inną piosenkę. Nadszedł czas, by otworzyć bar. Dotarłszy do pierwszego piętra zaczęli kłócić się, oskarżając nawzajem, że ukradli sobie piwo. W końcu dobry charakter Maria wziął nad nim górę i barman zaczął szlochać. Próbował wytrzeć sobie oczy kaburą policjanta. Następnie nie umieli otworzyć drzwi baru i zdecydowali się odstrzelić zamek z pistoletu policjanta. Zaraz po tym, jak zamek został rozbity, Mario znalazł klucze. To dało początek nowej, gwałtownej kłótni, przy czym Mario zażądał odszkodowania za zamek i twierdził, że policjant sabotuje jego interesy. Zagroził wytoczeniem procesu o wyrządzenie szkód. A potem znów byli przyjaciółmi.

Leżałem pod łóżkiem z Elisabetą. Głowa mi pękała i wolałbym umrzeć. Otto klęczał koło klozetu z jego deską na szyi jak końskim chomątem. Carl i Rita siedzieli w garderobie, spierając się o wysokość sufitu, o którym Carl twierdził, że jest za niski, by być zgodny z przepisami.

- Chodźcie, wy pijane śwynie! - Zawołał zniecierpliwiony Mario. - Czas na mszę. Inni są już w drodze.

Kościół św. Andrzeja był przyjemnie chłodny. Stłoczyliśmy się w dwóch ławkach i przybraliśmy poważne miny.

Rita była jak Maria Dziewica, W każdym razie jak nasze wyobrażenie o Marii Dziewicy.

Jeden po drugim podchodziliśmy do ołtarza. Otto wręczył Carlowi swą piersiówkę. Pójście na mszę było dla nich poważnym przedsięwzięciem i potrzebowali wzajemnego wsparcia.

Moja dziewczyna z wyższej sfery klęczała obok mnie.

Otto złożył ręce pociesznym, niezręcznym gestem. Spojrzałem w górę na postać na krzyżu i stwierdziłem, że mamroczę:

- Dzięki, Chryste, za daną nam zeszłej nocy pomoc, gdy przyszły psy gończe. Dopomóż też tym, których złapano.

W tym momencie promień słońca rozświetlił twarz postaci. Jakże była zmęczona.

Poczułem, że ktoś chwyta mnie za rękę. Był to Mario, nadal w swetrze, ze ścierką na szyi. Śmierdział piwem.

- Chodź, Sven. Usnąłeś?

- Idź do piekła - warknąłem.

Uścisk stał się mocniejszy, prawie brutalny. Podszedł Otto. Wymierzył mi kantem dłoni cios w tył głowy.

- Nie zadzieraj nosa, młody jebańcu. Żadnych głupstw w kościele. Nie próbuj się wywyższać, jak byś osobiście znał Boga.

Wytaszczyli mnie na zewnątrz. Gdy szliśmy, Carl chciał przywłaszczyć sobie srebrną tacę, ale Otto i Mario uznali, że tego byłoby za wiele.

- Gdybyśmy na zewnątrz wpadli na księdza, a on miałby to pod pachą, to co innego. Jeden raz w tył głowy i w nogi ze srebrem, ale nie podiwania się rzeczy w kościele. Są jakieś granice.

Carl ustąpił, ale był rozczarowany i wściekły, tak wściekły, że wymierzył kataryniarzowi ciężkiego łupnia w głowę, przez co ten upuścił katarynkę.

Carl wrzasnął na niego:

- Jak śmiesz kręcić te kurewskie melodie obok kościoła, ty pogański makaroniarzu?

W parę godzin później pożegnaliśmy Maria i dziewczyny i zdecydowaliśmy, że pójdziemy sobie pozwiedzać. Odwiedziliśmy szereg barów i tawern, trzymając na ramionach torby żołnierskie i plecaki.

Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się, na piwo i odwiedzić burdel. Znaleźliśmy się też na wystawie obrazów, ale to było tylko przez omyłkę. Carlowi spodobał się obraz nagiej dziewczyny, ale gdy usłyszał cenę, chciał pobić komitet wystawowy. Zagrozili, że wezwą policję. Ten gatunek ludzki zawsze tak robi. Gdyby poczęstowali nas szklanką piwa, nie musieliby wstawiać na nowo czterech wielkich okien ze szlifowanych tafli szklanych.

Weszliśmy do eleganckiej restauracji na Via Cavour i stwierdziliśmy, że szef sali i czterej inni kelnerzy nas nie lubią. Zaczęło się od tego, że kobieta w szatni odmówiła przyjęcia naszych toreb żołnierskich i plecaków, a stało się jeszcze gorzej, gdy Otto zdecydował, że zmieni skarpety we foyer. Ale prawdziwa bitwa zaczęła się, gdy odmówili nam obsłużenia.

Carl najbardziej się podniecił i rzucał im wszelkiego rodzaju obelgi, następnie wpadł do kuchni, złapał wielki półmisek *ravioli*, wypadł na salę, odrzucając na boki personel, jakby był tajfunem uderzającym na las młodych drzewek.

Dwóm podstarzałym policjantom udało się wywabić nas stamtąd do tawerny przy bocznej ulicy, gdzie chętniej nas przyjęto. Carl nie przestawał przeklinać wyższych sfer do chwili, gdy znaleźliśmy się tam. Nadal trzymał półmisek *ravioli*. Prezent od eleganckiej restauracji, która bez wątpienia uznała to za niską cenę pozbycia się nas.

Gdy dotarliśmy do tawerny, Carl groźnie podsunął chochlę pod nos dwóm policjantom.

- Wy dwaj, parszywi, chodnikowi admirałowie, zdajecie sobie sprawę, że poszliśmy z wami dobrowolnie, nieprawdaż?

Przy szklance piwa obaj zapewnili nas, że absolutnie dokładnie o tym wiedzą.

Później tejże nocy znaleźliśmy się koło fontanny. Carl pływał w kółko po jej basenie, demonstrując mi, jak dostawać się do pontonu ratunkowego w brudnej wodzie, podczas gdy Otto i ja robiliśmy fale. Wtedy otworzyło się okno i wulgarny, zaspany głos obrzucił nas groźbami i przekleństwami za nasz hałaśliwy pokaz ratowania życia.

- Ty cholerny, kłótniwy makaroniarzu - wrzasnął Carl z wody. - Jak śmiesz przeszkadzać Niemieckiej Marynarce Wojennej w ćwiczeniach ratowania życia?

Otto wziął kamień, rzucił nim i trafił krzykliwego Rzymianina prosto w twarz. Ten nie posiadał się z wściekłości i próbował wyskoczyć przez okno. Ale uczepliła się go rozpaczliwie jego żona. Przecież mieszkali na drugim piętrze. Następnie Otto rzucił drugi kamień, ale tym razem trafił sąsiednie okno. Wtedy zrobiło się wielkie piekło. Cała ulica powstała przeciw nam i zaczęła się wielka bójka. Bardziej wyglądało to na niewielką rewolucję, z której wycofaliśmy się, gdy sięgnęła szczytu, a ludzie zapomnieli od czego wszystko się zaczęło.

Następnego ranka zdecydowaliśmy, że wszyscy pójdziemy do szpitala, ale los zdecydował inaczej. Mieliśmy takiego pecha, że znaleźliśmy się w towarzystwie włoskiego marynarza, który był w drodze do swej bazy morskiej w Genui. Był z nim kapral bersalierów, prosto ze szpitala w Salerno, gdzie dano mu sztuczną nogę. Nie lubił swej nowej nogi, która sprawiała mu ból, więc trzymał ją pod pachą i szedł kuśtykając o kuli. Początkowo miał dwie



kule, ale jedną sprzedał pastuchowi. Nie dlatego, by pastuch potrzebował kuli, ale dlatego, że był on człowiekiem myślącym o przyszłości.

- Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć w wojnie takiej, jak ta - powiedział. - Coś mi mówi, że wcześniej czy później zabraknie na rynku kul.

Podeszli do nas, gdy siedzieliśmy na schodach na Via Torino, zjadając smażone sardynki.

Zaproponowaliśmy im miejsce koło siebie i udział w posiłku. W piątkę skończyliśmy półmisek. Potem wszyscy poszliśmy na spacer wąskimi zaułkami, spróbaliśmy placów ziemniaczanych, smażonych na otwartym ogniu na niewielkim placu. Następnie ogarnęła nas zwariowana chęć czystości i poszliśmy do łaźni publicznej. Na nieszczęście zrobiła się awantura, gdy wyłamaliśmy tam drzwi do części dla kobiet i musieliśmy szybko uciekać. Całkiem nadzy, ściskając nasze ubrania i resztę rzeczy, udało nam się z powodzeniem uciec przez szereg płotów i jakichś szop.

Rozstaliśmy się na Ponte Umberto. Dwaj Włosi uznali, że nie mogą dłużej nas opóźniać. Oni podróżowali już od miesiąca. Papiery mieli podpieczetowane, ale pieczętki były nie do końca autentyczne. Machaliśmy do siebie rękami tak długo, jak tylko widzieliśmy się, a potem wrzeszczeliśmy.

- Chłopcy, spotkamy się, gdy wojna się skończy. Pierwszego dnia trzeciego listopada od zawarcia pokoju! - Krzyknął włoski marynarz z bocznej uliczki.

- To się nie da zrobić, marynarzu - odkrzyknął Carl. - Do naszego spotkania upłynie cały rok. Przypuśćmy, że wojna skończy się czwartego listopada i upłynie cały rok do naszego spotkania. A co, żeby dokładnie w trzy miesiące od końca wojny? Spotkanie tutaj.

- Czy masz na myśli miejsce, gdzie wy jesteście, czy gdzie my jesteśmy? - Wrzasnął marynarz.

Byliśmy już tak daleko od siebie, że trudno była nam się usłyszeć. Ludzie zatrzymywali się i patrzyli na nas nic nie rozumiejąc. Carl otoczył usta dłonią, robiąc z nich megafon.

- Spotkanie na środku Ponte Umberto i każdy przynosi skrzynkę piwa.

- OK. Która godzina najbardziej wam odpowiada? - Krzyczał Włoch.

- Jedenasta piętnaście - zawył Carl.

- Przyjedziecie pociągiem czy przyplyniecie statkiem? - Wył marynarz.

- Nie zadawaj takich głupich pytań. Czy nie jedziesz pociągiem tylko, kiedy musisz?

- Co godzina jest autobus z Anzio do Rzymu - nadleciał z oddali głos marynarza.

Jeszcze kilka razy wrzeszczeliśmy do siebie z całej siły, ale byliśmy już od siebie tak daleko, że nasze odpowiedzi były tylko słabym echem.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, dotarliśmy do szpitala przy Via do San Stefano. Przyjechaliśmy taksówką, której kierowca siedział na miejscu pasażera, a nas trzech z przodu, kierując na zmianę. Aby taksiarz zgodził się na to, potrzeba było nieco perswazji, ale w końcu tak zrobił.

- Teraz zacznie się trudny kawałek: trzeba trzymać się właściwego kursu.

- Trzymam kurs prosto na lewą burtę, więc powinno być w porządku - odpowiedział Otto, który siedział za kierownicą.

Dyżurny gapił się na nas w zdumieniu. Nigdy wcześniej nie widział takiego przybycia. Otto ostro zakręcił i podjechał do schodków.

- Opuścić kotwicę - zakomenderował Otto.

Przy paru butelkach piwa pożegnaliśmy się ze starym taksiarzem i jego koniem.

- Po co przyszliście? - Zapytał dyżurny.

- Czy myśmy cię pytali, dokąd idziesz? - Odparował Carl. - Czy to twój cholerny interes?

- Muszę was zapytać - powiedział dyżurny.

- No i zrobiłeś to, więc zamknij się - rzekł Carl.

Dyżurny wzruszył ramionami i zawrócił do bramy. Drogę do biura wskazywała strzałka.

- Obiecuję wam, że nie będę się bardzo słuchał tych jodynowych bohaterów - powiedział Carl. Jeśli będą mili i grzeczni wobec mnie, istnieje mała możliwość, że będę grzeczny dla nich. W przeciwnym razie będą przeklinać dzień, w którym mieli cokolwiek do czynienia z Carlem Friedrichem Weberem.

Nie zwracając uwagi na napis „Zapukać i czekać” wtargnęliśmy do biura.

Podoficer sanitarny w szytym na miarę mundurze siedział w fotelu na biegunach, z obiema nogami na biurku, pracowicie smarując sobie włosy brylantyną i układając je w fale. Za nim na ścianie wisiał wielki portret Adolfa Hitlera.

- Hallo, tam! - Powiedział Carl, rzucając z trzaskiem na podłogę swą torbę i karabin.

Mocno uperfumowany podoficer nie raczył na nas spojrzeć.

Carl jeszcze raz spróbował zwrócić jego uwagę na naszą obecność.

- Cześć, kowalu czyraków. Klienci!

Szpitalny bohater zaczął dłużyć sobie w zębach laryngoskopem i wyjrzał przez okno.

- Musieliście trafić pod niewłaściwy adres.

- Do cholery, pod właściwy. Ten interes to szpital, prawda?

- Zgadza się. Jesteście w *Ospedale Militare*, rozmawiając z naczelnym urzędnikiem. Tutaj trzeba ustawić swoje zmęczone kości w regulaminowej pozycji i wyrzygać raport, po co się ktoś tu znalazł.

- Och, odpierdol się - rzekł Otto.

- Co ja wam powiedziałem? - Warknął Carl. Niechże go schwycę za gardło. Taki zasrany gówniarz!

- Dajże spokój, kumplu, bądź rozsądny - powiedział Otto, bardzo się postarawszy. - Przyszliśmy tu zadekować.

- Wobec tego trafiliście do niewłaściwego miejsca. Jesteście w szpitalu, nie w stoczni.

- Nie gadajmy z nim - rzekł Carl. - Dajmy mu raz po ryju, a po tym spierdalajmy.

Otto zrobił jeszcze jedną próbę.

- Nie wiem, jak to nazywacie w waszej medycznej gwarze. Mamy tu dostać koje. Dla naprawy. Remontu.

Podoficer medyczny był zajęty podziwianiem swych włosów w lustrze na przeciwległej ścianie. Wysmarował sobie twarz wodą kolońską.

- Innymi słowy chcecie powiedzieć, że macie zostać przyjęci? Zakładam więc, że jesteście w posiadaniu papierów od waszego oficera lekarza. Czy jesteście ranni?

- Tak - kiwnął głową Carl. - Ale to było cholernie dawno temu. Przyszliśmy nie z tego powodu.

- Mam chorego kutasa - oświadczył Otto.

- Wobec tego przyszliście pod niewłaściwy adres. To jest oddział chirurgiczny. - Podoficer uśmiechnął się z wyższością.

- Jak możemy tracić czas na tłumaczenie temu jebańcowi? - Powiedział Carl. - Dać mu kopa w jaja i wyrzucić przez iluminator. Chodźmy sobie stąd.

Podoficer medyczny nie zwrócił uwagi na to dane w dobrej wierze ostrzeżenie.

- Musicie zameldować się w Oddziale Chorób Skórnych i Wenerycznych, który znajduje się w szpitalu cywilnym. Biuro burmistrza miasta powie wam, gdzie to jest, oficer kontroli ruchu na stacji powie wam, gdzie jest biuro burmistrza miasta, a każdy policjant skieruje was na dworzec kolejowy.

- Ty nie wiesz, gdzie jest ten cholerny szpital dla kutasów? - Zapytał poirytowany Otto.

- Oczywiście muszę wiedzieć.

- No to wypluj to! - Zawołał oburzony Otto.

- Marynarzu, jestem głównym urzędnikiem szpitala chirurgicznego, a nie biurem informacji.

- A co tak naprawdę robisz, gdy nie jesteś żołnierzem? - Zapytał Otto?

- Naprawdę nie wiem, co was to może obchodzić - odpowiedział gładko podoficer. - My dwaj nigdy nie będziemy utrzymywali stosunków towarzyskich w życiu prywatnym. Ale ponieważ w oczywisty sposób jesteś zainteresowany, raz jeden złamię swą zasadę i odpowiem ci. Jestem nadreferentem drugiej klasy w urzędzie miejskim w Berlinie.

- Teraz mam dość tego - zawołał Carl, podciągając spodnie. - Nadreferent w urzędzie miejskim, phi! Zaszary pizpan. Najpodlejsza istota na ziemi.

- Wziął butelkę atramentu i cisnął nią w ścianę za podoficerem. Za nią poszły książki. W mgnieniu oka wielki regał stanął pusty.

Carl i ja skoczyliśmy na biurko, chwyciliśmy podoficera za włosy i walnęliśmy jego twarzą w blat. Otto otworzył puszkę dżemu truskawkowego i porządnie wtarł zawartość w wybrylantowaną czuprynę urzędnika, podczas gdy Carl polewał brylantyną i wodą kolońską szyty na miarę mundur. Porwaliśmy kilka poduszek na kawałki i pozwoliliśmy piórom pofruwać. Następnie opróżniliśmy kilka słoików dżemu pomarańczowego, rozsmarowaliśmy mu na twarzy i turlaliśmy ją w piórach, póki nie wyglądał jak chora kura. Pielęgniarka zajrzała do środka, ale pospiesznie znikła, gdy słownik lekarski przeleciał jej koło głowy.

Zanim odeszliśmy, Carl wcisnął wrzeszczącemu podoficerowi zwój papierów w gardło.

Następnie, bardzo zadowoleni z siebie, opuściliśmy biuro, które obróciliśmy w ruinę. Dyżurny na bramie przepuścił nas bez problemów.

- Będziemy wyleczeni, zanim dotrzemy do szpitala - zawodził Otto. - Już trzy tygodnie jesteśmy w drodze.

Byliśmy już dość daleko, na Via Claudia, gdy podjechał do nas Kübelwagen, z którego wyskoczyli dwaj żandarmi w stalowych hełmach.

- Jesteście aresztowani - powiedział jeden z nich.

- Nic mi o tym nie wiadomo - uśmiechnął się Carl.

Klamrą od pasa wymierzył cios w twarz pierwszego żandarma, który padł oślepiiony na ziemię i jęcząc zaczął się czołgać. W kilka sekund ulica opustoszała. Dorożka z dwiema pasażerkami odjechała galopem.

Drugi żandarm chwycił za kaburę. Skoczyłem mu na plecy i wbiłem zęby w ucho. Carl dał mu kopniaka w brzuch i z głośnym trzaskiem wbił pięść w twarz wrzeszczącego człowieka. Następnie twarzami obu psów łańcuchowych waliliśmy w beton.

Wskoczyłem do samochodu, odpaliłem silnik, wrzuciłem drugi bieg i wyskoczyłem. Z głośnym hukiem gniecionych blach wóz uderzył w budynek na rogu Via Marco Aurelio.

Poszliśmy przed siebie. Koło Koloseum Carl wpadł na pomysł. Poszperawszy w torbie, wyciągnął butelkę rumu. Wróciliśmy do nieprzytomnych psów gończych.

- Płukanie, proszę uprzejmie - rzekł Carlo, wlewając każdemu z nich po pół szklanki do gardła.

Polaliśmy rumem ich mundury tak, że śmierdzieli na kilometr. Potem rzuciliśmy pustą butelkę na przednie siedzenie rozbitego samochodu.

- Korek - zauważył rozsądnie Carl.

Otto głośno, z całego serca, ryknął śmiechem, wracając do dwóch policjantów. Jednemu z nich wsadził korek od butelki do kieszeni spodni.

- A teraz, gdzie jest telefon? - Powiedział Carl, uśmiechając się rozkosznie.

Wszyscy trzej wcisnęliśmy się do budki telefonicznej. Po wielkich korowodach dostaliśmy numer burmistrza miasta. Telefonować miał Otto, ponieważ miał najbardziej przekonujący głos.

- Herr General, no dobrze, Herr Oberleutnant, wszystko mi jedno, kim pan jest. Kto tu jest impertynencki? Co u diabła ma to z panem coś wspólnego? Czy myśli pan, że nie widziałem już tych połykaczy szabel? Chce pan wiedzieć, z kim pan rozmawia? Czy pan myśli, że mam źle w głowie? Czemu telefonuję? Co u diabła ma to z panem coś wspólnego? Hallo, hallo! Świnia rozłączyła się. - Otto miał usta otwarte ze zdumienia.

- Ależ są cholernie bezczelni - mruknął Carl. Daj mi ten telefon! Zrobiłeś to zupełnie nie tak. Ja ci pokaże, jak to się robi. - Poprosił o numer. - Połączcie mnie z oficerem dyżurnym - warknął. - Mówi profesor Brandt. Jeszcze przed chwilą myślałem, że żandarmeria jest tu, by utrzymywać porządek. Ale co teraz widzę? Wasi cholerni konstable bijący się z dwoma pijanymi cywilami, z którymi jeździli sobie w służbowym samochodzie. To skandal, Herr Hauptmann, że pozwalacie na takie rzeczy. Pańscy ludzie leżą teraz śmiertelnie pijani na rogu Via Marco Aurelio i Via Claudia, rozbiwszy swój wóz.

- Śmiejąc się całą gębą odwiesił słuchawkę.

Oparliśmy się pokusie zostania na miejscu i ujrzenia, co się teraz będzie działo.

Przez następny dzień i noc byliśmy razem, następnie rozstaliśmy się pod kliniką chorób wenerycznych szpitala ogólnego. Gdy odchodziłem, wołali z okna pierwszego piętra.

- Nie zapomnij o naszym spotkaniu na Ponte Umberto, gdy wojna się skończy!

- Nigdy tego nie zapomnę! - Odkrzyknąłem.

Do samego rogu szedłem tyłem, aby nie stracić ich z oczu. Machałem ręką, a oni marynarskimi czapkami.

- Będziemy uroczyście obchodzić pokój u Maria! - Wrzeszczał Carl.

Odszedłem, ale przeszedłem tylko połowę ulicy, gdy musiałem zawrócić i pobiec znów na róg. Tak przykro było ich zostawić. Nadal stali w oknie. Gdy mnie zauważyli, rzucili czapki w górę i zaśpiewali marynarską pieśń pożegnalną. Wtedy pobiegłem wąską uliczką. Musiałem się od nich oddalić, albo coś by się wydarzyło.

Poszedłem do parku i usiadłem na ławce, pełen tęsknoty. Wiatr wiał z południa i można było usłyszeć armaty spod Monte Cassino, jak nieustanny, groźny huk piorunów. Poszedłem do Kontroli Ruchu na dworcu kolejowym, by uzyskać zmianę mego rozkazu urlopowego, mając zamiar udać się na lotnisko i przekonać się, czy znajdę miejsce w samolocie transportowym.

Oberfeldwebel spojrzał na mnie badawczo.

- Nie wiesz, co się wczoraj zdarzyło? - Stał przede mną, ważąc w dłoni moje papiery urlopowe. A potem powoli je przedarł. - Wielka ofensywa. Wszystkie urlopy w Korpusie Armii Południe anulowane.

## Rozdział 11

*Burdel Bladej Idy nie był zwyczajnym bajzlem. Oficjalnie, w ogóle nie był burdelem, choć każdy żołnierz od Sycylii do Przełęczy Brenner wiedział, że tam można się zabawić.*

*Wśród personelu Idy było kilka pań, ukrywających się przed Gestapo oraz jedna czy dwie, na które polowali partyzanci. Ida dla nich wszystkich otrzymała żółte paszporty. Podzieliła dziewczyny wedle ich wyglądu i pochodzenia społecznego. U Idy były cztery działy: dla szeregowców, podoficerów, oficerów i oficerów sztabowych. Tylko dziewczyny najwyższej kategorii, które mówiły dwoma językami obcymi oraz potrafiły cytować Schillera i Szekspira, były dostępne dla tych ostatnich. Ida miała słabość do Schillera i jej entuzjazm dla niego spowodował, że na ścianie pokoju, w którym przyjmowała klientów, było namalowane:*

*Und setzt Ihr nicht das Lebe ein, nie wird das Leben gewonnen sein!*

*Pewnej nocy Porta i Mały zmienili dwa słowa, zmieniając cytat na lepiej dostosowany do otoczenia.*

*Ida była Amerykanką. Tuż przed wojną przyjechała do Paryża, na klasyczną wycieczkę po Europie. Ofensywa niemiecka okazała się zbyt szybka i nie udało się jej uciec. Przewidziała, że wojna będzie długa i natychmiast zdecydowała, co będzie robić. Nie była zaskoczona, gdy Niemcy w końcu weszli. Posłużyła się pewnym Oberleutnantem, jako odskocznią do łóżka niemieckiego dowódcy i dzięki temu korzystała z całkowitego bezpieczeństwa.*

*Na początku 1942 przeniosła się z Paryża do Rzymu, zabierając ze sobą sześć francuskich dziewczyn. Nie był to zły start.*

### **Patrol Zabójców**

Obrzucaliśmy się brudnymi żartami i do grenadierów i spadochroniarzy robiliśmy dumne miny. Mieliśmy pójść z zadaniem specjalnym za linie nieprzyjacielskie. Patrzyli na nas z dużym lękiem. Wszyscy słyszeli o tych „zadaniach specjalnych”.

- Wszyscy jesteście ochotnikami? - Zapytał Stabsfeldwebel z Krzyżem Rycerskim na szyi.

- Gdy leżymy w bagno, tak - zaśmiał się Porta.

Pomogli nam naciągnąć nowe, dobrze dopasowane kombinezony na nasze czarne mundury czołgistów. Mały wyostrzył nóż do walki wręcz na starym kamieniu młyńskim.

- To jest teraz tak ostre, że mógłbym odciąć jaja pułkownikowi, nie zwróciwszy jego uwagi oświadczył.

Rusaliśmy rękami i nogami, by pozbyć się sztywności nowych ubrań. Boki czapek maskujących można było opuszczać w dół i podwiązywać pod brodą. Ich górę też można było ściągnąć w dół, by zakryć twarz. Były w niej rozcięcia na oczy.

Właśnie spędziliśmy całe dwa dni u Bladej Idy. Każdy z nas miał trzy dziewczyny, niektóre z nich były dziewczynami oficerskimi. Wielkim finałem była wspaniała bójka z jakimiś ludźmi z przeciwlotniczej.

Porta i jakiś Włoch odbyli zawody w jedzeniu. Porta wygrał, zjadłszy dwie i pół gęsi szybciej, niż Włoch. Włoch zemdlał i trzeba mu było wypompować żołądek. Porta był błąd na twarzy, ale udało mu się utrzymać wszystko. Reguły zawodów mówiły, że jeśli uczestnik rzygał podczas lub wkrótce po zawodach, wówczas przegrywał, lub był dyskwalifikowany.

Porta znał trik polegający na tym, by siedzieć przez godzinę absolutnie bez ruchu, trzymając usta mocno zamknięte. Było dla nas tajemnicą, gdzie on to wszystko mieścił. Wysoki i chudy, potrafił usiąść przy stole i jeść, póki nie został ani okruszek. Wstawał na nogi z brzuchem tak rozciągniętym, jak pluskwa w ciąży, ale wszystko tam zniknęło. Bóg wie gdzie, bo w parę godzin później był tak chudy, jak na początku. Gdy szło o jedzenie, Porta był prawdziwym czempionem i jego możliwości znane były po obu stronach frontu. Amerykanie trzy razy zapraszali go na wyścig jedzenia. Dwa razy odmówił, lecz za trzecim zgodził się i miał za przeciwnika olbrzymiego, czarnego kaprała. Na zawody spotkali się w pustym leju po pocisku na ziemi niczyjej, a wszystko było skrupulatnie sprawdzane przez obie strony.

Porta wygrał. Murzyn zmarł.

Byliśmy w ziemiance Mike'a, leżąc na brzuchach i studiując mapę, rozłożoną na podłodze. Jednooki leżał między Starym i mną.

- A co z dowódcą artylerii? - Zapytał Heide. - Mam nadzieję, że jest opanowany.

- Nie ma powodu do obaw - odrzekł Jednooki.

- Znam go. Był na poligonie artyleryjskim Leningradu. Zna swą robotę. W ciągu dziesięciu minut wrzucił im 800 pocisków. Tutejszych Jankesów to zdezorientuje. Będą myśleć, że to Indianie dostaną wszystko, co się szykuje.

Porta wsadził swój żółty cylinder na czubek czapki maskującej. Jednooki zmrużył oczy. Widok Porty w żółtym nakryciu głowy zawsze powodował, że twarz mu się krzywiła,



ale od dawna zrezygnował z walczenia z nim. Ale teraz, gdy ujrzał Małego, wciskającego sobie na głowę jasnoszary melonik, ledwie zdołał się opanować.

Zdołał tylko wykrztusić:

- Wy dwaj, zwariowaliście?

Mały próbował obciąć sobie paznokcie nożycami do cięcia drutu kolczastego. Kawalki fruwały po całej mapie.

- Jeśli tak bardzo lubisz ich używać - syknął Jednooki do Małego - możesz pierwszy popełznąć przez druty w twym cholernym meloniku. Przetnij dwa dolne.

- Nie umiem liczyć - odparł z radosną miną Mały.

Jednooki usłyszał tę uwagę.

- Porta, ty pójdziesz za Małym - kontynuował Jednooki. - Dokładnie po trzy minuty między każdym człowiekiem. Krótco przed piątą będzie świtało. Pół godziny później będzie już po wschodzie słońca. Nasz dowódca artylerii przybędzie tu osobiście. Musimy posłać im zwykłe, poranne hasło, w przeciwnym wypadku nabiorą podejrzeń. Wobec tego o tej porze musicie być na swoich miejscach. Artylerzyści mają je zaznaczone na mapach. Będą strzelać tylko ze stopiątek. Działa są już wycelowane. Najgorszy czas dla was, to będzie od godziny wpół do siódmej do czternastej. Powtórzę wszystko od początku. A ty, Mały, słuchaj. To jest po raz ostatni. Zrobicie błąd, a zostaniecie zmasakrowani. O godzinie 05.32 ostrzał stopiątkami, jako błąd. Zostanie zakończony o 05.48. O 12.45 ogień moździerzy, prosto przed nos Amerykanów. Od 12.57 osłona ogniem broni automatycznej przez 30 minut. Wtedy wchodzicie wy: wyciągnąć palce z dupy i naprzód. Sven, ty załatwisz wysunięte gniazdo karabinu maszynowego. Tam jest tylko jeden człowiek. Jest zmieniany o 13.00. Pięć metrów dalej jest ziemianka, a w niej sześciu ludzi. Gdy tylko poderżniesz gardło strzelcowi karabinu maszynowego, zlikwidujesz resztę granatami ręcznymi. Heide, ty załatwisz dwa dalsze karabiny maszynowe. Oba stoją na lawetach, ale na dnie okopu i z naciągniętym na nie brezentem. Ich obsady znajdują się we wspólnej ziemiance, trzy metry na prawo. Wykopali trzy ziemianki pozorowane. Do właściwej włożą przez małą dziurę w ścianie po lewej ręce, ale nie możesz się pomylić. Przed wejściem leży sterta pustych puszek, bo są zbyt leniwi, by je uprzętać. Dwa granaty ręczne wystarczą. Jeden jak najdalej, drugi na środek. Gdy tylko Sven i Heide dotrą do swoich obiektów, wtedy rusza cała reszta. Jest do nich dziewięć metrów i musicie je przebyć w dwie i pół sekundy, ani mniej, ani więcej. Weźmiecie okop, ale nie tłóczcie się. Zawsze musicie wiedzieć, gdzie są inni z was, abyście ich nie kropnęli. Strzelajcie do wszystkiego, co nie nosi kurtek maskujących waszego modelu z zielonymi i czarnymi kółkami. Na całym świecie jest tylko 22 żołnierzy, którzy je mają. Jeśli zobaczycie

kogoś w mundurze niemieckiego feldmarszałka, zastrzelcie go! Na amerykańskiej pozycji każdy człowiek, co do jednego, musi zginąć. Żaden nie może uciec, by opowiedzieć innym, co się stało. Waszym zadaniem jest zaszokować ich i przestraszyć. Muszą i będą wierzyć, że to były duchy albo zjawy, które zaszły ich od tyłu. Tego rodzaju rzecz wywoła w ich kolorowych oddziałach śliczną panikę. Barcelona, ty nie ruszysz się ze swej dziury. Bądź pijawką. Twoim zadaniem jest obserwować jak inni oczyszczają okop. Zielona rakietą w górę i lecicie, jakby wam diabeł następował na pięty.

- Och, zawsze tak robimy - rzekł beczelnie Porta.

- Zamknij się i słuchaj - powiedział nasz generał. - Dwie sekundy po tym sygnale świetlnym zaczyna nasza artyleria, a ty, Barcelona, pobijesz światowy rekord szybkości i dogonisz tamtych. Sąsiednie odcinki nic nie będą z tego wszystkiego rozumiały. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak planujemy, zrobi się potężny bałagan. Macie pięć sekund na ucieczkę ze wzniesienia. Nasze działa położą zaporę ogniową tuż za waszymi dupami. Będziemy was osłaniać aż do rzeki, gdzie partyzanci pomogą wam przedostać się na drugą stronę. Wtedy macie 145 kilometrów do waszego obiektu. Wasza sprawa, jak się tam dostaniecie. - Pokazał punkt na mapie. - Dokładnie w tym miejscu dostaniecie zrzut pancernych i materiałów wybuchowych. Jeśli ktoś zostanie ranny, jest zdany tylko na siebie. Macie najściślejszy zakaz niesienia rannych ze sobą. Ukryjcie go i wracając sprawdźcie, czy jeszcze żyje. I jeszcze tylko jedno: to zadanie musi zostać wykonane, nawet, jeśli tylko jeden z was się przedostanie. Stanowisko operacyjne jest w baraku w lesie, a czołgi stoją zamaskowane na tym rozwidleniu dróg. Jest z nimi najwyżej piętnastu mechaników. Mieszkają w namiotach.

- Nie wystawili żadnych posterunków? - Zapytał zdziwiony Stary.

- Nie. Czują się całkiem bezpieczni. Nie przyszło im do głowy, że tak daleko od linii frontu może istnieć jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Gdy tylko zniszczycie czołgi, dwóch z was zaatakuje barak sztabowy, podczas gdy reszta będzie ostrzeliwać go z południa. Złapiecie pierwszego oficera sztabowego, jakiego zobaczycie. Musicie dostarczyć go żywego. Pozostałych zabić. Nikt nie może domyślić się, co się wydarzyło, w przeciwnym razie cały sens akcji zostanie stracony. Po tym wracacie do mostu. Aha! Zapomniałem wam powiedzieć, zostawicie dwóch ludzi przy moście, którzy będą zakładać ładunki burzące, podczas gdy reszta z was będzie zajmować się czołgami i barakiem. Ci dwaj wysadzą most w powietrze, gdy tylko ostatni z was go przekroczy. Jeśli nieprzyjaciół będzie tak blisko za wami, że nie będziecie w stanie iść przez most, musicie poświęcić sekcję karabinu maszynowego, by przeprowadzić na drugą stronę oficera sztabowego. Pójdziecie na północ, aż dojdziecie do

rzeki. Stamtąd skierujecie się na wschód. - Grubym palcem pokazał miejsce na mapie. - To jest dowództwo angielskiej dywizji. Zlikwidujcie je. - Cisnął na ziemię kilka kolorowych fotografii mundurów alianckich. - Tu widzicie patki i odznaki sztabowe.

- Wobec tego musimy mieć nadzieję, że oni nie będą w nocnych koszulach - zauważył z uśmiechem Heide, - a może mają odznaki na tyłkach?

- Sprawdźcie to sami - powiedział zwięźle Jednooki.

Uzgodniliśmy nasze zegarki i po raz ostatni sprawdziliśmy broń. Wszystko zostało dokładnie umocowane. Nic nie grzechotało.

- Nie zapomnijcie zabrać książeczkę wojskową i znaczek identyfikacyjny każdego zabitego z was. - Przypomniał nam Jednooki. - W przeciwnym razie SD może podejrzewać sprytny sposób dezercji. I jeszcze jedno. A odnosi się to szczególnie do Porty i Małego. Nie plądrujcie zmarłych. Jeśli złapią was ze złotymi zębami w kieszeniach, powieszą was. Nie czują żadnej sympatii do kolekcjonerów złota.

- Ale przecież oni sami to robią - bronił się Porta.

- Ja wiem, ale nikt o tym nie wie - Jednooki chwycił Portę za kołnierz - i tutaj też nikt o tym nie wie. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno, Porta?

- *Jawohl, Herr General!*

- Dziś nie jestem dla was Generałem. Jestem Jednookim! Trzy dni dla każdego, kto nie zdoła te go zapamiętać. Zameldujecie się w tym celu w kurniku, gdy powrócicie.

- Zgadza się - szepnął Stary.

W minutę później Mały znikł za przedpiersiem. Na północy grzmiały liczne działa. Spojrzałem na świecące się wskazówki mego zegarka. 90 sekund. Obmacałem mój sprzęt. 60 sekund. Nogi mi drżały. 45 sekund. Zacząłem gwałtownie trząść się. Nie mogłem powstrzymać drgawek. 30 sekund, Spojrzałem na pozostałych. Tych, z którymi byłem od tak dawna. Wolałbym, abyśmy nadal mieli z nami naszego fińskiego nauczyciela, Lapończyka. Sierżanta, który przybył aż z nad Morza Białego i nauczył nas ich metod walki.

Legionista jak zwykle trzymał w zębach swój mauretański nóż. Mrugnął do mnie. Wiedział, że się boję.

Teraz już tylko pięć sekund. Jak wolno przesuwała się wskazówka.

Trzy sekundy. Dwie sekundy. Czyjaś dłoń spadła mi na ramię i skoczyłem naprzód. Znalazłem nożyce do drutu, zostawione przez Portę i Małego i ciąłem dalej. Drut kolczasty dał mi skórę na wstążki. Na plecach prześlizgnąłem się na drugą stronę. Potem odrzuciłem nożyce z powrotem.

Przez chwilę leżałem, łapiąc powietrze po ogromnym wysiłku. Dobry Boże, pozwól teraz, bym został ranny, kiedy ci w okopach mają jeszcze czas, by mnie stąd zabrać. Za parę godzin mogę być w szpitalu, w cudownie czystym łóżku. Pielęgniarki będą mnie tuliły. Szpital, to było coś, o czym się marzyło leżąc na ziemi niczyjej. Ale nie zostałem zraniony. Musiałem iść dalej za Portą. Nigdy nie odnosi się ran, gdy się tego chce. Po chwili Legionista był przy zasiekach. Spojrzałem na zegarek. Minęły już dwie minuty. Legionista przykucnął obok. Gotów do skoku, pantera w ludzkiej skórze. Dobrze było mieć go ze sobą. Dawał mi poczucie bezpieczeństwa.

Przetoczyłem się i zacząłem pełznąć ku amerykańskim pozycjom. Dotarłem do krzaka, w którym miałem ukryć się aż do południa. Ręka zjechała mi po czymś oślizgłym i moje nozdrza napelnił zgniły, mdlący zapach. Wpełzłem na rozerwanego wybuchem trupa.

Zwymiotowałem. Położyłem lornetę przed sobą, zamaskowałem ją liśćmi i trawą. Póki było ciemno, lorneta nie była niebezpieczna. W ciągu dnia, gdyby padły na nią promienie słońca, choćby na sekundę, zdradziłaby mnie i to byłby koniec. Wówczas nieprzyjaciel wiedziałby, że coś się szykuje na ziemi niczyjej, coś, czego tam nie powinno być.

Ale musiałem ją mieć. Miałem przyjrzeć się człowiekowi, którego mam zabić. Lata wojny tak bardzo nas zmieniły. Już nie przywiązywaliśmy żadnego znaczenia do zabijania bliźnich. Nawet w walce wręcz. Mały i Legionista przestali już liczyć tych, których pozabijali gołymi rękami. Wbijanie człowiekowi noża w brzuch stało się prawie przyzwyczajeniem. Nigdy nie zapomnę pierwszego razu, kiedy zobaczyłem, jak umiera człowiek. A to nawet nie była moja robota. Był to Feldwebel piechoty, siedzący na tylnej części wojskowego transportera. Zbłąkany polski pocisk trafił go w głowę i ledwie miałem czas, by zatrzymać czołg. Kierowałem dwuosobową tankietką, Krupp Sport. Wskoczyliśmy obaj, by usunąć trupa z drogi, a Leutnant obrugał nas za zatrzymanie kolumny.

Był to pierwszy człowiek, którego ujrzelśmy zabitego i to nagle ukazało nam powagę oblicza wojny. Nie była nawet w przybliżeniu tak ładna, jak ją nam odmalowywano.

Ktoś czołgał się bardzo blisko mnie. Wyciągnąłem nóż. Odbezpieczyłem pistolet.

- Buuu! - Usłyszałem za sobą i niemal wrzasnąłem ze strachu. W świetle księżycy dostrzegłem jasnoszary melonik i szereg mocnych, końskich zębów, połyskujących w szerokim uśmiechu.

- Zesrałeś się w portki? - Zapytał szeptem. - Widziałem cię o kilometr, ty miękki chuju. - A potem znikł za pagórkami i pochłonęła go ciemność.

Zacząłem okopywać się. Zajęcie dla kreta. Staralem się robić jak najmniej hałasu.

Działa na północy przestały strzelać i groźną ciszę nocy przerywał tylko od czasu do czasu pojedynczy strzał lub krótkie ujadanie karabinu maszynowego. Przez lornetkę próbowałem rozpoznać otoczenie, ale nie było tam nic, prócz ciemności. Byłem zadowolony, że przed nami mamy tylko zwyczajną piechotę. Z piechotą załatwimy się bardzo szybko. Oni nie znali wszystkich diabelskich trików, w których *marines* byli ekspertami, a my zawsze czuliśmy, że jesteśmy w jakiś sposób związani z piechotą morską z powodu Mike'a.

Pocisk oświetlający z sykiem poszedł w niebo i powoli opadał na ziemię w blasku oślepiającego światła. Automatyczna armata zaszczekała złośliwie. Z oddali pociski smugowe wyglądały jak sznur paciorków na tle czerni nocnego nieba. Dochodziła trzecia. Wkrótce będą szturmować.

I już byli. Brzęk stali. Ktoś się roześmiał. Słaby poblask światła. Koszmarny idiota! Palić na wysuniętej pozycji! Świerzbiły mnie palce, by się na nich rzucić i wiedziałem, że inni czują to samo. Za tego rodzaju szaleństwo jedyną karą jest śmierć. To nie mogły być doświadczone oddziały. Czegoś takiego nie zrobiłby żaden frontowy wyga. Ci muszą być po raz pierwszy na froncie. Rekruci! Dla nas to będzie dziecinna zabawa.

Parę koników polnych skakało tuż przede mną. Jeden z nich wskoczył mi na plecy. Dołączyło się jeszcze kilka. Musiały pomyśleć, że jestem trupem. I mogły tak myśleć, bo leżałem całkowicie bez ruchu. Najgorszą częścią tego rodzaju przedsięwzięcia był ten bezruch. Ale to było najważniejsze. Być może w tej chwili ktoś przyglądał mi się przez lornetę. Musiałem udawać trupa.

Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego patrolu dalekiego zasięgu. Patrol prowadził fiński chorąży, Lapończyk. Nazywano go Guri, ale czy to było jego nazwisko czy imię, nikt nie wiedział. Co drugie słowo mówił „Piekło i Szatani”. Mówiono, że był właścicielem dużego stada reniferów, z którymi mieszkał, gdy nie był w armii. Tuż przed wyruszeniem na akcję, żeby zniszczyć linię kolejową daleko za pozycjami rosyjskimi, Guri podszedł do mnie i machając mi przed nosem długim fińskim nożem powiedział:

- Piekło i Szatani, ty cholerny Niemcu. Posłuchaj mnie. To jest pierwsza wizyta, którą składasz naszym sąsiadom. Piekło i Szatani, co za pomysł, by mieć was na karku! Wy, Niemcy, powinniście siedzieć w domu i zostawić tę robotę nam, Finom. Potraficie walczyć tylko armatami i czołgami. Piekło i Szatani, to nie jest prawdziwa walka. My Finowie jesteśmy jedynymi, którzy naprawdę walczą. Wiem, jak załatwiać naszych sąsiadów. Jestem odpowiedzialny za dwudziestu czterech ludzi. Piekło i Szatani, nie mogę tego wytrzymać. Muszę holować was, okropnych Niemców. Jeśli komukolwiek puszcza nerwy, gdy znajdziemy się wśród naszych sąsiadów, wiem, że to nie będzie żaden z mojej bandy. Jeśli

zaczniecie tracić głowy, będziemy zmuszeni was zabić. Jeśli zostaniecie ranni, nie używajcie pistoletów, by zrobić ze sobą koniec i nie wpaść w ręce nieprzyjaciela. Użyjcie swych noży. Wbijcie je półtorej dłoni od lewego barku, z przodu, tnąc do góry i przebijcie się dokładnie przez wasze niemieckie serca starych kobiet. Piekło i Szatami, to jest rozkaz. Żaden nie może wpaść żywcem w ręce sąsiadów i mówić.

Ale podczas tej wycieczki to nie ja byłem tym, którego Guri musiał zabić, lecz jeden z jego własnej bandy, kapral. Głupi sportowiec z wszelkiego rodzaju nagrodami. Widziałem, jak Guri to robił. Sportowiec stracił głowę, gdy leżeliśmy wśród jakichś drzew, czekając na kolumnę, którą mieliśmy zlikwidować. Sportowiec podniósł się na kolana, trzymając wycelowany pistolet maszynowy. W cichej, mroźnej polarnej nocy bezpiecznik jego broni zabrzmiał, jak wystrzał pistoletowy. Guri jak błyskawica był przy nim i wbił mu nóż poniżej obojczyka. Inny Lapończyk usiadł tamtemu na głowie, by śnieg stłumił chrypienie i bulgot umierającego.

To samo spotkałoby każdego, komu puściłyby nerwy tutaj, na ziemi niczyjej. Natychmiast zostałby zabity. To była po prostu kwestia przetrwania. Zastanawiałem się, co się stało z naszym fińskim chorążym, Lapończykiem Gurim? Może leży jako zmrożony trup koło kolei murmańskiej? A może dożył do awansu na kapitana, czego tak bardzo pragnął? Jego wielkim marzeniem było nosić srebrne lampasy na spodniach, zamiast zielonych. A jego renifery? Czy kiedyś znów je ujrzał? Jak on potrafił pić! A na całe kilometry wokół nie było Lotty, z którą nie byłby w łóżku. Gdy wychodził z sauny, z witkami brzoźowymi w ręce i tarzał się w śniegu, zawsze mówił o dziewczynie, którą tam miał:

- Zwykła cipa renifera!

Gdy wyruszyliśmy starym Fordem do najbliższego miasta na dziką hulankę podczas krótkich chwil odpoczynku między patrolami na rosyjskich tyłach, Guriemu zawsze udawało się wszcząć bójkę. Gdy szło o Niemców, byłem jego tłumaczem. Rozumiał niemiecki, ale mówił tylko po szwedzku. Wspaniała, stary Guri! Żaden z nas, którzyśmy cię znali, nigdy cię nie zapomni. Byłeś typowym fińskim żołnierzem, którego bano się jak diabła i kochano jak Boga.

Na wschodzie niebo zaczęło czerwienieć, zmieniając kolor z każdą chwilą. Ta parszywa góra Monte Cassino, dziura w dupie świata, o wczesnym ranku wyglądała prawie prześlicznie. Słońce wisiało nad klasztorem jak ogromna, okrągła, płonąca misa. To był Boży poranek.

Znad rzeki podniosła się poranna mgła i skryła nas na chwilę, póki wiatr nie rozwiął jej.

Było tuż przed ósmą. Kolejna zmiana. Pobłyskiwały hełmy. Przycisnąłem lornetę do oczu, nastawiłem ją. Byli tam. Ten, który teraz przyszedł, jest tym, którego będę musiał zabić. Zostanie zmieniony o dziesiątej i powróci o dwunastej. Miał na bluzie dwie wstążeczki od odznaczeń, a oczy dziwnego, niebieskiego koloru, jak mundur huzarski. Zaczął dłubać w zębach nożem do walki wręcz. Człowiek, którego zmieniał, coś mu pokazał. Obaj się roześmieli. Oglądali pocztówki pornograficzne. Miał na imię Robert. Usłyszałem, gdy ten drugi mówił do niego Bob. Oparł się beztrósco o swój karabin maszynowy. Wzbił się w górę niebieski dym palonego przez niego tytoniu. Hełm zsunął sobie na tył głowy, a jego ramię obijał mu się o policzki.

Ale co to było? Krew zastygła mi w żyłach, gdy zobaczyłem, że bierze do ręki zwisającą mu na piersi lornetę i celuje nią prosto we mnie. Wstrzymałem oddech. Na powiece usiadła mi mucha. Pozwoliłem jej tam siedzieć. Człowiek z muchą na powiece musi być martwy.

Ptaszek usiadł na ziemi prosto przede mną. Miał czerwone końce skrzydeł. Dokładnie po środku ziemi niczyjej. Nie wiesz, mały ptaszku, że życie na ziemi niczyjej oznacza śmierć? Skakał wokół mnie, nawet usiadł na lufie mego pistoletu maszynowego. Niebezpieczna gałązka do siadania.

Słońce paliło mi kark, a owady prawie doprowadzały mnie do szaleństwa. Bob znów został zmieniony. Jeśli jego dowódca plutonu nie będzie miał dla niego jakiegoś specjalnego zlecenia na najbliższe dwie godziny, powróci na swą ostatnią wachtę. Zastanawiałem się, czy w domu w Stanach ma dziewczynę. Jak wygląda miejsce, w którym mieszka? Może to dom z tarasem, gdzie każdego ranka gazeciarz ciska przez bramę dziennik? Albo jakieś obskurne mieszkanie z wejściem od podwórza, gdzie nastolatki kopulują w suterenie? Może przybył prosto ze szkoły, zamieniając podręczniki szkolne na karabin? A może był chłopakiem z niebezpiecznej dzielnicy, który kradnie od czasu do czasu, albo rozwała głowę policjantowi?

Gdybyż tylko oni sami rozpoczęli atak, przez co nasz patrol nie wszedłby do akcji. Czemu u diabła musieliśmy to być my? Kto miał dostać dla nich tego oficera sztabowego? Prawie odchodziłem od zmysłów. Niedługo będę musiał się poruszyć. Przez dziesięć godzin leżałem nieruchomo, jak kłoda drewna. Założę się, że nawet fakirzy, którzy mieliby z tym wielkie trudności.

Zobaczyłem po tamtej stronie kilka hełmów. Ostatnia zmiana. Ale co to takiego? Było ich znacznie więcej. Bob też tam był. Łatwo go rozpoznałem. Co było przyczyną tego poruszenia? Wreszcie zrozumiałem. Inspekcja dowódcy plutonu. Podniósł lufę karabinu

maszynowego, wrzasnął i zbeształ dowódcę sekcji. Lew placu apelowego. Znałem ten gatunek. Nie popuszczą nawet na linii frontu.

- Poczekaj, tu mały gnojku - pomyślałem. - Nie masz szansy. Masz jeszcze dokładnie jedną godzinę i pięćdziesiąt siedem minut życia przed sobą. Mały i Heide załatwią twoją ziemiankę. Są osobistymi przyjaciółmi strasznej Pani z kosą. Nie ujdiesz im.

Teraz Amerykanin zaczął obsypywać obelgami swoich ludzi. Żołnierzy, którzy mieli przed sobą tylko kilka minut życia. Tego oczywiście nie wiedział. Należał do gatunku, którego największą ambicją jest zostać Starszym Sierżantem Sztabowym. Chciał sześciu pasków i gwiazdki, bez względu na to, czy to oznaczało śmierć i niewolę dla jego ludzi.

Bob stał na baczność i pozwalał, żeby te brudy po nim spływały. Koło mojej głowy brzęczał giez. Usiadł mi na ręce. Zastanawiałem się, czy potrafię pozostać nieruchomy, jeśli mnie ukłuje? Zawsze bałem się gzów i os. Ukłuł. Patrzyłem, jak wpija mi się w rękę. Piekący ból objął mi całe ramię.

Przez lornetę patrzyłem na człowieka. Starszy szeregowiec Armii Amerykańskiej właśnie zapalał swego ostatniego Camela. Naciesz się nim, kolego! Zostało ci tylko siedemnaście minut. Mam nadzieję, że wyślą twej matce Medal Honorowy Kongresu. Ona na to zasługuje. Wysłała swego chłopca do Włoch, by tam został zamordowany. Mając dwadzieścia lat. Właśnie w chwili, gdy życie zaczyna się. I kończy je w taki sposób. To tylko żołnierz.

Tylko żołnierz. Słyszałem to wystarczająco często. Ale to my mamy oddawać życie za wasze fabryki, wasz przemysł. To nad naszymi martwymi ciałami podpisujecie nowe, lepsze umowy. A gdy wszystko się skończy, a wy będziecie siedzieć w waszych eleganckich biurach, wymieniając kontrakty i dając zamówienia Kruppowi, Armstrongowi i Schneiderowi, my żołnierze będziemy mogli zebrać na peronach kolejowych, albo gnąć w obozach jeńców. Zeszłoroczny śnieg szybko się zapomina.

Zaśpiewał cichutko.

Znów skierował lornetę na mnie.

Boże, nie pozwól, by mnie odkrył w ostatnich dwóch minutach. Odłożył lornetę i znów zaczął śpiewać.

Z tyłu za mną ryknęło. Niebiosa rozwarły się i pluły ogniem. Miotacze rakiet. Padały przed pozycjami amerykańskimi. Było to przeżycie, które mogło natchnąć Liszta do kolejnej rapsodii. Poruszyłem mięśniami stóp w butach. Krew zaczęła krążyć. Gdyby moje nogi całkiem zdrętwiały, byłaby to katastrofa. Podkurczyłem lewą nogę pod siebie. Była silniejsza. Rakiety przestaną spadać za pięć minut.



Amerykański Bob nie znał reguł gry. Zwinął się na dnie okopu, bojąc się świszczących pocisków.

Zerknąłem w bok. Był tam Porta, długi idiota. Jego żółty cylinder świecił, jak jaskier na zielonym polu. Wyciągnąłem mój nóż, nóż, który zabrałem dawno temu syberyjskiemu gwardziście.

Teraz! Skoczyłem naprzód. Pociski bzyczały wokół mnie, jak rozzłoszczone osy, ale się ich nie bałem. Był to ogień osłaniający naszej własnej piechoty. Hełm i twarz amerykańskiego Boba pojawiły się nad przedpiersiem. Impet mego skoku przewrócił go. Dziko wrzasnął, próbował kopnąć mnie w krocze. Dwa pociski świsnęły mi koło głowy. Wbiłem mu nóż w szyję. Skręcił się, a z ust trysnęła mu spieniona krew. Kopnięciem wyrzuciłem na zewnątrz karabin maszynowy, rzuciłem ostatnie spojrzenie amerykańskiemu Bobowi. Wbił palce w ścianę okopu.

Miał głowę odrzuconą do tyłu i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami. Czulem, jakbym chciał się rzucić na ziemię obok niego i pocieszać go, ale nie miałem czasu ani prawa. Byłem tylko żołnierzem. Kopnąłem jego hełm.

Z ziemianki wynurzyły się dwie postacie. Uniosłem pistolet automatyczny i strzeliłem z biodra. Widziałem, jak Porta bierze zamach do tyłu i dwa granaty pofrunęły przez powietrze. Wewnątrz ziemianki rozległ się głuchy huk. Żółty cylinder Porty widać było ponad przedpiersiem. Wyzwanie dla losu. Nadbiegło dwóch Amerykanów. Teraz się poderwali. Wszędzie coś wybuchało.

Heide wylądował obok mnie. Amerykański sierżant i trzech szeregowców pobiegło prosto w pociski, wypływane przez nasze karabiny maszynowe. Deptaliśmy po ciałach. To była ziemianka, przed którą ostrzegł nas Jednooki. Niebieskawo-żółte płomienie lizały jej wejście, zamaskowane gałęziami. Instynkt kazał mi odwrócić się, akurat żeby ujrzeć skaczący na mnie dziki cień. Pochyliłem się do przodu i zwinąłem w kulę. Ciężkie ciało uderzyło w ziemię obok mnie. Wbiłem w nie dwie krótkie serie mego peemu. Strzelałem nie prostując się, równolegle do ziemi.

Ale on nie miał dość. Skoczył do góry jak stalowa sprężyna. Kopnąłem go butami dwukrotnie w twarz. Gdy jego palce zamknęły się na moim gardle, wypuściłem pistolet maszynowy. Uderzyłem go kolanem w pachwinę. Na chwilę dość długą, żebym wyciągnął pistolet zza pasa i opróżnił w niego cały magazynek, jego uścisk osłabł. Byłem wściekły ze strachu. Człowiek był dwa razy większy ode mnie. I znów rzucił się na mnie. Był zalany krwią. Czubek noża przeciął mi skórę między żebrami. Potoczyłem się, chwyciłem rękojeść

mego noża za cholewą buta i wbijałem go raz po raz w drgające ciało. Uścisk na mej szyi zelżał. Zaczerpnąłem powietrza, kopnąłem go w brzuch i zatupałem nogami po jego twarzy.

Dwaj nasi przebiegli obok. Miotacz ognia Ollego Karlssona zasyczał przez całą długość okopu. Zobaczyłem, jak Mały chwycił człowieka za klatkę piersiową, cisnął na ziemię i podeptał go. Podniosłem mój pistolet maszynowy, przeładowałem, strzeliłem do wnętrza ziemianki. Ktoś krzyknął. Zerwałem zębami porcelanowe kółko z ręczki granatu ręcznego, policzyłem do czterech i wrzuciłem go syczącego w ciemność.

Zielona kula światła wzniosła się w niebo. Sygnał Barcelony. Teraz nadejdzie nasza piechota, a my pod jej osłoną będziemy szturmować dalej. Wyrzutnie rakiet były w pozycje po obu naszych stronach, rozwalając je. Zobaczyłem, jak inni wyskakują z okopu. Wśród nich był żółty cylinder Porty. Następnie ukazał się szary melonik Małego. Pognałem za nimi tak szybko, jak zdołałem. To był wyścig ze śmiercią. Nasi wspaniali artylerzyści walili z armat tuż za nami. Dogoniłem Starego, który dysząc mknął po drugiej stronie zbocza. To było wspaniałe, że potrafi tak galopować.

Dotarliśmy do rzeki. Dwóch włoskich komandosów, przebranych za ubogich chłopów, czekało tam na nas.

- *Avanti, avanti!* - Burknął jeden z nich, wyciągając spomiędzy trzciny pistolet maszynowy.

Pomknęli przed nami jak maratończycy, a my musieliśmy dotrzymać im kroku. Pociski zaczęły padać bliżej. Wtedy Włosi zatrzymali się i wskazali na rzekę.

- Tutaj macie przejść. Inni czekają na was po drugiej stronie.

Legionista popatrzył na błotnistą wodę. Zwrócił się do Włochów.

- Jesteście pewni? Nic nie widzę.

Jeden z Włochów klnąc wszedł do rzeki. Woda dochodziła mu tylko do pasa.

- Pomagaliśmy zbudować dla was most podwodny. Myślisz, że nie wiem co mówię?

Pociski padały coraz bliżej i bliżej, jak sekwencja wybuchów dynamitu. Pojedynczą kolumną weszliśmy i zaczęliśmy brnąć podwodnym mostem. Wodę smagały odłamki pocisków. Na drugim brzegu ukryliśmy się w jakichś trzcinach, zaś Heide bandażował długie rozcięcie na ramieniu Starego.

- Wszystko poszło ładnie i łatwo - odezwał się ze śmiechem Porta.

- Tak myślisz? - Mruknął Stary. - Jeśli idzie o mnie, zabijanie nigdy nie sprawiało mi przyjemności.

- Papierowy żołnierz - zadrwił Mały.

Stary odbezpieczył swój pistolet maszynowy.

- Jeszcze jedno słowo, ty psychopatyczny morderco, a zastrzelę cię jak psa!

- O co się tak podniecasz? - Zapytał łagodząco Legionista. - Zabijasz innego, albo on zabija ciebie.

*Cest la guerre!*

- Zabiłem starzejącego się podoficera, ojca rodziny - powiedział zduszonym głosem Stary. - Zabrałem jego notatnik - powiedział i wyciągnął stary i zużyty zeszyt, otworzył go i pokazał nam mocno wymiętą fotografię człowieka w mundurze sierżanta. Na rękawie miał trzy paski. Obok niego stała kobieta, a przed nimi siedziały trzy małe dziewczynki i chłopiec z radosną twarzą, w wieku dziesięciu, może dwunastu lat. Na fotografii napisano po angielsku: - „Życzymy szczęścia, tato!”

Stary nie posiadał się ze złości. Przeklinał nas i cały świat w ogólności. Pozwoliliśmy mu wyładować się na nas. Niekiedy zdarzało się, że człowiek, którego zabiłeś, stawał się dla ciebie osobą. Wtedy twoje nerwy mogły ci robić kawały. Nic nie można było na to poradzić, tylko trzymać oczy otwarte i upewnić się, że Stary nie popełni jakiejś głupoty. Zarówno dezercja, jak i samobójstwo mogły pociągnąć za sobą w najwyższym stopniu nieprzyjemne konsekwencje dla rodziny sprawcy.

W dwadzieścia cztery godziny później dotarliśmy do mostu. Strzegło go dwóch piechurów. Byli to Kanadyjczycy. Zabili ich Mały i Barcelona. Błyskawicznie. Koło mostu zostawiliśmy dwóch naszych. Junkers Ju-52, który miał dokonać zrzutu, pojawił się punktualnie co do sekundy, ale ledwie zrzucił pojemnik, nadleciały w świetle księżyca dwa Mustangi i Junkers spadł na ziemię w płomieniach. Wypadło z niego jakieś ciało. Nie miało spadochronu.

- Amen - szepnął Heide.

Z wysiłkiem przeszliśmy przez jakieś pagórki i położyliśmy się w ukryciu, gdy batalion Szkotów przemaszerował obok nas. Byli na ćwiczeniach i trenowali obsługę karabinu maszynowego oraz skoki naprzód pojedynczo. Mały poczuł antypatię do sierżanta z wielkimi, czerwonymi, obwisłymi wąsami, który, jak stwierdził Mały, maltretował swych podwładnych.

Po chwili oświadczył, że zamierza go zabić. Z największym trudem uspokoiliśmy go. Następnego dnia dotarliśmy do czołgów. Postanowiliśmy odpocząć nim wejdziemy do akcji i zaszyliśmy się w gąszczu sosen. Tam dziko pokłóciliśmy się, co do podziału racji żywnościowych. Heide został zwalony bez przytomności granatem ręcznym, a Barcelona otrzymał długą ranę ciętą przez całą twarz. Wtedy Stary odkrył, że Porta i Mały pozabierali złote zęby pomimo zakazu Jednookiego. To oznaczało śmierć dla nas wszystkich, gdybyśmy

zostali wzięci do niewoli. Odkrycie doprowadziło do fantastycznej bójki. Legionista wykonał swoje słynne salto i twardo wylądował butami na twarzy Małego.

Po chwili usiedliśmy i wzięliśmy się do picia. Opróżniliśmy nasze manierki. Kłótnia wybuchła ponownie, gdy Legionista powiedział, że jesteśmy tylko ołowianymi żołnierzami, odpadami z pruskiego śmietnika.

- Ty francuski, syfilityczny, legionowy ryju wrzasnął na cały głos Porta, zapominając, gdzie się znajdujemy. - Mówisz, że cię wykastrowali. Nikt w to nie wierzy, ty sowo bez kutasa. To gra na perkusji go zjadła.

- *Tu me fais chier* - krzyknął Legionista i cisnął w Portę nożem. Przebił denko cylindra Porty. Porta wpadł w furję.

- Oby Bóg nawiedził wszystkie francuskie cipy syfilisem - zawył, chwycił pistolet maszynowy i opróżnił magazynek w ziemię pod nogami Legionisty. Rozbiegliśmy się kryjąc przed rykoszetami, a nasi dwaj wartownicy przybiegli, nie posiadając się ze strachu. Porta strzelił do nich i obrzucił dzikimi obelgami. Prawie zabił Olle Karlssona.

Wkrótce przywrócono spokój i zaczęliśmy grać bagnetami w pikuty. Jest to jedyna gra, w której nie sposób oszukiwać, więc wkrótce zmęczyliśmy się i zabraliśmy się zamiast tego za kości. Zaczęła się nowa bójka. Mały próbował udusić garrottą Heidego i przywrócenie go do przytomności zabrało nam kwadrans. Następnie Barcelona kopnęła Olle Karlssona.

Po tym intermezzo zaczęliśmy grać w oko, ale zaczęliśmy przysypiać. Przykryliśmy się gałęziami i liśćmi i próbowaliśmy zasnąć. Tęskniliśmy do snu, ale czekolada z colą uniemożliwiła to.

W dali ukazała się wielka kolumna ciężarówek.

- Załatwimy tę bandę w mgnieniu oka - powiedział Porta. - To tylko niezguły ze służby transportu. Żołnierze w nocnych pantoflach z koronką na dupie. Zmiećmy ich i spierdalajmy. W tych wozach jest nieskończona ilość prochu. Huk, jaki zrobią, będzie słyhać w Rzymie i stary papież zastrzyże uszami.

Ale Stary nie chciał o tym słyszeć. Zawsze był solidnym, prozaicznym rzemieślnikiem. Nie potrafił docenić kawału. Otrzymał rozkaz i ten miał zostać wykonany bez względu na okoliczności. Wiedzieli, co robią, mianując takich jak on Feldweblami. My pozostali nie dbaliśmy tak bardzo o szczegóły. Nieraz składaliśmy fałszywy meldunek z rozpoznania, podczas gdy naprawdę zaśmiewaliśmy się, siedząc w leju po pocisku.

Wtedy wybuchł kolejny spór.

- Jesteś najtchórzliwszym jebańcem, jakiego znam - krzyknął do Starego Porta. - Nawet najbardziej napalona, homoseksualna małpa nie chciałaby mieć z tobą nic wspólnego.

Masz szczęście, ponieważ cię lubimy, ale ostrzegamy cię, że nasza cierpliwość może się wyczerpać. Pewnego dnia wyniesiemy cię nogami do przodu.

Kolumna transportowa przejechała koło nas. To byłoby dobre żniwo. Patrzyliśmy za nią głodnym wzrokiem. Dobrze, że zrobiono go Feldweblem i dowódcą drużyny. Nikt inny nie wyżyłby przy nas. Stary nie zdawał sobie sprawy, że spaceruje z zapalonym dynamitem w kieszeni.

Gdy słońce zaszło, wyruszyliśmy ponownie. Wokół nas brzęczały komary. Trzymaliśmy papierosy ukryte zapalonymi końcami w ustach. Obok przemaszerowała kompania, tak blisko nas, stojących wśród drzew, że mogliśmy nosami wciągać zapach ich Cameli.

- Mogliśmy położyć tych platfusiarzy plackiem. Co do jednego - mruknął Porta.

- Jaka masa złotych zębów - powiedział w rozmarzeniu Mały.

- Stary - przymilali się - walnijmy ich po łbach. Gdy wrócimy, przysięgniemy, że zrobiliśmy to wszystko z twojej inicjatywy. Dadzą ci Krzyż Rycerski. Założę się, że dadzą. Pomyśl o swej żonie, Stary. Ona otrzyma dożywotnią pensję. Warto o tym pomyśleć.

Ale Starego nie dało się przekonać. Nawet nie odpowiedział. Ponurym wzrokiem śledziliśmy oddalającą się kolumnę.

- Było tam dość złota, by otworzyć skład kurew - rzekł Mały, wznosząc wzrok ku niebu.

Porta i ja szliśmy przodem i prawie wpadliśmy na namioty. Daliśmy nura, kryjąc się za paru sosnami i zatrzymaliśmy pozostałych. Były trzy namioty. Słyszeliśmy chrapanie.

Na znak Barcelony wyrwaliśmy z ziemi kołki namiotów, chwytając ich mieszkańców jak w worki. Kłuliśmy nożami i biliśmy. W ciągu paru minut zapanowała całkowita cisza. Rozległo się tylko parę zduszonych krzyków, mogących oznaczać, że nastąpiła tu walka. Umarli, jeszcze zanim się całkiem rozbudzili. Popęzliśmy do czołgów. Uduśliśmy wartowników garotami i cisnęliśmy ich ciała w krzaki. Z zainteresowaniem obejrzeliliśmy czołgi. Były to M4 i M36, Jacksony, z zabawnymi rolkami jezdnyimi jak koła wagonów kolejowych.

Zaczęliśmy zakładać bomby-pułapki. Jedne miały wysadzać czołg w powietrze przy uruchomieniu silnika, inne przy otwieraniu włazu. Legionista wykazał największą wyobraźnię. Położył łuskę pocisku, jakby porzuconą przez zapomnienie, na przednim włazie. Gdyby spadła lub została podniesiona, uruchamiała ładunek. Zakopaliśmy też miny, połączone z ładunkami wybuchowymi pod czołgami.

Mały, który poszukiwał ciała ze złotymi zębami, natknął się na amerykański magazyn benzyny. Był zakopany w ziemi i zamaskowany gałęziami. Było to zrobione tak starannie, że właśnie obudziło podejrzenia Małego. Przymocowaliśmy do drzewa kilka panczerfaustów, z pomyslowym układem sznurków, które spowodują ich odpalenie i trafienie w dół z benzyną, jeśli ktoś poruszy beczkę. Trzy inne panczerfausty wycelowaliśmy w skrzyżowanie dróg.

Porta skarżył się:

- To cholernie niedemokratyczne, gdy tyle złota ma tutaj leżeć bez pożytku dla kogokolwiek. Co byś powiedział, Stary, gdybyśmy z Małym zostali z tyłu i odrobinę pomyszkowali? Możesz złożyć zgodny z prawdą meldunek o tym, co się tutaj wydarzyło. Dogonimy was bez trudności. Gwarantuję.

- Zamknij się - burknął Stary.

Rzuciliśmy w krzaki francuski hełm i ustawiliśmy puszkę spaghetti oraz notatnik z listami włoskiego żołnierza w nader widocznym miejscu. Pomyśleliśmy, że teraz będą wysilać mózgownice. Mieliśmy nadzieję, że pomyślą, iż była to robota włoskich partyzantów oraz dezertersów. Wtedy zaczną polować na sprawców w górach na południu i zostawią nas w spokoju, abyśmy dokończyli resztę naszego zadania.

Do mostu dotarliśmy późnym popołudniem. Nic nie sprawia takiej radości, jak wysadzenie mostu w powietrze i oczekiwaliśmy na to. Walczyliśmy o zapalarkę, bo każdy z nas chciał być tym, który wciśnie rączkę do urządzenia. Stary nas kłął. Barcelona urządził wielką awanturę, przysięgając, że to jest jego zadanie, ponieważ stał się specjalistą od materiałów wybuchowych, służąc w pionierach w Hiszpanii. Na koniec zdecydowaliśmy, że rozstrzygniemy to, rzucając kości.

Na drodze prowadzącej do mostu pojawiła się wielka ciężarówka, a za nią ujrzeliśmy dziupa.

- Przestańcie się wygłupiać i ruszcie się - skarcił nas Stary. Chciał zabrać zapalarkę, ale Mały uderzył go pistoletem po palcach. - Trzymaj swe pazury z dala, cholerny stolarzu. Twój zaszczytny most zostanie gdzie jest, dopóki kości nie powiedzą, kto ma go wysadzić.

Punkty liczył Julius Heide. Ja byłem pierwszy i wyrzuciłem tylko siedem. Porta był szczęśliwszy z osiemnastką. Mały oszalał, gdy uzyskał 28. Nikt nie zwrócił uwagi na Starego, który miał tylko 14. Kleber uzyskał 19. A wtedy Heide wyrzucił 28 i myśleliśmy, że Mały go zabije.

- Ty odrażający żydożerco, oszukiwałeś. Obyś został lokajem u Żyda. Dwa razy próbowałem cię zakapować, ty oszuście!

- A więc... - Powiedział z namysłem Heide - to ty napuściłeś na mnie Policję Bezpieczeństwa, tak?

- To prawda - zawył Mały - i nie przestanę tego robić, póki nie zawiśniesz na haku rzeźnickim w Torgau. W dniu, w którym skazą cię na ścięcie, zgłoszę się po posadę kata. Obiecuję ci, że pomylę się przynajmniej trzy razy. Pierwsze uderzenie topora trafi cię w dupę.

Ale nikt nie zadał sobie trudu, by słuchać Małego. Byliśmy zbyt zajęci rzucaniem kości. Nikt nie pobił rekordu 28 oczek, więc Heide i Mały musieli rzucać po raz drugi. Ciężarówka wjechała w ostry zakręt i ze zgrzytem zmieniła bieg na pierwszy. Mały potrząsał kubkiem wysoko nad głową. Ciężarówka go nie obchodziła. Trzy razy okrążył podskokami zapalarkę, potarł nosem o kamień kilometrowy, co jak sądził powinno przynieść mu szczęście, następnie potrząsnął kostkami po raz ostatni, jak profesjonalny krupier i fachowym, gładkim ruchem wyrzucił kości na zielony materiał Porty. Sześć szóstek. Nie do wiary, ale tak właśnie leżały. Mały wychodził ze skóry z radości.

- Z tym się nie zrównasz, Juliusie żydożerco.

- Czemu nie? - Powiedział uśmiechnięty Heide i zebrał kostki.

- Przestańcie natychmiast - powiedział Stary. Ciężarówka prawie jest na moście.

Nie obeszło to nas. Heide popluł na kostki. Potrząsnął nimi cztery razy w lewo, dwa razy w prawo. Podniósł kubek nad głową i skakał na ugiętych kolanach wokół zielonego materiału Porty. A potem z eleganckim zamachem uderzył kubkiem, dnem do góry, w materiał. Następnie uniósł z jednej strony pęknięty skórzany kubek, położył głowę na ziemi tak, by jednym okiem móc zająrzeć do środka.

- Jeśli poruszysz kubek choćby o milimetr, rzut nie będzie się liczył - zawołał ostrzegawczo Mały.

- Wiem - syknął Heide. - Ale mam prawo stuknąć palcem w denko.

Mały kiwnął głową.

Ciężarówka i dżip były teraz tylko o pięćdziesiąt metrów od mostu, do którego zbliżały się bardzo powoli, właśnie wjeżdżając w kolejny ostry zakręt. My zaś wyłaziliśmy ze skóry z podniecenia.

- Podnieś to, niech cię diabli - zawołał Porta.

Zaczęliśmy robić zakłady, ile wyniesie rzut Heidego. Heide zachowywał się tak, jakby miał mnóstwo czasu. Cztery razy zastukał palcem w denko kubka i w końcu powoli go podniósł. A tam leżały same uśmiechnięte jedyńki. Najmniej, ile można wyrzucić. Z wściekłością walnął nimi w ziemię i gdyby Porta nie chwycił kostek, pewnie by je wyrzucił.

Mały tarzał się po ziemi z radości.

- Wygrałem, wygrałem - wrzeszczał. - Chować głowy, chłopcy, teraz usłyszycie prawdziwy huk. - Pomacał zapalarkę. Ciężarówka wjechała na most, tuż za nią dżip.

Mały z szerokim uśmiechem na twarzy odbezpieczył urządzenie, pociągnął rączkę do góry, poklepał przewody.

- Małe kochanie, teraz pierdniesz tak, że echo pójdzie po całych Włoszech.

Cała reszta nas odpełzła szybko i ukryła się za skałami i głazami. Mały zaczął gwizdać, jakby nie miał na świecie żadnych kłopotów.

*Eine Strassenbahn ist immer da!*

Ciężarówka już prawie przejechała.

- Idiota! Czemu ten jebaniec jej nie wysadza? Zrzędził Barcelona. - To nie ogień sztuczne, lecz poważne zadanie wojskowe.

- Chce dostać także dżipa - orzekł Rudolph.

- Zwariował - mruknął Stary.

- Boże! Widzicie to? Na ciężarówce jest czerwona chorągiewka! Powstrzymajcie Małego! - Zawołał Heide w przerażeniu.

Próbowaliśmy przyciągnąć uwagę Małego, ale on stracił zmysły. Tylko pomachał do nas ręką, a minę miał promienną. To było coś okropnego.

15-tonowa ciężarówka wyładowana amunicją.

Mały pomachał ręką do ciężarówki i dżipa.

- Hej, Jankesi! Zaraz wam pokażę, gdzie Mojżesz kupował piwo.

Dwaj ludzie w dżipie wstali i patrzyli w naszą stronę. Z kabiny kierowcy wyrzwał przez okno Murzyn.

- Pozdrowienia dla diabła - krzyknął Mały i wcisnął rączkę zapalarki.

Przycisnęliśmy się plackiem do ziemi. Rozległ się huk, który musiał być słyszalny o sto kilometrów. Dżip pofrunął w górę jak piłka. Słup ognia uderzył w niebo. Ciężarówka znikła, obróciła się w proch i pył.

Wybuch odrzucił Małego o sto metrów. Odłamki rozpalonej do czerwoności stali spadały deszczem wokół nas. Ciężkie koło samochodowe pomknęło z mostu w górę wzniesienia. Minęło Barcelonę ledwie o centymetry. Mogło go zabić. Najechało na wielką skałę, stojącą jeszcze wyżej, odbiło się w powietrze, jak piłka, spadło i zaczęło toczyć się w dół, kierując się prosto na Małego, który siedział, ocierając krew z twarzy. Gdy zauważył koło, zamiast odskoczyć na bok, zaczął biec w dół zbocza, goniony przez koło. Jego nogi migały jak pałeczki dobosza. Nie mogliśmy uwierzyć, że potrafi tak pędzić. Potknął się, upadł i potoczył jak piłka w stronę wysadzonego mostu. Koło dalej gonilo za nim. Znikł nam w



chmurze pyłu, a potem nastąpił ogromny plusk, gdy on i koło wpadli do rzeki. W chwilę później ukazał się na błotnistym brzegu, klnąc okrutnie.

- Wy cholerni mordercy - wrzeszczał. - Próbowaliście zrobić ze mnie głupca. Podłożyliście mi minę pułapkę. Dlatego pozwoliliście mi wygrać. Wy zasram oszuści. - Z niebywałą szybkością wspiał się na górę, trzymając w dłoni błyszczący bagnet. Rzucił się na Barcelonę.

- Ty fałszywa hiszpańska pomarańczo, przegrałeś naumyślnie. To się skończy przed sądem polowym. Sprawa o morderstwo, kurwa mać!

Barcelona uciekał ratując życie i krzycząc:

- Pozwól mi wyjaśnić! Pozwól mi wyjaśnić!

- Możesz sobie wyjaśniać po tym, jak ci rozetnę całą dupę, co zrobię, gdy cię złapię. - Z wściekłości cisnął w Barcelonę nożem.

Reszta z nas próbowała powstrzymać Małego, nim zdoła zabić Barcelonę, co, jak wrzaskliwie ogłaszał, jest jego zamiarem. Biedny Stary wypuścił pistolet i złapał się rękami za głowę.

- Ja zwariuję. To nie jest jednostka wojskowa. To dom wariatów.

- Jaki pan, taki kram! - Zaśmiał się Porta.

Barcelonę ocalił Legionista. Przewrócił Małego chwytem dzudo i zacisnął palce na jego gardle. Ale Małego nie było łatwo utrzymać. Dopiero, gdy usiedliśmy na nim, przestał się opierać. Barcelona chciał mu rozwalić twarz kopnięciem, ale Stary uniemożliwił mu ten pomysł.

Legionista próbował przekonać Małego, że wszystko mu się pomyliło.

- Chcesz mi powiedzieć, że to była ciężarówka amunicyjna? - Zapytał zdumiony Mały.

- Ta świnią nie miała chorągiewki.

- Miała, ale małą, *mon ami* - uśmiechnął się Legionista.

Mały był do głębi wstrząśnięty, gdy się dowiedział, że ciężarówka amunicyjna jechała tylko z proporczykiem.

- To najbardziej nieprzyzwoita rzecz, na jaką się natknąłem - wykrzyknął. - Jeździć sobie z prochem i niebezpiecznymi przedmiotami ot tak sobie, bez widocznej właściwej chorągwi. Jebać to! Mogłem zostać zabity. Każdy uczciwy sąd polowy nazwałby to usiłowaniem morderstwa. Przez tych idiotów o mało co nie zostałem zabity przez koło! - Następnie zmierzył odległość, na jaką wybuch go odrzucił: 221 kroków. I co na to powiecie? - Z oburzenia walnął pięścią w kretowisko. - Mam wielką ochotę napisać do generała Marka Clarka skargę na temat tej chorągiewki.

- Zawsze powinno się składać skargi na tego rodzaju rzeczy - powiedział z chytrym uśmiechem Porta.

- Mały ma rację - zgodził się Gregor Martin. Napiszmy i złożmy skargę. Heide zna angielski.

Pomysł zachwycił nas. Mały chciał to zrobić natychmiast i rozkazująco skierował palec na Heidego.

- Unteroffizier Julius Heide, zostajesz niniejszym mianowany głównym pisarzem Obergefreitera Wolfganga Creutzfeldta i zauważ, że masz pisać to, co ci się powie. Żadnych głupich kawałów z górnolotnymi zdaniami dla wyższych sfer. Zastrany amerykański generał musi dobrze wiedzieć, kto do niego pisze. - Mały zastanawiał się przez chwilę, zaś Heide rozłożył arkusz papieru na płaskim kamieniu. - No to zobaczmy. Zaczniemy od „Cholerny Generale Dziuro w Dupie!”

- Nie można tak napisać - sprzeciwił się Heide.

- Nawet nie przeczytają listu, który tak się zaczyna. To błąd psychologiczny. Zaczyna się od „Szanowny Panie”.

- Zachowaj swe pedalskie zdania na własny użytek. Przede wszystkim ten list nie ma być napisany po psychologicznemu, lecz po angielsku. Czy spodziewasz się po mnie, że będę uprzejmy, prawie dostawszy po głowie jedną z ich parszywych ciężarówek? Trzeba to napisać, nie owijając w bawełnę. Ciekawi mnie, jaki idiota dał mu armię.

Heide wzruszył ramionami.

- W porządku. Dyktuj jak chcesz. Ale nie otrzymasz odpowiedzi.

Mały zaczął spacerować wokół kamienia, założywszy ręce do tyłu. Słyszał, że tak robią wielcy biznesmeni, dyktując listy swym sekretarkom.

- Przestań się wygłupiać - zawołał Stary. - Musimy się ruszyć.

- To idź sobie sam - odparł Mały. - Najpierw muszę wysłać ten list.

- Co dalej? - Zapytał niecierpliwie Heide. - Na pisałem „Generale Dziuro w Dupie”.

Mały zaczął ssać brudny palec.

- „Twoje ołowiane żołnierzyki muszą w przyszłości pilnować, by twoi śmieciarze wywieszali regulaminową chorągiewkę, gdy jadą gdzieś z prochem. Wysadziłem dziś w powietrze most i ledwie diabelnie nie zostałem przy tym zabity, ponieważ jedna z twoich śmieciarek pojawiła się nie wywieszając czerwonej flagi. Jeśli to znów się zdarzy, możesz oczekiwać mojej wizyty i wtedy coś się zdarzy z twoim ryjem. Tę cholerną wojnę trzeba prowadzić w przyzwoity sposób. Nie zapomnij o tym, albo możesz się przekonać, że twą dupę wciągnięto ci na głowę. Nie myśl, że boimy się ciebie, ty platfusowaty Amerykaninie. Z

poważaniem, Obergefreiter Creutzfeldt, dla swych przyjaciół Mały, ale to nie dotyczy ciebie. Dla ciebie jestem Herr Creutzfeldt".

Ów list został przymocowany do belki na tym, co zostało z mostu. Wtedy Stary rozżłościł się i zaczął nam grozić pistoletem.

- Zabrać rzeczy. Pojedynczą kolumną za mną. I więcej życia!

Poszliśmy za nim, klnąc strasznie. Wspinaliśmy się na góry. Za każdym razem, gdy docieraliśmy na szczyt, zdawało nam się, że to jest ostatni, tylko po to, by przekonać się, że przed nami jest następny. Gdy w końcu, żli i spoceni, weszliśmy na dziesiąty czy dwudziesty, już tego nie pamiętam, zupełnie nie zwróciliśmy uwagi na roztaczający się stamtąd wspaniały widok. Kłóciliśmy się o głupstwa, co robiliśmy zawsze i groziliśmy, że się nawzajem pozabijamy. Gdy przez buty Gregora przebiegła jaszczurka, dostał pełnego szału, rzucił się za zwinnym, małym stworzonkiem, złapał je, pociął na drobne kawałki, a potem z wściekłością podeptał szczątki.

Nagle Heide i Barcelona zaczęli tarzać się we wściekłej walce, bijąc się i przewracając, a wszystko, dlatego, że Barcelona dał do zrozumienia, że Heide ma żydowską krew. Reszta z nas wzięła stronę Barcelony, wynajdując mnóstwo oznak, jeśli już nie dowodów, że Heide musi być Żydem.

- Na Boga, jestem przekonany, że nim jest - zawołał z przekonaniem Porta. To wyjaśnia jego nienawiść do Żydów, smagła cerę i haczykowaty nos. Od tej chwili nie będziesz nazywany Juliusem, tylko Izaakiem. Izaak Heide, chodź do tatusia!

- Na urodziny damy ci Talmud - oznajmił radośnie Rudolph.

- I wytatuujemy mu na tyłku Gwiazdę Dawida - dodał Mały - i damy mu klapsa w siedzenie spodni, aby u parchatego żydłaka ukazała się we właściwych kolorach.

Heide rzucił się na Małego, machając nad głową zakrzywionym nożem Gurkhów, kukri. Znalazł ten nóż, gdy napadliśmy na czołgi.

- Rób dłuższe kroki, mały Izaaku - zawołał Mały, prawie dusząc się ze śmiechu - albo zedrzesz sobie zelówki i papa będzie zły.

Heide cisnął w Małego kamieniem, ale trafił w Gregora, który padł na ziemię wściekły z bólu prawie bez przytomności. Z trudem podniósł się na nogi, chwycił granat ręczny, pociągnął za sznur zapalnika i cisnął go w Heidego. Granat uderzył go w klatkę piersiową i upadł wśród nas. Na szczęście ogarnięty szałem Gregor zapomniał odczekać, nim go rzucił. Rozbiegliśmy się we wszystkie strony jak plewy na wietrze i daliśmy nura za osłony. Granat wybuchł z głuchym hukiem. Cudem nikt nie został ranny.

- Zastrzelić go! - Darł się Mały.

Odbezpieczono dwadzieścia pistoletów maszynowych. Gregor złapał swój, przeładował, i stał tam z nogami mocno wbitymi w ziemię, lekko ugiętymi kolanami, gotów strzelać, klnąc na nas. Heide zaszedł go od tyłu i w następnej chwili tarzali się po ziemi, gryząc, drapiąc i warcząc.

Gregor stoczył się po zboczu góry. Coraz szybciej i szybciej. Jeśli uderzy o kamień, zabije się.

- Zasłużył na to - uśmiechnął się złośliwie Barcelona. - Nadęta wesz.

- Dobrze mu zrobi, jeśli połamie sobie trochę kości i zostanie tam, na dole. - Dodał Porta. - Będzie mógł rozmyślać o wszystkich błędach, które popełnił, gdy słońce wzejdzie i upiecze go żywcem.

Ale Gregorowi udało się powstrzymać dziki pęd w dół zbocza. Zaczął ponownie pełznąć w górę, a krew zalewała mu twarz. Był pełen morderczych zamiarów i czekał, śledząc wzrokiem każdy ruch Heidego, który chciał kopnąć go w twarz. Dwukrotnie go trafił, ale Gregor uparcie pełził do góry. Jego twarz była krwawą miazgą.

Leżeliśmy na brzuchach, przyglądając im się z zainteresowaniem i dając dobre rady.

- Zabij go, Julius - zawołał Mały.

Heide parsknął. Niczego nie pragnął bardziej. Gregor po raz czwarty był prawie na szczycie.

- Poddaj się - zadrwił Heide, pewien zwycięstwa. - Ciśnij tu swój nieśmiertelnik, a potem idź na dno i zdychaj.

- Nawet mi się nie śni, ty pistoletowy gnoju krzyknął Gregor.

Zmienił taktykę. Stał się podstępny. Dotarłszy prawie na górę cisnął nożem w Heidego.

Wzrok Juliusa podążył za nożem i w rezultacie kopnął zbyt późno, dając Gregorowi czas, by schwycił go za kostkę. Potoczyli się razem po zboczu góry, mocno spleceni, w deszczu żwiru i kamieni. Wreszcie puścili się, wstali i wymierzywszy wściekłe ciosy obaj padli z jękiem na ziemię. Wyciągnęli noże, z rękami rozłożonymi na boki i ciałami schylnymi naprzód, prawie pod kątem prostym. Zaczęli krążyć wokół siebie, patrząc i czekając. Heide uderzył pierwszy. Skrętem ciała Gregor uchylił się przed ciosem i próbował wbić nóż w brzuch Heidego. Stękając cięli i kłuli się nawzajem. Heide trafił potężnym kopnięciem w krocze Gregora. Ten zgiął się w pół. Wtedy Heide podniósł nóż, by go wykończyć, ale się przeliczył. Gregor nauczył się triku Legionisty: salta w tył, a po tym drugiego w przeciwnym kierunku i podeszwami obu butów trafił Heidego prosto w twarz. Ten wrzasnął jak zarzynana świnia. Gregor chwycił go za uszy i tyłem jego głowy uderzył o

kamień. Heide stracił przytomność. Przez chwilę Gregor stał, chwiejąc się na nogach, a potem i on zemdlał.

Mały zatarł ręce z rozkoszy.

- Teraz ja popelzně w dół i wykończę obu. Para cholernych proletariuszy! - Zaczął bawić się swymi kleszczami dentystycznymi. - Heide ma całą szczękę pełną złotych zębów, a Gregor ma dwa. Od lat znajdują się na mojej liście! - Zaczął gramolić się w dół, ale gdy był w połowie drogi, tamci dwaj ocknęli się.

Gregor pierwszy zobaczył Małego z kleszczami w dłoni i od tej chwili on i Heide stali się sprzymierzeńcami. Mały poczuł się oszukany.

- Zostaliście skreśleni. Oddajcie mi te zatyczki - wrzasnął i rzucił się na Heidego, który był bliżej.

Zaczęła się nowa bójka. Choć Heide i Gregor byli znacznie zwinniejsi, niż Mały, nie mogli równać się z nim siłą. Ten podniósł Heidego do góry, okręcił wokół swej głowy i cisnął go o kamień. Gregor skoczył mu na plecy i próbował odgryźć ucho, ale Mały po prostu go strząsnął, jak krowa strząsa sobie muchę z ucha. Podniósł go wysoko nad głowę i cisnął nim o ziemię. Gdy zrobił to czterokrotnie, Gregor uznał się za pokonanego. Ale nie został pozostawiony w spokoju, póki nie oddał wszystkiego, co miał w kieszeniach.

Heide próbował uciec, mknąc jak wiewiórka po zboczach, ale Mały w jednej chwili już go miał, chwycił go i rzucił nim, wrzeszcząc:

- Chcę twoich zatyczek! Nie kapujesz?

Heide skapitulował. Pozwolono mu zachować złote zęby, ale musiał oddać przeszło 275 dolarów, pierścień papieża i swój rosyjski pistolet maszynowy. To był najcięższy cios. Mieliśmy tylko dwie sztuki tej wspaniałej broni. Legionista miał jedną, a teraz Mały miał drugą. Byliśmy gotowi popełnić dowolną zbrodnię, by dostać w ręce pepeszę. Wielu było takich, którzy stracili życie, starając się o nie. Właściciel pepeszy spał, mając ją przywiązaną do ręki, ale i tak kilka zostało skradzionych. Mieliśmy też kilka pepesz model 1941, trochę innych rosyjskich peemów. Za jedną z nich można było kupić baterię ciężkich haubic, ale jak Porta powiedział artylerzyście, który mu to proponował:

- Jak na litość Boską mam ciągnąć ze sobą cztery ciężkie haubice?

Artylerzysta proponował Porcie nawet należące do baterii dwadzieścia cztery konie, ale ponieważ w tym czasie stacjonowaliśmy w składnicy żywności, Porta nie był zainteresowany.

Pięć razy Heide próbował odzyskać swą pepeszę i papieski pierścień, a za ostatnim razem prawie mu się udało. Było to tej nocy, gdy opuszczaliśmy Cassino, na dzień wcześniej,

nim znów dano nam czołgi. Mały niemal go zabił. Ocaliło go jedynie pojawienie się Jednookiego, który przyszedł dokładnie w chwili, gdy Mały przywiązywał Heidego do wylotu lufy działa przeciwpancernego. Heide trzy razy poszedł na mszę, by zapewnić sobie poparcie Boga w swej walce z Małym, ale Bóg nie chciał się do tego mieszać.

Mieliśmy pewne trudności z odnalezieniem baraku, z którego mieliśmy wydostać naszego brytyjskiego oficera sztabowego. Wartownicy byli na swych posterunkach na pół śpiący i nie wydali żadnego dźwięku, gdy podrzynaliśmy im gardła. Otoczyliśmy barak. Zjadłszy całą czekoladę, teraz żuliśmy dla uspokojenia nerwów indyjski haszysz. Byliśmy w drodze sześć dni. Zza jednej z zasłon zaciemniających prześwitywał lekki blask.

- Zamknęli się, jak dziura w dupie byka w sezonie much - mruknął Porta. - Zesrają się rzadkim gównem, gdy nas zobaczą.

- Jak myślisz, mają jakiś dzin? - Zapytał rozmarzonym głosem Heide. - Bardzo lubię dzin.

- *I corned beef* - dodał Porta. - Parę puszek tego ścierwa, zmieszanego z tłuczonymi ziemniakami wystarczą, by trup oblizał sobie wargi.

- Zastukajmy uprzejmie - zaproponował Mały, który leżał za przewróconym drzewem i wpatrywał się w drzwi baraku. - Gdy uchylą drzwi, wsadzę im w gęby moją dobrą, komunistyczną pepeszę. Wtedy zaczniesz się ruszać. Tacy sztabowi jebańcy zawsze srają w portki, gdy patrzą w pysk peemu.

- Tym razem będziemy mieli pułkownika rzekł Porta. - Jeszcze nie mieliśmy żadnego.

- A ja chcę go poprowadzić - poprosił Mały. Zawiążę mu sznur na szyi i zmuszę, by truchtał za mną, jak koza prowadzona do domu na dojenie.

Stary zażądał, byśmy byli cicho.

- To musi być zrobione szybko - wyszeptał.

- Wszystko tak robimy - zauważył Porta.

Mały pokazał barak palcem.

- Widzicie cienie na zasłonach? Mają w rękach butelki.

Umilkliśmy i patrzyliśmy w zdumieniu, jak kobieta w mundurze szybkim krokiem przeszła przez otwartą przestrzeń.

- Boże, oni mają także cipy - szepnął Porta w ekstazie.

- To była WAAF - wyjaśnił Heide.

Mały patrzył na niego nic nie rozumiejąc.

- Co, one szczekają? - Zapytał.

- Idiota! - Syknął Heide.

Kobieta otworzyła drzwi. W padającym ze środka świetle ujrzeliśmy, że jest ładna. Ładna dziewczyna w brzydkim mundurze.

Barcelona znalazł przewody telefoniczne i zameldował, że przeciął „gadające sznurki”. Stary kiwnął głową z zadowoleniem.

- Trzech zostaje tutaj, by nas osłaniać, podczas gdy reszta składa im wizytę.

- Zleją się w portki - triumfował Porta.

- Ta dziwa musi się umyć, zanim ją zerzniemy powiedział Mały.

- *Ciuro* - zabeczła Barcelona. - Obsługa musi wykazać się pewnym stopniem higieny, gdy przybywają goście.

- Nie zapomnijcie o ich *corned beefie*, gdy już zrobimy z nich sztywnych - przypomniał nam Porta.

Otworzyło się okno baraku i na zewnątrz wyrzwał mężczyzna. Miał na wyłogach haftowane złotem patki.

- To nasz człowiek - szepnął Heide. - Tęskni do nas.

Z ciemności, zaskakując nas, wyłoniła się jakaś postać. Szła prosto na nas. Legionista przykucnął gotów do skoku, odłożył pistolet maszynowy i wyciągnął nóż. Był to ogromnego wzrostu Anglik.

Wtedy usłyszeliśmy znajomy chichot.

- Mały! - Zawołał Barcelona.

- To ja - uśmiechnął się Mały. Miał na sobie angielski hełm i płaszcz wojskowy. - Wpadłem na wartownika, tam z tyłu. Uśmierciłem go moją pętlą. - Pokazał nam dwa złote zęby.

Stary go sklął.

- Wcześniej czy później ty i Porta zawiśniesz na sznurze, z powodu tych złotych zębów.

- On był czarny - kontynuował Mały, jak by to coś wyjaśniało i podniósł do góry gładko odcięte ucho. - To jedna z jego kłapek do słuchania. Podał mi ich hasło. Jego zmiennik przyjdzie za dziesięć minut, więc tylko szepnę mu do ucha „Wellington” zanim go uduszę i zabiorę jego ucho, jeśli też jest czarny.

- Zwariowałeś - powiedział Stary. - Na widok takich uszu chce mi się rzygać.

- Czemu, na Boga? - Zapytał, niczego nie rozumiejąc, Porta. - Te brązowe diabły obcinają uszy nam, więc muszą się spodziewać, że my będziemy zabierali im. Nikt nie może tego kwestionować.

- To już się posuwa za daleko - stwierdził Stary.

- Przypuszczam, że nikt nie ma aparatu fotograficznego? - Zapytał Mały. - Chciałbym mieć fotkę w tych szmatach Churchilla. To dziwne, jakie myśli przychodzą człowiekowi do głowy, gdy włóczy się samotnie w ciemności. Tam, z tyłu, przyszło mi na myśl, że byłby to dobry kawał, gdybym was wszystkich położył trupem i podniósł u Angoli alarm. A gdyby było po wszystkim, a wy pięknie ułożeni ósemkami we wspólnym grobie, nikt nie mógłby mi zaprzeczyć, gdybym powiedział, że wcielono mnie do was siłą. Kto wie, do czego by ich to wszystko doprowadziło? Ocalenie całego sztabu Churchilla to nie trik, jaki wykonuje się codziennie. To moja szansa na wystawienie mi pomnika.

- To rzeczywiście dziwne myśli - odezwał się Porta. - Lepiej daj sobie spokój z myśleniem, Mały, albo spotka cię paskudny koniec.

- Jak myślicie, po co im oficer sztabowy? - Zapytał Heide.

- By chłopcy od propagandy pokazywali go, jak lubieżnego szympansa w zoo - wyjaśnił wszechwiedzący Porta. - Zastanawiam się, co by powiedzieli, gdybyśmy wrócili z kapralem zamiast pierdolonego pułkownika?

- Po prostu wysłaliby nas z powrotem, byśmy złapali pułkownika - odrzekł sucho Stary.

- No, na mnie czas, żebym sobie potruczał i dostał to drugie ucho - oświadczył z szerokim uśmiechem Mały. - Wesoło podążył na drugą stronę baraku, zsunąwszy angielski hełm na tył głowy. Karabin objął mu się o plecy. Pepeszę trzymał ukrytą pod płaszczem wojskowym.

- *j'ai peur* - mruknął Legionista. - Pójdę za nim. Z pewnością zapomniał hasła.

Dobrze było, że Legionista wykazał się taką zdolnością przewidywania, bo Mały stracił cierpliwość gdy zmiennik zaczął go kląć i zapominając o wszystkim, wrzasnął na niego po niemiecku:

- Zamknij się, ty pasiasta świno. Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, mów po niemiecku.

Przeżaszony Anglik odskoczył, tylko po to, by umrzeć w uścisku stalowych palców Legionisty.

Teraz nie było chwili czasu do stracenia. Wszyscy rzucili się naprzód, kopnięciem otworzyliśmy drzwi baraku, wybiliśmy okno do środka. Nasze automaty pluły śmiercią. Porta i Heide złapali oficera sztabowego, wyrzucili przez drzwi i uderzeniem kolby pistoletu pozbawili przytomności. Wszyscy inni w baraku zostali zabici.

Znikliśmy biegiem.

Przed nami pojawiły się dwie postacie. Strzeliłem z biodra. Skurczyli się i padli trupem na ścieżce.



Mały podbiegł galopem, nadal w brytyjskim hełmie i płaszczu.

- Pozbądź się tego brytyjskiego gówna - zawołał Legionista.

- Mam czternaście złotych zębów - krzyknął, nie posiadając się z radości, Mały.

Z tyłu, za nami, zagdakała broń automatyczna. Legionista wciągnął mnie do zagłębienia obok ścieżki. Pojawili się Porta i Heide, ciągnąc nieprzytomnego oficera. Przyszedł Olle Karlsson, wołając coś niezrozumiałego i odwrócił się do ogni wylotowych, widocznych w ciemności. Jego pistolet szczeknął ze złością. Następnie wydał przeszywający wrzask, zgiął się w pół i zaczął tarzać się w kółko po ścieżce.

- *Mille diables* - syknął Legionista.

Przebiegło trzech innych i znikło w ciemnościach. Wtedy przybiegł Rudolph Kleber. Przyklęknął, wysyłając w mrok krótkie serie. Nagle wypuścił swój automat, chwycił się rękami za głowę i upadł na twarz.

Tamtych trzech powróciło i próbowało go ciągnąć ze sobą. Chciałem strzelać, ale Legionista ostrzegawczo potrząsnął głową i położył palec na ustach.

Jeden z trzech padł, prawie przecięty na pół ogniem karabinu maszynowego. Dwaj pozostali rzucili się do biegu, ale jeden nagle wrzasnął i chwycił się ręką za oko.

- Jestem ślepy, ś-l-e-p-y.

Ukazał się Anglik z gołą głową, tylko w koszuli. Pod pachą ścisnął lekki karabin maszynowy. Za nim szło siedmiu czy ośmiu. Jeden z nich był uzbrojony w karabin do walki w dżungli wzór IT, rzecz, której pragnęliśmy wszyscy. Legionista wskazał go i kiwnął głową. Oślepiiony człowiek klęczał, kręcąc się w kółko i grzebiąc w ziemi. Anglik w koszuli przycisnął wylot lufy swej broni do tyłu głowy klęczącego i wystrzelił. A potem uśmiechnął się.

- Przeklęty szwab! - Powiedział.

Wcisnąłem w bark kolbę mojego Sturmgewehra. Z krzaków wylazło całe stado ludzi.

Dyszeli i przeklinali, a my ciągle słyszeliśmy słowo „Szwab”.

Mściwie kopali leżące na ścieżce trupa. Rudolph jęknął, a jakiś kapral podniósł swego Stena i opróżnił magazynek w dygoczące ciało. Wtedy zrobiło mi się czerwono przed oczami. Pokażemy im. Legionista zaczął śpiewać: „Przyjdź teraz śmierci, tylko przyjdź”.

Anglicy na ścieżce zeszywnieli. A wtedy z głębi gardła Legionisty zabrzmiał marokański okrzyk wojenny *Allah-el-akbar* i równocześnie otworzył ogień ze swojego peemu. Padali jak kręgle.

Stojąc strzelaliśmy do wszystkiego, co się jeszcze ruszało. Legionista śmiał się piskliwie, Umoczył palec w kałuży krwi i na czole każdego z zabitych nakreślił krzyż.

Triumfalnie pomachał karabinem do walki w dżungli. Ze stosu trupów wyciągnął ciało kaprala, który zabił Rudolpha i podkutym obcasem zmiądzzył mu twarz.

Dogoniliśmy pozostałych. Oficer, podpułkownik, odzyskał przytomność. Zawiązaliśmy mu pętlę na szyi i wyjaśniliśmy, że jeśli będzie sprawiał jakiegokolwiek kłopoty, zostanie natychmiast uduszony.

- Kto tu jest dowódcą? - Zapytał arogancko.

- A co cię to obchodzi? - Odrzekł Heide. - Postaraj się, byśmy się tobą nie zmęczyli.

- Zamknij się - warknął Stary, odsuwając Heidego na bok ze złością. - Herr Oberstleutnant, Feldwebel Willie Beier. - Jestem dowódcą tego oddziału specjalnego.

Oficer kiwnął głową.

- Więc poucz swoich ludzi, jak zwracać się do oficera.

- Och, szczać na gówna - zawołał Porta. - Oberstleutnant wszawy jeniec wojenny. Walnij go parę razy w makówkę. Tak zrobiliby nam, gdyby nas złapali. Co za jebaniec. Oberstleutnant!

Anglik nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na Portę.

- Musisz utrzymywać dyscyplinę, Feldwebelu, albo złożę skargę, gdy spotkam twego przełożonego.

Porta złożył swym cylindrem ukłon, godny siedemnastowiecznego francuskiego arystokraty, lalusiowatym gestem wcisnął sobie w oczodół pęknięty monokl, wydobył tabakierkę i pociągnął niucha. Mrugnął do brytyjskiego oficera.

- Sir Lieutenant-Colonel, czy mogę się przedstawić. - Wziął następnego niucha i zaczął mówić przez nos. - Jestem słynnym Obergefreiterem z Bożej Łaski Josephem Portą z Wedling. Być może będę mógł panu dopomóc, na przykład kopniakiem w tyłek. - Porta obszedł Anglika, oglądając go ciekawie przez swój pęknięty monokl. - Feldwebelu Beier, skąd u diabła wyostałeś tę sardynkę? Komiczna figura, muszę stwierdzić!

Oficer brytyjski z wściekłością zwrócił się do Starego.

- Nie pozwolę na to.

- Obawiam się, że do ciężkiej cholery będziesz musiał - roześmiał się Barcelona.

Porta znów podszedł do pyskującego Brytyjczyka i zaczął głośno liczyć:

- Jeden, dwa, trzy.

Oficer spojrział na niego, niczego nie rozumiejąc.

- Ile złotych zębów pan posiada, Sir? Doliczyłem się trzech.

Głos podpułkownika wzniósł się do cienkiego pisku i zaczął grozić Staremu wszelkiego rodzaju nieszczęściami.

- Zostaw go - powiedział poirytowany Stary. Może nam tylko narobić gnoju, jeśli z nim wrócimy.

Pomimo gwałtownych protestów Małego, jeńcowi zdjęto pętlę z szyi. Legionista trzymał się tuż przy nim.

- *Mon Lieutenant-Colonel*, jeden wrzask i rozetnę ci brzuch - powiedział i z uśmiechem pokazał swój marokański nóż.

Słyszeliśmy huk armat, strzelających na froncie. Nadszedł dzień i wszystko się ruszyło: długie kolumny transportowe i maszerująca piechota. Przez chwilę szliśmy równolegle z batalionem wojsk marokańskich, które wzięły nas, z powodu naszych strojów maskujących, za jakąś Jednostkę Specjalną. Jeden skok i oficer brytyjski byłby bezpieczny, ale czubek noża Legionisty wbijał się w lewy bok Anglika, a w plecy wpijała się lufa automatu Barcelony. Przed nim znajdowały się potężne plecy Małego. Taka próba oznaczałaby pewną śmierć.

Ukryliśmy się za liniami amerykańskimi i czekaliśmy nocy. Na froncie trwał niepokój. Jak okiem sięgnąć widać było sznury pocisków smugowych.

Przebijałiśmy się krótko po północy, skacząc od leja do leja. Dwaj stojący nam na drodze Indianie zostali skoszeni, a my straciliśmy trzech ludzi od ognia własnej piechoty.

Padliśmy wyczerpani w ziemiance dowódcy batalionu. Podszedł do nas Jednooki, uściskał każdego z nas, a Mike poczęstował nas swymi wielkimi cygarami. Padre Emanuel uściskał nam dłonie. Przychodzili ludzie z innych odcinków i winszowali nam powrotu. Straciliśmy połowę naszych, wśród nich Rudolpha i Olle Karlssona.

Dano nam po pięć dni urlopu. Gdy szliśmy w stronę tyłów, przeleciał obok nas wielki, pomalowany na matowo-szary kolor Mercedes. Na tylnym siedzeniu znajdował się nasz brytyjski jeńiec, rozparty obok niemieckiego generała. Opryskali nas błotem.

Plunęliśmy na ogromny, luksusowy wóz. A potem zaczęliśmy sobie wyobrażać, co zrobimy w burdelu Bladej Idy i na myśl o jej dziewczynach zapomnieliśmy o wszystkim innym.

## Rozdział 12

*Góra drżała jak umierające zwierzę. Gęsta, żółta chmura dymów i kurzu wisiała nad klasztorem, który zabarwiał się powoli na czerwono od liżących go języków płomieni.*

*Wiedzieliśmy, że tam, na górze, jest jeszcze kilku mnichów, ale nie wiedzieliśmy, że w tej chwili pod bazyliką odprawiają mszę.*

*- Musieli zostać obróceni w proch mruknął Barcelona, gdy patrzył przerażony na dymiące ruiny.*

*Z wielkiej kaluży błota wynurzył się major Mike. Kapelan był wraz z nim.*

*- Ochotnicy, by pójść do klasztoru.*

*Karabiny mieliśmy złożone w kozły. Moździerze milczały. Pobiegliśmy w górę po zboczach, a Amerykanie, Anglicy i Francuzi przyglądali się nam uważnie. Przebiegliśmy przez resztki muru. Z przodu biegł ojciec Emanuel, a sanitariusz tuż za nim. Wchodząc do klasztoru założyliśmy maski przeciwgazowe i zebraliśmy tych, których udało się nam znaleźć tam, gdzie do niedawna był centralny dziedziniec.*

*Mnisi milcząc wyszli z klasztoru, niosąc na początku swego długiego pochodu wielki, drewniany krucyfiks. Poszliśmy za nimi aż do zakrętu. Tam zaczęli śpiewać psalm. Słońce wstało. Wyglądało to tak, jakby Bóg przez chwilę spoglądał ze swych niebios na dół.*

*Amerykanie stali na przedpiersiach swej pozycji, wpatrując się w dziwną procesję. Po naszej stronie spadochroniarze i artylerzyści wstali na swoich pozycjach. Ktoś zakomenderował: - Hełmy zdjąć!*

*Czy był to głos angielski czy niemiecki? Wszyscy zdjęliśmy hełmy i staliśmy z głowami pochylonymi z szacunkiem.*

*Ostatnim, co widzieliśmy był krucyfiks, który zdawał się płynąć po powietrzu.*

*Wtedy pobiegliśmy z powrotem na nasze pozycje i lufy naszych karabinów maszynowych znów ziały złowrogo w stronę nieprzyjaciela.*

*Gefreiter Schenck nagle upadł u mego boku. Dwieście metrów przed nami obsługa amerykańskiego miotacza ognia zginęła. Francuski porucznik pojawił się, szarżując po krętej drodze. Postradał zmysły.*

*Przez kilka krótkich minut byliśmy ludźmi. Teraz już zapomnieliśmy o tym.*

### Śmierć Klasztoru

Klasztor był stosem ruin. Bez przerwy był ostrzeliwany. Wszystko płonęło.

Pojedynczo przebiegliśmy przez otwarty teren przed bramą wejściową i na łeb na szyję ześlizgnęliśmy się w dół, do piwnicy. Paru okopujących się spadochroniarzy naśmiewało się z nas.

- Co, sprzedaliście swe czołgi? - Drwili.

Płomienie oświetliły słowo PAX, wyrzeźbione nad bramą. Dziedziniec centralny, ten z posągami św. Benedykta i św. Scholastyki, zasypany był kawałkami strzaskanych ścian. Okopaliśmy się tam.

Tej nocy klasztor zaatakowało 200 bombowców. W ciągu kilku godzin zrzuciły na nas setki ton bomb. Nasze dołki strzeleckie zostały zrównane z ziemią.

Porta i ja leżeliśmy tuż obok siebie. Widzieliśmy, jak olbrzymi kawał muru został wyrzucony w powietrze. Patrzyliśmy na niego.

- Biegiem! - Wrzasnął Porta.

Wygramoliliśmy się na nogi i uskoczyliśmy.

Z gromowym hukiem mur uderzył dokładnie w miejsce, gdzie leżeliśmy. Jedna trzecia kompanii została pod nim pogrzebana. Pomysł, by ich odkopać, był beznadziejny.

Gdy nastał dzień, wyciągnęliśmy nasze karabiny maszynowe z ziemi i szlamu, rozstawiliśmy ich trójnogi, załadowaliśmy, sprawdzili taśmy. Wszystko było w porządku.

- Wkrótce nadejdą - zapowiedział Porta.

Podpełzł do nas Mike. Zgubił swój hełm. Jedno oko zakrywał mu oderwany płat skóry.

- Jak leci? - Zapytał, pykając swe grube cygaro.

- Piekielnie.

- A będzie jeszcze gorzej.

Mike miał rację. Sytuacja stała się jeszcze gorsza. Święty klasztor drgał, jak umierający byk na arenie. Kolosalne odłamy kamienia latały we wszystkie strony. Paręsetletnie dachówki zostały zmielone na proszek. Wybuchły gwałtowne pożary.

Opuściliśmy nasze pozycje i wycofaliśmy się do krypty. Nikt nie mógł pozostać na zewnątrz i przeżyć. Znaleźliśmy pokój za ołtarzem i wyciągnęliśmy się tam. Gruby na metr strop zaczął się załamywać. Unosił się i opadał jak wzburzone morze. Paru spadochroniarzy próbowało go podeprzeć. Nic to nie dało. Strop zawalił się z trzaskiem, grzebiąc spadochroniarzy.

Nasz nowy grajek, gefreiter Brans, dostał szoku od wybuchów. Chwycił swą trąbkę i zaczął grać jazz. Potem przyszło mu do głowy, że powinien nas wszystkich wysadzić w

powietrze. Małemu udało się wyrwać minę talerzową z jego rąk i wyrzucić ją na podwórze, gdzie huk jej eksplozji został pochłonięty przez ryk wybuchających pocisków.

Spadochroniarz, któremu obie nogi zmiądzzył spadający kawał muru, leżał na środku podłogi w kałuży krwi.

- Zastrzelcie mnie, zastrzelcie mnie! O Boże, dajcie mi umrzeć!

Zawsze gotów do usług Heide podniósł swego Walthera P. 38, ale Stary wytrącił mu go z ręki. Sanitariusz Glaser pochylił się nad wrzeszczącym człowiekiem, przez mundur wbił mu strzykawkę z morfiną i opróżnił ją w torturowane cierpieniem ciało.

- To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, kumplu. Gdybyś był koniem, zastrzelilibyśmy cię. Bóg jest miłosierny. - Glaser splunął z nienawiścią na krucyfiks.

Ojciec Emanuel z wysiłkiem przedostał się przez sterty ruin, biały od kurzu. Pochylił się nad rannym spadochroniarzem, przycisnął mu krucyfiks do ust, złożył ręce i zaczął się modlić. Twarz miał rozciętą przez odłamek pocisku. Glaser chciał go obandażować, ale kapelan ze złością odsunął go na bok i podszedł do Hauptsturmführera SS, który był w złym stanie.

Brzuch rozerwał mu pocisk zapalający.

- Spieprzaj, kapelanie - syknął umierający oficer. - I zabierz swego Boga ze sobą. - Obrzucił obelgami i przekleństwami wszystkich razem i każde go z osobna.

Ojciec Emanuel pozostał na to głuchy. Nie było sposobu, by się go pozbyć. Podniósł święty krzyż nad przeklinającym Hauptsturmführerem, którego wnętrzości wylewały się z rozerwanego brzucha.

Glaser podbiegł i próbował włożyć krwawą masę na miejsce. Ranny zawył. Porta z namysłem bawił się swym pistoletem. Mały podniósł pałkę. Jeśli ten człowiek wkrótce nie umrze, zabijemy go. Jego wrzaski mroziły nas do szpiku kości.

Glaser nie miał już morfiny.

- Zakneblować tego jebańca - zawołał zdesperowany Porta.

Ojciec Emanuel przeszedł do innych umierających. Było ich wielu. Gdy tylko byli martwi, wywalaliśmy ich na zewnątrz. Nie był to przyjemny widok, gdy dobierały się do nich szczury.

Dziesięcotonowa bomba uderzyła w kryptę, wywołując grad belek i kawałków muru.

Zostaliśmy uwięzieni za ołtarzem, wbudowanym w ścianę klasztoru.

Ciągle wybuchały nowe bomby. Byliśmy prawie uduszeni pyłem. Trwało to godzina po godzinie. Straciliśmy poczucie czasu, nie mieliśmy pojęcia, czy to dzień, czy noc.

Ojciec Emanuel siedział na środku podłogi. Mundur miał w strzępach, twarz zakrwawioną i umazaną. Rozejrzał się wkoło, szukając miejsca, w którym można by dokonać próby i chwycił za wielką belkę. Był silny jak wół.

Przyglądaliśmy się kpiąco, gdy mocował się z belką. By ją poruszyć trzeba by traktora.

- Sługa Boży bardzo chętnie wy dostałby się z domu Pana - roześmiał się Heide. - Usiądź sobie, kapelanie, i wykorkuj z nami. W Bożym niebie jest cudownie. A może nie wierzysz we własną paplaninę? - To był ulubiony temat Heidego. Nienawidził Boga w taki sam sposób, jak nienawidził Żydów.

Ojciec Emanuel odwrócił się do niego. Na ustach miał szeroki uśmiech, ale w oczach niebezpieczny błysk. Powoli podszedł do Heidego, który pospiesznie cofnął się, aż oparł się o ołtarz i wyciągnął nóż.

Emanuel trafił go kopnięciem prosto w dłoń, posyłając nóż wielkim łukiem w powietrze. Chwycił Heidego za mundur, odciągnął od ołtarza i walnął nim w ścianę obok wielkiego krucyfiks.

- Julius, jeszcze raz zadrwij z Boga, a rozsmaruję twój mózg na ścianie. Nie będziesz pierwszym, któremu rozwalilem łeb. Nie zrozum mnie źle, nawet, jeśli jestem księdzem. Jeśli jest tu ktoś, kto boi się spotkania ze swym Bogiem, to jesteś nim ty, Juliusie.

Wybuch potężnej bomby rzucił nas wszystkich na kupę. Ojciec Emanuel potrząsnął głową i wypluł trochę krwi. Stary podał mu swoją manierkę. Kapelan uśmiechnął się z wdzięcznością.

Wielki kamień przemknął obok jego głowy. Heide stał z drugim kamieniem w ręce.

Kapelan wyprostował się. Wsadził krucyfiks do kieszeni na piersiach, zerwał swą sztywną koloratkę i poszedł prosto do Heidego czujnym, uważnym krokiem profesjonalnego zapaśnika.

Heide trafił go swym kamieniem, błyskawicznie odskoczył na bok i wymierzył paskudne kopnięcie. Ale kapelan był zrobiony z twardego materiału. Chwycił Juliusa za gardło i cisnął o podłogę. Wszystko to trwało parę minut. I wtedy Heide miał dość.

Kapelan wrócił do swej belki jak gdyby nic się nie wydarzyło. Mały popluł sobie w dłonie i przyszedł mu na pomoc. We dwóch oparli o nią stopy, razem, ksiądz i morderca, każdy silny jak koń i nastąpiło coś niewiarygodnego: belka ustąpiła. Z dumą uśmiechnęli się do siebie. Nikt inny nie mógłby tego zrobić. Udało nam się wykopać mały tunel i wydostać się do sali frontowej.

Bazylika zapadła się i leżał tam Oberst z rozrzuconymi rękami i szeroko otwartymi oczami.

- Na co u diabła tak się gapisz, Herr Oberst?! - Wykrzyknął Porta. - Jeśli jesteś martwy, kumplu, to zamknij gały!

Gromada szczurów przebiegła przez podłogę. Z wściekłością cisnąłem w nie moim hełmem. Jeden z nich wypuścił coś niesionego w pysku. Była to połowa dłoni. Na jednym z palców widniał sygnet ze swastyką. Gefreiter Brans, nasz grajek, kopnął dłoń.

Ojciec Emanuel pochylił się nad Oberstem. Trup miał twarz jak jajko o miękkiej skorupce. Wszystko pod skórą zostało zgniecione. Było to coś, co widywaliśmy często, gdy wielkie miny wybuchały w pobliżu.

- Ułóżcie go pod ścianą - zarządził Stary.

Mały wziął trupa za dłoń i zaczął ciągnąć. Nagle przekonał się, że trzyma tylko samą dłoń. Przez chwilę stał niczego nie rozumiejąc. A potem obdarzył dłoń uściskiem. - Życzę szczęścia, mój stary. Nie miałem zamiaru oderwać ci łapy! Następnie cisnął ręką w stado piszczących szczurów, próbujących wdrapać się na ścianę.

Porta łakomym wzrokiem przyglądał się czarnym, oficerskim butom z cholewami, na nogach trupa.

- Przypuszczam, że chyba nabędę tę parę ogrzewaczy nóg.

Leutnant spadochroniarzy odwrócił wzrok i wymamrotał coś na temat okradania trupów. Porta ściągnął buty z Obersta. Pasowały, jakby były zrobione dla niego na miarę. Zauważył siedzącego w kącie Orła i zażądał, by ten salutował butom. Jako Stabsfeldwebel zdegradowany do prostego szeregowca miał po prostu obowiązek salutowania butom Obersta, stwierdził Porta.

Orzeł jak zwykle odmówił, ale po kilku uderzeniach w głowę ustąpił i zasalutował butom.

- Jesteś i zawsze będziesz półgłówkiem, Stahlschmidt! Następnym razem, gdy wstaniesz na tylne łapy, będziesz miał tylek skopany przez parę pułkownikowskich butów.

Bombardowanie trwało bez przerwy. Klasztor kołysał się. Siedzieliśmy rozproszeni po całym terenie, z bronią zaciśniętą w dłoniach. Czas przestał istnieć. Porta próbował opowiedzieć jakąś historyjkę, ale nikt nie zadał sobie trudu, by jej wysłuchać. Była o człowieku w Bremie, który handlował psami. Niejakim panu Schultze.

Oberfeldwebel Lutz oszalał i pobiegł na ścianę, bodąc ją głową jak kozioł.

Przez bazylikę zaczęło się przelewać całe kłębowisko szczurów. Były ich setki. Wszystkie oszalałe ze strachu. Piszcząc wdrapywały nam się po nogach. W głowach miały tylko jedną myśl: jak najdalej od tego morza płomieni. Siekliśmy je naszymi łopatkami



piechoty. W chwili, gdy zwęszyły świeżą krew, rzuciły się na siebie. Piekło chrypiących, krwawiących i drapiących kształtów.

Ojciec Emanuel stał przyciśnięty plecami do ściany, wściekle tnąc swą saperką. Na jego ramieniu siedział szczur z sierścią do połowy spaloną, sycząc na inne, próbujące na niego napadać. Kapelan wypuścił krucyfiks, a szczur wgryzł się weń wściekle. Mały zmiażdżył mu głowę obcasem. Szczurom winniśmy byli wdzięczność. Ocaliły nas od szaleństwa.

Nastąpiła chwilowa przerwa w bombardowaniu, ale wkrótce potem zostało wznowione z jeszcze większą furją. Później dowiedzieliśmy się, jak wiele bombowców brało udział w nalotach na nas. Tego jednego dnia bombardowano nas, jakbyśmy byli Berlinem.

W tym momencie Ojciec Emanuel wyciągnął w naszą stronę krucyfiks, błogosławiąc nas. Ze skrzyń i połamanych belek zbudowaliśmy drugi ołtarz. Zmuszenie nas do tej roboty kosztowało go parę szturchańców i uderzeń, ale jeśli kapelan chciał odprawić mszę, cóż mogliśmy zrobić?

Zebraliśmy się wokół niego. Spojrzał na nas gniewnym wzrokiem.

- Hełmy zdjąć! - Zakomenderował. - Na kolana do modlitwy! - Mały trochę zbyt wolno klękał i dla zachęty otrzymał wymierzony z rozmachem cios w ucho.

Następnie kapelan modlił się. Nie była to modlitwa, której mógł się nauczyć w seminarium, ale była taką, która dawała nam odwagę. A po tym rozpoczął kazanie. Jego gromki głos zagłuszał nawet huk wybuchających pocisków.

- Nie wyobrażajcie sobie, że Bóg was się boi upominając wskazał Małego palcem. - To walnięcie w ucho spotkało cię na rozkaz Boga. Trzęście się ze strachu na myśl o umieraniu, ale nie macie żadnych skrupułów, zabijając innych. W ciągu trzech dni ta kompania straciła 86 zabitych. To wielka strata. Ale zginie jeszcze więcej. Powinniście szukać Boga za moim pośrednictwem, póki jeszcze jest czas.

Mówił tak przez cały kwadrans, grmiąc na nas ze swej skleconej kazalnicy.

- Powinien był zostać generałem - szepnął Porta. - Byłby wspaniałym dowódcą.

Salwa pocisków spadła na klasztor.

Kapelan spadł z ambony. Z krwią spływającą po twarzy, wspiął się znów na kazalnicę. Podniósł nad głowę pistolet maszynowy i groźnie na nas skierował.

- Nie łudźcie się, że to jest jedyną siłą na świecie. Nie zamykajcie drzwi przed obliczem Boga. Życie jest człowiekowi tylko pożyczone. Pistolety maszynowe nie mają nic do powiedzenia w sprawach Boga. Znam was. Wiem, co tam sobie myślicie. Nie uśmiechaj się, Porta. Nawet z twoim brudnym, berlińskim sprytem nie dasz sobie rady z Bogiem. Nie

wierzcie w to, co napisano na klamrach waszych pasów: „*Gott mit uns*”. Bóg nie jest z wami. A także nie z naszymi wrogami. Wojna to szczyt ludzkiej głupoty. Robota Diabła. Niektórzy nazywają tę wojnę krucjatą. To bluźnierstwo. Jest to wojna dla rabunku. Największy akt ludobójstwa w dziejach ludzkości.

Kolosalny trzask postawił kropkę na końcu jego kazania. Bazylika zawałowała się. Migoczące kaganki zgasły. Ze wszystkich sił staraliśmy się wydostać z pomieszczenia pełnego dymu, pełzając na brzuchach przez stosy kamieni. Teraz odgłos bombardowania zmienił się. To już nie był szarpący nerwy trzask spadających bomb, ale wycie pocisków. Artyleria. Huk bardziej skoncentrowany. Całkiem odmienny. Regularny. Sympatyczniejszy.

Okopaliśmy się. Klasztor znikł. Nie mogliśmy zrozumieć, jak Bóg mógł na to pozwolić. Oddaliśmy dusze diabłu, a równocześnie modliliśmy się do Boga. Słońce zaszło. Słońce wstało. Raz za razem ruiny klasztoru wylatywały w powietrze.

Każdy z nas leżał w swej dziurze, z przerażeniem patrząc na zalany płomieniami, zniszczony pociskami teren. Jak długo jeszcze?

Pojawiła się jakaś postać, biegnąc ścieżką ku nam. Długi skok i wylądowała w naszej dziurze.

To był Orzeł. Był gońcem batalionu. Ciężko dyszał. Mike dał mu kuksańca.

- Co się dzieje?

- Herr Major, batalion został zmieciony - wyjąkał między haustami powietrza. - 3.

Kompania została żywcem pogrzebana.

- Nonsens - warknął major. - Gestem wezwał Portę. - Ty i Sven dowiedzcie się, co się wydarzyło.

Wzięliśmy pistolety maszynowe, za cholewy butów zatknęliśmy parę granatów ręcznych, klepnęliśmy Orła w ramię.

- Prowadź, stary więzienny pierdzielu.

- Nie mogę - wyjęczał i w przerażeniu zwinął się na dnie naszej dziury.

Porta wymierzył mu kopniaka.

- Na nogi, ty gruba świni. Może nie możesz, ale zrobisz to.

Orzeł prawie wychodził z siebie ze strachu. Popracowaliśmy nad nim naszymi butami. Nie dało rady. Wtarliśmy jego twarz w glebę, chwyciliśmy za najwrażliwsze części ciała, robiliśmy wszystko, nic nie skutkowało. Ale to, czego nie udało się osiągnąć naszą brutalnością, spowodował rozkazujący głos Mike'a.

- Stahlschmidt! - Ryknął. - Bierz swój karabin i ruszaj. To rozkaz!

Orzeł skoczył na nogi, stanął na baczność na tej ruinie od pocisków i szczerknął:

- Jawohl, Herr Major!

Pomknął z miejsca tak szybko, że Porta i ja z największym trudem dotrzyśmy mu kroku.

- Za mną! - Wrzeszczał. A potem wydało mu się, że widzi Amerykanina, opróżnił w niego swój magazynek, ale to był tylko trup.

Biegliśmy przez poplątane ruiny, tchórzliwie szukając ukrycia w głębokich kraterach po pociskach. Przeciskaliśmy się obok kawałków rozpalonego do czerwoności metalu. Wybuch pocisku artyleryjskiego wyrzucił trupa w powietrze. Resztki jakiegoś Anglika. Jedna ze stóp uderzyła mnie w kark.

Ostrzegawcze wycie pchnęło nas do odruchowej ucieczki. Byliśmy pokryci szlamem. Tylko nasze oczy poruszały się w grubych maskach błota, teraz pokrywających nam twarze. To, co kiedyś było pozycją 3. Kompanii, teraz było księżycowym krajobrazem, z którego wystawała jedna tylko ręka w rękawie z materiału ochronnego, jak samotny kwiat.

- Bezpośrednie trafienie - wyjaśnił Orzeł. - Właśnie opuściłem dowództwo kompanii, gdy to wylądowało. Musiało być, co najmniej dwudziestocentymetrowego kalibru!

- Widać, że to nie granat karabinowy - mruknął Porta. A potem jego spojrzenie padło na kolosalny niewypał, leżący w leju. - Zauważyłeś ten miedziany nochal? Piękny kawał forsy tu leży! Pomożesz mi, jeśli go łagodnie usunę? Tu są przynajmniej trzy noce u Bładej Idy!

Ścisnęło mnie w gardle. Sama myśl spowodowała, że poczułem ssanie w dołku. Nie zostanie z nas nawet guzik, jeśli ten pocisk wybuchnie. Ale nie ośmieliłem się odmówić. Wspólnymi siłami ustawiliśmy miedziany nos pocisku poziomo. Porta splunął na niego, przeżegnał go krzyżem, przyklęknął trzy razy. Orzeł był śmiertelnie błydy, a ja niewątpliwie tak samo.

- Teraz go trzymajcie, albo wysracie się po raz ostatni - rozkazał Porta, wyciągając z plecaka jakieś narzędzia, które porządnie rozłożył obok olbrzymiego pocisku.

Dostawaliśmy trzy marki za kilogram miedzi, a na tym potworze musiało jej być co najmniej dwa kwintale. Porta i Mały byli zapalonymi zbieraczami. Niedawno mieli pełną półciężarówkę. Wielokrotnie wypełzali na ziemię niczyją i zrywali pierścienie wiodące z pocisków, tuż przed amerykańskimi pozycjami. Ale po drugiej stronie też byli zbieracze i nieraz zdarzało się, że rywalizujące grupy wymierzały sobie ciężkie ciosy z powodu paru niewybuchów.

Porta z namysłem zważył w dłoni obcęgi i właśnie miał uchwycić nimi czubek pocisku, gdy nad głowami rozległo się wycie, które spowodowało, że daliśmy nura, kryjąc się

na dnie leja po pocisku. Poleciała na nas ulewa ziemi, kamieni i stali. Ostrożnie wyjrzelśmy nad krawędzią, by przekonać się, czy to już wszystko.

Porta splunął i kazał Orłowi usiąść okrakiem na pocisku. Orzeł bełkotał i błagał o darowanie mu życia.

- To jest morderstwo - pisnął rozpaczliwie.

- Będzie, jeśli nie zrobisz tego, co się do ciebie mówi - odrzekł sucho Porta i zaczął ciągnąć obcęgami.

Złapałem uchwyt na pocisku drugimi i ciągnąłem w przeciwną stronę. Porta wyteżał wszystkie siły, podczas gdy Orzeł rozpaczliwie starał się trzymać, pocisk nieruchomo.

Porta stękał i pot spływał mu po twarzy. Nie z lęku, lecz z wysiłku.

- Jeśli zacznie syczeć, dawajcie dęba ze wszystkich cholernych sił, albo zaczniemy podziwiać widoki z samego Księżyca. - Wypuścił obcęgi, splunął sobie na dłonie i chwycił ponownie. - Chciałbym spotkać faceta, który to dokręcił. Miałbym mu coś do powiedzenia. - Pchnął swój żółty cylinder na tył głowy i zerknął na Orła, który był biały jak prześcieradło. - Wygodnie ci, Stahlschmidt?

Orzeł załkał.

- Przeklęty niech będzie dzień, w którym wylądowałem w tej zasranej Kompanii.

- Teraz się ruszyło! - Wykrzyknął triumfalnie Porta i zakręcił obcęgami. Usunąwszy szczyt pocisku, ukląkł i zajrzał do środka. A potem wsadził tam rękę.

Oczekiwałem, że to diabelstwo wybuchnie lada moment. Nikt normalny nie rozbrajałby pocisku w ten sposób chyba, że był zmęczony życiem. Orzeł zagryzł wargi do krwi. Oczy wychodziły mu z orbit. Wyglądał, jak chora kura.

- Gdzie u diabła jest zapalnik? - Zaklął Porta, wsadziwszy do pocisku rękę aż po pachę. - Nie rozumiem z tego ani pierdnięcia. Tu w środku jest mnóstwo kółek i osiek. A teraz to zaczyna tykać.

Słuchajcie!

- To zapalnik czasowy - wrzasnął rozpaczliwie Orzeł.

Porta zapalił zapalniczkę, by lepiej widzieć. Dostałem gęziej skórki na całym ciele.

- Och, zamknij się! - Zawołał zdumiony Porta. Tu w środku jest dziwaczna masa gówna i wszystko się rusza. Jak flaki budzika.

Orzeł wydał ochryply wrzask, zeskoczył z pocisku i wziął nogi za pas. Porta był zbyt zajęty interesującym pociskiem, by to zauważyć. Wyciągnął ze środka kawałek azbestu, za nim rurkę, która wyglądała na szklaną, zaś pocisk zaczął gwizdać jak czajnik.

Ogarnęła mnie panika, cisnąłem na ziemię moje obcęgi i pobiegłem, lądując w leju o dwadzieścia metrów dalej. Spojrzałem do tyłu, w stronę wielkiego pocisku. Ujrzałem cylinder Porty unoszący się i opadający jak rączka pompy.

Minęło pięć minut. A potem przywołał mnie gestem.

- Chodź tu i pomóż, ty worku strachu. Wyciągnąłem z niego mechanizm zegarowy.

Lękliwie popęzłem z powrotem. Orzeł znikł. Przed Portą leżał stos śrub i kółek. Z wielką, dziwną wesołością zaczęliśmy dalej rozmontowywać pocisk.

- Dziwny model - orzekł ze zdziwieniem Porta.

- Nie mogę znaleźć zapalnika. Musi gdzieś tu być.

- Myślisz, że on nadal może wybuchnąć? - Zapytałem z obawą.

- Musi być zdolny do tego - stwierdził Porta. - Miejmy nadzieję, że to nie nastąpi, póki nie weźmiemy całej miedzi.

W chwili, gdy Porta oznajmił, że jest zadowolony, przed nami leżał imponujący stos żółtego metalu. Jego ostatni numer polegał na położeniu się plackiem obok pocisku i przyciśnięciu do niego ucha.

- Teraz znowu tyka - oznajmił. - Czy nie powinniśmy spróbować rozebrać go całkowicie, abyśmy mieli pojęcie jak to działa? Jeśli tego nie zrobimy, w przyszłości może być trochę niebezpiecznie.

- Chodźże, na litość boską - wrzasnąłem do głębi przerażony i pobiegłem tak szybko, jak zdołałem.

Wkrótce potem Porta truchcikiem podążył za mną, przygięty ciężarem miedzi. Ledwie mnie dogonił, teren jakby podniósł się do nieba, a ściana powietrza obaliła mnie na ziemię.

Nasz przyjaciel wybuchł.

Porta pełzał w kółko, szukając swego cylindra. Znalazł go za jakimiś spalonymi krzakami.

Odłamek przebił go na wylot, zrywając wstążkę w liście dębowe oraz kokardę.

Orzeł leżał na dnie głębokiego krateru i płakał. Był okropnie wstrząśnięty. Ujrawszy nas wpadł w absolutny szal. Musieliśmy dać mu po głowie łopatką.

Z 2. Kompanii pozostało tylko czterdziestu ludzi, którymi dowodził jedyny pozostały przy życiu podoficer. 3. Kompania została zmieciona całkowicie. 4. Kompania składała się teraz z siedmiu ludzi, z których czterech było ciężko rannych. Dowódca Kompanii, osiemnastoletni Leutnant, siedział w kącie okopu z olbrzymim, zakrwawionym bandażem wokół brzucha.

- Jak leci, Herr Leutnant? - Zapytał Porta we właściwy sobie, swobodny i spokojny sposób.

Leutnant próbował się uśmiechnąć. Poklepał leżący obok niego karabin maszynowy i powiedział:

- Jesteśmy gotowi na ich przyjęcie, gdy przyjdą, zasrańcy. Będą wiedzieli, że tu jesteśmy.

W miejscu, które powinno być pozycją 1. Kompanii, znaleźliśmy tuzin luf karabinów maszynowych wystających z ziemi i stos krwawych brył. To było wszystko, co pozostało z 1. Kompanii.

Z liczącego 700 ludzi batalionu pozostało tylko 117. Wtedy przybyły rezerwy, biegnąc ścieżką zdrowia, którą był ów wąwóz śmierci. Pociski nadal orały klasztor. Kolumna amunicyjna na wijącej się drodze dojazdowej otrzymała trafienie bezpośrednie i kawałki ciał ludzkich, oraz ciężarówek, ziemi, kamieni i żelaza zaczęły padać jak deszcz ze wszystkich stron. Znikały bataliony i pułki. Pojawiały się nowe. Wśród nas nie było nikogo, kto nie odniósłby jakiejś rany. Ale odwożono tylko umierających. Gefreiter Knuth poszedł do Polowego Punktu Opatrunkowego z trzema palcami odstrzelonymi z dłoni, ale lekarz wykopał go. Nie miał czasu na „drobne” uszkodzenia, musiała być to co najmniej cała ręka.

Wkrótce po wschodzie słońca przerwano ostrzał. Święta góra leżała otulona żółtym, trującym dymem. Nasłuchiwalismy. Dźwięk podobny do fletu, jakiego jeszcze nigdy nie słyszeliśmy. Nowy rodzaj pocisku?

Major spadochroniarzy naciągnął na głowę swą maskę.

- G-a-z, g-a-z! - Ostrzegawczy krzyk podawano sobie z ust do ust. Pociski wybuchały z jakimś dziwnym puknięciem i wylewała się z nich zielonawo-żółta mgła.

Zaczęliśmy kaszleć. Opar kłuł płuca. Bolały nas gardła. Czuliśmy, że się dusimy. Piekły nas oczy. Jeden, może dwóch, straciło głowę i rzuciło się w przepaść.

- G-a-z, g-a-z - przekazywano alarm od leja po pocisku do leja.

Zerwaliśmy hełmy i naciągnęli sobie maski na twarze. Szkła zaparowały, oślepiając nas. Pociliśmy się, czuliśmy, jak żelazna ręka strachu ściska nas za gardła. Teraz na końcach naszych karabinów błysnęły bagnety. Byliśmy gotowi do desperackiej walki.

Dzień zmienił się w noc. Wyglądaliśmy koszmarnie w naszych czarnych maskach na twarzach.

Nie był to gaz, lecz pociski dymowe. Też wystarczająco koszmarnie. Wielu ludzi zostało uduszonych tą „niewinną” zasłoną dymową.

Wtedy nadeszli. Pewni zwycięstwa. Pierwsze, co usłyszeliśmy, to był śmiercionośny grzechot gąsienic czołgowych. Z dymu wynurzyły się, kołysząc się, całe ich ławice. Ich wielkie ryje zanurzały się w lejach po pociskach, a potem z wysiłkiem gramoliły się po prawie pionowych zboczach. Klekoczące, stalowe gąsienice miażdżyły zarówno martwych, jak rannych. Mieli otwarte włazy, dowódcy stali wyprostowani w wieżyczkach, rozglądając się za ofiarami w zielonkawo-żółtym, jadowitym dymie, pewni zwycięstwa.

- Idźcie do piekła, Szwaby, oto jesteśmy z naszymi Shermanami!

Oddali salwę ze wszystkich armat i zasypali teren gradem pocisków swych karabinów maszynowych. Ich miotacze ognia jednym splunięciem wykończyły kompanię grenadierów, którzy skamieniali ze strachu stali przyciśnięci do ściany skalnej.

Ale nie wzięli pod uwagę nas, czołgistów, w naszej nowej roli piechurów. Nie mogli nas wstrząsnąć grzechotem swych gąsienic. My wiedzieliśmy, jak się tępi takie robactwo. Heide ruchem przedramienia rozstawił nóżki swego kaemu na pozycji, nastawił celownik. My zdjęliśmy zakrętki granatów ręcznych i wsadziliśmy je za pasy, trzonkami w górę. Kółka zapalników wyciągnęliśmy zębami.

Ryczące stalowe potwory były już całkiem blisko. Teraz zaczniemy się mścić za tysiące pocisków, jakie rzucali nam na głowy.

Nadbiegł Mały z wiązkami granatów pod każdą pachą. W prawej dłoni trzymał minę talerzową. Zatrzymał się o parę metrów przed Shermanem, ugiął kolana i cisnął minę. Otarła się o twarz młodego dowódcy w wieżyczce. Straszliwa eksplozja. Dowódca został wyrzucony ze swego miejsca wysoko w powietrze. Wielki czołg fiknął koziółka i leżał na plecach, dziko mieląc powietrze gąsienicami.

Mały już działał przy następnym. Porta zawisł na armacie innego. Wrzucił dwa odbezpieczone granaty do lufy, a potem stoczył się. Czołg przejechał nad nim, ale Porta znał trik, polegający na położeniu się płasko na ziemi, więc nie został nawet muśnięty. W chwilę później już siedział na tylnej platformie kolejnego czołgu.

Heide zajął pozycję między rolkami wypalonego czołgu, osłaniając nas ogniem karabinu maszynowego.

Amerykanie zatrzymali się. Nie rozumieli, co się dzieje, gdy ich czołgi, jeden po drugim, zmieniały się w stosy pogrzebowe.

- *Allah-el-akbar!* - Znów rozległ się okrzyk bojowy Legionisty. - *Vive la Legion!* Wyciągnął dowódcę czołgu z wieżyczki i na jego miejsce wrzucił granaty ręczne.

Złapałem minę talerzową i rzuciłem nią w najbliższego Shermana. Zaczepiła się o gąsienicę i tam zawisła. Wybuch odrzucił mnie do tyłu pod inny, płonący czołg, gdzie leżały dwa zwęglone ciała. Wstać! Znowu naprzód! Kolejna mina.

W chwilę później walczyliśmy wręcz. Dziki, bezlitosny mord.

Oderwana wieżyczka czołgu z hukiem wylądowała wśród nas. We włązie tkwiła jeszcze połowa dowódcy czołgu. Armata kręciła się w kółko jak bąk. Krwawe strzępy ciał.

Mike jak burza biegł pod górę, z pistoletem w jednej ręce i mieczem samurajskim w drugiej.

- Do mnie i za mną! - Ryknął.

Spadochroniarze, piechurzy, grenadierzy, artylerzyści, noszowi, artylerzyści czołgowi oraz jeden kapelan podążyli za wrzeszczącym Majorem z samurajskim mieczem.

Dogonili go Legionista, Porta i Mały. Mieli ze sobą Orła. Biegł z gołą głową zgubiwszy hełm, jego nogi migały w szalonym pędzie. Musiał po prostu zwariować, ale walczył jak lew. Miał jeden z nowych, automatycznych karabinów angielskich z bagnetem na końcu, który wbijał we wszystko, co stało mu na drodze.

Kilku Hindusów podniosło ręce do góry. Byli w turbanach. W chwilę później kręcili się w miejscu, jak żywe pochodnie.

Heide dziko wrzeszczał. Podniósł miotacz ognia poległego szturmowca.

W Dowództwie Dywizji panował dziki zamęt. Oficer łącznikowy, zalany krwią, stał przed Jednookim i jego szefem sztabu, meldując o sytuacji.

- Większość kompanii została zmieciona, Herr General-major. Wszystkie nasze pozycje zrównane z ziemią. Wszystkie baterie zmuszone do milczenia. Wszystkie kontakty zerwane, ale wszędzie walczymy.

- Wszystko zniszczone, a jednak walczą. Kto u diabła toczy tę walkę? - Wrzasnął histerycznie Jednooki. - Jak u diabła mam dowodzić dywizją, która nie istnieje?

Zadzwoił telefon. Był to wysunięty obserwator artyleryjski w klasztorze.

- Herr General, duże jednostki czołgów atakują z północnego-wschodu i z południa. Nie dysponujemy żadnymi działami przeciwpancernymi. Na litość boską, przyślijcie posiłki!

- Histeryczne łkanie zakończyło rozmowę, gdy nieszczęsnemu artylerzyście puściły nerwy.

Jednooki skoczył do wielkiej mapy na ścianie. Plunął na nią. Znikąd pomocy. Wszystko było ogarnięte zamętem. Wrzasnął na adiutanta, który stał, trzymając w każdej dłoni telefon.

- Na co u diabła tak się gapisz, Müller? Wyciągnij palce z dupy i niech to całe gówno na tyłach ruszy się! Ruszyć rezerwy! Żądam posiłków!



Wszyscy kucharze, wszyscy sanitariusze. Opróżnić punkty opatrunkowe. Odebrać im kule i dać w zamian karabiny. To nie jest czas, by sobie pierdzieć w szpitalu.

Mapy sytuacyjne zostały zmiecione ze stołu i podeptane brudnymi butami. Mapy były już bezużyteczne. Była to uwertura do *danse macabre* Śmierci.

Wysłano oficerów łącznikowych. Jednooki zagroził im sądem polowym, jeśli tam się nie dostaną.

- Zabraniam wam dać się zabić! - Wrzasnął.

Ciężko ranny Leutnant ślaniając się na nogach wszedł do środka i upadł. Zanim umarł, zdołał wyjąkać:

- Herr General, 4. Kompania zniszczona. Walka trwa. Shermany zatrzymane walką przed naszymi pozycjami!

Jednooki walnął swą grubą laską w stół i chwycił martwego oficera za kołnierz.

- Odpowiedz mi, człowieku, zanim umrzesz! Jakie pozycje? Kto walczy?

Ale głowa rannego opadła bez życia w tył i na ręce generała polała się z niej krew. Jednooki odrzucił martwego osiemnastolatka na bok.

- Umieranie w taki sposób powinno być karane - zaklął. Cisnął pistoletem w Hauptmanna, wrzeszcząc: - Nie stój tam gapiąc się! Daj mi meldunki sytuacyjne z Kompanii. Chcę wiedzieć, co to są za sakramencie widma, które nadal walczą.

Taki sam szaleńczy bałagan panował w dowództwie po drugiej stronie. Amerykanie i Nowozelandczycy atakowali pod dowództwem upartego generała Freyberga. Na jego rozkaz klasztor został zrównany z ziemią. Chciał swego własnego Verdun i miał go. Gdy usłyszał, na jaki opór napotykają czołgi i reszta wojska, cisnął swój hełm na podłogę.

- Niemożliwe! - Zaryczał. - Tam na górze nie może być nikogo żywego. Musiało wam się przy widzieć! To musiały być duchy!

Jeśli tak, w każdym razie były to duchy uzbrojone w karabiny maszynowe i miotacze ognia. Zostały rzucone nowe jednostki i bezlitośnie wykrwawione przed resztkami tego niegdyś przepięknego klasztoru.

Wijącą się drogą podeszły rycząc czołgi brytyjskie. Do ich wieżyczek, jak winne grona, wisieli przyczepieni szkoccy piechurzy. Zostali z nich zgoleni wściekłym ogniem karabinów maszynowych. Żołnierze w zakrwawionych szmatach ciskali miny pod wrażliwe brzuchy czołgów.

Generał Freyberg przysiągł na Biblię, że weźmie ten klasztor, bez względu na koszty.

Wysłano do walki świeże oddziały: Szkotów, Walijczyków, chłopców z Teksasu, zbieraczy bawełny z Alabamy, Australijczyków, Nowozelandczyków, wojowników z gór

Maroka, Hindusów w turbanach, melancholijnych czarnych znad brzegów Konga, chętnych do walki Japończyków. A na ich czele polską dywizję żądną zemsty.

Płakali. Ryczeli. Przeklinali. Padali i przewracali się w piekielnym ogniu karabinów maszynowych. Bili się z powietrzem. Nie było pozycji, a przecież z nimi walczone.

Czołgi uwięzły. Ich mapy, sporządzone na podstawie zdjęć lotniczych były bezużyteczne. Ich własna artyleria zmieniała wszystko. Tam, gdzie przed trzema dniami była droga lub ścieżka, teren był nie do przejścia, zasłany skałami.

Leżeliśmy w ziemiance, Porta, Mały, Legionista i ja. Dwaj Amerykanie podnieśli ręce do góry. Porta cisnął w nich granatem ręcznym.

- Pali się czerwone światło, kumple. Wszystkie miejsca wyprzedane.

Amerykanie padli w deszczu stali. Ustawiłem nieruchomo nóżki karabinu maszynowego MG-42 na zrytym pociskami błocie. W chwilę później zaciął się. Otworzyłem zamek. Heide bagnetem wyciągnął zdradziecki nabój. Byłem gotów ładować. Nowa taśma amunicyjna.

Szybkostrzelny kaem pluł z pyska stałą. Gdy lufy stawały się zbyt gorące, odlewaliśmy się na nie, by je ochłodzić. Gregor Martin przyszedł z trzema nowymi.

Orzeł, obładowany amunicją, wylądował obok nas. Bóg jeden wie, skąd ją dostał. Był prawie oskalpowany odłamkiem pocisku, brakowało mu też połowy ucha. Zmienił Heidego jako mój pomocnik.

Wcisnąłem kolbę w ramię, oparłem stopy o kamień. Mój kaem pluł śmiercią i zniszczeniem. Piechurzy odziani w khaki gięli się i padali o kilka metrów przed nami. Nowe zacięcie.

Orzeł podał mi bagnet: do góry pokrywa zamka i precz z uwięzłym nabojem. Pokrywa z trzaskiem zamknęła się. Znów ładowanie. Mój MG. 42 strajkował tylko przez parę sekund, ale z tego powodu tamci byli bliżej.

Heide też złapał karabin maszynowy. Klęczał, z wielkim karabinem przyciśniętym do boku, strzelając. Jego nerki i kości musiały się zupełnie obluzować, ale on wiedział, jakie jest zagrożenie. W chwili, gdy tamci do nas dotrą, zginiemy. Żadna ze stron nie brała jeńców.

Rosły stopy ciał. Porta i Mały rzucali granaty ręczne. Gregor Martin wyszarpywał sznury zapalników, wręczał im granaty i liczył. Na ten widok osiwiłby każdy instruktor od granatów ręcznych, ale każdy granat wybuchał dokładnie na wysokości pasa przed nieprzyjacielskimi żołnierzami.

Wtedy moździerz zaczął pompować pociski. To byli Mike i Stary. Mike podawał pociski Staremu.

Sherman wychylił swój wielki ryj nad zrujnowanym murem klasztoru. Patrzyliśmy na jego brzuch, wznoszący się nad nami; za parę sekund przechylili się i zmiążdży nas.

Porta skoczył na równe nogi i cisnął w niego minę talerzową. Słup ognia. Czołg zmienił się w szalejące piekło. Ludzki głos wydzierał się w panice. To był dowódca czołgu, który uwiązał w wieżyczce. Tors skręcał się konwulsyjnie. Machał rękami, jak skrzydłami wiatraka. Jego dolna połowa paliła się.

Amerykański piechur wymierzył mu *coup de grace*. Zmieniliśmy pozycję. Dołączyło do nas kilku spadochroniarzy z ogromnym pękiem panczerfaustów.

Legionista klęczał, trzymając miotacz ognia, który tryskał strugami ognia we wszystkie strony.

- *Allah-el-akbar! Vive la France!* - Krzyczał idiotycznie, jakby nie wiedział, że walczymy z francuskim generałem.

Zaczęli się chwiać, Amerykanie i wyzywający śmierć Nowozelandczycy.

A wtedy wśród nas znalazł się Jednooki, w jednej ręce trzymając Nagana, a w drugiej swą sękatą laskę.

- Do mnie! - Rozkazał. - Za mną! - Zgubił swoją czarną łatkę na oko i pusty oczodół pobłyskiwał czerwono. Jego generalskie odznaki na naramiennikach migotały w świetle tryskających języków miotacza ognia. Silny i pleczysty, toczył się jak walec parowy w dół zbocza, a tuż za nim ludzie z wszelkich rodzajów broni.

Na prawo od niego szturmował Mike, z ogromnym cygarem pięknie trzymanym po środku ust. Po lewej biegł Porta z żółtym cylindrem zsuniętym na tył głowy. Opasły generał i jego gwardia przyboczna.

Z dzikim fanatyzmem toczyliśmy się w dół zbocza świętej góry. Szalone walki wręcz toczono na stosach rozbitych murów. Gryźliśmy, warczeliśmy, kopaliśmy i wbijaliśmy noże.

Amerykański kapitan, uzbrojony tylko w bagnet, rzucił się na Leutnanta naszej broni panczernej. Mundur miał w strzępach. Był skąpany we krwi.

Skierowałem na niego mój pistolet maszynowy. Ale on był nieśmiertelny. Zabił Leutnanta. Bagnet złamał mu się. Pieniąc się z wściekłości cisnął we mnie rękojeścią. Podniósł kamień i rzucił się na spadochroniarza, który z kaemem zajął pozycję za skałką. Szalejący kapitan rozwalil mu głowę kamieniem, chwycił MG i zatoczył nim półkole. Pociski smugowe wyleciały z niego wachlarzem.

Pancerfaust rozerwał go na kawałeczki.

Amerykański kapral piechoty morskiej i niemiecki spadochroniarz leżeli spleceni w śmiertelnej walce. Amerykanin zatopił zęby w gardle Niemca.

Francuski major siedział na kamieniu, próbując sobie wepchnąć wnętrzności do rozdartego brzucha. Czarny, amerykański sierżant leżał z obiema nogami pochwyconymi i zmiażdżonymi przez gąsienice wypalonego czołgu, strzelając huraganami pocisków z rozpalonego do czerwoności karabinu maszynowego. Obok niego leżał ogromny stos pustych łusek. Siekiera rozplatała mu głowę na dwoje.

Gdy skończyły nam się granaty, rzucaliśmy w nich niewypałamie. Powietrze pełne było skowytów i gwizdów. Chmury rozerwały się. Z nieba poleciały płomienie. Ziemia rozpryskiwała się.

Zapora ogniowa. Pociski, amerykańskie i niemieckie, zabijały bez wyboru swoich i wrogów. Sztab na tyłach spanikował i puścił w ruch gigantyczny młyn, mielący wszystko.

Skoczyliśmy szukając kryjówek i wraz z tymi, którzy przed chwilą byli naszymi przeciwnikami, rzuciliśmy się na ziemię i z wściekłością wymachiwaliśmy pięściami pod adresem artylerzystów, których nie mogliśmy zobaczyć.

Ujrzałem, że leżę na dnie leja po pocisku obok amerykańskiego szeregowca. Zbyt przerażeni by mówić, przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Kto ma strzelić pierwszy? A wtedy on z przekleństwem cisnął na bok swój pistolet maszynowy i wyciągnął paczkę Cameli.

Roześmiałem się z ulgą i zaproponowałem mu Grifa. Rozpromienił się. Obaj ryknęliśmy śmiechem i padliśmy sobie na szyję. Zaczęliśmy mleć ozorami, z ogromnymi wyjaśnieniami pełnymi śmiechu, z których żaden nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił drugi.

Zamieniliśmy się manierkami. W jego był dzin. W mojej *Schinkenlager*.

Dwie postacie wpadły głowami naprzód do naszej dziury. Był to Porta i Mały. Cofnęli się, ujrawszy Amerykanina. Mały odbezpieczył swą pepeszę. Kopnięciem wytrąciłem mu ją z ręki. Zrobiłem uspokajający gest do Amerykanina. Wpełzliśmy głębiej do dziury. Nasze manierki poszły w koło. Zamienialiśmy się guzikami, wstążeczkami. Amerykanin całkiem oszalał, ujrawszy na mojej sakiewce czerwoną gwiazdę radzieckiego komisarza.

Graliśmy w kości, palili Grifas i Camele i opróżnialiśmy nasze manierki. Amerykanin pokazał nam na swej piersi tatuaż kaczora Donalda. Gdy poruszał pewnymi mięśniami, dziób kaczki otwierał się. Zaśmiewaliśmy się prawie na śmierć.

Wtedy ostrzał artyleryjski został przerwany. Ostrożnie wyjrzeliliśmy nad brzegiem leja po pocisku: trzech Niemców i jeden Amerykanin.

- Teraz idę do domu - oznajmił amerykański szeregowiec.

Zsunęliśmy się z powrotem na dno leja i serdecznie pożegnaliśmy się. Wymieniliśmy adresy domowe i numery poczt polowych, obiecując, że do siebie napiszemy, gdy tylko będziemy mieli czas.

Oslanialiśmy go naszymi automatami przed jakimiś morderczymi diabłami, gdy biegł schylony w pół przez zniszczony pociskami teren.

- Ja osobiście uduszę każdego, kto w niego łupnie - powiedział Mały.

Widzieliśmy go, jak wskakiwał do ziemianki, a potem pomachał swym pistoletem maszynowym.

Obok nas zaczął szczekać karabin maszynowy. Postacie w feldgrau przeskakiwały przez nasz lej. Szło natarcie.

Pojawiły się postacie w khaki. Krótka seria z pistoletu maszynowego Gregora Martina. Zwinęli się. Jedna grupa zaczęła się za wielkim kamiennym blokiem. Granat ręczny świszcząc poleciał przez powietrze. Przyczajona grupa zmieniła się w krwawy stos ciała ludzkiego. Naprzód! Naprzód! Jakiś Anglik przykucnął do skoku. W chwilę później z jego pleców wystawał drgający nóż.

Więcej pocisków. Masy piechoty wyrosły jak spod ziemi. Wycofaliśmy się. Stękając, pocąc się, z trudem chwytając powietrze rzuciliśmy się w to, co kiedyś było okopem, ustawiliśmy na pozycjach naszą broń automatyczną. Podarliśmy swe koszule na paski i użyliśmy ich do oczyszczenia naszej broni z ziemi i brudu. Co powodowało, że walczyliśmy tak uparcie? Czy był to klasztor, święta góra, nasz kraj? Nie. Walczyliśmy o nasze cholerne życia. Tylko tyle posiadaliśmy jeszcze. Byliśmy biedni jak myszy kościelne. Nie mieliśmy na własność czystej koszuli czy pary butów, które by nie przeciekały. Zapomnieliśmy jak wygląda mydło. Nie byliśmy już istotami ludzkimi, lecz maszynami, które dostały amoku i zabijały wszystko, co żyje.

Jednooki wylądował obok nas w leju. Jego pusty oczodół pełen był ziemi. Zapalił cygaro od rozpalonej do czerwoności lufy miotacza ognia. Jego jedyne, dziko błyskające oko, wpatrzyło się w Portę.

- Przedstawię cię do odznaczenia. Jeśli ktokolwiek na nie zasłużył, to właśnie ty!

Porta uśmiechnął się bezczelnie.

- Wolałbym raczej skrzynkę piwa i ładną, małą cipkę na własność.

Fala armatniego ognia, taka, jakiej jeszcze nie widzieliśmy, uniemożliwiła dalszą rozmowę. Monte Cassino zatrzęsło się. Trzęsienie ziemi o gigantycznej sile. Przycisnęliśmy się do ziemi, wbiliśmy palce w błoto, zrobiliśmy się malutcy, staliśmy się insektami, szukającymi schronienia w pęknięciach skały i pod każdą wypukłością. Dolina i góra stały w

ogniu. Każdy milimetr kwadratowy został obłożony pociskami wielkiego kalibru. Wieś Cassino znikła.

Jakiś spadochroniarz zwariował i rozpoczął wspinaczkę. Wdrapywał się po gołej skale, jak małpa, dokonując wyczynu, który w normalnych warunkach byłby wiadomością na pierwszej stronie gazet. W obecnych prawie nikt tego nie zauważył. Nerwy już nie wytrzymały.

Leżeliśmy twarzami w błocie. Pociski dymne. Maski gazowe. Wtedy nadeszli. Najpierw Polacy, Dywizja Karpacka. - Za Warszawę! - Wołali.

Wycofaliśmy się do klasztoru. Okopaliśmy się. Pojawiły się pierwsze postacie w khaki i zostały skoszone. Ciała, ciała, stosy ciał. Ludzie byli paleni. Ludzie byli miażdżeni. Ludzie byli ścierani na proch.

Kilka tysięcy Marokańczyków, dowodzonych przez fanatycznych francuskich oficerów, podążało tuż za Polską Dywizją, której atak załamał się w skoncentrowanym ogniu karabinów maszynowych.

Polski podpułkownik, krwawiąc z niezliczonych ran, wstał z leja i krzyknął do dwudziestu ludzi, jedynych, którzy pozostali z całego jego pułku.

- Naprzód! Niech żyje Polska!

Na szyi miał zawiązany szalik w kolorach polskiej flagi narodowej.

- Jesteś moją bratnią duszą - powiedział Legionista, klękając i starannie mierząc. - Będziesz siedział po prawej ręce Allaha, mój dzielny Polaku. Następnie opróżnił magazynek w brzuch polskiego oficera. - Bóg jest mądry - szepnął. - Nie naszą, ludzkiego robactwa sprawą, jest pytać, dlaczego. Chwycił pęk granatów ręcznych i wrzucił je do gniazda amerykańskich karabinów maszynowych.

Wtedy nadeszli Gurkhowie w kapeluszach o szerokich kresach, z jednego boku podwiniętych do góry.

Zginęli w ogniu naszych karabinów maszynowych.

Walczyliśmy w ruinach klasztoru. Marokańczycy obcinali uszy tym, których zabili, aby móc pokazać po powrocie do domu, ilu załatwili. Nosili brązowe kapelusze, naciągane głęboko na głowy.

Legionista uniósł się na ich widok morderczą radością. Wydał swój dziki, marokański okrzyk wojenny.

- Brązowi chłopcy tu są - wrzeszczał, odrzuciwszy głowę do tyłu w wariackim śmiechu. Zabić ich! *Avant! Avant, vive la Legion!*

Poszliśmy za nim, jak to zwykle bywało poprzednio. Jednooki próbował nas zatrzymać. Szaleńczy pomysł. Z wściekłości cisnął za nami swą laskę. Strzelaliśmy z biodra, w biegu zmieniając magazynki.

Marokańczycy zatrzymali się zdumieni. Jakiś spadochroniarz zeskoczył ze skały w sam ich środek i zaczął obracać się wokół, siejąc pociskami ze swego sturmgewehra.

Biliśmy łopatkami i kolbami karabinów, dusiliśmy ich gołymi rękami. Mały wyrzucił więcej niż tuzin z nich ponad brzegiem urwiska.

Porta i ja leżeliśmy z MG. 42 na pozycji za stosem trupów, rzygając śmiercią wokół nas.

Teraz Marokańczycy i Gurkhowie okopali się.

Gdy zapadły ciemności, podkradliśmy się pod dowództwem Legionisty i bez najłżejszego dźwięku wpadliśmy na nich i poderżnęliśmy im gardła.

Heide powrócił do swej ulubionej rozrywki: snajperstwa. Miał parę nowych karabinów z nocnymi, teleskopowymi celownikami. Za każdym trafieniem głośno rechotał.

Leutnant Frick był coraz bardziej oburzony.

- Trafiłem go prosto w ucho - zawołał zachwycony Heide. - Biedny, łagodny jebaniec z dwoma paskami na hełmie. - Heide używał pocisków dum-dum.

- Przeklęty idioto - wrzasnął Leutnant Frick, waląc pięścią w jego karabin.

Heide spojrzał na niego szyderczo, przycisnął kolbę do ramienia i rozległ się kolejny wystrzał.

Daleko przed nami jakiś kształt wyskoczył w powietrze. Myśleliśmy, że Leutnant rzucił się na Heidego.

- Strzel jeszcze raz, a złożę na ciebie meldunek o niesubordynacji - ryknął z wściekłością.

- Tak jest, Herr Leutnant - zadrwił Heide. - Czy wolno mi zapytać, czy mam przekazać ten rozkaz tamtej stronie, a wtedy być może zdoła pan zorganizować mecz piłki nożnej na placu targowym w Cassino? Czy mamy rozładować broń i powyrzucać granaty ręczne, Herr Leutnant?

Frick zmrużył oczy.

- Unteroffizier Heide, wiem, że jesteś żołnierzem zawsze trzymającym się regulaminu, najlepszym pod tym względem w Armii Niemieckiej. Wiem też, że masz pewne kontakty w Partii. Ale jesteś też najbrudniejszym mordercą, jakiego dotychczas spotkałem. Ty i brudny mundur, który nosisz, pasujecie do siebie doskonale. Jesteś ozdobą gwardii Führera.

- Jakież obawy? - Zaśmiał się Heide.

Leutnant Frick szybko schylił się, chwycił menażkę pełną spaghetti, które Porta gotował nad palnikiem spirytusowym i cisnął zawartość prosto w twarz Heidego, który zatoczył się w tył z okrzykiem zaskoczenia. Nie zmieniając wyrazu twarzy Leutnant Frick postawił pustą menażkę na ziemi obok Porty. A potem chwycił Heidego za mundur.

- Posłuchaj, Unteroffizier Heide, teraz możesz złożyć meldunek, że twój przełożony targnął się na ciebie, wypowiadał zdradzieckie zdania, wyśmiewał się z niemieckiego munduru i obrażał Führera. Wyobrażam sobie, że to wystarczy, by zostać powieszonym pięć-, lub sześciokrotnie. - Następnie Frick zawrócił na pięcie i pobiegł do Majora Mike'a, który siedział w pobliskim leju, tłukąc wszy.

- Jesteście moimi świadkami! - Wrzasnął histerycznie Heide, ocierając twarz ze spaghetti.

- Czego jesteście świadkami? - Zapytał wyzywająco Porta.

- Nie udawaj głupca! - Zawył Heide. - Słyszeliście, jak mówił, że przegraliśmy wojnę i zmuszę was do podpisania mojego meldunku, zobaczycie. Zobaczysz, że ta parszywa bestia będzie wisieć.

- O czym ty mówisz? - Zapytał Barcelona. - Nie widziałem nawet śladu Leutnanta, a ja byłem tutaj przez cały czas. Czy widziałeś jakiegoś Leutnanta, Mały?

Mały wyjął z ust kawałek kiełbasy.

- Leutnanta? Tak, ale bardzo dawno temu.

- Powiedz mi - rzekł Porta, wstając na nogi - co ty u diabła chciałeś powiedzieć przez to impertynenckie zabranie mego spaghetti i wylanie sobie na głowę? To cię będzie drogo kosztować. Ono zawierało kawałki wieprzowiny oraz keczup. Za które zapłacisz! Oddaj swoje Grifas oraz laseczki opiumowe.

- Sram na twoje spaghetti - odparł wściekły Heide. - Osobiście skręcę kark temu oficerskiemu chujowi. - Rozejrzał się wokół, szukając chętniejszych świadków. Skierował palec na ojca Emanuela, siedzącego w kącie z Orłem. - Kapelanie, czy ośmielisz się przysiąc na święty krzyż Jezusa Chrystusa, że nie słyszałeś, jak on obrażał Führera? Ostrzegam cię, że ta sprawa stanie przed sądem polowym. Nie kłam, kapelanie. Otrzymałeś święcenia.

Kapelan uśmiechnął się szeroko, przechylił głowę na ramię i zrobił minę kompletnego idioty.

- Czy mam przez to rozumieć, Heide, że ukradłeś Porcie spaghetti i wylałeś sobie na głowę?

Heide załadował swój pistolet maszynowy.

- Kapelanie, widziałeś jak ta namiastka oficera cisnęła je na moją głowę!



- Czyś ty zwariował, Unteroffizier Heide? - Zapytał Ojciec Emanuel z dobrze udawanym przerażeniem w głosie. - Żaden oficer nie rzucałby spaghetti w głowę podwładnego.

Heide pospiesznie zwrócił się do Orła.

- Panzerschutze Stahlschmidt, wstać. Stań na baczność, gdy zwraca się do ciebie Unteroffizier i nie kłam mi, starszemu stopniem i dowódcy drużyny. Czeka cię sąd polowy ze sznurem na stole, jeśli skłamiesz. Słyszałeś, co powiedział Leutnant?

Orzeł trząśł się cały. Jego manierka była pełna sznapsa i wypadła mu z rąk.

- A więc, ty podupały szubieniczniku, słyszałeś, o co pytam? - Ryknął podniecony Heide.

Orzeł już miał odpowiedzieć, gdy Porta rąbnął go w tył głowy pustą menażką.

- Słyszałeś, co Heide powiedział o Führerze, prawda, Stahlschmidt? To jest chwila, w której decydujesz po czyjej jesteś stronie, Panzerschutze Stahlschmidt.

Orzeł był śmiertelnie blady. Przełknął ślinę i zwilżył czubkiem języka swe popękane wargi.

Heide niecierpliwie odchrząknął i ugiął kolana. Orzeł prawie już podjął decyzję, gdy jego wzrok padł na Portę, który w najbardziej znaczący sposób tulił miotacz ognia.

- Słyszałem, jak Unteroffizier Heide mówił, że Führer jest wielkim dupkiem.

Heide wychodził z siebie.

- Ty wielki, tłusty, zawoszony zdrajco! Pewnego dnia policzę się z tobą. Tymczasem śnij o więzieniu, ponieważ, wierz mi, tam właśnie pójdiesz. Skierował na niego swój bagnet.  
- Stahlschmidt, osobiście zawiozę cię w kajdanach do Torgau.

- Nie wygłaszaj tak wielkiego kazania, Juliusu Żydożerco - przerwał Porta, miotaczem ognia szturchając Heidego w brzuch. - Dawaj twoje pałeczki opiumowe. To może cię nauczy nie kraść pokojowo nastawionym ludziom spaghetti. W tym kraju to potrawa święta, nawet papież ją jada.

- Nic nie dostaniesz - oznajmił Heide z pewnością siebie i kopnął miotacz ognia.

- Doprawdy? - Zaśmiał się Porta i wypuścił strugę ognia nad głową Heidego, tak blisko, że po czuliśmy zapach spalonych włosów.

- Skończcie z tym błazeństwem - zawołał Major Mike, podnosząc głowę znad swego polowania na wszy.

Heide jednym skokiem ukrył się za skałą. Następną struga płomieni. Heide wynurzył się zza skały, czarny od sadzy i z lękiem w oczach.

- Przestań. Bo mnie spalisz!

- Dopiero w tej chwili to zrozumiałeś? - Rzekł Porta z diabelskim uśmiechem i przyjął pozycję, by posłać kolejny język ognia. - Oddaj, albo zmienię cię w garść popiołu.

Paczka narkotycznych papierosów poleciała zza skały. Porta podniósł je, powąchał i z zadowoleniem kiwnął głową.

- A teraz zdobędziesz dla mnie menażkę spaghetti z kawałkami wieprzowiny i keczupem. Nie odmówię też odrobiny przyrumienionej cebuli.

Heide skapitulował, ale jednocześnie przysiągł na modlitewnik kapelana, że zemści się na wszystkich Leutnantach Wielkiej Niemieckiej Armii. Wówczas Mike wezwał go i wysłał jako łącznika do Dowództwa Dywizji. Cel: uzyskanie cygar dla Majora Mike'a.

Heide poprosił o szczegółowsze instrukcje.

- To nie moja zasrana sprawa, skąd je dostaniesz - wrzasnął Mike. - Jeśli idzie o mnie, możesz je wyciągnąć Kesselringowi z dupy, ale nie śmieć wracać bez skrzynki cygar. A jeśli nie wrócisz w ciągu sześciu godzin, zgłoszę cię jako dezertera i napuszczę na ciebie żandarmerię.

Klnąc Heide wyruszył na swą misję. Gdy przechodził, Porta na cały głos rzucał mu porady.

- Święta Matko Boska, spójrzcie na to! - Pokazał palcem na niebo Ojciec Emanuel.

Spojrzelśmy w górę i nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Niezliczone smugi pary błyszczały na bezchmurnym niebie. Ogromna chmara pszczoł. Tyle tylko, że pszczołami były olbrzymie bombowce.

Wrywaliśmy sobie lornety.

- Jezu - mruknął Barcelona - jest ich przynajmniej tysięcy! I to są amerykańskie Latające Fortece. Nie chciałbym być tam, gdzie one zaczną pozbywać się ładunku.

- To są B. 17 - wyszeptał Leutnant Frick i odruchowo wpełzł głębiej do ziemianki.

Mike wypuścił wesz patrząc w niebo.

- Skąd u diabła one przybyły? Lecą z cholernej północy!

Nie wiedzieliśmy, że ta wielka ławica wystartowała z lotnisk w Anglii tego samego ranka. Roje myśliwców eskortowały ją przez Francję. Bezlitośnie pogwałciła neutralność Szwajcarii, której artylerzyści w niemal średniowiecznych hełmach strzelali do Amerykanów, nawet nie zadrasnąwszy farby na samolotach. Nasze Focke-Wulfy rzuciły się na nie, lecz one pozostały na swym kursie. Nie na darmo nazywaliśmy ich Uparciuchami. Ich nawigatorom podawano kurs przy starcie i według niego lecieli, nawet, jeśli diabeł miałby się pojawić przed nimi. Dwudziestoczteroletni piloci siedzieli w kokpitach, żując gumę. Na twarzach

mieli maski tlenowe. Paru bombardierów, nowicjuszy, potraciło zmysły. Jeden wyskoczył przez luk bombowy, a za nim poleciało przekleństwo.

Godzina za godziną ryczały wielkie silniki. Przeleciały nie zważając na nic przez burzę z piorunami i wleciały w zaporę ognia dział przeciwlotniczych. Lotnicy zerwali maski tlenowe. Drugi pilot podał termos pierwszemu. Nawigator włożył do ust pięć Camel, zapalił je i rozdał załodze. Palili, spoglądając na czerwony napis „Palenie wzbronione”. Popatrzyli na ognie wylotowe naszych dział 88 mm. Focke-Wulf, z wymalowanym na nosie atakującym rekinem, rzucił się na B. 17 dwudziestodwuletniego kapitana Boye-Smitha.

- Załatw tego parszywego Szwaba! - Zawołał do swego tylnego strzelca.

Nie wiadomo, czy ten był wspaniałym strzelcem, czy po prostu miał niezwykle szczęście, w każdym razie pierwszą serią trafił Focke-Wulfa, który przemknął pod bombowcem z ciągnącym się za nim pióropuszem gęstego dymu. Następnie stanął dęba jak koń przed wybuchającym pociskiem i wywinął w powietrzu ósemkę, nim zwałił się na ziemię. Spadł na wieś Pantoni na zachód od Florencji, zabijając dwoje dzieci i kobietę, która robiła pranie. Pilot Barn von Nierndorf został zabity jeszcze wysoko w powietrzu, pierwszym wybuchem ognia.

Pierwsze pięćdziesiąt B. 17, w szyku klinowym, było dokładnie nad Monte Cassino. Powietrze zaryczało, gdy huragan stali poleciał w dół.

- Co u diabła? - Zapytał Mike, który właśnie oglądał trzymaną wesz.

Padliśmy na brzuchy, wpełzliśmy pod nawisającą skałę i czekaliśmy na śmierć.

Amerykanie na swych pozycjach byli równie zaskoczeni. Wszędzie szeregowi skakali w ukrycia.

- Do diabła, oni nas bombardują!

Pierwszy deszcz bomb ogołocił górę. Domy w dolinie, stojące równiutkim szeregiem zostały natychmiast zdmuchnięte. Bateria ciężkich dział przeciwlotniczych, przyczajona za parowozownią w Cassino, została zmieciona w ciągu sekundy.

Wtedy nadeszła następna fala. Jeszcze więcej bomb spadło na klasztor. Wszystko otuliła jadowicie żółta mgła. Świętą górę ogarnął błyskający płomieniami huragan. Po B. 17 nadleciały brytyjskie Mitchelle, tak zwane bombowce precyzyjne, które leciały prosto na swe cele.

Nadpływała fala za falą. Tej nocy Jednooki pojawił się ze swym adiutantem, Oberleutnantem Hartwigiem, który rok wcześniej stracił pod Charkowem prawą rękę. Wtedy, gdy walczyliśmy w mieszkaniu dentysty.

Jednooki wezwał dowódców kompanii.

- Tej nocy odchodzimy - powiedział. - Ale tamci po drugiej stronie nie mogą niczego zauważyć. Spadochroniarze mają wycofać się pierwsi. Po nich 5. Kompania z 1. Batalionu odejdzie jako ostatnia. Ale, bez względu na to, kto tu jest, lub kogo tu nie ma, opuszczacie to gówno dokładnie o 2.05. Jedna drużyna pozostanie. Dwie baterie położą powyżej was ogień nękający.

- A tą ostatnią drużyną - zawołał z głębi Porta jest oczywiście 2. Drużyna. Nie macie już dosyć, moi bohaterowie? Cieszcie się, dzieci w szkołach będą o nas czytać. Mój cylinder i moje kleszcze dentystyczne znajdują się w muzeum.

Jednooki spojrzał na niego z namysłem.

- Ponieważ zaproponowałeś to, Porta, niech tak będzie. 2. Drużyna.

- Kiedy nauczysz się trzymać twój cholerny język za zębami? - Zapytał Barcelona.

Porta cisnął granatem ręcznym w Orła, który siedział skulony ze strachu w kącie.

- Nie miej takiej miny, jakbyś tego nie doceniał, bohaterze!

Kompanie odeszły w nakazanym czasie, bezszelestnie opuszczając pozycje.

- Życzę szczęścia - szepnął Leutnant Frick na chwilę nim znikł. Major Mike poklepał Starego po ramieniu.

- Zobaczymy się, Beier - A potem pochłonęła go ciemność.

Czując się nieco nerwowo, skuliliśmy się za naszymi karabinami maszynowymi.

- Jeśli będą mieli najlżejsze podejrzenie, że nasi chłopcy się wycofali, rzucą się na nas w mgnieniu oka - szepnął Porta.

- Sram w portki ze strachu - mruknął Barcelona.

- Jeśli nadejdą, wywalam na nich jedną taśmę, ale po tym nie liczcie na mnie - powiedział przyciszonym głosem Porta. - Dam dęba i będę biegł tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie pojedę do Teksasu, by tłuć kamienie jako przegrany Szwab.

Stary uważnie przyglądał się swemu zegarkowi.

- Artyleria zaczyna za pięć minut - wyszeptał.

- Rozmontujcie kaemy i bądźcie w gotowości. Mały, ty bierzesz mózdzierz.

- Nawet mi się nie śni - zaprotestował Mały. Jeśli chcesz mieć ten stary piecyk, możesz cholernie dobrze wlec go sam. Legionista dał mi coś do roboty. Opiekuję się gąsiorem z napitkiem.

- Ja tu dowodzę i ty weźmiesz mózdzierz - powiedział rozwścieczony Stary. - Twoja wóda mnie nie obchodzi. Zrozumiano?

- Nie jestem głuchy - mruknął Mały.

- Więc powtórz rozkaz.

- Jaki rozkaz? - Mały udawał głupiego, co było jego zwykle stosowanym trikiem, gdy było coś, z czego chciał się wyplątać.

Stary dziko zaklął.

- Nie udawaj idioty, ty wielki sraczu i posłuchaj mnie. Jeśli nie będziesz miał ze sobą mózdzierza, gdy dotrzemy do Via Appia, postawię cię przed sądem.

- Dajże spokój, Stary, okaż trochę człowieczeństwa i zrozumienia - błagał Mały. - Nie mogę targać zarówno mózdzierza jak picia.

- Ty bierzesz mózdzierz - uciał Stary.

Działa zaczęły grzmieć. Porta chwycił karabin maszynowy i zarzucił go sobie na ramię. Ja złożyłem trójnóg. Barcelona pomógł mi załadować go na plecy. Rozdzieliliśmy między siebie długie taśmy nabojoye.

- Do widzenia, Sammy, później się spotkamy! Nie płacz, gdy zobaczysz, że nasze ziemianki są puste.

- Jakżeż się wzajemnie kochamy - uśmiechnął się wesoło Barcelona. - Znacie kogokolwiek innego, kto tak energicznie pukałby do drzwi?

- Ta miłość będzie naszą śmiercią - powiedział Heide.

Bez najmniejszego hałasu zaczęliśmy schodzić w dół. Klekocząca seria stuków przyprawiła nas prawie o utratę zmysłów i spowodowała, że zamarliśmy na zboczu góry.

- Co to u diabła było? - Zapytał Stary przerażonym tonem. - Gonią już nas?

W ciemności rozległ się głos zadowolonego z siebie Małego.

- Strasznie cię przepraszam, Stary. Ten cholerny mózdzierz wyskoczył mi z rąk i ześlizgnął się po zboczu. Stało się tak dlatego, że upierałeś się, abym go tulił do siebie równocześnie z gorzałą.

- Nie rozlałeś jej? - Spytał zaniepokojony Porta.

- Na świętą Barbarę, patronkę armat, przysięgam, że nie została stracona ani kropla. Jestem bardzo uważny, gdy idzie o kosztowności.

- Ty superidioto! - Warknął Stary. - Musisz się postarać o inny mózdzierz i nic mnie nie obchodzi, skąd go dostaniesz.

- Pożyczę go sobie od Sama - odparł z zadowoleniem Mały. - On ma mnóstwo tego gówna.

Spoceni, z wysiłkiem dążyliśmy przed siebie, trzymając się każdego wystającego fragmentu skały. Dłonie mieliśmy zakrwawione.

- Już nie mogę - jęknąłem. - Wywalam ten trójnóg.

- Nie ma potrzeby - rzekł pocieszającym tonem Barcelona. - Daj go mnie.

Gdy ukazał się fragment skały, wyglądający jak głowa konia, zrzuciłem z pleców trójnog i dałem go Barcelonie. W zamian otrzymałem miotacz ognia. Był równie ciężki, ale łatwiejszy do niesienia.

Balansując przeszliśmy po wąskiej półce skalnej. Dalej był grzbiet, który musieliśmy pokonać. Trochę dalej Mały położył się na brzuchu. Przywiązał sobie stopy do drzewa. Sięgnął w dół i szybkim szarpnięciem wyciągnął mnie na górę. Po mnie Barcelonę. Następnie Portę. Jednego za drugim.

- Jakież jestem silny - przechwalał się Mały. - Beze mnie zjechalibyście na dupach. Rzucił kamień do przepaści. Słyszeliśmy, jak w ciemności toczy się i odbija.

- Cholernie długa droga na dno - mruknął Porta.

W górę wzniosł się pocisk oświetlający. Rzuciliśmy się w ukrycie, próbując wtopić się w teren. Najlżejszy ruch oznaczał śmierć.

Powoli jaskrawe światło zgasło. Na wschodzie grzmiały działa. To było wzgórze 771, Castellona. Nie wiedzieliśmy o tym, ale to był początek przełamania naszego frontu przez Amerykanów. 168. Pułk Piechoty Amerykańskiej zmasakrował naszych dwustu Grenadierów Pancernych.

Ryki i błyski ogarnęły cały horyzont wokół. Setki dział pluło ogniem. Krew lała się strumieniami.

- Dupy do góry - rozkazał Stary. - Rzędem - za mną!

Kompania okopała się między jakimiś domami. Mały ostrożnie postawił ogromny gąsior gorzały na ziemi.

- Mam otworzyć bar? - Zapytał Legionisty.

Ten skinął głową. Wyrwali drzwi z zawiasów i ułożyli je na dwóch beczkach. Równiutko ustawiono kubki. Porta usadowił się na pocisku, wystawił średniej wielkości skrzynkę kasową oraz dzwonek kościelny. Mały zajął pozycję za nim, z miotaczem ognia w rękach. Nasz nowy trębacz przyłożył instrument do ust i zagrał sygnał na zbiórkę.

Z różnych lejów po pociskach wysunęły się zainteresowane głowy.

Wielkimi krokami nadszedł Mike, z ogromnym cygarem w ustach, gdyż Heide powrócił z tym, po co został wysłany.

- Co wy u diabła robicie? Przerwać trąbienie. Amerykanie też znają sygnał na zbiórkę. Gdy go usłyszą, możesz ich sprowadzić prosto tutaj.

- Nie mam nic przeciwko amerykańskim klientom - stwierdził Porta. - Dolary, to twarda waluta.

- Nie zadzieraj nosa - rzekł Mike. - Nawet nie widziałeś zielonego.

Porta bez słowa wsadził dłoń za cholewkę i wyciągnął dwa grube zwitki banknotów dolarowych.

Mikowi opadła szczeka. Przez chwilę stał osłupiały ze zdumienia.

- Skąd u diabła zdobyłeś ten szmal? - Zawołał.

- Od chłopców generała Rydera i generała Walkera. Przypadkiem spotkaliśmy się za klasztorem i przekonałem ich, że już nie będą mieli żadnego pożytku ze swej forsy.

- Wiesz doskonale, że obca waluta musi być przekazywana twemu dowódcy kompanii lub oficerowi politycznemu NSDAP, prawda?

Porta włożył pieniądze z powrotem do buta, chytrze uśmiechnięty.

- Tak, Herr Major, wiem o tym. Ja i nasz oficer polityczny jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. - Odkasznął leciutko i podniósł do góry miniaturowy, szpiegowski aparat fotograficzny, abyśmy go wszyscy widzieli. - A to małe pudełeczko jest przyczyną, dla której mam absolutnego fioła na temat fotografii, tylko nigdy nie pamiętam, gdzie położyłem negatywy. Kilka dni temu przypadkiem zrobiłem migawkowe zdjęcie naszego oficera politycznego, gdy był bardzo zajęty uwodzeniem bardzo młodego włoskiego chłopca. Później trochę pogadaliśmy na temat negatywu i zgodziliśmy się, że nie byłoby szczególnie dobrym wydarzeniem, gdy by trafił na Prinz Albrecht Strasse.

Mike gwizdnął i uważnie przyjrzał się butom Porty.

- A gdybym tak złożył meldunek na temat chłopca i negatywu? - Zapytał słodkim tonem.

Porta uśmiechnął się bez cienia niepokoju.

- Zgodnie z pana obowiązkiem, Herr Major. Ale proszę sobie przypomnieć, że każdy meldunek musi przejść przez naszego Dowódcę Dywizji, Generała-majora Mercedesa i nie chciałbym być obecny przy tym, jak meldunek dla Reichssicherheitshauptamtu wyląduje na biurku Jednookiego. Jeśli z powodzeniem przedostanie się dalej, trafi do faceta, którego nigdy nie spotkałem, ale o którym wiele słyszałem. On też nie może znieść czarnych chłopców z Prinz Albrecht Strasse, ale być może zna go pan osobiście? Mam na myśli Generalfeldmarschalla Kesselringa. Kto wie, czy i on nie należy do tych, którzy zmienili nazwisko, jak słynny Herr von Mannstein, który, jak słyszałem, niegdyś nazywał się Lichtenstein.

Heide splunął.

- Czy przypadkiem nie miał na imię Nathan?

Porta wzruszył ramionami.

- Jeśli tak, to by wyjaśniało czemu je zmienił. Nie jest to w dzisiejszych czasach imię szczególnie popularne.

Mike szarpnął się naprzód. Chętnie chwyciłby Portę za gardło. Jego cygaro przeskakiwało z jednego kąta ust w drugi.

- Pewnego dnia, Porta, zawiśniesz - przepowiedział i w wyobraźni ujrzał ciało Porty, kołyszące się na dębie korkowym obok Via Appia.

Major Mike wyglądał na zmęczonego. Usiadł ciężko na dnie okopu, używszy jako krzesła hełmu Orła, który uprzejmie podsunął go pod jego szeroki tyłek.

- Drinka, Herr Major? - Zapytał Porta z obojętnym uśmiechem.

Major jednym haustem opróżnił kubek. Był to 88-procentowy, żytni spirytus. Wstał na nogi, wysoki i szeroki i powoli wsadził sobie w zęby świeże cygaro. Orzeł unieżenie je zapalił.

Major nawet na niego nie spojrzał. Pomacał zwisający mu na piersi pistolet maszynowy i uśmiechnął się nader wymuszonym uśmiechem.

- Porta, powinieneś być szefem sztabu. Nawet marszałków zmusiłbyś do noszenia galonów na tyłkach.

- Och, do diabła, Herr Major. Jestem taki sam, jak ten piechur morski z Teksasu, zwykły żołnierz, który nauczył się strzec na wszystkie strony. Moje motto to „Uważaj każdego za wysłannika Szatana, póki nie zostanie udowodnione coś przeciwnego”, a to się zdarza bardzo rzadko.

Major Mike głęboko zaczerpnął powietrza, prawie połykając cygaro.

- Powtarzam, Porta, dobrze wyglądałbyś na końcu sznura.

Porta wzruszył ramionami.

- Sam pan wie, Herr Major, jedna ozdoba nie czyni z drzewa choinki świątecznej.

Major znikł, mrużąc coś niezrozumiałego. Usłyszeliśmy tylko słowo „jebaniec”.

Porta zaczął wściekle dzwonić swym dzwonkiem ołtarzowym i wrzeszczeć: - Bar otwarty! Bar otwarty!

Nadeszli gromadami i ustawili się w kolejkę.

- Kubek do prawej ręki, pieniądze do lewej! Płacić należy zanim zostanie nalane!

Ceny różniły się, choć nalewana miara była zawsze taka sama. Oberscharführer SS musiał wyłożyć więcej, niż Panzeroberfeldwebel. Z drugiej jednak strony od pisarza batalionowego wymagano dwa razy tyle, co od Oberscharführera.

Dwa razy Mały musiał wejść do akcji, by zapobiec bójce. Jedno uderzenie miotaczem ognia w tył głowy przywracało spokój. Nagle, w samym środku tego wszystkiego napadli nas.



Nawet nie zauważyliśmy, jak Marokańczycy w brązowych burnusach podcięli gardła naszym wartownikom. Pojawili się skacząc z urwiska i strzelając do nas z trzech stron.

W chwilę później toczyliśmy morderczą walkę wręcz. Mały chwycił gąsior gorzały i ustawił w bezpiecznym miejscu wewnątrz jednego z domów. Następnie wybiegł stamtąd, plując ogniem swego miotacza. Legionista stał oparty plecami o ścianę i zawzięcie pracował siekierą.

Wtedy nadleciały Jabos i omiotły cały teren ogniem z karabinów maszynowych. Brązowi posunęli się za daleko przed front i obalał ich diabelski ogień amerykańskich myśliwców.

Domy stały w płomieniach. Jakiś stary wieśniak rozpaczliwie próbował ugasić pożar przy pomocy rondla. Nagle rondel wypadł mu z ręki, rozlewając wodę we wszystkie strony, gejzerki ziemi trysnęły w górę, a człowieka musnął cień myśliwca bombardującego.

Ogień artylerii. Roje piechoty. Wycofaliśmy się. Niewielu z nas, to znaczy ci, którzy przeżyli i byli zdolni powlec się dalej. Zebraliśmy się przy drodze. Ambulansy stały zaparkowane pod osłoną drzew. Wsadziliśmy Starego do jednego z nich, choć to kosztowało wszystkie nasze Grifas i wszystkie dolary Porty, by dostać dla niego miejsce. Za każdym razem, gdy Stary brał oddech, widać było płuco. Uścisnęliśmy mu dłoń, a potem ambulans na złamanie karku popędził do Rzymu.

Mike został wsadzony do wojskowej ciężarówki wraz z czterema innymi ciężko rannymi.

Prawe ramię miał roztrzaskane. Postawiliśmy obok niego jego skrzynkę cygar. Skinął głową z wdzięcznością.

Orła pochowaliśmy obok drogi. Granat ręczny zabrał mu obie nogi. Nie kopaliśmy głęboko i nie dostał na grobie krzyża ani hełmu. Po prostu trochę udeptaliśmy ziemię.

- Powoli pal się w piekle, ty brudny szurze więzienny - powiedział Barcelona.

Leutnant Frick podszedł do nas. Bandaż wokół głowy pozostawiał na zewnątrz tylko jedno oko i usta.

- Podnieście broń. Znow idziemy naprzód. Grenadierzy wycofali się, a pozycję trzeba utrzymać za wszelką cenę. Odpowiadam za to własnym życiem.

Zarzuciliśmy karabiny maszynowe na ramiona. Wśród nas lądowały wyjące pociski.

Barcelona upadł. Dwaj spadochroniarze odnieśli go do tyłu. Miał w brzuchu odłamki pocisku. Heide skręcił się i karabin maszynowy wypadł mu z rąk. Jego kark i barki były jedną ziejącą, krwawą raną. Odesłaliśmy go do tyłu z jakimiś grenadierami.

Leutnantowi Frickowi odcięło głowę. Z jego szyi trysnęła fontanna krwi.

Zajęliśmy pozycję w leju pełnym błota: Porta, Mały, Gregor Martin i ja. Ostatni z 5. Kompanii. Wszyscy inni byli w szpitalach lub pogrzebani. Nagle zostałem wyniesiony na stanowisko dowódcy kompanii, dowodząc kompanią złożoną z czterech ludzi. Dołączyły do nas inne małe grupki, resztki kompanii i batalionów. Trzymaliśmy się tam przez następne pięć dni i nocy. Wtedy zabrały nas ciężarówki. Oślaniali nas spadochroniarze.

Ostatnia bitwa o Monte Cassino była zakończona.

## **Od Wydawcy**

*Drogi Czytelniku, jeśli podczas wakacji będziesz przechodził przez wieś Cassino, zatrzymaj się na chwilę, gdy dotrzesz do drogi prowadzącej w górę, do klasztoru. Wsiądź z samochodu i schyl głowę z szacunku dla tych, którzy zginęli na świętej górze. Jeśli zaczniesz nasłuchiwać, być może będziesz nadal mógł usłyszeć ryk pocisków i wrzaski rannych.*

Niniejsza książka jest dziełem fikcji literackiej utalentowanego Autora, którego interesowały przede wszystkim przeżycia wymyślonych bohaterów, zaś wydarzenia wojenne były tylko pretekstem opowieści. Dlatego nie można traktować tej powieści jako źródła wiadomości historycznych. Wiedzę o rzeczywistym przebiegu bitwy można zaczerpnąć z bogatej literatury historycznej, np. z trzytomowego wydania pracy Melchiora Wańkowicza *Monte Cassino*.

Bitwa toczyła się o utrzymanie przez Wehrmacht lub przełamanie przez Aliantów tzw. Linii Gustawa, pozycji obronnej, ciągnącej się w poprzek Półwyspu Apenińskiego. Wzgórze klasztorne bynajmniej nie było najważniejszym węzłem tej pozycji. Znacznie większe znaczenie miały wzgórze 593, Monte Cairo, wzgórze „Widmo” i inne, pod którymi wykrywiał się polski Drugi Korpus.

Nie jest zamiarem Wydawców prostowanie takich niezgodnych z prawdą historyczną twierdzeń Autora, jakoby polska Dywizja Karpacka „załamała się” pod Monte Cassino, a wzgórze klasztorne zostało zdobyte przez Gurkhów czy Marokańczyków. Również znacznie zostały zawyżone dane o samym bombardowaniu lotniczym. Nie znajduje potwierdzenia źródłowego informacja, jakoby na Monte Cassino odbył się nalot „ponad tysiąca” amerykańskich Latających Fortec B. 17 z baz w Wielkiej Brytanii, i to trasą poprzez Szwajcarię, z pogwałceniem jej neutralności.

Liczymy, że Czytelnicy, nie traktując powieści Svena Hassela jako źródła historycznego, docenią przede wszystkim jej zalety literackie.

**Instytut Wydawniczy Erica**